Szczawnica i Sącz Alter

1507.

Felicya Gawrońska

RODZINA KONFEDERATÓW.

W BIBLIOTECE POWIEŚCI,
PODRÓŻY, PAMIĘTNIKÓW I OPOWIADAŃ HISTORYCZNYCH
wyszły następujące dzieła:

Hr. de Camors Feuillet. — **Klemencja**, powieść hiszp., Caballero — **Klub Pickwicka** p. Dickensa, z ang. — **Poświęcenie kobiety**, Berthoud. — **Niccolò de' Lapi**, powieść hist. d'Azeglio. — **Pomniejsze powieści**, Hohol. — **Opactwo Carrow**, J. F. Smith. — **Dygnitarze**, romans, Pablo de los Rios. — **Piękna Pani**, J. I. Kraszewskiego. — **O Zmroku**, W. Collins. — **Synowie Barona**, K. Goeransson. — **Na Cmentarzu na Wulkanie**, J. I. Kraszewski. — **Żona męża próżnego**, Z. M. Schwartz. — **Rina**, romans włoski, W. Bersezio. — **Przeznaczenie**, K. Enault. — **Wojewodzic**, Gryzon. — **Czarny Matwij**, W. Łoziński — **Kto chce kochać** cierpieć musi, K. Reade. — **Powieści**, K. Pieńkowski — **Zmierzchy i świty**, T. Szumski. — **Boleść i Radość** J. F. Schmith. — **Na dwóch krańcach**, P. Wilkońska. — **Skazaniec**, C. Reade i D. Boucicault. — **Panna czy Pani?** W. Collins. — **Czarna ręka**, C. F. Ridderstadt. — **Pamiętniki Daniela, J.** Tretiak. — **Angiola Maria**, J. Carcano. — **Namiętności**, Z. M. Schwartz. — **Straszna gospoda**, H. Smyth. — **Powołanie**, P. z L. Wilkońska. — **Rok zamężcia**, F. Carlen **Rienzi**. Ostatni trybun rzymski, L. Bulwer. — **Burzyk**. Powieść z nad jeziora F. W. Hacklaender. — **Talizman**, H. Consciense. — **Dwie Matki**, Z. M. Schwartz. — **Kapryśna kobieta**, E. Carlen. — **Wdowa i jej dzieci**, ze szwedz. Z. M. Schwartz. — **Powieści pomniejsze**, K. S. Bodzantowicz. — E. F. Carlen. **Bracia mleczni**, powieść. — Yonge. **Dziedzic z Redclyffe**, przekład Marji J. — Dr. Antoni **J. Opowiadania historyczne**. — F. Gerstäcker. **Regulatorzy w Arkanzas**, powieść amerykańska z niem. — Sędzimir. **Księżniczka z gminu**, powieść z prawdziwych zdarzeń. — W. Harrison Ainsworth. **Crichton**, powieść angielska. — **Szeroki świat**, pow. ang. F. Wetherell. — **Złoty Człowiek**, powieść z węgierskiego, M. Jokaja, przeł. A. Callier. — **Przyszłość Gertrudy**, Z. M. Schwartz, ze szwedzkiego. — Dr. G. Ebers, **Córka króla egipskiego** powieść, z niemiec. przez P. Wilkońską. — Carlen, **Róża z Tistelenu**, powieść ze szwedzkiego. — H. Stanley, **Jak odszukałem Livingstona**, podróż, podług H. Loreau. — Maurycy Jokay. **Moje, Twoje, Jego**, powieść przekł. A. Callier. — **Pamiętnik Jana Chryzostoma z Gosławic Paska**, z czasów Jana Kazimierza, Michała J. Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego (1656 — 1688.) — **„Jan z Tęczyna"**, powieść historyczna, J. U. Niemcewicza. — Z. M. Schwartz. **„Pan z rodu i kobieta z gminu,"** powieść ze szwedzkiego, 3 tomy. — **Charaktery osób historycznych**, podług J. Scherra. — **Amerykanin**, powieść H. James, z angielskiego, A. C. — **„Korsykanka" „Dwaj bracia"** Powieści, M. Z. Schwartz, ze szwedzkiego. — **Kłopoty starego komendanta**, przez A. Wilczyńskiego, 3 tomy. — A. Bronikowski. **Powieści historyczne**: Kazimierz Wielki i Esterka. Moina. — **Błękitna książeczka.** — Dr. Antoni **J. Gawędy z przeszłości**, 2 tomy. — A. B. Edwards. **Tysiąc mil na falach Nilu**, z angielskiego, p. hr. A. D., 2 t. — W. Przyborowski. **Rubin wezyrski** powieść. — **Księżniczka z Minsterberga**, powieść histor. z XIV. wieku. — F. Brackel. **„Nora"** powieść, przekład z niemieckiego. — L. Kubala, **Szkice historyczne**. Serja I. i II. wyd. II. — Z. M. Schwartz, **Bratowe**. Powieść. — M. Jokay, **Nowy dziedzic**. Powieść, przekł. A. Callier, 2 t. — Sawicki, **Podróże**. — Kraszewski, **Pan z Panów**, powieść. — Wybicki, **Pamiętniki**. Berlicz Sas. **Mozajka**, gawędy szlacheckie z lat ubiegłych, 2 tomy — Jan Zacharyasiewicz, **Teorya pana Filipa**, obrazek — M. Z. Schwartz, **Przygody mojego życia**, powieść ze szwedzkiego, 2 tomy. — S. Wiśniowski, **Powieści**. — Kitowicz X., **Pamiętniki**, opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. 3 tomy. — Michał Bałucki, **Biały Murzyn**, powieść. — Z. Marja Schwartz, **Majątek i sumienie**, 2 tomy. — **O. Feuillet**, Historya Paryżanki. M. Jokay **Serce kamienne**, powieść, 3 t. — X. Kitowicz **Pamiętniki** 2. t. — Wł. K. Zieliński. **August II. i Aurora Königsmarck**, pow. hist. 2 tomy. **„Listy Jana III. króla polskiego"** do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń r. 1683. — Z. M. Schwartz: **Ofiara zemsty**. — A. Bronikowski. **Jan III. Sobieski i dwór jego** — Polska w XVII. w., 2 tomy. — Jan Zacharjasiewicz. **Jedna krew. — Pomyłka serca.** Szkice.

K. S. BODZANTOWICZ.

RODZINA KONFEDERATÓW.

PAN STAROSTA WARECKI

PAN MARSZAŁEK ŁOMŻYŃSKI

OBRAZKI HISTORYCZNE.

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK W SZCZAWNICY Willa pod KRASZEWSKI

WYDANIE DRUGIE.

WE LWOWIE
NAKŁADEM GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
1883.

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku Czytelnia dla Dorosłych
60212
821.162.1-311.6
KOMPUTER
884-3:929 Mz
Pułaski Józef
Pułaski Kazimierz

Drukiem Kornela Pillera.

PRZEDMOWA

Najdramatyczniejszym niewątpliwie epizodem historji polskiej, są rozpaczliwe kilkuletnie usiłowania konfederatów Barskich i ich poświęcenia bez granic. Widzimy tam naród, sześćdziesiątkilkoletnim pokojem uśpiony, odwykły od trudów wojennych, nieoględny, rozpojony, którego zguba na zniewieściu oparta, może już ułożona była na owym sejmie niemym*) gdzie pierwszy ślad wpływu czynnego północy na sprawy polskie napotykamy, i w który wmówiono, że Polska bezrządem tylko stoi, a który tak był zapomniał orężnej sprawy przodków swoich, że hetmani jego siedzieli na koniach okutych w kajdany...**). Taki To naród, po pół wiekowem letargicznem uśpieniu, powstaje naraz jak fenix z popiołów i z szablą w ręku dopomina się podeptanych praw swoich. We wszystkich innych krajach, kiedy pierwiastek u steru rządu będący, wyrodził się to inny silny,

*) Roku 1701 pod laską Sierakowskiego.
**) Kitowicza pamiętniki.

nieużyty przychodził do władzy, i dźwigał to co się chyliło do upadku; dla tego od najdawniejszych czasów napotykamy tę fluktuacją między demokracją, a arystokracyą. Inaczej było w Polsce; stan pośredni nie liczny, z cudzoziemców lub żydów złożony, różny od krajowców mową, wiarą, pojęciami politycznemi, nawet innemi od nichprawami rządący się, nie mógł i nie powinien był mieć żadnych swobód politycznych, bo był narodem w narodzie, bo nie chciał się zlać z tym ludem na którego ziemi osiadł, a którego pracą bogacił się... Któż więc miał podjąć dzieło odrodzenia?... Dziwnym pojawem, ta sama szlachta co piła i hulała za Sasów, znalazła w sobie dosyć energji, żeby wystąpić tysiącami w obronie wiary i swobód krajowych, dosyć sumienności żeby zrobić ustępstwa na korzyść innych stanów, dosyć sił żywotnych, żeby te uczucia przelać dzieciom swoim.

Ludzie stronni albo zapatrujący się na historją polską pod wpływem obczyzny, nasz stan szlachecki nazywają arystokracją, bez względu na to, że tam gdzie nie było ani tytułów rodowych, ani majoratów, ani senatu dziedzicznego, lub sądów spadkowych, słowem żadnej z atrybucyi arystokratycznych, tam o niej mowy nawet być nie może. Bo jeżeli szlachta polska zdolna była wyjść z uśpienia, i dać dowody energji i poświęcenia, to właśnie dla tego, że nie była arystokracją, że nie kilkadziesiąt rodzin ale miljon obywateli jednoczył węzeł braterski, i co dzień z nową zasługą przybywało nowe ogniwo do tego łańcucha, a myśl chrześciańska przewodniczyła i w boju i w radzie. Każdy pierwotny pomysł, zbawienie kraju na celu mający, nie pochodził od magnata, ale od drobnego szlachcica, bo

konfederacją Tyszowiecką zawiązał Służewski, Barską Pułaski, insurekcją Kościuszko. W każdym z tych wypadków walczyły tysiące szlachty, a choć skutek nie uwieńczył ich usiłowań, nie mniej krwią swoją na kartach historji zapisali tę prawdę, że zdolni są ofiar i poświęcenia, i że pojęciem politycznem wyprzedzili wszystkie narody.

Bo kiedy prawość, bezstronność i sumienność były zaletą prywatnego człowieka, to właśnie samolubstwo, bezwzględność i niewiara cechowały korzystnie polityka. A że wierzył w to świat cały, to naigrawano się ze szlachty polskiej, że nigdy korzystać nie chciała z nieprawych nabyć jakie zrobić mogła, że do szaleństwa jak mówili, posuwając poszanowanie cudzej własności, najeżdżającego nawet kraj nieprzyjaciela tylko o sześć mil za granicę rzeczypospolitej gonić dozwoliła; szyderstwem tedy nagrodzono te prawe uczucia, i naśmiewano się z tego czego nie pojęto. Tak było dotąd... Ale dziś kiedy polityką oświeconej Europy zda się kierować myśl chrześciańska, kiedy olbrzymiej wojny zadaniem, nie podboje, ale ustalenie pokoju, dziś się należy oddać dank winny tym, co pierwsi wskazali tę drogę, i przez wieki postępowali na niej. Nikt, pewien jestem, nie marzy dziś o przywileju rodowym, szlachectwo tedy pozostanie wspomnieniem i obowiązkiem nieodradzania się od ojców, dla tych co je posiadają; żeby zaś nie zboczyć z tej drogi, trzeba przykładów, trzeba odgrzebać zpotwarzoną przeszłość, zgromadzić rozwiane po świecie karty historyi naszej i przedstawić charaktery, naśladowania godne, w prawdziwem ich świetle. Szczęściem dla nas, wzięto się oburącz do tej pracy, a ja-

kimeś instynktem zachowawczym świat czytujący tego dziś żądny, czego przed kilku laty do rąk by wziąć nie chciał; pracą ściśle historyczną zajmuje się dużo znamienitości literackich, ale najprzystępniejszą formą obznajomienia z nią ludzi jest bez wątpienia powieść. Wskazał nam tę drogę autor Soplicy, pojął najszczytniej autor Zgody senatorskiej, przygód Benedykta Winnickiego, i Mohorta; cudowne są obrazy litewskie, pełne życia Tajkury, Stannica Hulajpolska i Stepy i Koliszczyzna, nawet mniej poważne utwory, jak Murdellio, Bracia ślubni, i Kasztelanice Lubaczewscy mają swój powab, i chciwe są czytane... Cóż to dowodzi? Oto że ludzie u nas pojęli przecie tę prawdę, że na własnym pierwiastku kształcić się należy, i że w naszej historji są piękności których nie mają inne narody.

Kiedy więc stało się potrzebą gromadzić skarby przyszłości, i ja dorzucam grosz mój do skarbnicy, z tem sumiennem przekonaniem, że może nie nauczę lecz pewnie nie zgorszę. Idzie tedy w świat powiastka moja pod nazwą Rodzina Konfederatów. Pod tym wyrazem nie chcę ja rozumieć stosunków krwi, ale braterstwo pojęć i usiłowań. Rodzina tedy Konfederatów to całość, Pan starosta Warecki, to pierwszy obrazek; za nim pójdą inne, jeżeli ludzie uznają, że to im się przyda.

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku Czytelnia dla Dorosłych

1855.

Autor.

Kto zamiłowany w przeszłości, komu w pamięci snują się owe energiczne postacie Ojców i Dziadów naszych, kto w myśli rozmawia z nimi, żyje ich życiem, wywołuje z upodobaniem ich cienie: ten spojrzawszy na świat dzisiejszy, z politowaniem widzi, o ile pod względem fizycznym maleje i słabnie ród ludzki. Jest gdzieś w dziełach Juliusza Cezara, że Gallowie i Cymbry, których wojował, równali się wzrostem Rzymianom, na koniu siedzącym, a Bren ich, idąc obok tryumfalnego wozu Mariusza, głową ramienia jego dotykał. Przy tym niezmiernym wzroście tak był zręczny, że dwanaście koni, w rząd postawionych, przeskakiwał. Tacy to byli dawni mieszkańcy Gallii, a dzisiejsi Francuzi to mają być potomki owych Wielkoludów! A nasze kroniki czyż nie wspominają o niezmiernej sile ojców naszych, o owym, na przykład, Radzimińskim, co najtęższym chłopem rzucał jak piłką, co uzbrojony na koniu wjeżdżał w bramę, chwytał się jej rękoma i podnosił do góry i siebie i konia. Przed laty jeszcze kilkudziesiąt nie byłoż u nas ludzi co podkowy łamali, co wstrzymywali powóz czterokonny, co pili garncami, jedli za dzisiejszych kilku ludzi, i dlatego

później dożywali starości. Ja jeszcze w dzieciństwie mojem zaznałem takich ludzi!... Jeszcze mi stoją w pamięci owi kresowaci Barszczanie, starzy latami ale młodzi umysłem i energią; owi dawni palestranci, wymowni, personaty, z których każdy w potrzebie kładł pióro a chętnie chwytał za karabelę; owi poważni urzędnicy, obywatele i żołnierze razem, z których każdy dziwną fantazją i oryginalnością odznaczał się. O! napatrzył ja się tych obrazowych postaci w domu dziada mojego. To się nie jednemu z równienników moich przytrafić mogło; nie każden jednak jak ja znalazł się w bliskich stosunkach z człowiekiem, co światły, z wyobraźnią poety, z talentem prawdziwie artystycznym, umiał każdą taką postać zanalizować w rozmowie, a potem dziwnie trafnie przenieść ją na papier. Tym człowiekiem był Jakób Sokołowski, o którego pracach chlubnie wspomina autor *Słownika malarzy polskich*, a które w niczem nie ustępują najlepszym szkicom Orłowskiego.

Miły to był człowiek ten pan Jakób. W młodości staranne odebrał wychowanie, a potem własna praca i stosunki z ludźmi światowymi i najlepszego towarzystwa dopełniły reszty. Do tego dobry, pobłażliwy; na wesołej jego twarzy uśmiech zawsze igrał, trochę sardoniczny może, chociaż na dowcip jego nikt się użalać nie mógł. Z dziwnym talentem trafiał on podobieństwa i umiał schwycić typ właściwy każdemu. Wiedzieli o tem wszyscy znajomi jego; to też na kim długo spoczęło wesołe oko pana Jakóba, komu się przypatrywał uśmiechając się i garnąc włosy na łysinę, ten już mógł być pewien, że wkrótce figurować będzie w zabawnej jakiejś scenie, ołówkiem lub kredą oddanej.

Szczególnie lubił on rysować zamaszyste postacie naszej szlachty, i tych najwięcej po nim pozostało. Miłował on bardzo przeszłość naszą, mnóstwo dykteryjek z dawnych czasów opowiadał, a każdą z takim doborem wyrazów, właściwych epoce, z takiem podniesieniem miejsca dramatycznego, z tem rzadkiem pojęciem *du haut comique*, jak nazywają Francuzi, że słuchacze nie wiedzieli nie raz, czy śmiać się, czy płakać mają, tak te dwa sprzeczne uczucia owładnęły ich.

Z takiemi przymiotami nie dziw, że pan Jakób był wszędzie pożądanym gościem. Długo też przebywał po różnych, znakomitych domach, potem za granicą, a kiedy osiadł na własnym kawałku ziemi, szczególnie polubił mnie, młodzika wtenczas, i często dnie i tygodnie spędzaliśmy razem.

Raz pamiętam, letnią porą wracaliśmy w nocy z imienin w sąsiedztwie, i rozmawiali o sutem i gościnnem przyjęciu gospodarza. Pan Jakób przypominał, jak pan Chorąży po kilku kielichach wniósł toast »*kochajmy się!*« i zwyczajem swoim wylazł na stół i wychylił do dna. Każden z nas za przykładem Chorążego na stole spełniał to zdrowie, aż przyszła kolej na reformata, który imieniem konwentu przyjechał winszować solenizantce. Na nieszczęście nie był on z tych księży, co wzbudzają poszanowanie, ale raczej istny mnich, jakich opisał biskup warmiński w swojej monachomachyi: niski, pękaty, oczy ospałe, czerwone policzki; ochrypłym głosem wykrzyknął:

— *Vivat!* kochajmy się! I przytykał kielich do ust.

— Na stół księże! na stół! wołali wszyscy, nie przyjmujemy inaczej tego zdrowia.

Ksiądz się wzdryga, nalegają biesiadnicy. Nareszcie kilku porywa księdza na ręce; broni się mnich jak może, nic nie nada, dźwigają go; ale kiedy wznieśli do góry, reformat wysunął im się z habitu jak węgorz z swej skóry, a jak stanął na ziemi, śmiech ogólny rozległ się po sali, bo wtenczas dopiero poznali prawdziwą przyczynę oporu mnicha. Przypomnienie tej komicznej sceny wprowadziło w dobry humor pana Jakóba, często zdejmował skórzany kaszkiecik i garnął włosy na łysinę, co było oznaką zadowolenia. Układał jak odrysuje tę scenę, jak ugrupuje wszystkich aktorów, i już raz na tropie, opowiadał o różnych jowialistach, których znał w dzieciństwie swojem, między innemi o onym biskupie Olęckim, który miał pasją wiersze pisać, a mając urazę do pani kasztelanowej chełmskiej za jakiś despekt sejmikowy, napisał na nią satyrę i zakończył temi słowy:

Krucze pióro; praczki,
Dam ja niuch tabaczki
Zakręci w nosie,
Bo Uher w kłosie.

Post scriptum. Karafina z octem.

Miało to znaczyć, że ją tak czarno opisze, że żadna praczka tego nie wypierze; dalej że jej się da we znaki, bo dobra jego dziedziczne Uher, we wszystko obfitują, w końcu, że i karafinka octu nie wywabi jego pisma.

Tak tedy rozmawiając jechaliśmy lasem. Ciemno takie, że ledwie dyszlowe konie dojrzeć można było, nic nie przerywało ciszy letniej nocy, aż kiedy las przerzedzać się począł, parskanie licznych koni i brzęk pętów zwróciły naszę

uwagę, a po chwili blask światła uderzył oczy nasze, bo na halawie, na którąśmy wjechali, palił się suty ogień, koło niego siedzieli ludzie jacyś w baranich czapkach, obładowane wozy stały rzędem na uboczu, a siedzący przy ogniu spiewali dumkę jakąś. Kazałem stanąć.

— Co wy za jedni? spytałem.

— Ukraińcy, odrzekł jeden z siedzących przy ogniu.

— Gdzie wy jedziecie? pytałem znowu.

— Do Warszawy, z jagłami i słoniną.

— A macie wy konie na sprzedaż? pytał pan Jakób, który już myślał rysować jakiegoś długogrzywnego stepowca i na nim dziarskiego kozaka.

— Jest, jest bat'ku, wołało kilku razem.

— No, kiedy tak, to pamiętajcie; jak przyjedziecie jutro do pierwszej wsi, co jest na gościńcu, dajcie znać do dworu, to może co kupię od was.

— A czyjże ten tabor? spytał skwapliwie pan Jabób.

— Bat'ka Dynowskoho, odrzekli chórem.

— Bądźcie zdrowi, czekamy od was wiadomości.

— Boh z wami, nie zabudem, nie zabudem, wołali Ukraińcy, a my ruszyli ku domowi.

Na drugi dzień rano siedzieliśmy w ganku przy śniadaniu, pan Jakób zabrał się do pracy i popijając kawę, rysował scenę wiwatów. Już na stole stał pan chorąży, mała figurka jego dziwnie trafiona była. Koło stołu kilku dźwiga opasłego mnicha; pan starosta, gospodarz domu, siedzi przy stole, ręce na brzuchu złożone, chustka rozpuszczona, śmieje się do rozpuku; dwóch starych sług starosty stoi koło szafy kredensowej, trzymają się za boki i jeden drugiemu palcem

wskazuje mnicha. Co kilka sztrychów, to nowa jakaś postać wyrasta, a ja zajęty cały tym obrazem, oka nie spuszczałem z papieru, i niecierpliwiem śledził każde poruszenie ołówka. Służący podał mi lulkę, odwróciłem się na chwilę żeby ją zapalić, i zaraz oczy zwróciłem na papier. Spojrzę, aż tu ja podobniuteńki, cienki jak szparag, całuję się z opasłym posłem Krasnostawskim, który mnie ciśnie do brzucha. Śmiech mnie pusty ogarnął, a pan Jakób gładząc czuprynę:

— A co Kajesiu, zawołał, i tyś tu, a czy nie podobny?

— Podobny, podobny! wołałem śmiejąc się; na brzuchu pana Krasnostawskiego wyglądam jak pręga na wilczatym koniu.

Ubawiła pana Jakóba moja uwaga; to też i on śmiał się przypatrując się rysunkowi, kiedy wołanie: »porom, porom!« zwróciło naszą uwagę. Spojrzeliśmy na rzekę; na brzegu stał kozak na ciemnoszpakowatym koniu, szerokie białe szarawary okrywały siodło i tybinki, prawą ręką wziął się pod boki i potrząsając głową, rozglądał się na wszystkie strony.

— A cóżto za tęgi kozak, wołał pan Jakób, trzeba go odrysować.

I jak wyrzekł tak się stało; bo nim pijany przewoźnik dobił do brzegu i powrócił nazad z Ukraińcem, już ten w całym moderunku był na papierze.

— A skądto? spytałem.

— Bat'ko Dynowski pozdrawlajet was, i czeka ot w tamtym seli; tu wskazał ręką za rzekę.

— Jedźmy! jedźwy! wołał pan Jakób i zaraz kazałem zaprzęgać dla nas, a kozaka uczęstowawszy, wyprawiłem przodem, żeby oznajmił o naszem przybyciu.

Byliśmy na grobli, wiodącej do karczmy gdzie nas czekał pan Dynowski i ujrzeliśmy przed nią mnóstwo maży, rzędami poustawianych; na podsieniu stał ów kozak, co do nas przyjeżdżał; baranią czapkę trzymał w jednem ręku, drugą kręcił oseledce i rozmawiał z kimsiś siedzącym na ławie. A kiedy bryczka nasza dojeżdżała, wstał ów siedzący, musnął wąs na obie strony, i zdejmując z głowy magierkę okrągłą, podał mi rękę gdym wysiadał, a potem kłaniając mi w kolana:

— Bat'ku starosto, ja jestem Balcer Dynowski, szlachcic z Ukrainy, obowiązany sługa domu waszego.

Zdziwiło mnie to nie pomału, zkąd pan Dynowski mieni się sługą domu mego i dla czego tytułuje mnie starostą, kiedy nie tylko ja ale i ojciec mój nim nie był.

— Ha! w braku innego, tytuł dziadowski widno daje mi... pomyślałem i najgrzeczniej odpowiedziałem, że bardzo, bardzo mi miło zrobić z nim znajomość, i żeśmy przyszli obejrzeć konie jego, i kupić co jeżeli się da.

— Są konie Bat'ku starosto! mówił pan Dynowski; pokażę je, ale przed tem proszę na przekąskę; i ręką wskazał nam drogę.

Weszliśmy do stancyi gościnnej. Na środku był stół, czerwoną makatą zasłany, na cynowych talerzykach półgęski i wędliny, z ogromnej drewnianej złoconej misy dymił się bigos hultajski; na jednym rogu stołu było puzderko otwarte, z którego wyglądały flasze rznięte, na drugim plaster miodu, prawdziwego lipca, na dużym półmisku.

— Czem bohat, tem i rad, mówił pan Dynowski, wskazując na stół, i zaraz zaczął wyjmować z puzderka najprzód flasze, potem nieduży kubek wyzłacany, w końcu szklanki

rogowe; a kiedy zajęty był tą robotą my tymczasem z panem Jakóbem przypatrywali mu się ciekawie.

Nie dużego był wzrostu, silnej chociaż drobnej budowy ciała, twarz nie wielka, ogorzała, rysy nie duże, wąsy tylko niezmiernie długie, zupełnie szpakowate, równie jak włosy, które po szwedzku w tył zaczesane nosił. Miał on sobie kozackie szarawary, z których jednej kieszeni wisiały jedwabne kutasy kapszuka, a z drugiej wyglądała rogowa pipka cybucha; kurtka z szarego nankinu była tak krótka, że ledwie biodra okrywała, które ściskał pas jedwabny, szafirowy, a za nim wetknięta nahajka, w srebro oprawna. Wyglądał na człowieka pięćdziesiątkilkoletniego; żywy, ruchawy, nic w nim nie zdradzało podeszłego w wieku.

Nalał w kubek wódki, pił do mnie, ja do pana Jakóba, i znowu napełnił go nasz gospodarz.

— No! Zawierucha, rzekł, wypij i ty zdrowie panów, i wyciągnął rękę z kubkiem.

A na to wezwanie odwróciliśmy się z panem Jakóbem, nie pomału zdziwieni, że jeszcze jeden gość, któregośmy nie widzieli znajduje się w izbie. Jakoż w kątku na tapczanie siedział stary kozak, nadzwyczaj wydatnych rysów twarzy; na podgolonej głowie nie wiele było białych jak śnieg włosów, owisłe, białe wąsy okrywały mu wargi a brwi gęste łączyły się z sobą. Strój na nim kozacki, poważniejszy nieco, jak zwykle to ubranie; bo zwierzchnia suknia, kapucyńskiego koloru, do kolan dochodziła; pod nią widno było granatowe szarawary; pas miał na sobie z palonej skóry, z dużą klamrą mosiężną, na której herb Ślepowron, i cyfrę J. P. czarno szmelcowaną z daleka rozeznać można

było. Z lewej strony pasa odstawała pochewka, w nią zatknięty był kindżał, w heban i srebro oprawny, a co szczególnie zwróciło naszą uwagę, to przy koszuli szpinka szmaragdowa, pięknie oprawna.

Powstał on na wezwanie pana Dynowskiego, a nas uderzyła wysoka chociaż pochylona postać kozaka; a kiedy spojrzał do koła, to wyraz oczu jego był takiej powagi, że nam się zdało widzieć owego proroka z porohów Dnieprowych, którego przepowiednie w każdym prawie szlacheckim domu były.

Pan Jakób wzrok wlepiwszy w kozaka, z nogi na nogę przestępował i gładził łysinę, a starzec szedł do pana Dynowskiego, wziął kubek z rąk jego i głową wskazując na mnie.

— A szo bat'ku, zapytał go, to syn naszego pana Antoszki? i patrzał na mnie.

— Wnuk, ojcze Zawierucho, mówił Dynowski, za młody na syna.

— Wnuk, wnuk! odrzekł starzec kiwając głową i wpatrując się we mnie; »pahoży«, dodał robiąc ręką ruch po nosie, jakby chciał powiedzieć że mam nos garbaty jak tamten.

— Tolko u pana Antoszki wusy były ot tak; i znów ręką wskazał na prawo i na lewo; — a to dytyna, dodał machnąwszy ręką.

Potem podniósł kubek do góry.

— Szczaść wam Boże, panyczku, zawołał i przeżegnawszy się wychylił, resztę z kubka na paznokieć wytrząsł i do ust poniósł, a potem skłoniwszy się, usiadł znów na tapczanie.

Zaintrygował nas okrutnie ten stary kozak; to też jedząc śniadanie, przypatrywaliśmy mu się ciekawie, pan Jakób okiem artysty, ja zdziwiony gdzie on znał brata mego dziada, co był marszałkiem ziemi Rożańskiej, a którego jakem często słyszał, konfederaci panem Antoszką nazywali.

Pan Dynowski spostrzegł zapewne moje zdziwienie, bo zaraz mnie o to pytał, a ja mu odpowiedziałem, że w istocie nie spodziewałem się znaleść między osobami, znającemi tak dobrze stosunki moje familijne.

— Alboż to się ludzie nie znają u nas, mówił pan Dynowski; o znam ja was wszystkich, dodał, i ja i Zawierucha, to jest nie tych co młodzi i zdrowi, jak wy bat'ku starosto, ale tych co dawno w grobie; znałem ich w konfederacyi, i piłem i biłem się razem z nimi. Teraz oni na boskim sądzie, a ja się jeszcze trzymam na tym świecie; panie świeć nad ich duszą! zawołał wznosząc oczy w górę.

— A ileż pan lat liczysz sobie? pytał pan Jakób, bo przecież już pięćdziesiąt jak konfederacya barska zawiązaną została.

— Spełna sześćdziesiąt, łaskawy panie, odrzekł pan Dynewski, i to w tym roku upłynęło, a ja już wtedy byłem chorążym w milicyi halickiej i miałem lat ośmnaście. Zrachujcie bat'ku.

— Nigdy bym tego nie powiedział, mówił pan Jakób, że już panu ósmy krzyżyk dochodzi, później się chyba ludzie starzeją na waszej Ukrainie, jak u nas.

— To być może, odrzekł uśmiechając się pan Dynowski, bo nas wiatr stepowy wędzi, bo my wiecznie na koniu jak Tatary, ja na przykład, nie pamiętam, kiedym na wozie siedział.

— Więc całą tę podróż odbywasz pan konno? pytał zdziwiony pan Jakób.

— Wełykoje dywo, odrzekł pan Dynowski, w dobrym łęku na poduszce, to jak w krześle; a oklep, i na chudej szkapie nie łaska, a i to się zdarzało. No jeszcze szklaneczkę dereniaku, mówił pan Dynowski, biorąc flaszę ze stołu.

— Zdrowie wasze łaskawi panowie, rzekł podnosząc szklankę.

— Zdrowie raczej konfederatów, zawołał pan Jakób, i pamięci jej założyciela, starosty Wareckiego.

Zaledwie pan Jakób wyrzekł te słowa, stary konfederat uchwycił go w pół i całując serdecznie:

— Bóg wam zapłaci za tę pamięć o naszym staroście, wołał rozczulony! niech tam w Bogu spoczywa na Mołdawskiej ziemi, nie Bóg go zabrał z tego świata, ale ludzie pozazdrościli mu sławy i wydarli życie, na pohybel wroham jego*), zawołał w zapale, i pijąc spojrzał na Zawieruchę, a ten brwi namarszczył, oczy wlepił w pijącego, a dłonią ściskał rękojeść kindżała.

Pan Dynowski wychyliwszy szklankę, otarł czoło, potem klasnął w dłonie, a kiedy wbiegł nie duży chłopczyna:

— Sołowij, zawołał, kulbacz Zezulę, a panowie raczcie obejrzeć konie, jeśli wola.

Wyszliśmy do stajni, gdzie rzędami poustawiane konie przy żłobach popasały. Pan Dynowski jak prawdziwy amator chodził pomiędzy niemi, i kazał wyprowadzać celniejsze,

*) Powszechne było mniemanie, że starosta Warecki umarł otruty w Jassach.

zalecając przymioty każdego, a kiedy zajęty był strofowaniem niedbałego parobka, co konia okulawił, pan Jakób trącając mnie po ramieniu:

— Zaproś go na obiad, mój Kajesiu, zawołał, trzeba go wyciągnąć na jakie opowiadanie. Coś mi się widzi, że między tym szlachcicem ukraińskim a starym kozakiem jakaś tajemnica dziwna zachodzi.

— Dobrze! dobrze! odrzekłem, szczęśliwa myśl.

A wtem pan Dynowski ustawiał czwórkę gniadych białonogich; podobały nam się, targ był nie długi, on opuścił, ja postąpił. »No połowę«, zawołał pan Jakób, i uderzyliśmy w dłonie, a pan Dynowski zebrał wszystkie cztery powody uździenic, i oddał mi je w ręce, z życzeniem, żeby mi dobrze służyły.

— Jeszcze z nami nie kwita, rzekłem, uraczyłeś nas pan śniadaniem, to nie odmówisz zapewne obiadku u mnie.

Pan Dynowski po tych wyrazach zdjął czapeczkę, chwilę się zamyślił, patrząc w ziemię:

— Służyć wam będę, bat'ku starosto, ale na wieczerzę jeżeli pozwolicie.

— Zgoda i na to, z wieczerzą czekać będziemy miłego gościa, rzekłem, ściskając rękę starego konfederata, a ten pociągnął mnie za rękę.

— Ostrożnie! rzekł, wskazując za mnie.

Odwróciłem się i ujrzałem klacz wilczatą, dziwnie ładną, którą wiódł barczysty Ukrainiec. Dochodząc do wrót, podsadziła się na zadzie, i zgrabnym skokiem przeskoczyła próg. Śliczne to było stworzenie, bo i sierść na niej nadzwyczajnie szkląca, i oko wypukłe na szerokiem czole, a do tego cała budowa bez zarzutu.

Okulbaczona była w siodło kozackie, tybinki i poduszka błyszczały wytartym nieco haftem srebrnym; strzemiona, uzdeczki, napierścienia i podogonia naszywane były muszelkami, które zwano żabie oczka; powód jedwabny, karmazynowy okręcał przednią kulę, pod tylną przytwierdzony był mantelzak podróżny, a przez kulbakę przewieszona opończa z kapturem.

Pan Dynowski podszedł do klaczy, ściągnął z siodła opończę, i gładząc ją z upodobaniem po szyi:

— To mój powóz, rzekł, innego nie znam prawie; i znowu pieścił ulubioną wierzchową.

A ta jakby zrozumiała, że my się jej ciekawie przypatrujemy, wyciągnęła się strzyżąc uszami, rozglądała się na około, czasem dmuchnęła podnosząc ogon i podsadzając się jakby do skoku.

— To chyba nie ukrainska poroda, mówił pan Jakób, biorąc w rękę cienką grzywę klaczy; gdzieś w Arabii musiało się urodzić to piękne stworzenie.

Pan Dynowski uśmiechnął się z widocznem ukontentowaniem, iż odgadnięto wysokie pochodzenie jego faworyty.

— W samej rzeczy, rzekł, z Arabii jej przodkowie, ale ona, jej matka, babka i wyżej w moim futorze porodzone, sam je wychowuję i kocham jak dzieci, bo mi one wiele rzeczy przypominają. Gdy patrzę na nie, to mi przed oczyma staje obraz młodości mojej, obfitej w wypadki, a mało nie w każdym jakiś koń z tego rodu gra niepoślednią rolę. Patrzcie panowie na to znamię krwawe.

Tu podniósł grzywę, i ukazał nam znak czerwony, wyraźnie jak dłoń z pięciu palcami *).

— Nie szczególnaż to cecha? pytał, może się nikomu nie zdarzyło widzieć jednego konia z podobną odmianą, a tu każda klacz tego rodu ma takie same. Kilkanaście ich jeszcze pozostało na moim futorze, a każda ma dłoń wypiętnowaną jak ta. Myślicie może panowie, że to igraszka natury? O nie. Krwawy wypadek przyczyną tego znamienia. Ależ to dawno było, dawno... Pół wieku przeszło, mówił wolno, zamyślony, potem machnął ręką. Ot bzdurstwa zawołał, dajmy temu pokój, panom czas na obiad, a mnie w drogę.

Zdjął czapeczkę, ukłonił mi się w kolana jak przy przywitaniu, zapewnił że będzie wieczorem, na com bardzo nalegał, potem wskoczył jak młodzieniec na Zezulę, a widząc, że maże już uprzężone, machnął nahajką.

— W imie Boha, mołojcy, zawołał.

I pocisnąwszy Zezulę ruszył przodem, a maże skrzypiąc mijały nas. Ukraińce kłaniali się nam, zapewne na podziękowanie za poczesne, które po kupieniu koni odebrali.

Na ostatnich, najmniej wypakowanych, siedział stary Zawierucha. I on poważnie kołpaka uchylił przejeżdżając koło nas. Żegnaliśmy go życząc szczęśliwego powrotu. Potem chwilę patrzyliśmy za oddalającymi się w tumanie kurzawy, a kiedy już byli daleko, pan Jakób biorąc mnie za rękę:

— Jedźmy, zawołał, to dopiero pierwszy akt. Wieczór będziemy mieli rozwiązanie całej zagadki. Szczególne spotkanie, na mój honor szczególne! Zkąd znają twoje stosunki

*) Sam miałem kłacz z takiem znamieniem.

familijne, nie pojmuję. Przecież nikt z twoich na Ukrainie nie mieszkał. A co to za malownicze figury, ten stary kozak jak *centenair* wygląda; a ten konfederat dziarski, rubaszny, z tą swoją klaczą, tak dziwnie naznaczoną, to, jakieś tajemnicze figury. Chwała Bogu że Dynowski na wieczór przyjedzie, bobym nie spał całą noc z ciekawości.

Wkrótce po tej rozmowie byliśmy w domu. Pan Jakób zaraz się zabrał do papieru i ołówka i rysował obu Ukraińców, Zezulę, nawet małego Sołowija, każdego w różnych pozach, a tak był zajęty tą pracą, że go oderwać od stolika trudno było. Dopiero kiedy około piątej podano na dworze herbatę, złożył rysunki, i chodząc wzdłuż domu wyglądał przybycia pana Dynowskiego.

Ja dzieliłem jego niecierpliwość, bo dziwnie mnie intrygowała nowa moja znajomość. Przechodziłem w myśli każde słowo pana Dynowskiego, jego radość, kiedyśmy pili zdrowie starosty Wareckiego, żal, kiedy mówił o przedwczesnym zgonie starosty, a jakaś zawziętość, kiedy pił na pohybel wrogom jego.

A te wszystkie uczucia tak dziwnie odbijały się na wyrazistej twarzy starego Zawieruchy, że chyba jakiś związek łączył ich ze sławnym przywódcą konfederacyi barskiej. Pan Dynowski służył może pod nim, ależ ten kozak?... Tu mi stanął na myśli ów pas z klamrą, na której była cyfra J. P. Mogłoby to być Józef Pułaski; w pośrodku herb Ślepowron, czyjże to?... zajrzyjmy do Niesieckiego.

Wyciągnąłem z półki gruby tom III, naszego heraldyka i na karcie 783 wyczytałem:

Pułaski, herbu Ślepowron, w ruskiem województwie. Rafał na Połaziu Pułaski, stolnik Bielski w powiecie Brańskim, był rotmistrzem Ussarskim pod Chocimem 1621 roku.

— Brawo, rzekłem sam do siebie, nie omyliło mnie przeczucie, to cyfra i herb starosty Wareckiego, bo i on się na Pułaziu pisał.

Uradowony tem odkryciem, szedłem na dziedziniec, pochwalić się z moją przenikliwością panu Jakubowi, kiedym go spotkał idącego od bramy z panem Dynowskim.

Stary konfederat przywdział widno świąteczne szaty, bo zamiast kusej kurtki kozaczej, miał po za kolana kapotę z pięknego sukna, taśmami obszytą; szpinka koralowa w złoto oprawna, i takież guzy spinały półkontusik, z aksamitu niestrzyżonego, w miejsce magierki była biała czapka, obłożona barankiem kasztanowatym. Wygolony, wyświeżony, na młodego wyglądał. Szedł rozmawiając z panem Jakóbem, a za nim znany nam już kozak wiódł szpaka swego i Zezulę, której rozdęte chrapy, jak pons czerwone były. Pan Dynowski jakby z odzieniem kozackiem pozbył się i rubaszności, kozakom właściwej, z rodzajem dworszczyzny rzekł do mnie, kiedym go witał: że miło mu w domu jego odwidzić wnuka tych, z którymi nie jedno złe i dobre dzielił, dodał, że nie pierwszy raz na tem miejscu znajduje się.

— Ależ tu dawniej inaczej było, mówił rozglądając się. Kościół był drewniany, ulica lipowa wiodła do dworu, a teraz gdzieś w wężyka jedzie się, mówił śmiejąc się, ledwiem trafił.

— Kościół, odrzekłem, stary przewrócił się, lipy wyschły, trzeba było na nowo budować i sadzić.

— Twarde to stworzenie człowiek, mówił pan Dynowski, budynki nie dostoją, drzewa pruchnieją, a człowiek się trzyma, zawołał tupając nogą i prostując się, zdrów; nie daje się i wiekowi i biedzie.

Zaprawdę miał prawo pysznienia się czerstwą starością swoją, bom żwawszego starca nie napotkał nigdy.

W ganku była herbata; częstowałem nią pana Dynowskiego, ale mi odrzekł, że to dobre dla chorych, że on zdrów Bogu dzięki, i jako taki prosi o lampkę wina.

Pił tedy wino, pan Jakób kawę, ja herbatę. Trzy pokolenia za stołem nas siedziało, a każde czem innem się raczyło. Do wieczora pan Dynowski opowiadał nam o Ukrainie, o życiu stepowem, o polowaniach, o koniach, słowem o wszystkiem, wyjąwszy o tem czegośmy najciekawsi byli, to jest o młodości swojej. Przy kolacyi spoglądał często na portrety familijne, co wisiały po ścianach. Kilku z tych których przedstawiały, znał dobrze, to też rozmaite przygody ich życia opowiadał. Jeden szczególnie był przedmiotem jego podziwu co do podobieństwa, a że to była zamaszysta figura, bo i wąs sumiasty, i postać harda, i oko pełne zapału, to też pan Dynowski gładząc czuprynę, przypatrywał mu się bardziej jak innym, i co moment wykrzykiwał:

Gdzie teraz tacy ludzie!... gdzie taka swoboda na twarzy!... gdzie takie harde spojrzenia!... Oj! inni ludzie byli dawniej, wierzcie mi panowie!... dziś młodzieniec już stary! Dawniej starzy byli młodymi, u nich krew inaczej płynęła w żyłach; jakiś był popęd do życia awanturniczego, to też na starość

BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku Czytelnia dla Dorosłych

mieli co opowiadać o tem co widzieli, czego doznali. A dziś co? Od młodości siądzie na swojej grzędzie, zabiega, stara się, jakby miał Matuzalowe lata przeżyć, i w końcu ma chleb, ale zębów mu brak, żeby go ugryźć. Dawniej szlachcicowi chleba nie brakło, bo jak go nie miał u siebie to go znalazł na dworach panów, i nietylko przytulisko tam było, ale wychowanie, jeżeli był dzieckiem, utrzymanie i zajęcie młodzieńcem, a pokierowanie w dojrzałym wieku.

Kogo Bóg obdarzył bystrem pojęciem, wymową i odwagą, ten pewien był, że u nas wyjdzie wysoko; iluż to ludzi bez wielkiego mienia, bez szerokich stosunków, wyszło na pierwsze figury w kraju? Ot w konfederacyi Sawa, Dzierżanowski z małego zaczęli, a marszałkowali potem ziemiom i powiatom. A samże pan starosta Warecki, wiecież panowie jakim sposobem doszedł do tego, że był pierwszym marszałkiem konfederacyi? że, jakby monarcha jaki, traktował z ościennymi potencjami?

Pan Jakób odpowiedział, że nie wiadome nam są te szczegóły; i ja to przyznałem, nalałem wypróżnione kieliszki, a pan Dynowski pokręciwszy wąsa, mówił dalej:

— Nikt lepiej odemnie nie zna całej historyi życia starosty, bo jedną część wiem z opowiadania ojca mego, drugiej sam byłem świadkiem naocznym!...

Tu przestał, spojrzał na nas, jakby chciał wyczytać z oczu, jakie wrażenie na nas zrobi jego założenie, a potem głaszcząc czuprynę i popiwszy węgrzyna, ciągnął dalej.

— Ojciec mój w młodości swojej był w palestrze, gdzie mnóstwo cisnęło się młodzieży; jedni w zamiarze kierowania się na adwokatów, inni znowu żeby zbadać naturę praw

naszych, co było koniecznem dla ludzi, powołanych do piastowania kiedyś urzędów w rzeczypospolitej. W liczbie pierwszych był i pan Józef Pułaski, młody naówczas chłopiec pełen animuszu. Radby był wojskowo praktykować, jak jego przodkowie co i pod Chocimem, i w Danii z Czarneckim, i za króla Jana krew swoją przelewali; ale że to były spokojne czasy Augustowskie, wojen u nas żadnych, chyba po za granicą, przeto pan Józef *nolens volens*, dla zapewnienia sobie losu (bo rodzice jego prócz dziedzicznego Pułazia nie mieli innego mienia), choć go natura na żołnierza utworzyła, zadał gwałt wrodzonemu usposobieniu i oddał się prawnictwu. Ależ jak to mówią rodem kurki czubate, to też pan Józef choć pracował piórkiem, jednak i szabli dla proporcyi nie nosił u boku, bo ile razy chodziło o dobrą sławę, czy swoją, czy przyjaciela, nigdy nie zapomniał zacnej krwi, z której pochodził, i najtęższym rębaczom dotrzymywał kroku, i dla tego wielce był ceniony przez swoich kolegów. Ależ nie samym tylko kawalerskim animuszem primował on nad innymi palestrantami, ale i wymową przechodził wszystkich. To też ile razy przemówić przyszło imieniem prześwietnej palestry, czy przy powitaniu nowego marszałka i najjaśniejszego trybunału, czy przy konkluzyi takowego, nikt panu Pułaskiemu nie negował prawa podniesienia głosu w imieniu wszystkich, i nikt mu nie zazdrościł, kiedy w krótkim czasie został adwokatem. A że ze swoich sukcesów palestranckich znany był najznakomitszym panom, z których trybunał się składał, nie dziw więc, że zaraz z początku wielu powierzyło mu interesa swoje, które z dziwną znajomością rzeczy a razem i sumien-

nością prowadził. Między klientami jego był pan Zieliński, podkomorzy ciechanowski, człowiek bardzo bogaty, który w podeszłym już wieku ożeniwszy się, miał jednę córkę i tę po stracie żony w klasztorze wychowywał. Pan podkomorzy, jak to wielu u nas robiło, lubił każdy interes przed kratki wywodzić, częste ztąd miał stosunki z panem Pułaskim, a poznawszy piękne przymioty duszy jego, raz w poufnej rozmowie wręcz mu powiedział, że widzi w nim człowieka, któryby mógł wielką rolę w rzeczypospolitej odgrywać, gdyby nie brak fortuny; że on chce naprawić tę niesprawiedliwość losu i ofiaruje mu rękę swojej jedynaczki. Pan Pułaski zdziwiony tem postanowieniem, robił mu niektóre objekcje, szczególnie te, że nie ma szczęścia być znanym podkomorzance, że się obawia czy nie będzie miała wstrętu do jego osoby; ale kiedy podkomorzy zapewnił go, że córkę tak wychował, iż bez wahania się przyjmie męża z jego ręki, wtedy uradowany upadł do nóg podkomorzemu, a ten go wkrótce miał przedstawić córce.

Za kratą było pierwsze widzenie się narzeczonych. Podkomorzanka ze spuszczonemi oczami, wysłuchawszy propozycyi ojca, z cicha odrzekła, że się zgadza z jego wolą, a kiedy potem nieśmiele wzrok podniosła na narzeczonego, nie żałowała danego przyrzeczenia, bo pan Pułaski był jednym z najurodziwszych ludzi, jakich napotkać można było.

Za kratą znowu odbyła się i krótka konkurencja, i zręczkowiny, a kiedy panna skończyła rok szesnasty, w tymże klasztorze i ślub się odbył. Zaraz po ślubie porzucił pan Pułaski adwokaturę, i wyjechał z żoną do rodzinnego Pułazia, a nie długo potem podkomorzy, widząc dobre pożycie

małżonków i szczęście córki, oddał im cały majątek, który nie tyle z dóbr, jak ze znacznych kapitałów składał się. Zdaje się, że od tej chwili myśl konfederacyi, któraby kraj uwolniła od obcego wpływu, zajęła umysł pana Pułaskiego, bo zaczął zawiązywać stosunki ściślejsze ze znakomitszemi w kraju osobami, a że pod dobrym rządem rosło mienie, nabywał tedy majątki, ale nigdy graniczące z sobą, tylko coraz w innych województwach i ziemiach. A kiedy przyjaciele dziwili się temu, to on im na to odpowiadał: »że fortuna dla człowieka, nie człowiek dla fortuny stworzony, że kogo los obdarzył mieniem, ten zaciągnął obowiązki, z których nie inaczej, jak rozszerzając kółko swoje wywiązać się może.« Dużo później dopiero, kiedy podniósł konfederację w Barze, zrozumieli oni, że nabycia które robił, miały cel polityczny.

Nie długo potem i w stolicy dał się poznać pan Pułaski, kiedy posłował z powiatu Brańskiego. To też z latami i zaszczyty go nie minęły, bo król w krótkim czasie nadał mu starostwa Wareckie, Strzemeckie i Świdnickie. Towarzyszem chorągwi został dla tego, żeby mieć stosunki w poważnych znakach, jak nazywano pancerne i usarskie chorągwie, potem został pułkownikiem kawaleryi krzyża świętego, w końcu pisarzem nadwornym koronnym, jako reminiscencja prawniczego zawodu swego. Wszystko się wiodło szczęśliwej parze, honory sypały się na starostę, mienie rosło znakomicie, najlepsze pożycie domowe pobłogosławił Pan Bóg siedmiorgiem dzieci, z tego trzech synów, wiele obiecujących młodzieńców, i cztery piękne córki.

Wkrótce nastąpiła śmierć Augusta III, potem bezkrólewie i elekcja Poniatowskiego. Pan staroska Warecki, dusznie przywiązany do domu Saskiego, popierał wybór którego z królewiczów; ależ kiedy Stanisław otrzymał górę, wrócił do domowej zagrody, nic nie żądając od nowego króla.

Wszystkie te szczegóły wiem od ś. p. ojca mojego, któremu nic obcego nie było, co dotyczyło starosty; bo chociaż dostojeństwem, mieniem, stosunkami mógł stanąć pomiędzy najpierwszymi w kraju, nie zapominał swoich relacyj młodości, i najuprzejmiej przyjmował u siebie dawnych kolegów z palestry. W tym to czasie i ja dorosłem... Wyszedłszy ze szkół od Bazylianów w Kamieńcu, jechałem do rodzicielskiego domu, przemyśliwając przez drogę, jak też mnie ojciec pokierować zechce. Wojaczka mi do smaku była, a bałem się okrótnie, żeby ze mnie jurysty nie chciał zrobić bo czułem, że byłby ze mnie prawdziwy *causiperda*. Ale jakież było miłe zadziwienie moje, kiedy przy wstępie ojciec mi zapowiedział, że mnie chce umieścić na dworze starosty Wareckiego, że pisał o to do niego i otrzymał w odpowiedzi zapewnienie, że jak dziecko własne przyjmie syna dawnego kolegi. Zabawiwszy tedy tyle czasu w domu, ile potrzeba było na oporządzenie się przyzwoite, odebrawszy błogosławieństwo obojga rodziców i przestrogi od ojca, który mi zalecał, abym był wierny temu, czyj chleb jeść będę, a dbały o własną sławę, żebym nie dziwił się niczemu co widzieć będę, bo to nie przystoi dla człowieka do korony zrodzonego.

›A że — mówił dalej — pierwsze wrażenie nie raz o losie człowieka stanowi, nie mięszajże się Waść, jak staniesz przed

starostą, bo to jest wielkiej powagi człowiek, mógłbyś więc łatwo języka w gębie zapomnieć.‹

Przyrzekłszy tedy zastosować się do danych mi przestróg i ucałowawszy nogi rodziców, pospieszyłem do Horbaszy, gdzie na ten czas starosta przebywał. Dojeżdżając do dworu, poznałem zaraz że to pańska rezydencja, bo dom choć drewniany, bardzo był obszerny, przystawki ze wszystkich stron domu wznosiły się, środek na piętro podniesiony, okna duże w ołów oprawne, na boku między drzewami kaplica murowana, dalej takiż skarbiec ze starej baszty przerobiony. Tu bowiem dawniej stał zamek, z którego pozostało z frontu kawał muru obwodowego ze strzelnicami, z dwóch zaś stron wały, z ziemi usypane, starannie darniowane, i brama z kordegardą i gankiem dla straży. Ogromne lipy ocieniały budynki; starosta bowiem lubił bardzo drzewa, to też we wszystkich jego dobrach, które znałem, jak w Grabowie, Doraźniach, Kurdynowicach, pełno drzew widziałem, po większej części ręką starosty sadzonych.

Chciałem mu się dobrze zaprezentować; to też w ostatniej wsi przed Horbaszą ustroiłem się z partesa, i wsiadłem na świeżego konia, którego przez całą drogę pachołek luzem prowadził. A siarczysta to była bestja, ten mój sandziak, po ogierze ze stada Borzęckich, którego przodka jak mówiono, jakiś Borzęcki pod Wiedniem na baszy Anatolskim zdobył*). Dla tego też mój ojciec nazwał go sandziakiem, niższy niby urząd od jego protoplasty, który miał się zwać baszą. Siwy

*) Stado to istnieje dotąd i jest podobno własnością Abramowiczów.

to był źrebiec, gdzie nie gdzie hreczka na nim jak bobem posypał, czwanił się podemną potrząsając kutasem u podgarla, kiedym wjeżdżał w bramę Horbaszyckiego dworu... Zaraz na wstępie dwóch kozaków wystąpiło, pytając czego żądam? A kiedym powiedział, że mam list do JWgo starosty, wskazali mi ręką na kaplicę, przed której drzwiami dużo stało ludzi z odkrytemi głowami. W dziedzińcu zlazłem z konia, oddałem go pachołkowi, a za mną wjechała teleżka moja, dwoma drabkami uprzężona, któremi wiózł wyrostek z węgierska ubrany. Poprawiwszy pasa i odzienia, szedłem do kaplicy; a dobrze widno tuszyli o mnie ci, co stali przede drzwiami, bo mi się zaraz rozstąpili. Na progu ukląkłem, bo to właśnie podniesienie było, a kiedym powstał ciekawie spoglądałem po tych co byli w kaplicy. Po obu stronach ołtarza stały ławki. W tej co z prawej strony, jakem się później dowiedział, siedziała sama starościna z panią podkomorzyną Rożańską, za ławką rzędem stały cztery starościanki, za niemi rezydentki i fraucymer; w ławce po lewej stronie siedział starosta z podkomorzym, który przybywszy do dziedzicznych swoich Dunajewiec, odwiedził starostę, z którym był w wielkiej zażyłości, a za ławką stali synowie starosty; pan Kazimierz starosta Zezuliniecki, i pan Franciszek, młodziutki na ów czas chłopak; za nimi zaś tłumem szlachta okoliczna i dworzanie.

Jeżeli ja się ciekawie przypatrywałem będącym w kaplicy to nie mniej, bliżej mnie stojący, widządz nieznajomego, oglądali się, szepcząc między sobą. Zmieszało mnie to trochę, ale pamiętny przestrogi ojcowskiej, w duchu powtarzałem sobie:

— Balcerku nieboże, nie trać fantazji, bo od pierwszego wstępu na ten dwór twoja przyszłość zależy...

I jakby tą uwagą uzbrojony w nową odwagę, kiedy się msza kończyła, wyruszyłem z innymi z kaplicy, a spostrzegłszy stojącego koło mnie młodego jak ja szlachcica, spytałem uchylając czapki:

— Któren to z panów siedzących w pierwszej ławie jest pan starosta Warecki?

A ten mi najgrzeczniej odrzekł, że mi go pokaże. Jakoż wkrótce wyszły panie, za niemi rozmawiając podkomorzy ze starostą, a ów młody trącając mnie po ramieniu wskazał na idących:

— Ten wyższy, rzekł, to JWny starosta.

Podziękowałem za to objaśnienie, i zachodząc drogę staroście, wyciągnąłem list od ojca, i kłoniąc mu się w kolana:

JW. panie, rzekłem, ja jestem Balcer Dynowski, a to jest pismo od ojca mojego.

Starosta chwilę się zatrzymał.

— Dynowski, zawołał, syn pana Józefata?...

— Tak jest, JW. panie; a dowodem tego list, który racz JW. pan odczytać.

Starosta wziął pismo, spojrzał na pieczątkę, nim je otworzył, a kiedy był zajęty czytaniem, ja miałem czas przypatrzyć się i jemu i synom. Miał słuszność mój ojciec, że trudno było napotkać wyrazu większej powagi, jaka się malowała na twarzy starosty. Wysoki, silnie zbudowany, z podniesioną do góry głową, miał minę prawdziwie senatorską. Za nim jakby żywy obraz jego młodości, stał pan Kazimierz. Rycerską jego postawę podnosił jeszcze ubior wojskowy, bo

na węgierskiej bekieszy błyszczał mu pod szyją ryngraf stalowy, złotem nabijany; w pośrodku na emalii wizerunek patrona jego, św. Kazimierza, przez ramię ładownica w karpią łuskę, i przy skórzanym pasie bułat perski, na dłoń szeroki. Pan Franciszek, bardziej do matki podobny, miał w spojrzeniu smutny jakiś wyraz, jakby znamię bliskiego zgonu, który znalazł gdzieś koło Włodowa tak nieszczęśliwie, że nikt z towarzyszy jego nie mógł potem zdać pewnej relacyi, gdzie i w jaki sposób zabity został.

Tak mi się przedstawiła cała ta rodzina, której wszyscy członkowie niepospolitą mieli wkrótce odegrać rolę w rzeczypospolitej; brakowało tylko pana Antoniego, który gdzieś u familii matki na ten czas przebywał.

Starosta przeczytawszy list, chował go za pas, przypatrując mi się.

— No, mości Dynowski, rzekł do mnie, ojciec waści chce, żebym cię przyjął w dom mój, na co ja z przyjemnością przystaję; bo jeżeli masz część tylko poczciwych zalet ojca, to dla niego będzie pociecha, dla waści pożytek.

Ukłoniłem się staroście, zapewniając, że zrobię co w mojej mocy, żeby sobie zaskarbić względy jego. A ten odwrócił się do synów:

— Mości starosto, rzekł do p. Kazimierza, to pan Balcer Dynowski, syn towarzysza mojej młodości. Radbym bardzo, żebyście sobie do serca przypadli...

Obaj młodzi czapki uchylili, witając mnie, a p. Kazimierz podając mi rękę:

— Mam nadzieję, rzekł, że jak się poznamy, będziemy się kochać.

Tak łaskawe przyjęcie dobrze mi kazało tuszyć o dalszem mojem powodzeniu na dworze starosty. Jakoż pan Kazimierz po dosyć długiej ze mną rozmowie poznał mnie z panem Golianem, nieodstępnym swoim towarzyszem, ten znowu z innymi młodymi, bawiącymi na dworze starosty, i już w kilka dni byłem w Horbaszy jak we własnym domu.

Zatrudnienie moje prawie było żadne. Pan starosta dawał mi czasem coś do przepisania, czasem mnie z listem wysłał do którego z bliżej mieszkających panów, nieraz mu w podróży towarzyszyłem, którą odbywał bardzo szybko, nigdy powozem lub karetą, tylko długim wasągiem, porządnie okutym; w środku siedzenie dla starosty i dworzanina, z przodu dwóch kozaków, a woźnica z konia poganiał piątkę w krakowskich chomontach.

Wesoło zawsze było w Horbaszy, częste zjazdy, zabawy i polowania. Młodzież się zjeżdżała zewsząd, bo cztery urodziwe i posażne panny były w domu. Na polowaniach szczególnie się odznaczał pan starosta Zezuliniecki, czy to trafnością strzału, czy nadzwyczajną rączością w dojeżdżaniu za chartami, a ja zapalony do tego rodzaju łowów, małom kiedy w tyle za nim został, to też za to nieraz i ja i mój sandziak aplauz otrzymaliśmy.

Raz pamiętam w późnej jesieni było polowanie na wilki; *in gratiam* przybycia pana podczaszego litewskiego. Wszyscy byli konno, my młodzież każden ze smyczą chartów, bo gończe miały pędzić wilki na pole. Pan starosta z panem podczaszym przejeżdżając stanowiska zatrzymali się koło mnie, bo właśnie gończe w tę stronę nacierały okrutnie. Stoimy chwilę, w tem coś mi się mignęło, oka nie spuszczam

z tego miejsca, aż tu ogromny kobylarz sunie ku mnie. Spuściłem charty: Huż! ha! krzyknąłem, i pędzimy we trzech. Dopadły go charty, odciął się, te za szarawary i trzymają, a ja z konia wskoczyłem z tyłu na bestją, i schwyciwszy za uszy zadyszanego wilczyska:

— Kłój JW. pan! zawołałem na pana podczaszego. Ten pchnął kordelasem, wilk się podemną rzucił, i upadł na połeć.

— Brawo! zawołał pan podczaszy, gracz z waści, dopomogłeś mi zakłóć wilka, przyjmże odemnie ten kordelas na pamiątkę.

A śliczna to broń była, klinga szwedzka, oprawa w srebro wyzłacana, na rękojeści herb podczaszego, Piława, dziwnie pięknie wyrobiony. I pan starosta pochwalił śmiałość moją; a kiedy zajęty byłem troczeniem wilka, słyszałem jak pan podczaszy mówił do starosty:

— To zuch chłopak! takich nam trzeba, pamiętaj o nim panie Józefie!

— Pomyślę ja o nim, odrzekł starosta, i oba odjechali odemnie.

Ten drobny na pozór wypadek zrobił mi już rodzaj reputacji na dworze starosty, wszyscy mi winszowali, zazdrościł może nie jeden. Pan Kazimierz, który cenił bardzo odwagę, polubił mnie. To też nie raz późno w wieczór siadywałem u niego z Golianem. Pan starosta częstsze mi zlecenia dawał. Jak przyszło wysłać w noc ciemną, w złe drogi, wyszukać kogo, to pan starosta pomyślawszy:

— Wyszlę ja Dynowskiego, mawiał, on pewnie dobrze się sprawi.

Jakoż nieraz tygodnie całe bywałem w podróży, a zawszem i listy oddał i respons przywiózł.

Od niejakiego czasu ruch był wielki na dworze starosty, coraz gęstsze odwiedziny przybywały. Po takowych zwykle wysyłano nas z listami w różne strony. Często jacyś nieznajomi ludzie przybywali do Horbaszy. Wszyscy się domyślali, że się coś niezwykłego gotuje, bo nieukontentowanie dla rządów nowego króla było coraz większe. Panowie, którzy u nas bywali, nie dawali mu tytułu króla, ale go tylko stolnikiem litewskim zwali. Pan podkomorzy Rożański, pp. Potoccy, podczaszy litewski i starosta Szczyżewski coraz częstszymi gośćmi byli. Biskup Kamieniecki odwiedzał także parę razy Horbaszę, a pan Rola Kochański i pan Zagórski starosta Owrucki, prawie ciągle przesiadywali; to też później, kiedy się konfederacja zawiązała, pierwszy był pisarzem konfederacji, drugi marszałkiem kijowskim.

Rozmaitego rodzaju przybory gromadzono na dworze starosty, dużo koni sprowadzono z różnych dóbr jego. Pan starosta Zezuliniecki jeździł to do Berdyczowa, to do Balty, i tam konie skupował. Z jednej takiej exkursji przyprowadził on klacz wilczatą, nadzwyczaj piękną, bogatym dywdykiem przykrytą; wszyscyśmy ją podziwiali. Pan starosta Warecki, dla którego przeznaczoną była, szczególniej jej się przypatrywał, a kiedyśmy wypytywali p. Goliana, od kogo p. Kazimierz nabył to ładne stworzenie, zbywał nas to tem to owem; później dopiero dowiedzieliśmy się, że to był prezent dla starosty od Hana Kierym-Gereja, którego posłannik czekał w Balcie na przybycie pana Kazimierza.

Od czasu pobytu mego w Horbaszy, nigdym nie był w pokojach, które zajmował starosta, a które osobny narożnik od strony ogrodu stanowiły, a tak były drzewami ocienione, że mało co i widno było przystawki. Jednego dnia wieczorem wszedł do mnie Zawierucha, ulubiony kozak starosty, i doniósł mi, że mnie starosta potrzebuje.

— Czy nie ten sam Zawierucha, któregośmy poznali?... pytał ciekawie pan Jakób.

— Ten sam, odrzekł pan Dynowski, nigdy on starosty nie odstępował, kochał go jak ojca, bo mu życie był winien. Dziś Zawierucha starzec bogobojny; ale w młodości było to kawałek łotra. Dzieckiem małem porwał go jakiś ataman kurenny i zawiózł na Zaporoże, a kiedy dorósł, zapisał go w rejestr Siczy, przyjął go za syna i we wszystkich wyprawach towarzyszył mu. Aż raz ataman dowiedziawszy się, że w państwie humańskiem nie daleko granicy jest monasterek, lichy na oko, ale wiele kosztowności zawierający, tak w wotach jak i sprzętach kościelnych, umyślił wyprawić się w kilkanaście ludzi, żeby go zrabować, a jak zwykle Zawierucha mu towarzyszył.

Zaporożce, przebywszy granicę, w pierwszej zaraz karczmie pohulali na fantazją, a ataman ich napotkawszy chłopa z Humańszczyzny, częstując go wódką, wypytywał o drogę do monasterku. Zadziwiło to nie pomału chłopa, co oni mają za powód wybadywania; wiedział, że to Zaporożce, więc mogą się excesu jakiego dopuścić, wskazał mu drogę dalszą wprawdzie, ale do monasterku wiodącą. A kiedy dobrze podchmieleni byli, chłop, który pił w miarę, co tchu do Humania pośpieszył donieść gubernatorowi o tem, co się

święci. A był naówczas gubernatorem dóbr humańskich p. Mładanowicz, co go potem hajdamaki zamordowali. Tęgi to był człowiek. Miał on układ z atamanem koszowym i płacił coś Siczy żeby dóbr humańskich nie najeżdżali; ale nie każden półkowódzca stosował się do tego zakazu i nieraz wycieczkę jaką zrobili, składając całą rzecz na Wołochów, gdzie łotrów było bez liku. Jak się udała wyprawa, to przepadło; ależ jak którego z rabusiów dostał p. Mładanowicz w swoje ręce to bez ceremonji na pal wbijać kazał i kwita.

Wysłuchawszy chłopa, bez straty czasu zebrał kozaków nadwornych, milicja piesza powsiadała z tylu na konie kozackie, i co tchu dążyli do monasterku. Jakkolwiek pośpiech był wielki, kiedy dojeżdżali, ujrzeli w płomieniach zabudowania klasztorne, wpadli na dziedziniec, milicja przodem z samopałami, kozaki z szablami w ręku. Rabusie dosiadłszy koni, umykali co tchu, zostawiwszy w ręku pana Mładanowicza kilku zabitych i rannych. Między ostatnimi był Zawierucha, który trzymał atamańskiego konia, kiedy się bójka rozpoczęła, i dostał kulą w nogę. Przewieziono rannych do Humania, a co któren wyzdrowiał, to pan gubernator bez pardonu na pal dla postrachu wbijać kazał. Przyszła nareszcie kolej i na Zawieruchę, prowadzili go milicjanci wśród ogromnego nacisku ludzi, i kiedy dochodzili do bramy miejskiej, wjeżdżała nią właśnie kareta sześcią końmi, w której siedział p. starosta Warecki z żoną, w ciąży natenczas z najstarszą starościanką. Nie wiadomo czego spłoszyły się forytarskie konie, podsobny zsadził forysia i rzucił się naprzód, bijąc zadem, lejcowe poszły za jego przykładem, i jak szalone

pędziły z karetą naprzeciw tłumu, co szedł przypatrywać się egzekucji Zawieruchy. Na ten widok wszyscy zaczęli uciekać zapomniawszy delinkwenta, a niektórzy obejrzawszy się z przestrachem, widzieli, iż kareta leci prosto na doły, do fundamentów wykopane, gdzie nieochybnie byłaby się rozbiła. W tem popadały forytarskie konie, pomotały się lejcowe kareta się zatrzymała, hajducy rozwarli drzwiczki, z których wyskoczył p. starosta, trzymając na ręku zemdloną żonę, a kiedy przyszła do siebie, szedł zobaczyć co zatrzymało rozhukane konie, i ujrzał zemdlonego na ziemi delinkwenta. Ręce konwulsyjnie ściskały lejce przy wędzidłach, a on blady leżał między końmi. Domyślił się że to jego zbawca, to też go podnieść kazał i przenieść do gospody; tam mu opowiedzieli, że kiedy wszyscy potracili głowy, skazany rzucił się naprzeciw koni, uchwycił je za wędzidła, podnosząc nogi zawisł im u pyska, i ciężarem swoim powalił je o ziemię, ależ nie bez szkody dla siebie, bo koń jeden padając złamał mu obojczyk.

Starosta kazawszy go opatrzyć, poszedł do pana Mładanowicza, któremu opowiedział przysługę, jaką mu oddał Zawierucha, i prosił o jego ułaskawienie, na co ten chętnie przystał. A kiedy wydobrzał, wziął go do siebie, a tam wpływ zbawienny starościny i dobre obchodzenie nowego pana ułagodziło tę dziką naturę.

Przywiązał się też do starosty, namiętnie pokochał dziecinę, której życie uratował, a ta instynktowo widno czuła co mu winna, bo w dzieciństwie — jak mi mówiono — nikt ją tak zabawić nie umiał, nigdzie tak chętnie nie usnęła, jak na rękach naszego Zaporożca, który dziś ma wszystkie

przymioty poczciwego człowieka. Jedno co mu zarzucić można, że nie wiele dbając o własne życie, za nic ma cudze, kiedy chodzi o dopełnienie włożonego nań obowiązku.

Młody to był jeszcze człowiek, kiedym go poznał, niezmiernej siły i zręczności, ślepo posłuszny na najmniejsze skinienie starosty, a do tego tak dyskretny, że nikt nie próbował nawet wybadywać go o to, co starostę dotyczyło, bo wiedzieli że pan tego nie lubi, a Zawierucha najmniejszą oznakę ciekawości zaraz mu donosił.

Starosta często, jakem mówił, dawał dworskim rozmaite zlecenia, z listami ich rozsyłał, a wysłany odbierał najczęściej instrukcją i pieniądze na drogę od p. Zbrożka, łowczego Wendeńskiego, który dworem całym zawiadywał. Ale po kogo przyszedł Zawierucha i wprowadził go do pokoju starosty, ten już mógł być pewnym, że jakąś misją zaufania mieć będzie. Nie pomału mnie też zdziwiło, kiedy jednego wieczora ujrzałem wchodzącego do mnie Zawieruchę, ktory mnie wezwał do pana Zastał on mnie u pana Goliana, z którym w warcaby grałem. Kiedy ten usłyszał, o co rzecz chodzi:

— Winszuję, rzekł, coś to musi być ważnego, kiedy cię p. starosta o tak późnej godzinie woła. I zaraz wyszedł do sieni z Zawieruchą, a ja posprzątawszy i świecę zgasiwszy, wyszedłem za nimi i zastałem z cicha rozmawiających.

Za mojem zbliżeniem się p. Golian życząc mi dobrej nocy, poszedł do swojej stancji, a ja poprzedzony przez Zawieruchę, szedłem do starosty... Chwilem się zatrzymał w przedpokoju, Zawierucha poszedł oznajmić o mojem przybyciu, a potem mnie wprowadził do pokoju starosty. Duża to była

izba, adamaszkiem papuziego koloru obita, w pośrodku stół, przy którym pisał p. Rola Kochański, na stole pełno papierów i świecznik o kilku ramionach; w jednym kącie pokoju siedział ksiądz Marek, karmelita. Z pod kaptura, który miał na głowę nasunięty, błyszczały czarne jego oczy, brewiarz na kolanach spoczywał, widno odmawiał pacierze; bliżej drzwi, przy kominie, na dużem krześle z poręczami, zasiadł pan starosta w rannej ferezji czarnej aksamitnej, popielicami podbitej. Głaskał on ulubionego charta, i kurząc lulkę, zamyślony patrzał w ogień a ciszę, jaka panowała w pokoju, przerywało tylko czasem głośniej wymówione przez księdza: *Ora pro nobis*. Chwilem postał przy drzwiach, aż starosta spoglądając na mnie:

— Mości Dynowski, rzekł, waść podobno nie dawnoś ze szkół wyszedł, to musisz pamiętać to szkolne *adagium*: że choćby cię pieczono i smażono w smole, nie gadaj nigdy co się dzieje w szkole.

— Pamiętam dobrze, JWny panie, odrzekłem kłaniając się staroście.

— Otóż to samo, mój mosanie, stosuje się i do służby dworskiej, mówił starosta; pamiętaj waść sobie, że ani ciekawości, ani wielomowności nie lubię, że wymagam od tych co są w mojej służbie, jak największej dyskrecji i punktualnego dopełnienia zleceń.

Zapewniłem starostę, że się zastosuję do jego woli, a ten wziął ze stołu list zapieczętowany i podając mi go rzekł:

— Masz waść list do księdza biskupa Kamienieckiego, oddasz go w ręce samemu biskupowi, nikomu innemu, i respons przywieziesz. Wyjedziesz przededniem, pieniądze

na drogę wyliczy waści p. Zbrożek, a teraz *mutus* mosanie przed nikim ani słowa, gdzie i do kogo jedziesz. Pamiętaj na szkolne przysłowie i zdrów jedź i powracaj.

Uradowany, że ważną jakąś misją mam do spełnienia, pożegnałem starostę i zaraz poszedłem do p. Zbrożka, który musiał już być uprzedzony, bo mi zaraz pięćdziesiąt czerwonych złotych wyliczył, ogromne pieniądze na tak krótką podróż. Od niego szedłem do mojej stancyi, aliści na dziedzińcu dogoniła mnie panna stołowa pani starościny, wołając żebym szedł do sali i zaczekał, bo mam odebrać jakieś zlecenie.

Szedłem więc za nią, i chwilkę ledwiem postał w sali, kiedy weszła najstarsza starościanka, co potem poszła za p. wojewodę Sieradzkiego. Skłoniwszy mi się:

Mości Dynowski, rzekła, podobno pan do Kamieńca jedziesz, a ja mam pilny sprawunek tam do załatwienia; waszmości chcę go poruczyć...

Jużem miał na końcu języka wymówić, że chętnie dopełnię jej rozkazu, ależ mi stanęło w myśli zalecenie starosty, i kłaniając się starościance, upewniłem, że ja nie do Kamieńca, ale do Bałty jadę, gdzie mam się dowiedzieć, czy nadeszły konie z Marchwy od p. starosty Kaniowskiego.

— A cóż to za szkoda, mówiła z żalem starościanka, taki mam pilny interes do Kamieńca, że ktoby mi załatwił, miałby prawo do mojej wdzięczności, bo to chodzi o niespodziankę dla mego ojca, którą mu na nowy rok zrobić chcemy. Poradź mi w tem waszmość, panie Dynowski, dodała z przymileniem i tak się ładnie na mnie patrzała, że już gotów byłem podjąć się jej zlecenia; ależ zapewne mój

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK W SZCZAWNICY Villa pod KRASZEWSKIM

anioł-stróż natchnął mnie myślą obstawania przy mojem. Dla tego odrzekłem, że gdyby nie pilny wyjazd do Bałty nie żałowałbym ani fatygi ani konia, i dniem i nocą leciałbym do Kamieńca, dla spełnienia co żąda, ale po powrocie będę na jej rozkazy.

— Żałuję bardzo, rzekła z przygryzkiem, żem się do pana udała z mojem żądaniem, bom się nie spodziewała odmownej odpowiedzi. Jedźże pan sobie szczęśliwie za końmi, i bądź pewien, że odtąd nigdy ani ja, ani żadna z sióstr moich nie będzie pana obarczać naszemi zleceniami.

Po tych słowach szła ku drzwiom, ale tak wolno, że wyraźnie miała nadzieję, że ostatnie jej słowa zmienią moje postanowienie: ale ja kłaniając się znowu:

— Najuniżeniej przepraszam, rzekłem, że tą razą posłusznym woli pani być nie mogę; służba wolność traci, a ja w usługach JWgo rodzica pani, przedewszystkiem jego rozkazy spełniać muszę.

Starościanka po tych wyrazach kiwnąwszy głową wyszła, a ja idąc do mojej kwatery, myślałem sobie w duchu: gniewaj się jak chcesz, więcej ja dbam o łaskę starosty jak o twoje dąsy.

Zbudziłem zaraz chłopaka, żeby mi suknie świąteczne zapakował i zamyślałem przespać się trochę, kiedy wszedł do mnie pan Golian.

— Panie Dynowski, rzekł mi, przybył nam gość niespodziewany, p. Lubosz Węgleński, podstoli chełmski. Zajechał on do mieszkania pana Kazimierza, nie chcąc budzić pana starosty. Powiedział mi, że jadąc tu spotkał w drodze

rodzica Wpana, i ma pokłon od niego; zamiast więc spać chodź mi dopomódz przyjąć miłego gościa.

Poszedłem tedy za panem Golianem do jego stancji. Zastałem w istocie podstolego, który mi pozdrowienie od ojca przywiózł, i pytał zarazem czy nie mam projektu na święta jechać do domu, bo ojciec radby się zemną opłatkiem podzielić. Odrzekłem, że to zależeć będzie od pozwolenia p. starosty.

— Cóż wielkiego, zawołał p. Golian, jak tylko p. Kazimierz wróci, to on się za Wpanem wstawi.

— A kiedyż p. Kazimierz wraca? spytałem.

— Jutro go się spodziewam, mówił p. Golian, i zaraz interes się załatwi, a p. podstoli zawiezie dobrą nowinę rodzicom Waćpana.

— Jutro nie będę w domu, odrzekłem.

— A gdzież Bóg prowadzi? spytał ciekawie pan Golian.

— Jadę do Bałty po konie, rzekłem obojętnie, przewidując, że mnie wybadywać będą.

— A cóż u licha! mówił p. Golian; niedawno z panem starostą młodszym sprowadziliśmy konie z Bałty, i znowu waszmość po konie tam jedziesz. To dziwna, nie wiedziałem że z waćpana taki znawca, że się rejmontą trudnić podejmujesz.

— Ja mam się tylko dowiedzieć, czy nie nadeszły spodziewane konie z Buczacza i Marchwy, ale nie skupywać nowe, zresztą dopełniam zlecenia wspólnego naszego pryncypała a nie dyskutuję czy to potrzebne czy nie.

— Doskonale, odrzekł, usmiechając się p. Golian i zasiedliśmy do wieczerzy.

Pan Golian, który miejsce gospodarza zastępował, wniósł zaraz dużym kielichem zdrowie miłego nam gościa, potem pan podstoli nieobecnego pana starosty Zezulickiego, znowu p. Golian konsolacji pana podstolego. Po tym trzecim kieliszku uczułem już, że mi krew do głowy bije i że jeszcze jeden, a byłbym pijany. Postanowiłem też nie pić więcej, bo widziałem, że się na gęste libacje zanosi. Jakoż p. Golian niedługo powstał, i wznosząc większy jak poprzedni kielich do góry, zawołał z zapałem:

— *Spes Reipublicae*, *Vivat* JWny starosta Warecki!

— Brawo! brawo! wołał podstoli, kochanego naszego starosty zdrowie wypiję choćby smołą. W twoje ręce mości Dynowski!...

— Daruj JWny pan, rzekłem nieśmiale, że ja młody, niezwyczajny do trunku, odmówić muszę to zdrowie, bo gdybym wypił ten ogromny kielich, czuję, żeby mnie przytomność opuściła, a przed świtem wyjeżdżać muszę.

Podstoli spojrzał na mnie z zadziwieniem i wypił, słowa nie wyrzekłszy, a p. Golian nalewając kielich:

— To są żarty, rzekł, p. Dynowski zapewne nie zastanowił się nad tem co powiedział. I podał mi kielich.

Bogiem a prawdą nie obdarzyła mnie natura wielką cierpliwością, a że już początkowa rozmowa z p. Golianem nie była mi do smaku, teraz kiedym miał parę kielichów w głowie, odrzekłem z żywością, że preceptorów nie potrzebuję i sam wiem co mam robić, i odsunąłem rękę z kielichem, a pan Golian stawiając go na stole:

— Pan podstoli dobrodziej, rzekł, niech raczy wybaczyć panu Dynowskiemu, jeszcze on tchnie infimą, bo niedawno z pod dyscypliny OO. Bazylianów wyszedł.

Myślałem, że mnie paralusz naruszy na te wyrazy; bo gdzież jest młody chłopiec, któryby za największą urazę nie poczytał, kiedy ktoś robi aluzją do młodych lat jego. Zerwałem się też prawie nieprzytomnie, i chwytając stojącą w kącie karabelę podstolego, wyrwałem ją z pochwy.

— Broń się, krzyknąłem na pana Goliana, bo ci łeb rozwalę!...

Ten uskoczył na bok, uchwycił za szablę i jednym skokiem był w sieni. Ja myśląc, że mi uchodzi, goniłem za nim, a kiedyśmy stanęli na dziedzińcu, odwrócił się i nastawił mi żelazo... Zaczęliśmy się składać, ja jak szalony młyńca wywijałem, a p. Golian ustępując odbijał tylko moje razy. Jużem poczuł lekkie zadraśnięcie po głowie i chciałem się pomścić, kiedy mnie ktoś z tyłu za rękę uchwycił. Odwróciłem się raptownie i ujrzałem pana starostę, który spoglądając surowo na nas obu:

— Co to znaczy? spytał gniewny.

Pan Golian opowiedział powód naszego zajścia, a że jego narracja była niejako usprawiedliwieniem dla mnie, słowam też nie wyrzekł, kiedy mówił, a starosta wysłuchawszy go:

— Czy tak było jak mówi p. Golian, spytał patrząc na mnie...

— Tak, do słowa, odrzekłem krótko.

Starosta odwracając się do p. Goliana:

— Idź waść do stancji, i drugi raz dla burdy nie opuszczaj czcigodnego gościa, któregoś był powinien podejmować w nieobecności p. Kazimierza.

A kiedy ten spełniając dany sobie rozkaz odszedł, starosta rzekł mi:

— A waść nie bądź drugi raz tak skory do bójki i wyjeżdżaj za parę godzin.

Odszedłem uradowany, że na tak łagodnej admonicji skończyła się cała sprawa, przespałem się nieco, i kiedy czwarta biła na zegarze kaplicznym, już byłem w drodze.

Upaliłem z jakie dwie mile. O wschodzie słońca sen mnie zmorzył i kiwając głową drzemałem... Możem spał z godzinę, kiedy wołanie: Stój! stój! zbudziło mnie. Otworzywszy oczy ujrzałem się przed karczmą; sanie czterema końmi uprzężone stały przed nią, na podsieniu był p. starosta Zezuliniecki, a we wrotach stajni p. Franciszek.

— Gdzie tak waść jedziesz?... pytał p. Kazimierz.

— Do Bałty, odrzekłem moim zwyczajem.

— Alboż to droga do Bałty! zapytał p. Kazimierz.

Uczułem, żem się złapał; ale nie tracąc fantazji odrzekłem, że mam być w Kurdywanowicach dla zamówienia ryb na wigilją, a z tamtąd wykręcę już do Bałty.

— Wstąpił do piekieł, po drodze mu było, odrzekł pan Kazimierz, na Kurdywanowice do Bałty, mówił kręcąc palcem. Nie wiele w tem coś prawdy mój mosanie, zresztą nie ciekawy jestem cudzych sekretów, dodał, i odszedł do koni a p. Franciszek kiwał na mnie, a kiedym wszedł do sieni, wziął mnie na bok.

— Nie wchodzę, mówił, w powody, dla których taisz się gdzie jedziesz. Z kierunku jednak drogi i ze zmieszania, jakieś okazał, kiedy cię brat mój wypytywał, widzę, że jedziesz do Kamieńca, a tam ma być na święta panna Anna, rozumiesz mię waćpan... mówił poufale.

A że cały dwór Horbaszycki wiedział, że p. Franciszek kocha się w córce pana regimentarza Stępkowskiego, z którym p. starosta był oziębłe dla różności zdań politycznych, (i miał racją, bo potem regimentarz bił się przeciwko nam w konfederacji) i nie chętnie patrzał na te zalecanki syna, to mi się żal okrótnie zrobiło biedaka, kiedym widział, że radby mieć wiadomość jaką od swojej bogdanki, i już tylko co mi się nie wymknęło przyrzeczenie, że dopełnię czego żąda, ależ znowu myśl szczęśliwa przyszła mi do głowy.

— Odmówię, pomyślałem, a dla tego wywiem się o niej, i anonime go zawiadomię.

— Mości Dynowski, mówił p. Franciszek, wywiedz się, jak oni długo w Kamieńcu zabawią, i kiedy będą wracać do domu; to ja już znajdę sposobność widzenia się z panną Anną...

— Ależ ja do Kamieńca nie jadę, upewniam pana starościca; jakem *sodalis*, dodałem, a mogłem się kląć smiało, bom nim jeszcze nie był natenczas.

— Ot bzdurstwa! zawołał p. Franciszek, daj mi pewną wiadomość czy panna Anna zdrowa, czy będzie z rodzicami na święta w Kamieńcu, to ci dam mego białonogę. I wyciągnął rękę do mnie...

— Aż mi się w oczach ciemno zrobiło na te wyrazy, bo ów białonogi kasztan i mego sandziaka nieraz za sobą

zostawiał. Ale trudno, nie dałem się skorumpować i odrzekłem: że dla p. Franciszka wszystkobym zrobił, co w mojej mocy, a za takiego konia jak białonoga, tobym i opończę zdjął z siebie; ale cóż robić?... Radaby dusza do nieba, ale ją grzechy nie puszczają... z Bałty do Kamieńca daleko.

Pan Franciszek popatrzył na mnie zagniewany.

— Odmawiasz? zawołał. Nie będęż miał wiadomości od panny Anny przez waści?...

— Żądna mi łaska p. starościca, rzekłem, aż dusza skacze do białonogiego, ale cóż, kiedy ja do Kamieńca nie jadę.

— To jedźże gdzie chcesz, choćby na złamanie szyi! wykrzyknął w gniewie, i wyszedł na podsień; a potem obadwa nie spojrzawszy nawet na mnie, wsiedli do sań i ruszyli ku Horbaszy.

Chwilę postałem patrząc za odjeżdżającymi i myślałem sobie:

— Otóż to dworska służba! Służ jednemu wiernie, dziesięciu się narazisz, tfu! niech to djabli porwą! zawołałem. Jak mi będą kwaśne miny stroić po powrocie, to rzucę wszystko do kata i zaciągnę się do jakiej najbliższej chorągwi.

I tak rozmyślając wszedłem do izby, kazałem sobie dać grzanego piwa, i dumałem o tym dniu niefortunnym, kiedy stąpanie konia na podsieniu zwróciło moją uwagę. Wyjrzałem oknem, koło którego siedziałem. Jakiś jezdny mignął mi się tylko i wjechał do stajni. Nie wielem na to uważał aż drzwi się otworzyły i wszedł Zawierucha; powstałem zdziwiony.

— A ty gdzie jedziesz? spytałem.

— Za wami, odrzekł kozak, kłaniając mi się.

— Za mną?... a to dla czego?...

Kozak nic nie odpowiedział, sięgnął do szarawarów, wyjął w chustkę obwinięty list i podał mi. Obejrzałem go, charakter był starosty i pieczęć jego. Pisał mi, że się namyślił co do mojej podróży, i że mam zaraz z Zawieruchą wracać.

Spytałem kozaka, czy nie wie co za powód, że mi się pan wracać każe...

— Boh znaje! odrzekł ruszając ramionami i patrząc pożądliwie na kurzące się w półgarncówce piwo.

Wiedząc że nic się od niego nie dowiem, dałem mu kwartę piwa, które duszkiem prawie wypił, a potem siadłem do sań, koło mnie Zawierucha, i wracaliśmy do Horbaszy.

Długom siedział zamyślony, słowa nie wyrzekłszy, aż Zawierucha znudzony widno milczeniem mojem:

— Szo wy taki zadumany panyczku?... zapytał mnie.

— Ot mój kochany, myślę o tem, jak to fortuna kołem się toczy. Byłem sobie spokojny w Horbaszy jak u Boga za drzwiami, a tu naraz panna starościanka markotna na mnie, z pana Goliana, z którym tak dobrze żyłem, mam nieprzyjaciela, bośmy się porąbali, tu znowu licho mi nadało napotkać obu starościców, i obydwa na mnie zagniewani. Oj! lepiej żydowi w grubie palić jak dworsko służyć, mój kochany, dodałem z żalem.

— A czohosz oni serdzą się na was? pytał Zawierucha.

— Wszyscy za jedno, odrzekłem; żem im powiedzieć nie chciał gdzie jadę. A jak tu gadać, kiedy starosta powiedział: *mutus* mosanie.

— Dobreście zrobyły! odrzekł kiwając głową Zawierucha. A potym panyczku to wsio furda. Nasza panna choć starosty

córka, taki białogłowa, dziś gniewna jutro dobra, jak pogoda w jesień. Z panem Golianem jeszcze lipszyj mir bude, kiedyście się porubały. Pan Kazimierz to dusza, wy wiecie, lubi was, to długo sierdzić ne bude; a co panu Franciszkowi na zgodę zawieźcie nowinę od panny z Lisianki.

— Ba! rzekłem, czegobym ja chciał, żebym miał co nowego o niej. Pan Franciszek mi swego białonóżkę za te nowiny dawał...

— No panyczku, to białonóżka wasz! bo ja wam coś powiem o niej.

— Zawierucho! ojcze! zawołałem chwytając za szyję kozaka. Wiecznie ci za to wdzięczny będę! ale gdzie się ty o niej dowiedział, gadaj...

— A! gdzie! odrzekł kozak; po dorodze stanąłem jadąc za wami, gdzie te dwie karczmy na rozdrożu; aż tu zajeżdża długiemi saniami kwestarz. Poznał on widno po barwie co ja kozak z Horbaszy, bo pytał zaraz czy bat'ko doma, bo on jutro z opłatkami przyjedzie, a teraz jedzie z Lisianki i konie umęczył. Jak ja posłyszał co win z Lisianki, tak ja dawaj go traktować, i w rozhowory: bo wiem że pan Franciszek rad jak mu ztamtąd nowiny przywieźć. To mi win skazaw, szo panna Anna kazała mu starościankom pokłonić sia i powiedzieć, że jutro jadą do Kamieńca na całe święta, i dopiero po Jordanie powrócą. Ot co wiem od monacha, i te nowiny wam podaruję panyczku. On jutro będzie dopiero w Horbaszy, a wy dziś, rozumiecie...

Podziękowałem raz jeszcze Zawierusze; zapewniłem go, że jak dostanę białonóżkę, to mu się za udzieloną nowinę odwdzięczę, i już weselszy jechałem do domu.

Właśnie się obiad kończył, kiedym przybył, i zaraz szedłem do dworu. W przedpokoju zastałem pana Goliana, który jakby nic między nami nie zaszło, uścisnął mnie serdecznie, a kiedy ja zdziwioną zrobiłem minę:

— Nie gniewaj się na mnie, szepnął mi, dowiesz się zaraz rozwiązania całej zagadki, i ścisnąwszy mi rękę wyszedł do sieni. A ja uradowany wielce tem jego przyjaźnem obejściem, któregom się nie spodziewał, otworzyłem drzwi do sali, właśnie w chwili, kiedy podnieśli się wszyscy z miejsc swoich. Starosta spostrzegłszy mnie:

— Jak się masz panie Balcer, czyś zdrów? zapytał.

— Zdrów do usług pańskich, odrzekłem rumieniąc się z ukontentowania; bo wiedziałem, że starosta zwykł był tylko poufałych swoich po imieniu nazywać.

— Jeść dla pana Dynowskiego! zawołał na służbę, i stojąc koło stołu kończył rozpoczęty dyskurs z p. podstolim Chełmskim. Tymczasem starościna z córkami szły do bawialnego pokoju, a najstarsza starościanka, przechodząc koło mnie, spytała, czy już z powrotem z Bałty?... Odrzekłem, żem się wrócił na rozkaz jej ojca...

— Krótka to podróż była, a jednak panu dobrze posłuży, rzekła z uśmiechem, i poszła za matką i siostrami.

Ta łaska starosty, ta niepamięć odmowy ze strony starościanki, tak mnie zdziwiły, żem stał chwilę jak odurzony, kiedy mnie ktoś za ramię pociągnął. Odwróciwszy się ujrzałem za sobą p. Kazimierza, który szepnął mi w ucho:

— Jak wyjdziesz od mego ojca, przyjdź do mnie, tam ci obiad podadzą. I wykręciwszy się na pięcie odszedł.

a5/VIII

Popatrzyłem za nim wielce kontent, nabrałem fantazji, bo któż ją kiedy utracił w pomyślności, i postępując do p. Franciszka:

— Stosownie do życzenia pańskiego, rzekłem półgłosem, przywożę nowiny z Lisianki.

— Waćpan! zawołał zdziwiony.

— Ja, panie starościcu dobrodzieju, rzekłem patrząc mu w oczy. Czy pan zapomniał swego zlecenia?...

— Nicem nie zapomniał, odrzekł ciągnąc mnie do okna, i błagam cię, gadaj co wiesz...

— Panna Anna już zdrowa, mówiłem, jutro jadą do Kamieńca, gdzie całe święta zabawią, i wrócą po Trzech Królach.

— A pewny że tego jesteś? zapytał skwapliwie.

— Jak tego, że żyję! odrzekłem. Wychodzi to z ust osoby, której sama panna Anna o tem mówiła. Jutro pan starościc będziesz miał potwierdzenie słów moich.

— Niechże ci Bóg płaci za tę wiadomość, zawołał uradowany młodzieniec, ściskając mnie za rękę.

— Więc się pan już nie gniewa na mnie? zapytałem, bo jam dopełnił, czegom nie obiecywał.

— Nie gniewam się! nie gniewam! mówił uśmiechając się, ale ci się wyprzedzić nie dam, bo dopełnię com obiecał. Niechże ci służy mój białonoga, mości Dynowski, przyjmij go dobrem sercem, bo to dar od przyjaciela, rzekł z rozczuleniem, i uścisnąwszy mi rękę odwrócił się do okna, pogrążony w zadumaniu. A ja patrzałem na tego pięknego młodzieńca, którego serce było skarbem nieocenionym, który jednem słowem umiał dar prosty zamienić w zadatek

5/18 Ja

przyjaźni, której obaśmy sobie wiernie dochowali, ja pielęgnując go jak brata, kiedy dotknięty dżumą na Wołoszczyznie chorował, on ratując mi życie pod Monasterzyskami.

Już pół wieku, mówił pan Dynowski, minęło od chwili zgonu jego, a nie ma dnia, żebym wznosząc modły za spokój duszy jego, nie wylał łzy żalu i wdzięczności. Bo nie tylko za życia był mi prawie bratem, ale i ten kawałek ziemi, który żywi starość moją, jemu zawdzięczyć winienem...

Umilkł rozrzewniony starzec, ocierał zwilżone łzą oczy, i przepraszał nas za to mimowolne rozrzewnienie, którego panem nie był. A my szanując ten hołd oddany przyjaźni, w milczeniu patrzaliśmy na niego, i dziwiliśmy się, że pod tą szorstką na pozór powierzchownością tyle czucia się mieści.

Pan Dynowski jak każdy człowiek wrażliwy, nie długo się oddawał żalowi, z otartą łzą zniknął i smutek z twarzy; i podając nam ręce:

— Dziękuję wam panowie, mówił, żeście szanowali boleść moją. Cieszę się niewymownie, że z zajęciem słuchacie opowiadania mego, bo to mi robi nadzieję, że z śmiercią naszą nie zaginie pamięć usiłowań naszych, że może znajdą się między rówiennikami waszymi tacy, co odgrzebią pamięć dziadów, nie zostawią ją obcym w poniewierkę, i oddadzą cześć zasłudze. Sam dziś czuję że nie wszystko było w konfederacji barskiej mądrze obmyślane, że nie było jedności w działaniu. Niemniej ci, co akces podpisali, robili co mogli, nieśli w ofierze wszystko, co człowieka wiąże do życia, żadną prywatą się nie uwodzili, przed każdą czynnością Matki Zbawiciela wzywali opieki. A takim ludziom dużo przebaczyć można, jeżeli błądzili. Nie godzi się sądzić ich

na skalę zimnego obrachowania i obojętnie patrzeć na to, co obcy albo stronni o nich piszą: bo kto czuciem grzeszy, temu odpuszczenie. Dziś do was młodszych należy, oddać sprawiedliwość ich usiłowaniom, a kiedy zechcecie rozpatrzeć się w nich bliżej, w Bogu nadzieja, nie powstydzicie się ojców waszych... Ale gdzież materjały po temu?... Oto albo się kryją zapomniane po prywatnych domach, albo zaginęły rozprószone zawieją wojenną. Z podania więc tylko poznać możecie tych, co przodowali w konfederacji!... Korzystajcie tedy młodzi, póki żyją ostatni Barszczanie, mówił z zapałem, a błogosławieństwo tym, dodał żegnając nas, co się nie zaprą ojców swoich.

Uchyliliśmy głowy przed tym znakiem, patrzyliśmy zadziwieni na tego starca, pełnego zapału, tak dbałego o sławę pogrobową towarzyszy swojej młodości, i pojąć nie mogliśmy, jak pogodzić tak wzniosłe uczucie z lichem zatrudnieniem, jakiemu się oddawał. To też od tej chwili pan Dynowski nie był dla nas prostym handlarzem jagłami i słoniną; przybrał on w oczach naszych rozmiary jakiegoś bohatera legendy, i patrzyliśmy na niego z uczuciem uszanowania.

Nie uszło baczności starego bywalca wrażenie, jakie na nas zrobiły ostatnie słowa jego; przelotny uśmiech zadowolenia rozradował twarz jego, pokręcił wąsa, popił węgrzyna, i patrząc na nas z powagą:

— Tak tedy, mówił, z p. Franciszkiem mir stanął, i kiedym patrzał na niego w zamyśleniu stojącego, nadszedł właśnie Zawierucha i szepnął mi, że mnie starosta potrzebuje. — Jak przed odjazdem poprzedzony przez kozaka szedłem do pokoju starosty. Tam znowu jak wtedy p. Kochański,

tak teraz pan podstoli chełmski pisał za stołem, starosta zamyślony przechodził się po pokoju, a ksiądz Marek stał koło pieca, i w obu rękach coś w papier owiniętego trzymał.

Skłoniłem się wchodząc, i zaraz starosta przystąpił do mnie.

— Gdzie waść masz list do księdza biskupa? zapytał.

Wyciągnąłem go z zanadrza, starosta stojąc przedemną rozdarł kopertę, a potem rozwijając go przed oczyma memi, pokazał mi biały papier!...

Stanąłem jak osłupiały na ten widok, widziałem dowodnie, że mnie na dudka wystrychnięto; to też uczułem, jak krew gwałtownie uderzyła mi do głowy, i prawie nieprzytomny, postępując o krok do starosty:

— JWpanie, rzekłem przerywanym od wzruszenia głosem, nie godzi się drwić z równego sobie szlachcica, a tembardziej z takiego, któremu się protekcją swoją obiecało!...

— Brawo mości Dynowski!... zawołał pan podstoli, a starosta zamiast gniewać się, wziął mnie za rękę:

— Nie były to drwiny, rzekł z dobrocią ale środek ostrożności. Posłuchaj cierpliwie: Chcąc wypróbować dyskrecji twojej, nasadziłem na ciebie córkę z żądaniem kobiecym, Goliana, żeby cię upoił, mego syna Kazimierza dla stosunków przyjaznych z tobą. Nie uległeś tym trzem tentacjom. Z doświadczenia teraz mam cię za człowieka, któremu zaufać można. I podał mi rękę, którą ja uradowany ucałowałem.

— Słuchaj mój przyjacielu, mówił po przestanku, ważne rzeczy gotują się w kraju. Tym co przy sterze trzeba ludzi wypróbowanych. Ciebie od tej chwili do nich liczę, a że walka będzie wkrótce za wiarę i swobody, trzeba żebyś miał talizmen, jak przystoi prawowiernemu katolikowi.

Odwrócił się do księdza Marka. Ten rozwinął papier, który w ręku trzymał, wyjął z niego obrazek Matki boskiej Częstochowskiej na blasze i podał mi do pocałowania. Potem zawiesił mi go na piersi, a przytrzymując lewą ręką, prawą wzniósł do góry, odmówił modlitwę i *benedicte...*

Głębokie panowało milczenie w czasie modlitwy, bo ja zdziwiony słowa nie wyrzekłem. Pan podstoli powstał z krzesła, i oba ze starostą stali z pochylonemi głowami, kiedy ksiądz mnie błogosławił, a jak skończył, starosta rzekł mi poważnie:

— Na dziś dość dla młodej jak waści głowy. Teraz idź do pana Kazimierza i baw się wesoło.

Wyszedłem uradowany, urosłem jakoś we własnej mojej opinii. A kiedym chował pod kontusz obraz, przypomniałem sobie że mam 50 czerwonych złotych, dane mi na drogę; szedłem więc do pana Zbrożka, żeby mu je zwrócić, ale jakież było zadziwienie moje, kiedy ten wysłuchawszy mnie:

— Jakto! zawołał, drugi raz waszmość chcesz zwracać? I przewróciwszy na stole papiery, wyjął kartkę, na której ręką starosty napisane było: »Jegomość pan Dynowski do rąk moich złożył dane mu na drogę 50 czerwonych złotych; zapisać je na moją expens.«

Tak tedy był to dar, o którym starosta nie chciał, żeby najbliżsi jemu wiedzieli. Oceniłem tę delikatność, wymówiłem się jak mogłem panu Zbrożkowi, i spieszyłem do pana Kazimierza.

Już w przedpokoju usłyszałem gwarną rozmowę, a kiedym drzwi otworzył, pan starosta Zezuliniecki dużym kielichem wniósł moje zdrowie. Dziękowałem za niepospolity honor, i uczułem, że od tej chwili jestem członkiem wielkiego

stronnictwa, które potem urzędowym aktem w Barze usankcjonowane być miało.

Wesoło nam zeszedł wieczór, bo wszyscy biesiadnicy byli jak ja wtajemniczeni do zawiązać się mającej konfederacji. Nie jeden toast na cześć przyszłych nadziei spełniano, a kiedym wrócił do stancji, dobrze podchmielony, miłe sny towarzyszyły mi do rana.

Od onej chwili zmieniło się wszystko dla mnie na dworze w Horbaszy. Z zaufaniem, jakie mi starosta okazywał, rosło i poważanie u dworskich. Częste zlecenia odbierałem i raz z panem Kazimierzem w towarzystwie pana Goliana jeździliśmy na granicę wołoską, gdzie czekał na nas Mirza, wysłany od Kierym-Gereja, hana tatarskiego, i Mohamet Aga od haszy Benderu. Po tej podróży widocznem było, że Tatary i Turcy mają nam iść w pomoc. Dziwiłem się trochę, jak my, co za wiarę bić się mamy, staniemy obok wyznawców Mahometa. Ależ kiedy tak starszyzna uradziła, musi to być dobrze, pomyślałem, i wcale potem rad byłem widząc ich potykających się obok nas, szczególnie Tatarów Lipków, którzy choć w swego proroka wierzyli, dziwnie przywiązani byli do ziemi, na której od wieków zamieszkali, i wielu potem słusznych i poważnych między niemi poznałem obywateli.

W ciągłem tedy zatrudnieniu zeszła mi część zimy. Aż po połowie jakoś lutego, wracając z jednej takiej podróży do Horbaszy, nie pomału zdziwiony byłem, ujrzawszy ruch niezmierny we dworze, powytaczane powozy, służbę w różnej barwie kręcącą się. A kiedym pytał o przyczynę tych przygotowań, powiedziano mi, że przybył JWny podkomorzy

Rożański z całym dworem, i że jutro i on i pan starosta wyruszają gdzieś w podróż. Pośpieszyłem zaraz do pana Kazimierza, gdziem się dowiedział, że ruszamy do Baru. W kilka zaś godzin po kolacji, pan starosta Warecki zapowiedział nam, żebyśmy wszyscy o świcie gotowi byli, i to *armata manu*, bo interes publiczny tego wymaga. Tak więc słowo konfederacji oficjalnie jeszcze wymówione nie było, chociaż poufali, do których ja się liczyłem, wiedzieli o co rzecz chodzi.

Dziesięć dni prawie nie byłem w domu, i nie mogłem wiedzieć jakie przez ten czas przygotowania porobiono. Nie małe też było zadziwienie moje, ujrzawszy na drugi dzień, w jakiej kawalkacie jechać mamy. Na dziedzińcu mnóstwo koni osiodłanych wodzili kozaki, ciężkie powozy, szóstkami pouprzęgane, czekały na panie. Od bramy zacząwszy przez wieś całą ciągnął się gęsty zastęp nadwornych chorągwi pana starosty i podkomorzego, cztery armaty ze wszelkim przyborem i puszkarzami prowadził Francuz, z zagranicy przybyły, w końcu mnóstwo wozów z prowiantem i czeladź obozowa czerniły się na polu.

Pierwszy raz w życiu widziałem te przygotowania wojenne. Przyznaję się też, że dziwnego jakiegoś uczucia doznałem. Była w tem i radość, i niby obawa. Pierwsze widno przeważyło, bom jakoś z fantazją wszedł do sali, gdzie z pięćdziesiąt szlachty było zebranych; wszyscy uzbrojeni, podzieleni na kupki, rozmawiali półgłosem i oczekiwali przybycia panów.

Niedługo ukazał się starosta z podkomorzym i kilkoma starszymi. Starosta jako towarzysz pancerny chorągwi króle-

wskiej, miał na łosim kaftanie pancerz stalowy, w złóto oprawny, na wierzchu delią karmazynową, rysiami podbitą; w lewym ręku trzymał kołpak soboli z białą kitą, w prawym buzdygan złotem nabijany.

Podkomorzego strój był daleko bogatszy, i on niósł buzdygan jak starosta. Pan Kazimierz w ulubionej bekieszy węgierskiej, inni w sukniach koloru województw i ziem.

Zatrzymali się chwilę, starosta z podkomorzym uchylili buzdygany, odpowiadając na powitanie nasze, a pierwszy nam oznajmił, że zwyczajem ojców każdą czynność od Boga poczynać trzeba, i dla tego wzywa nas na nabożeństwo. Krótka była msza czytana, przy ewanielji, za przykładem starosty i podkomorzego, dobyliśmy szabel do połowy, po mszy odebraliśmy błogosławieństwo kapłana, i wsiedliśmy na koń.

Piękny to był i budujący widok tego pochodu naszego. Przodem jechał starosta z p. podkomorzym, przed nimi sześciu trębaczy, między obu panami ksiądz Marek, z krucyfiksem w ręku, potem tłumnie do stu szlachty na dzielnych koniach, na każdym prawie rzędzik srebrny albo pozłocisty, wszyscy w szubach, deliach lub lamparcich skórach. Za nimi głucho dudniąc toczyły się armaty; potem szły chorągwie kozackie, tatarskie, ussarskie i węgierskie, z rozwiniętemi chorągwiami, dalej luzaki z końmi podwodnemi i tabor obozowy.

Kiedyśmy ruszyli z miejsca, trębacze zagrali pobudkę a jak ucichli, całe wojsko zdejmując czapki zaśpiewało pieśń, umyślnie na ten cel ułożoną, która się poczynała temi słowy:

Morze się burzy, ziemia się wali,
Miesza się niebo, powietrze.
Niech się świat cały na nas obali,
Wzruszy nas, ale nie zetrze.

W pośród tych ruin podniesiem głowy,
Z których i włos nam nie spadnie,
Bo wszystkich przygód naszych osnowy
Są w ręce, która wszem władnie.

Z wielką skruchą i pobożnością śpiewało wojsko, i nie było jednego pomiędzy nami, któremuby to pokorne oddanie się woli niebios przez tyle zbrojnego ludu nie wycisnęło łez z oczu; to też kiedy się śpiew skończył, wszyscy w milczeniu jechali, i słychać jeszcze było szmer odmawianej modlitwy.

Wolnośmy się posuwali, bo w każdej prawie wsi, przez którąśmy przechodzili, zajeżdżała nam drogę szlachta, która się łączyła z nami, a przy każdem takiem spotkaniu bez oracji ze strony nowoprzybyłych nie obeszło się.

Trzeciego dopiero dnia około południa, wyszedłszy na wzgórza, ujrzeliśmy wieże kościołów w Barze. Nie długo potem słychać było bicie we wszystkie dzwony, co oznajmiło widno będącym w mieście o naszem zbliżeniu się, bo zaraz ukazali się najprzód księża z chorągwiami, a za niemi mnóstwo szlachty i pospolitego ludu wysypało się z miasta, i szli na nasze spotkanie.

Na ten widok zsiedliśmy z koni, i wśród śpiewów pobożnych weszliśmy do Baru.

Dniem wprzódy przybyły tu już panie; to też kiedyśmy stanęli w klasztorze OO. Franciszkanów, gdzie podkomorzy

ze starostą rozlokowali się, zastaliśmy za ich staraniem suty obiad w refektarzu, który choć duży, ledwie nas mógł pomieścić. A kiedy już było ku końcowi obiadu, wnieśli hajduki na dwóch dużych blatach potrawę jakąś serwetami okrytą, i podali jeden półmisek staroście, drugi podkomorzemu; a ci zaledwie ściągnęli przykrycie:

— Co to jest? zawołali razem.

Spojrzeliśmy wszyscy ciekawie, i ujrzeliśmy miasto potrawy, ułożone na półmiskach piramidy z kul. A w tej chwili starościna pocałowała w rękę starostę:

— Drogi mój mężu, rzekła, i wy szanowni panowie! Zdawało wam się zbytecznem, powierzać kobietom cel waszej tu podróży. Ależ serca nasze przeczuły niebezpieczeństwa, na jakie drogie nam osoby narażone być mają. Dla tego to nocami lałyśmy kule, i teraz wam je jako najsłodszy przysmak ofiarujemy. Przyjmijcie go dobrem sercem, niech każda z tych kul będzie goryczą tylko dla tych, co zechcą zagrozić życiu waszemu.

To rzekłszy, dała garść kul mężowi. Potem wszyscy ruszyliśmy z miejsc naszych, i każdy odebrawszy podobny upominek, zachował go jak skarb jaki, a echa klasztorne długo powtarzały wiwaty, na cześć starościny i kobiet polskich wnoszone.

Przez kilka dni lokowaliśmy się w mieście, gdzie ciasnota była niezmierna, bo codzień po jakie sto szlachty i więcej przybywało, a w dniu 29. lutego w kościele OO. Franciszkanów, po nabożeństwie i odśpiewaniu *Veni creator*, spisany został akt konfederacji, której marszałkiem jednomyślnie obwołany JWny Michał Korwin Krasiński, podkomorzy

Rożański, starosta Opinogórski. Potem sute przyjęcie u nowego marszałka zakończyło ten dzień, uświęcony aktem politycznym. Później zaś nieco, bo dopiero 4. marca, na św. Kazimierza, na szerokich polach koło miasta wystąpiło wojsko całe, przybyłe milicje różnych panów, wojska komputowego niektóre chorągwie. I tam w polu zaprzysiężony został związek wojskowy, którego znowu marszałkiem czyli regimentarzem jeneralnym bez żadnego oporu, owszem wśród radośnych okrzyków, JWny Józef Pułaski, starosta Warecki, pisarz nadworny koronny, okrzyknięty został. Potem wybrano konsyljarzy.

Łącznie z temi obaj marszałkowie zajęli się urządzeniami i zbieraniem wojska, kreowano wielką konfraternią pod znakiem krzyża świętego, nominowano oficerów i wtedy to p. Franciszek został rotmistrzem w milicji ziemi halickiej, której marszałkiem był JWny Marian Potocki, a mnie chorąstwo się dostało.

Nie będę się nad tem rozwodził, jak się z początku zbierali konfederaci. Nadmienię tylko, że zaraz w pierwszych dniach złączyły się z nami milicje JWgo podczaszego litewskiego, księcia wojewody Bracławskiego, z Pobereża i Śmilańszczyzny, pod wodzą dzielnego pułkownika, JWgo Gosławskiego, potem nadworni kozacy pana starosty Śniatyńskiego, Węgry komputowi pod wodzą niejakiego Uniejowca, sześć chorągwi z pod dowództwa regimentarza Dzieduszyckiego, i pułk królowej Jadwigi.

Pan marszałek związkowy przyciągnął także do siebie garnizon w Berszadzie i Niemirowie. Kilka tysięcy Tatarów było już przy nas, a więcej daleko spodziewano się. Turcy

w znacznej sile zbliżali się do granicy, nakoniec spodziewano się przybycia księcia wojewody wileńskiego, pana kanclerza Zamojskiego i królewicza, księcia kurlandzkiego ze znacznemi posiłkami*).

Zaraz na początku mieliśmy kilka rozpraw z nieprzyjacielem. Już w pierwszej połowie kwietnia nie było dla mnie nowością ani świstanie kul, ani cięcie pałasza. Były to małe wprawdzie, ale częste utarczki. Chorągiew nasza za staraniem pana Franciszka była jedna z najlepiej prezentujących się. Prosił on ojca o wydzielenie mu znacznego funduszu na rachunek schedy jego, i używał go na kupno koni i zbrojów żołnierzy swoich, a przeczuwał widno bliski zgon swój, bo nie raz mawiał, że chce, żeby chorągiew halicka była sukcesorką jego.

Dziwnego to był usposobienia młodzieniec. Nie miał on szalonej odwagi brata swego, i kiedy tamten szedł do boju z uśmiechem na twarzy, pan Franciszek, chociaż zawsze na przedzie, zdało się że robi powinność swoją z uczuciem żalu tej krwi niewinnie przelanej. To też w gonitwie, kiedy się dało rozbić nieprzyjaciela, a wiara kłóła i rąbała, on stał na miejscu, z opuszczoną szablą i smutnem okiem poglądał na to dzieło zniszczenia. Ale kiedy chodziło nieść ratunek komu, rzucał się bez względu na własne bezpieczeństwo, a co wtedy dokazywał, na sobiem tego doświadczył.

Raz, pamiętam, pan starosta wysłał był naszą chorągiew na podjazd dla powzięcia języka jak to mówią. Wyszliśmy

*) Wszystkie te szczegóły są prawdziwe, wyjęte z rękopismów Bibl. Ossolińskich, które przytacza Szczęsny Morawski, w swojem dziele: Materjały do konfederacji barskiej.

tedy w nocy a nadedniem byliśmy o jakie parę mil od obozu, i zbliżaliśmy się do Monasterzysk. Mnie w kilka koni wysłał przodem pan Franciszek, a sam o parę set kroków za mną maszerował z całą chorągwią. Wjechałem w małe krzaki i, Bogiem a prawdą, prześlepiłem zasadzkę tam będącą. Na raz huknęło kilka wystrzałów, jeden szeregowy zwinął się z konia, obejrzę się z tyłu, piechota zastąpiła mi drogę, a z boków pędzi na mnie konnica...

Jużeśmy się mieli za straconych, to też krzyknąłem na moich, żeby się bronili do upadłego, i dalej się rąbać, i kiedy już było bardzo ciasno, słyszę wołanie:

— Naprzód za mną Haliczanie! i poznaję głos pana Franciszka.

W tej chwili pada jeden z najbardziej nacierających na mnie, a od cięcia drugiego zastawia mnie szabla mego rotmistrza.

— Śmiało naprzód! krzyknął on na mnie. Pocisnąłem konia, towarzysze nadbiegli, i wyszliśmy z tej biedy. Wtedy to w obec całej chorągwi przysiągłem mu wieczną przyjaźń a kiedym mu dzięki składał:

— Oddany to chleb przyjacielu, odrzekł, i uścisnąwszy mi rękę, odjechał smutny na czele chorągwi.

Prorocze to słowa jego były, bo nie długo potem, kiedy cofając się na Wołoszczyznę, przechodziliśmy bezludne obszary tej ziemi, pan Franciszek, który jechał przodem, raptem jak piorunem rażony spadł z konia. Poskoczyliśmy do niego, a kiedy szukając przyczyny zemdlenia rozebrano go, złowrogie słowo: dżuma, wymówione zostało, i najodważniejsi usunęli się od chorego.

W tym ciężkim kłopocie przeniesiono go do nędznej wołoskiej wioski, gdzie ja i dwóch sług pozostało przy nim, a pan starosta opłakawszy chorego syna, ruszył zresztą ku Jassom.

Długo pasował on się ze śmiercią. W końcu młodość, może i starania moje przemogły złe, i w miesiąc potem zdrów zupełnie złączył się z ojcem. Tak mi Bóg dopomógł odwdzięczyć mu usługę mi oddaną, a pan starosta jako rekognicją zasług moich, na prośbę pana Franciszka, dał mi dożywociem wioskę z klucza Hołobyczowskiego, którą to donacją po skończonej konfederacji wniosłem do akt grodzkich w Kamieńcu, i do dziś dnia na tym kawałku ziemi siedzę, a wolny od trosk i niedostatku, modlę się za dusze moich benefaktorów...

Znowu przestał stary konfederat, chwilę siedział zamyślony; widno, że każde przypomnienie przyjaznych jego stosunków z Franciszkiem Pułaskim, budziło w nim smutne jakieś uczucie. Jak wprzódy, tak i teraz nie przerywaliśmy zadumania, aż po chwili:

— Ha! różnie bywało, zawołał, jak zwykle na wojnie. Nie raz człek był pod stołem, lecz częściej na stole, i biedy się doznało, i głodu przymarło; ale za to dzień zwycięstwa wynagrodził wszystko.

— Pamiętam jak dziś 4. czerwca,*) wielkie było spotkanie pod Barem, gdzie obaj marszałkowie dowodzili. Od świtu do nocy bój zacięty trwał, aż ku wieczorowi nieprzyjaciel

*) Wszystkie daty i miejsca są czysto historyczne po największej części z rękopismów Bibl. Ossol. czerpane.

cofać się począł, stracił bowiem do 5000 w zabitych i rannych, 2000 przeszło niewolnika, 10 armat z jaszczykami, bagaże główno dowodzącego jenerała Kreczetnikowa, w końcu kasę, gdzie się znalazło 50.000 czerwonych złotych, które do Kijowa przewożono. Były to tedy świetne zdobycze, ależ drogo okupione, bo i w naszych szeregach w zabitych i rannych do 3000 ubyło. Między rannymi był pan Kazimierz; panu Franciszkowi kula konia ubiła, w chorągwi zaś naszej dziesięciu giemajnów zginęło, 7 rannych zawieźliśmy do Baru, gdzie solenne nabożeństwo i *Te Deum* śpiewano na podziękowanie za zwycięstwo.

Po tej wiktorji duch inny wstąpił w całe wojsko, nie było już takiego, coby prochu nie wąchał, nie raz na cztery razy liczniejszego nieprzyjaciela nacierano, i często ze skutkiem, bo jak zwykł był mawiać pan starosta Warecki: *Audaces fortuna juvat.* A że wojsko nasze najwięcej z konnicy się składało, tośmy się przekonali, że święte to *adagium* było, bo na 10 razy, śmiałe przypuszczenie ataku dziewięć razy się uda, choćby numeryczna siła większa była na przeciwnej stronie. Takie to wrażenie robi hazard i determinacja. Ależ nie zawsze św. Jana, jak mówi proste przysłowie, a jakeśmy tego doświadczyli wkrótce.

Nasi się coraz posuwali w głąb kraju, i już w pierwszych dniach czerwca docierali do Beresteczka, koło Ostrogu za Kuniowem zachwyciła milicja starosty Śniatyńskiego 45 ludzi nieprzyjaciela*), a wkrótce potem szpieg doniósł marszałkom, że przy oddziale, którym dowodził jeneral Apraxyn, idzie

*) Wszystkie miejsca, w których rozprawy były, są historyczne.

kasa całej armii nieprzyjacielskiej, i to przy tylnej straży, na którą z nienacka natrzeć można, obszedłszy główny oddział manowcami.

Wysłuchawszy tedy tego szpiega, ułożyli panowie między sobą, że sam pan starosta Warecki pójdzie z tą wyprawą, i to z nielicznym ale dobranym ludem. Jakoż wziął on naszą chorągiew i drugą pana Chlebowskiego, który dowodził milicji JWgo wojewody Poznańskiego. Pan starosta był to człowiek bardzo ostrożny i przezorny; to też owemu żydowi, który nas miał prowadzić, kazał wsiąść na koń i przodem jechać, a przy nim tuż na tęgim koniu był Zawierucha, który już miał rozkaz co ma zrobić, gdyby nas żyd zdradzał. Szliśmy ostrożnie, przodem szpica z ludzi doświadczonych złożona, przy niej żyd nasz z Zawieruchą, potem chorągiew pana Chlebowskiego w ordynku, za nią nasza. A pan starosta od jednej do drugiej przejeżdżał się, rozpatrując na wszystkie strony, a miał i lorynetę, przez którą daleko widno było co się dzieje. Tak tedy uformowani dochodziliśmy do Ułanowa. Szpica wyszła na wzgórze, zatrzymała się na chwilę, i zaraz jeden towarzysz co koń wyskoczy przypadł do nas i oznajmił staroście, że na prawo od wsi widno oddział piechoty, maszerującej w tumanie kurzawy.

— A po czemże waść poznał, że to piechota, kiedy jak mówisz, kurz ją zakrywa? zapytał starosta.

— Bo kurz się nie wysoko wznosi JWny panie, odrzekł zapytany, nie końskie to więc kopyta podnoszą go.

— Brawo! zawołał starosta, przytomny waść jesteś mosanie Żdżarski, za powrotem z tej wyprawy nie minie waści nagroda.

Szlachcic uradowany ukłonił się staroście, a ten ruszył wraz z nim ku szpicy, kazał jej zejść ze wzgórza, a sam pieszo i długo przez lorynetę patrzał na wszystkie strony. Po chwili wrócił do nas ze wszystkimi, co byli na wzgórzu, a kiedy stanął przed frontem:

— Mości rotmistrzu! zawołał na pana Chlebowskiego. Słuchaj waszmość pilnie ordynansu mojego. Tam na prawo wyszedł już ze wsi oddział piechoty, z lewej zaś strony dąży ku niej konnica, zapewne z kasą, bo rozpoznać można jaszczyki w trzy konie, a dział nie widno. Ruszajże waszmość kłusem do wsi i stań w ordynku w ulicy, którą wchodzić mają. Skoro wytchnie czoło kołumny, uderzaj śmiało, ja tymczasem z chorągwią halicką obejdę na lewo i wpadnę na nich z tyłu. Jeszcze masz czas, jak miarkuję po odległości, stanąć przed nimi we wsi.

Po tym rozkazie ruszyła chorągiew pana Chlebowskiego, a pan starosta zawołał żyda i wypytywał go czy łąki, przez które iść mieliśmy, nie grząskie i czy zawady jakiej nie ma na nich...

— Jest rów jaśnie panie, ale na nim mostek stawiają przed sianokosami. Ja pojadę zobaczyć, czy go nie zdjęli.

I zaledwie to wyrzekł, zwrócił szkapę w kierunku łąki, i tłukł ją piętami, żeby pospieszyć.

— Zawierucha, jedź za nim, rzekł starosta.

— Na co on mi potrzebny? wołał żyd, co to ja oczów nie mam, żebym mostu nie widział?... niech jaśnie pan wrócić mu się każe...

— Ruszaj gałganie! krzyknął starosta, a Zawierucha skropił nahajką żydowską szkapę, i popędzili czwałem, a my kłusem dążyli za nimi.

Wyszedłszy na wzgórze, co górowało nad łąkami, widzieliśmy jak stali nad rowem. Żyd się często za się na las oglądał, potem coś ręką wskazywał Zawierusze na prawo, a kiedy ten zasłoniwszy ręką oczy od słońca, przypatrywał się wskazanemu przedmiotowi, żyd zwolna konia zwrócił, potem pokręcił go za ucho, a ta leniwa na pozór szkapa pomknęła z miejsca jak szalona. Na tętent kopyt odwrócił się Zawierucha, wyrwał pistolet z za pasa, palnął za żydem, a koń w pędzie kozła przewrócił.

Wydobywał się żydzisko z pod niego, ale Zawierucha już był tuż, mignął tylko szeroki kindżał kozaka, i żyd bez duszy leżał obok konia.

— Zdrada panowie! zawołał starosta. Za broń i stać w miejscu. I zaraz odwrócił się do mnie:

— Mości Dynowski, rzekł, weź waść z sobą czterech szeregowych i spiesz do pana Chlebowskiego, powiedz mu, co się tu święci; niech się ma na baczności.

Jeszczem z miejsca nie ruszył, kiedy huk wystrzałów i gwar we wsi przekonał nas, że pan Chlebowski już naciera. Spieszyłem więc do niego, i nie doszedłem do wsi, kiedy krzyki przeraźliwe wypadającego z lasu kozactwa rozległy się za mną...

Chwilę się zatrzymałem, widziałem, jak chmara tego pędziła na naszą chorągiew, jak pan Franciszek sprawiał ją, a starosta na siwo-jabłkowitym ogierze przejeżdżał się przed

szeregami, za nim dziesięciu dobranych kozaków, którzy go nigdy nie odstępowali, a którym przewodził Zawierucha.

Przedewszystkiem trzeba było spełnić dany mi rozkaz. To też pędem wpadłem do wsi; ale w niej już nie było ani pana Chlebowskiego, ani chorągwi. Rozbił on widno oddział któremu dowodził sam Apraxyn (poznałem to po trupach co leżały po ulicach), i popędził za nieprzyjacielem. Zastanowiłem się rozmyślając, jakby tu zawiadomić pana Chlebowskiego, a samemu wrócić co prędzej do swoich, kiedy z po za karczmy wysunął się jakiś szeregowy na koniu, obładowanym zdobyczą. Widno że kiedy chorągiew poszła w pogoń, on się został i obdzierał zabitych. Złajawszy go tedy porządnie, kazałem spieszyć do pana Chlebowskiego z uwiadomieniem o niebezpieczeństwie. Żeby się zaś zapewnić, że spełni moje zlecenie, zabrałem mu zdobycz, i obiecałem oddać, skoro się sprawi dobrze. Z kwaśną miną wypełnił mój rozkaz, a ja już wolny, co tchu dążyłem ku chorągwi.

Wyjechawszy ze wsi, ujrzałem wśród kurzawy migające szable i kopje, a gwar bitwy i wystrzały dochodziły do uszu moich. Nasi porozrywani na kupki, otoczeni przez kilka razy liczniejszego nieprzyjaciela, bili się desperacko. Dążyłem tedy ku nim, i upatrywałem kto najbardziej zagrożony i komuby nieść pomoc, i tak dojechałem do krzaków, za któremi stały luzaki z końmi podwodnemi. Było tam parę wierzchowców starosty, z których jednego trzymał kozaczek, młody chłopczyna. Dziwnie on pięknie grał na teorbanie i tańczył, to też go wojsko całe prawie znało, bo nieraz w obozie rozweselał ich spiewem swoim, a dla instrumentu na którym przygrywał, Bandurką go nazywali. Ów tedy

kozaczek, ujrzawszy mnie dążącego, poskoczył co tchu i wrzeszczał na całe gardło:

— Pane chorąży! pane chorąży! bat'ka naszego ubiją!... i wskazywał ręką za krzaki...

Dreszcz mnie przejął na te słowa.

— Za mną chłopcy! krzyknąłem na szeregowych.

I jak szaleni pędziliśmy przez krzaki, a Bandurka myśląc, że i do niego ta komenda stosuje się, spieszył za nami. Za krzakami była dolinka, na niej toczył się bój najsroższy. Dońce cisnęli się do koła, przeraźliwe ich okrzyki rozlegały się po polu, a wśród tego tłumu bujała biała kita przy sobolim kołpaku starosty, a w koło niej wiatr unosił żółte jełomy dziesięciu kozaków i Zawieruchy.

Na ten widok puściłem szablę na temblak, wyrwałem pistolety, i pocisnąwszy mego białonogę, z okrzykiem: wiara i wolność! uderzyłem w tę kupę... Dwóch zaraz padło od moich wystrzałów, z pięciu powaliły kule szeregowych, i cała czereda rozskoczyła się na to niespodziane natarcie, a ja ujrzałem starostę w chwili, kiedy siwy ogier jego przysiadł na zadzie, potem zachwiał się i upadł z jeźdzcem na polu.

Na ten widok Dońce wykrzyknęli:

— Urrah! pan Pułaski popał!

I natarli na powalonego. Ale już na ziemi przed panem stał Zawierucha, jednem cięciem szabli powalił on konia temu, co godził najpierwszy. Jeździeć z rozpędu przez łeb koniowi padł prawie w objęcia Zawieruchy, ten go ścisnął, Doniec tylko raz krzyknął i skonał w żylastych rękach Ukraińca.

Na ten widok odskoczyli Dońce, a potem jak szarańcza rozbiegli się po polu, bo pan Franciszek w kilkanaście koni spieszył na pomoc ojcu. Bój ustał na chwilę, a ja zwróciłem się do starosty, który z ciężkością wydobywał się z pod gniotącego go ciężaru. Dwóch kozaków zabitych leżało obok niego, z jednego z nich, pchniętego w piersi, obficie krew uchodziła. Starosta wsparł się w niej widno lewą ręką, bo kiedy się podniósł, dłoń cała krwią ściekała. Ależ nie było czasu do stracenia, bo kozactwo zbierało się na nowo. To też starosta nie zważając na to:

— Konia, Dynowski! na miłego Boga!... zawołał na mnie.

Zeskoczyłem z mego białonogi, chcąc mu go podać. Aliści jakby z pod ziemi ukazał się Bandurka i podał staroście ową klacz wilczatą, którą pan Kazimierz z Bałty przyprowadził, a którą w darze staroście przysłał był chan tatarski.

Ucieszył się starosta tą przytomnością Bandurki:

— Aha!... zawołał, i tyś tu chłopcze? No twój los zapewniony, dodał i wyciągnął rękę do szyi klaczy, chcąc ją pogłaskać nim siądzie. Ale ta przestraszywszy się skrwawionej ręki, rzuciła się w bok, chrapiąc i wspinając się jak świeca. Na próżnośmy ją uspokoić chcieli, rwała się, cofała i drżała jak liść, patrząc na przedmiot przestrachu. Aż kiedy starosta otarł rękę, dała wsiąść na siebie, i już do końca rozprawy nosiła go... A koniec był pomyślniejszy, niżeśmy się spodziewać mogli, bo nadciągnął nareszcie pan Chlebowski.

Kozactwo na ten widok cofnęło się do lasu, a pan Chlebowski, jakeśmy się dowiedzieli, nie tylko że rozbił oddział Apraxina, ale i kilkunastu niewolników przyprowadził, między nimi niejakiego Rassumowskiego, oficera od dragonii,

a co najlepsza, kasę, w której znalazło się 13.000 czerwonych złotych*). Dobrze to mówi łacińskie przysłowie: *belli et juris dubium eventum*, lada co nieraz stanowi o losie bitew, a ten znowu o losie narodów.

I nam też z początku dobrze szło wszystko; ależ na nieszczęście nie było jedności ani w działaniu, ani dobrej harmonji między dowódzcami. Konfederacje powstawały cząstkowo, to też i cząstkowo przytłumiane były. Rządy i w kraju i nad wojskiem z prawa należały do p. podkomorzego Rożańskiego i p. starosty Wareckiego, jako wybranych marszałków. Ależ magnatom nie bardzo do smaku była ta preponderancja drobnego szlachcica, jakim był pan Pułaski, zrobili też ligę pomiędzy sobą, żeby mu władzę obciąć. A Bóg świadkiem że niesłusznie, bo nie było w całej konfederacji człowieka z większą gotowością poświęcenia się dla kraju i swobód jego, jak nim był pan starosta. U niego hasło wiary i wolności nie było środkiem poruszenia innych a wyniesienia siebe, owszem zelant religijny, cały oddany sprawie publicznej, nie wiem czy kiedy pomyślał nawet co z nim, z jego mieniem lub rodziną się stanie. Surowość jego, ten przymiot konieczny dla wodza, nazywali oni chęcią poniżenia stanu magnackiego, nie jeden pomysł zuchwały celem nabycia sławy, kosztem krwi bratniej. Były to potwarze i wymysły; w rzeczy zaś chodziło im o to, żeby obok Krasińskiego postawić jakie wielkie imię, i dla tego forytowali na miejsce starosty, pana podczaszego litewskiego. Bo u nas

*) Wszystkie te szczegóły są prawdziwe, w rękopiśmie ówczesnym, w Bibl. Ossol. znajdujące się.

od najdawniejszych czasów możne rodziny dążyły do odróżnienia się od reszty szlachty. Za Piastów jeszcze, w jakiejś tam wojnie nie pomnę, nie poszła drobna szlachta w pomoc nienawistnym im baronom, to też wyginęli wszyscy.

Pomimo tej oznaki niechęci nie zmądrzały następne pokolenia, bo znowu za Jagiellonów otwarcie dążyli panowie do utworzenia osobnego stanu i piastowania dziedzicznego godności senatorskich. Ów sławny Jan Tarnowski, wychowany za granicą, przybywszy do kraju z tytułem granda hiszpańskiego, magnata węgierskiego i hrabi świętego państwa rzymskiego, był głową stronnictwa tego. Głośno objawiał zamiary swoje; to też zgromadzona szlachta pode Lwowem omal że go nie rozsiekała, i tylko ocalenie winien był ukryciu się w klasztorze OO. Franciszkanów. Tak też było i później za królów elekcyjnych, kiedy Zebrzydowscy wichrzyli. Tak było na nieszczęście i w konfederacji barskiej.

Długoby było opowiadać, przez jakie koleje przechodziliśmy, nimeśmy weszli w granice Wołoszczyzny. Miesiąc i więcej przesiedziałem przy chorym panu Franciszku a kiedy wydobrzał, dążyliśmy do Jass, gdzie się już pan starosta i stronnicy jego znajdowali. Uniwersały pana podkomorzego Rożańskiego i podczaszego litewskiego odejmowały mu wprawdzie władzę nad wojskiem. Czuli jednak ci panowie, że on był duszą w konjederacji; to też nastąpiło jakieś pojednanie między zwaśnionymi. Ale starosta do żywego dotknięty nieprzyjaźnym ich procederem względem siebie, tak to silnie uczuł, że odtąd słabować począł*). Powrót do

*) Historyczne.

zdrowia już opłakanego syna był pociechą dla strapionego ojca. Wszyscy trzej starościce byli na ten czas w Jassach, i z troskliwością prawdziwie synowską osładzali ojcu cierpienia.

Zawsze wieczorami schodziliśmy się wszyscy u starosty, a on wtedy rozwijał nam plany swoje, wytykał błędy, jakich się strzedz mieliśmy, a mowę najczęściej zwracał do pana Kazimierza, jakby przeczuwał, że on po nim przodować będzie w konfederacji. Nieraz z goryczą i dumą mówiąc o niewdzięczności kolegów swoich, za złe miał synom, że wydali manifest broniący sławy jego*).

— Cóż to wy sobie myślicie, mówił, że to w mocy tych panków odjąć mi to, w czem Bóg krajowi zasłużyć się pozwolił?,.. Ich że to pomysł konfederacja?... Im się to i nie śniło nawet, kiedy ja za nieboszczyka jeszcze króla przygotowywałem umysły braci szlachty i gromadziłem środki. Zaraz po wstąpieniu na tron Stanisława, kiedyśmy do domów wrócili z pola elekcji, któż to obu Krasińskich, i biskupa i podkomorzego nakłonił do propagowania konfederacji?... kto zawiązał stosunki i w Stambule i z chanem tatarskim... jeżeli nie ja!... A potem, czyżem się napraszał, żeby mnie marszałkiem związkowym wybrano?... Nie chciałżem tej władzy, jaką mi dał naród, złożyć w ręce wojewody wileńskiego?... Mam list jego, gdzie mnie zaklina na Boga, żebym nie opuszczał stopnia, na jakim mnie zaufanie współbraci postawiło... a czemże zgrzeszyłem na tym urzędzie moim?... Możem oszczędzał krwi własnej, albo dziatek moich?... Byłoż jedno spotkanie od początku konfederacji,

*) Historyczne.

w którymbym nie brał udziału... O! wiem ja, czego mi darować nie mogą. Oto żem karcił nieraz tych młodych paniczów, co to po swojej głowie robić chcieli, bez względu na moje rozkazy. Tego się nie wypieram wcale, bo mam to przekonanie żem postępował, jak mi obowiązek nakazywał...

Tu przestał starosta, chodził zamyślony po pokoju, a po chwili:

— O wszystkich innych zdania, mówił, nie dbam wcale, Ależ Krasińscy! Krasińscy!... zapomnieć tyloletnich stosunków przyjaźni, tych chwil poufnych, w których każden z nas w sercu drugiego mógł czytać jak w księdze otwartej. Zapomnieć i celów jednych i braterstwa w boju... O! to boli moi panowie, to boli!... mówił z żalem i chodził pogrążony w zadumaniu.

— Ależ oni temu nie winni, mówił znowu, uwiedli ich, namówili do kroku, którego żałowali potem. Dziesięć razy mi to powtarzał ustnie podkomorzy, a biskup na piśmie to wyraził. Do nich żalu nie mam i kocham ich jak tego warci. Co innego z panem podczaszym. Jemu się zdawało, że jak pan taki jak Potocki zechce zgody, to szlachcic będzie to sobie miał za szczęście... Mój Boże beczkę soli ze mną zjedli, a nie znali starego Pułaskiego! I choć podczaszy pierwszy krok zrobił, ja i słyszeć o tem nie chciałem, i gdyby nie pośrednictwo chana*) i przekonanie, że dobro publiczne tego wymaga nigdybym był na pojednanie z nim nie przystał. Podałem tedy dłoń do zgody i dotrzymam jej póki sprawy krajowe tego wymagać będą. Ależ w sercu pozostał żal, który ze śmiercią chyba ustanie...

*) Historyczne.

Każda taka rozmowa zły wpływ na zdrowie starosty wywierała. To też ile możności unikaliśmy wszelkiej aluzji do tego, ale okoliczności zawsze ją nasuwały, i zdrowie się pogorszało.

Cała już konfederacja znajdowała się na on czas na Wołoszczyźnie. Co było przedniejszych konfederatów, wszyscy odwiedzali starostę. Wielu mu radziło, żeby wydał manifest przeciwko panu podczaszemu i odwołał się do braci szlachty, ale nie chciał tego zrobić.

— Niech kto chce, mawiał on, przodkuje konfederacji, byle jedność była, to sprawa nasza nie upadnie.

A ta abnegacja ze strony starosty więcej mu serc jednała, niżby tego dokazały wszystkie manifesta.

Pobyt nasz na Wołoszczyźnie nie był zbyt przyjemny. Wołosi nie bardzo nam sprzyjali, bieda się czuć dawała, bo niespodziane wyjście nasze za granicę zastało nas po największej części ogołoconych z funduszów. Ci co się trzymali pana starosty i z nim weszli na Wołoszczyznę, żyli na jego sumpcie, co dzień stoły dla nich zastawiane były. Ależ i jego kasa nie była to studnia, i tam się też przebierać poczęło.

Jednego wieczora byliśmy sami domowi. Starosta zabierał się do spoczynku, a Zawierucha rozbierał go, kiedy wszedł pan Zbrożek. Starosta wypytywał go o sprawy dzienne, o konie czy zdrowe, o służbę czy się spokojnie zachowuje? A pan Zbrożek zdając mu relacyą, narzekał na drożyznę, na expens wielki, i radził oszczędzać się.

— Co waszmości w głowie, odrzekł starosta, albożmy to marcypany zjadamy czy co? Żyjemy jak żołnierze. Ale

żyć trzeba nie tylko nam ale i przyjaciołom naszym. Jeżeli uważasz, że jest czego nadto koło mnie, to wolno ci zmniejszyć, ale ujmować konieczny do życia kawałek chleba towarzyszom moich trudów, na to ja nie przystanę... Ale może już funduszów braknie?... spytał starosta.

— Jest ci tam jeszcze, JWny panie, mówił p. Zbrożek, ale na taki expens dłużej jak miesiąc nie pociągniem.

— O! to źle! to źle, mospanie, mówił patrząc w ziemię starosta, trzeba było zabrać całą kasę z Horbaszy... Ależ i to prawda, że mogła wpaść w ręce nieprzyjacielowi, a tam Schwarz jej pilnuje... No, nie ma rady, ozwał się po chwili przestanku, do domu dostać się niepodobna, a tu zgłodzić przyjaciół nie można. Mam srebra, klejnoty, pasy, trzeba je zastawić i czekać pomyślniejszej chwili. Jutro o tem pogadamy, mości łowczy, a teraz spokojnej nocy wam życzę.

I owinąwszy się w kołdrę, odwrócił się do ściany, a my wyszedłszy wypytywaliśmy się pana Zbrożka o radę, co tu dalej robić będzie.

Pan Zbrożek nam odrzekł, że starosta rachuje wiele na wierność Schwarza.

— Ale ja mu nie bardzo dowierzam, bo to łys, zyz, kuternoga; jeżeli się uda, to łaska pana Boga.

I w istocie ów Schwarz był i łysy i zyzowaty. Wuj jego, rodem z Prus, prowadził handel jakiś w Kamieńcu i miał stosunki z panem starostą, którego interesa załatwiał. Wsadził też na rachmistrza do starosty siostrzeńca swego, który wyuczył się u niego rachunkowości i rejestraturę prowadził. A kiedyśmy wyszli na konfederacją, i kasa przy nim została.

Był to Prusak bardzo akuratny, ale chytry, przebiegły, słodziutko mówił, a nigdy o sobie nie zapomniał. Pożyczał dworskim pieniędzy na zastawy i darł ich okrutnie na procentach, a wszystko to tak grzecznie, z taką uniżonością, że nikt się skarzyć o to nie chciał, ale go i nikt nie lubił. A że był mały, łysy, zyzowaty i kuso bardzo ubrany, to też go kozaki, a za nimi i dwór cały: *Ono dywo* nazywali.

Rozszedłszy się tedy po stancjach, nie jeden z nas rozmyślał, że może nadejść chwila, gdzie i kawałka chleba nie będzie, ażeby głód zaspokoić.

Na drugi dzień rano byliśmy u starosty. Kazał on zawołać Zawieruchę, żeby go ubierał. Ale napróżno szukali go wszędzie, nikt go znaleść nie mógł. Aż wkrótce oznajmiono staroście, że i konia i Zawieruchy nie ma w stajni, wyprowadził go widno w nocy i ruszył na nim światami...

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na staroście zrobiła ta wiadomość: chwilę patrzał przed siebie jak odurzony, potem zawołał z żalem:

— Myślałem, że pan tylko umie zdradzać przyjaźń, a tu widzę i prosty to człowiek potrafi... On! co mi życie winien i co mi je uratował, któregom kochał jak syna! co był piastunem dziecka mego! opuścić mnie dla tego, że mogę być w niedostatku!... O ludzie! ludzie! Bóg was stworzył na obraz i podobieństwo swoje, a czyny wasze zawstydziłyby szatana!

I głowę wsparłszy na rękach, długo w zamyśleniu pogrążony siedział.

Tymczasem coraz gorsze wieści dochodziły nas zewsząd. Pan starosta ~~Szczyżewski~~ donosił ze Stambułu, że intrygi

Szczerbiecki

dworu petersburskiego wielkie postępy robią w dywanie, i można się obawiać buntu janczarów, ztąd i chan tatarski stygnąć począł w dobrych swoich chęciach. Wołochy nam coraz nieprzyjaźniejsi byli, z kraju dochodziły nas wieści, że wszędzie się zawiązują konfederacje, ale byt ich nie długo trwały. Wszystko to niepokoiło naczelników, to też wszyscy bez wyjątku schodzili się w mieszkaniu starosty i rady jego zasięgali, a on im zalecał wytrwałość i zgodę, i sam tego przykład dawał, przyjmując u siebie przeciwników swoich.

Nieprzyjaźne usposobienie Wołochów nakazywało nam ostrożność i pilne baczenie na wszystko; to też szczególniej strzeżone było mieszkanie starosty. Był to stary monaster gmach wielki, murem w około obwiedziony; w nim pryncypalne pokoje zajmował starosta, my zaś mieściliśmy się po celach, dawniej przez czerńców zamieszkałych. Monaster ów był na uboczy, tem bardziej mógł być na napad jaki wystawiony; to też co wieczór bramy starannie zamykane były, i straż jedna na bramie, gdzie była kordegarda, inne po rogach gmachu przechadzały się; na dole zaś był odwach, gdzie kilkunastu żołnierzy i jeden oficer wartę trzymali.

Noc była mroźna, zawieja na dworze okrutna. Starosta zdrowszy nieco, przyjmował w dniu tym dużo osób. Po kolacji zasiadł w swoim pokoju koło komina, a pan Franciszek czytał na głos listy nadeszłe z Bakczyseraju; my zaś wszyscy w milczeniu słuchaliśmy nowin tam zamieszczonych, kiedy dzwon w bramie ozwał się raptownie, i oznajmił nam, że ktoś nowy przybywa. Pan Kazimierz wyszedł dać rozkaz żeby wybadano nowo przybyłego, a po chwili jeden ze

straży doniósł, że ile w nocy rozpoznać można, przybyły jest kozak dworski, zapewne z listem.

— Wpuścić go, odrzekł krótko pan Kazimierz a my niecierpliwie wyglądaliśmy nowin...

Niedługo jakiś ruch niezwykły w przedpokoju i szmer podziwienia zwrócił naszą uwagę... Potem drzwi się rozwarły, a w nich śniegiem osypany stanął Zawierucha...

Na ten widok zerwał się starosta z krzesła, a my wszyscy z miejsc naszych.

— Zawieruchó! synu mój! zawołał, wyciągając ręce do kozaka, a ten upadł mu do nóg i płakał jak dziecko.

Podniósł go starosta.

— Gdzie ty się podziewał? pytał skwapliwie.

— Ja był w Horbaszy, odrzekł zapytany.

— W Horbaszy, a po co?..

— Po czerwieńce dla was bat'ku, odrzekł spokojnie Zawierucha, a starosta chwilę patrzał na niego z widocznem rozrzewnieniem, a potem odwracając się do nas:

— A jam go posądzał, mówił z żalem, Boże odpuść mi! dodał i w piersi się uderzył.

Potem usiadł, a my zdziwieni i ciekawi, otoczyliśmy Zawieruchę, stojącego przy krześle starosty.

— No gadajże, pytał starosta, jak ty do domu dojechał, i jakeś dostał pieniędzy, nie mając pisma odemnie?...

— Ot bat'ku, jechał ja nocami, lasami, i piątego jakoś dnia, ot tak weczerom był ja już w Horbaszy. Nichto mnie ne widił w seli, i żynki nawet nie baczyw, tolko konia w sadzie uwiązał, i szedł do oficyny, tam gdzie kasa wasza. Uwidał ja czerez okno, szo toj Nemec Schwarz wprzódy

pisaw i pisaw, a potym zelaznu skryniu, toju to co my ją do Dubna wozili, otworył, i czohoś tam szukał. Win tyłem do drzwi stojał, a ja po tycheńku otworył je i wszeł do izby... Odwernoł się Nemec, *Herr Jesus!* kryknął, a ja mu rukoju pokazaw, szoby po tychońku gadał, a on zaraz do mnie w rozhowory, a zkąd ja? a gdzie wy? a po co ja przyjechał? Tak ja jemu rozkazuju, szo wy tu w Jassach, szo u was diennioch mało, a on się zadumał bardzo, potem Bohem świadczył się, jak diennioch dat ne może, bo i seła wasze i diengi wasze, wsie na skarb korola zabiorą.

— Szo wam korol pane Schwarz?... skazaw ja jemu, my w Horbaszy ne w Warszawi, a tu pan i korol nasz bat'ko starosta, tak, dawajtie diengi, pane Schwarz.

— Klenu się duszu szto dat ne mohu! mówił Schwarz i chadił po izbie, a ja mu rozkazuju, szo u was bieda skoro bude, szo i wy i towarysze propadiot i z gołodu, kada on diengów nie da.

— Nie mogu! nie mogu! wołał toj czort, i chadił wsio i ruki łamał a potem odwernuł się, szoby skryniu zamknuł, a ja podumał troche... ha! perechristił sia, kindżał wychwytił:

— Propadaj wraże! jam skryknuł, a Schwarz upał na zemlu... i ne wstał.

— Zabiłeś go?... zawołał zrywając się starosta, a my wszyscy cofnęliśmy się zadziwieni i zgrozą przejęci; kozak zaś spojrzał na nas, potem na starostę:

— Szosz bułło diałat, bat'ku, odrzekł, Schwarz diengów dat nie chcił, u was ich nie było, to ja jeho ubył; w skryni wziął dziesiet sinych mieszków z czerwieńcami, potem dwery

zaper, mieszki w sakwy owinuł, na koń wsiał, taj do was ruszył!...

Tu się pochylił, pocałował starostę w kolana i wyciągnąwszy z za pasa klucz od kasy, położył go na stole przed starostą, który patrzał z podziwieniem na Zawieruchę, a potem odwracając się do nas:

— Co tu na to powiedzieć, moi panowie?... zapytał; nad wszelkie względy przeważyło w nim przywiązanie do mnie, i ja go mam potępiać? Ot lepiej każę odprawić nabożeństwo za duszę Schwarza, a z nim się nie rozstanę do śmierci.

Tak tedy poświęcenie Zawieruchy zapewniło nam utrzymanie przez czas pobytu naszego na Wołoszczyźnie, a dla panów zrozumiałem teraz będzie to, com o Zawierusze powiedział: że nie wiele dbając o własne życie za nic ma cudze, kiedy chodzi o dopełnienie włożonego na niego obowiązku...

Tu pokręcił wąsa stary konfederat, nadstawił wypróżniony kieliszek:

— No wypijmy zdrowie Zawieruchy, mówił, bo wart tego.

Podnieśliśmy nasze do góry.

— Niech żyje Zawierucha i jemu podobni! wykrzyknęliśmy i wypili do dna, a pan Dynowski patrząc na nas zdziwionych tym czynem Zawieruchy:

— Tacy to moi panowie, mówił on, byli słudzy dawniej, ależ bo i panów takich jak nieboszczyk starosta nie wiele napotkać można. Był on surowy, wymagający akuratności, ale litościwy, pamiętny o każdej potrzebie tych co w usługach jego byli, każdego na człowieka wykierował, i nie

tylko zapewnił kawałek chleba, ale i o dzieciach jeszcze pamiętał; to też jak ojca kochali go wszyscy, i kiedy prosty człowiek jak Zawierucha, zdolny był takiego poświęcenia, to łatwo pojmiecie panowie, na co my szlachta gotowiśmy byli narazić się dla niego.

Z boleścią też widzieliśmy, że coraz na zdrowiu upadał, i że starania i leki nie wiele mu ulgi przynosiły. Różnie ludzie o tej jego niemocy mówili, nie jedno posądzenie krążyło w kole przyjaciół starosty, ależ ja com go na chwilę nie odstępował, zaręczyć mogę, że nikt z ludzi, zbrodnicze zamiary mających, nie miał do niego przystępu, a każde lekarstwo, których nie wiele używał, bez wiedzy jego przez próbę przechodziło.

Ależ się Bogu widno podobało powołać go do chwały swojej; bo już ku wiośnie gasł widocznie jak lampa. Nigdy się on nie skarżył, przytomność go nie opuszczała, nigdy się nie położył, tylko w krześle siedział, i jakby przeczuwał bliski koniec, nie chciał tracić chwil drogich, mówił ciągle o sprawach publicznych i rady synom dawał, z których wszyscyśmy korzystali; bo co tylko było znamienitszych konfederatów, to wszystko cisnęło się koło umierającego.

Nareszcie pierwszych już dni marca spowiadał się i oleje św. przyjmował, potem dyktował testament w obec sześciu wybranych świadków, gdzie wszystkich obdarzył; narzeszcie pobłogosławił synów, zalecał im jedność, pomoc dla sióstr i pamięć na przysięgę w Czerniakowie wykonaną*), a potem i sam zmęczony i nie chcąc rozrzewniać synów, kazał im

*) Historyczne.

pójść na spoczynek, i pozostał tylko ze mną, kapelanem, który pacierze odmawiał, i Zawieruchą, który stał przy drzwiach i płakał jak dziecko.

Usiadłem koło krzesła jego, patrzałem na tę twarz wspaniałą, teraz już zmienioną. Wsparł on głowę o wysokie poręcze krzesła i usnął... a ja gorzkie łzy wylewając modliłem się za spokój duszy jego.

Raptem chwycił silnie za poręcz krzesła, i przez sen widno zawołał:

— Konia, Dynowski! na miłego Boga!

Zerwaliśmy się wszyscy, a starosta oczy otworzył, patrzał na nas swobodnie, potem ręką po czole pociągnął.

— Śniło mi się, że byłem w bitwie pod Ułanowem, że ty mi konia podajesz, że Zawierucha mnie broni, że dosiadłem Zezuli, i gonię nieprzyjaciela... a tu nic z tego, mówił, rozglądając się; ciasne ściany komnaty zamiast szerokiego pola, ja złamany chorobą zamiast pełnego siły wojownika... i śmierć na łożu boleści zamiast pola bitwy... O! nie takiego ja się zgonu spodziewałem! mówił wzdychając, ale kiedy się tak Bogu podobało, z pokorą przyjmuję wyroki jego.

Opuścił głowę na piersi, chwilę zamyślony siedział, a potem patrząc znowu na nas, dał znak ręką. Zbliżyliśmy się do niego.

— No, ostatni to sen mój, mówił, ostatnie wspomnienie żołnierza, chcę, żeby utkwiło w pamięci waszej... Ty przyjacielu, mówił do mnie, weź Zezulę, niech cię nosi śród bojów, a ile razy dosiędziesz jej, wspomnij o mnie. Tobie księże, mój relikwiarz daję, módl się na nim za spokój

duszy mojej... a tobie synu?... rzekł patrząc na Zawieruchę, cóż tobie? zapytał.

Chwilę myślał, potem odpiął bogatą szpinkę od koszuli.

— Tobie ta szpinka, rzekł, ty i ona nigdy mnie nie odstępowali, o! tobie nic nie zalecam, bo ty mnie nie zapomnisz!...

A kozak szlochając upadł na kolana przed starostą, i rękę jego ucałował.

Cała ta scena wyczerpała widno resztę sił jego. Zbliżał się koniec, sam to widno uczuł, bo raptownie zawołał: świecy, świecy! i rękę wyciągnął; a kiedy mu ją podano, wyjął szkaplerz, i z uniesieniem religijnem patrząc na krzyż na nim wyszyty:

— Tobie Panie, mówił, polecam duszę moją i tę sprawę, której służyłem do śmierci.

Potem pochylił się, świeca z ręki wypadła, a on się wyciągnął... i skonał.

Co było żalu po jego śmierci, wypowiedzieć tego nie umiem; nawet oponenci jego przyznali, że on był duszą konfederacji, ze czcią też i łzami, oddali mu ostatnią posługę, a ja całe przywiązanie jakie miałem dla nieboszczyka, przeniosłem na synów, to też przez ciąg konfederacji nieodstępny im byłem.

Pamięć starosty stała się dla mnie aktem wiary, wszystko co mi go przypominało, skarbem nieocenionym; łatwo więc pojmiecie panowie, jakie staranie miałem o Zezuli, tej ostatniej pamiątce umierającego; żałowałem tylko, że to dar nie wieczno trwały jak te, co odebrali ksiądz i Zawierucha, że

kiedyś i jej koniec przyjdzie, albo wypadek może mnie pozbawić pamiątki, którą tak wysoko ceniłem.

Nieraz mi przyszło oddalać się do Jass za zleceniami pp. Pułaskich. Wtedy oddawałem Zezulę opiece Zawieruchy, który w czasie mojej nieobecności pilnował jej jak oka w głowie.

We dwa miesiące jakoś po śmierci starosty wracałem do Jass, po dwutygodniowej niebytności. Było to pierwszych dni maja, czas prześliczny, ja jakiś weselszy, jakby w harmonii z tą odmładzającą się naturą. Zbliżałem się do monasteru gdzieśmy zawsze kwaterowali, i w bramie ujrzałem Zawieruchę; stał on z założonemi rękoma i patrzał na drogę, jakby mego powrotu wyglądał. Dojechawszy powitałem go, i pytałem zaraz o nowiny.

— Wsio dobre, odrzekł, gościa mamy.

— Kogo? pytałem zsiadając z konia.

— Pokażu go wam, mówił, wziął mego białonogę za cugle i szedł naprzód, a ja za nim.

Weszliśmy do stajni; w samym jej środku na widoku była klatka szeroka, żerdziami obwiedziona, w niej stała Zezula, która zarżała spostrzegłszy mnie, a obok niej cudnie piękne łoszę wilczate, ogon i grzywa czarna, kula w kulę Zezula, z tą różnicą, że na szyi z lewej strony miało znamię czerwone, wyraźnie dłoń z pięciu palcami, właśnie w miejscu gdzie matkę jej dotknął pod Ułanowem starosta zakrwawioną ręką...

Jakiego uczucia doznałem na ten widok, wypowiedzieć tego panom nie umiem. Uradowany całowałem klacz i jej małe; pieściłem go jak dziecię, przyzwyczajałem do pójła

i obroczku, karmiłem chlebem i cukrem, a ono tak się do mnie przywiązało, że jak piesek biegało w ślad za mną.

Nie długo potem weszliśmy znów zbrojno na Podole i Ukrainę. W przechodzie byłem na parę dni w futorze, darowanym mi przez starostę. Osadziłem w nim krewniaka z żoną i dziatkami, żeby gospodarował w mojej niebytności, i pożegnawszy obie Zezule, matkę i córkę, ruszyłem w świat. Wiadomo panom że lat prawie pięć trwała konfederacja. Przez cały ten czas byłem nieodstępnym pana Franciszka, a po jego zgonie, pana Kazimierza towarzyszem, biłem się w górach sanockich, i przy wzięciu Krakowa i w oblężeniu Częstochowy, aż kiedy wszystkie nadzieje skutecznego oporu znikły i konfederaci weszli do Węgier, wtedy z bolem serca pożegnałem pana Kazimierza i towarzyszy.

Z pomocą przyjaciół domu Pułaskich otrzymałem przebaczenie od króla, i wróciłem do mojej zagrody. Po tylu latach włóczęgi, po tylu przygodach różnego rodzaju miło było spocząć pod własną strzechą, tem bardziej, żem wszystko zastał nietylko zachowane, ale ulepszone; bo kiedy ja biłem się po świecie, poczciwy krewniak pobudował to, czego brakowało, ponasadzał tam, gdzie dawniej goło było: słowem w miejscu opuszczonego niegdyś kawałka ziemi, zastałem porządną szlachetczyznę, inwentarz piękny, pasiekę liczną i stert kilka, a nawet i sepecik spory na przypadek nieurodzaju lub tanizny.

Już było ciemno, kiedym stanął w domu. Po witaniach, uściśnieniach i płaczu kobiet i dzieci, krewniak mój zdawał mi sprawę z ulepszeń jakie porobił. Słuchałem go jednem uchem, i zaraz o Zezulę pytałem.

— Zdrowa, zdrowa, mówił uśmiechając się, jutro ją zobaczysz, a ja jakby o kochance myśląc o Zezuli, udałem się do spoczynku.

Jakżem niecierpliwie czekał rana! bo komu się zdarzyło po latach trudów i niebezpieczeństw wrócić do domowej zagrody, ten tylko pojmie, co to za rozkosz te pierwsze chwile spędzone we własnym domku, ta pewność spokojnego, wiejskiego życia, zamiast ciągłej czujności i nocy bezsennych. Bo jeżeli życia pełnego ruchu i przygód żądny umysł młody, gdyby nie z innych powodów, to jako sprzeczne przeciwstawienie, i spokój domowy ma swoje powaby.

Zasnąłem tedy, a umysł nawykły do gwaru wojennego i we śnie przedstawiał mi jakiś napad nocny. Już przednie straże strzelały, już trąby zagrały do koła, potem zdało mi się słyszeć silny głos starosty, który wołał: na koń! Dynowski, na koń!... Wtedy zerwałem się na posłaniu... patrzałem niespokojny w ciemności, nie mogąc chwilowo zdać sobie sprawy gdzie ja jestem; ależ miasto gwaru cisza była w około; tylko od strony sadu przerywał ją wesoły śpiew słowika, co zawodził nad wodą.

— A więc ja nie w obozie, pomyślałem, i to moja chata, dzięki tobie mój panie i dobroczyńco!... niech więc i pierwsze modły moje będą za ciebie!...

I przeżegnawszy się gorąco modliłem się za spokój duszy starosty, a potem swobodniejszy zasnąłem twardo.

Kiedym się zbudził, słońce już było wysoko. Ranniejszy odemnie, wszedł zaraz mój krewniak, wypytał jakem noc przepędził, nakarmił, napoił, a potem wyszliśmy na ganek.

Rozglądałem się do koła, bo dużo rzeczy przybyło: na prawo spichlerzyk, któregom nie znał; na lewo stajenka z tartego drzewa; stary lamusik miał nowy daszek gontowy; wysoki parkan otarniony, w nim brama pokryta, i studnia nowa i gołębnik malowany. Wszystko to było schludne, starannie postawione. Nie ukrywałem też podziwu mego, i serdecznie uściskałem poczciwego krewniaka; a on chcąc od razu pokazać wszystko co przysporzył, kazał wypędzić inwentarz. I szło porykujące siwe bydełko, potem kudłate owieczki przeciągłem beczeniem zwoływały jagnięta swoje, mnóstwo wszelkiego rodzaju drobiu różnemi głosami radowało się i biegło do wody. Przypatrywałem się temu, i znowu dziękowałem serdecznie poczciwej gosposi.

— Ależ Zezula! Zezula! zawołałem, odwracając się do jej męża.

— To już na waletę, odrzekł, służę ci.

I furtką prowadził mnie przez ogród, gdzie młode szczepy zastąpiły spruchniałe stare grusze i jabłonie; za ogrodem była łączka, żerdzianym płotem obrzucona, środkiem jej płynęła woda, po bokach zaś gęste krzaki. Kiedyśmy na niej stanęli, ktoś palnął z bata, w krzakach rozległ się tentent i wysunęła z zarośli najprzód Zezula, mężniejsza, poważniejsza, jakem ją odjechał; za nią czteroletnia jej córka, wysmukła, wesoła, w kilku skokach wyprzedziła matkę, potem źrebiec dwulatek, niesformowany, niezgrabny jeszcze, ale bundiuczny z wyniosłą szyjką i z łebkiem do góry, nareszcie młode łoszę, z ogónkiem jak kitka kłusowało krocząc z góry, i podrzucając to przodem to zadem; a wszystko

wilczate jak Zezula, z czarnemi pręgami jak ona, a z krwawą dłonią jak najstarsza siostra.

Nie posiadałem się z radości na ten widok i pomyślałem zaraz, że dar starosty nie zaginie jak nie giną rodziny, co się odradzają w dzieciach.

— Cóż jeszcze dodam, mówił po przestanku p. Dynowski, oto, że po Zezuli dochowałem się całego stada; klaczki zostawiam dla siebie, a źrebce, z małym wyjątkiem, sprzedaję suto, i nie jedno dziś wielkie stado jak Sławuckie, Proskurów, i Kurdywanowskich pomięszało się ze krwią Zezuli. Nie jeden syn jej uganiał za nieprzyjacielem, bo miał odemnie konia i Madaliński i książę Józef i Włodzimierz Potocki...

Tak tedy dar starosty przechował się do dziś dnia i jeszcze kiedyś za trumną moją pójdzie Zezula i odprowadzi mnie na wieczny spoczynek.

Zamyślił się stary konfederat, a my chcąc przerwać dumanie jego, wnosiliśmy zdrowia różne. W końcu pytałem go, czybym i ja nie mógł dostać jednego potomka Zezuli?

— Jak wrócę do domu, doniosę panu o tem, odrzekł z uśmiechem, a potem spojrzał w okno.

— Już dnieje, mówił, panom trzeba wypocząć, a mnie w drogę. I kazał przyprowadzić konie.

Słońce właśnie wschodziło, kiedy już Zezula stała przed gankiem. Oba z panem Jakóbem przypatrywaliśmy się jej dziwnej odmianie na szyi; potem dużym kielichem piliśmy wszyscy strzemienne, nie wyłączając kozaka, i żegnaliśmy pana Dynowskiego z prawdziwym żalem. A on siedząc już na koniu, popatrzył na mnie z rozrzewnieniem:

— Niech was Bóg strzeże i błogosławi! zawołał żegnając mnie, bo wy krew konfederatów, i ruszył w całym pędzie konia.

Po odjeździe jego częstośmy z panem Jakóbem rozmawiali o nim. Zrobił on śliczną akwarelę, gdzie przedstawiony był Dynowski, jak po powrocie z wojny ogląda Zezulę i jej potomstwo, a pracę tę przeznaczał pan Jakób dla starego konfederata.

Wkrótce zdarzyła mi się sposobność, przesłać mu ją, bo w rok jakoś, wróciwszy do domu po długiej niebytności, dowiedziałem się, że pan Dynowski przechodząc znowu ze swoim taborem, wstępował do mnie. Zostawił on źrebca wilczatego, nacechowanego jak cały ród ten, przy liście, w którym prosił mnie, żebym wnuka Zezuli przyjął od niego w darze i żeby mi służył jak niegdyś Zezula staroście Wareckiemu, i przypominał przytem obietnicę: że kiedyś opowiadania jego światu będą znane.

Nie długo potem zadosyć się stało pierwszemu życzeniu starego konfederata: bo niespełna w półtora roku prawnuk Zezuli, jak jego przodkowie, był na polu bitwy, tylko że nie nosił sławnego wojaka, jakim był starosta Warecki, a dużo później wprawdzie, bo dopiero we dwadzieścia i kilka lat dopełniam drugiego życzenia, spisując opowiadanie jego.

Takiemi to powieściami przeszłości karmiła się młodość moja: nie dziw więc, że w dojrzałym wieku, jej tylko pióro moje poświęcam.

Obrazek drugi.

PAN MARSZAŁEK ŁOMŻYŃSKI.

(Kazimierz Pułaski.)

Czasy Augustowskie, jakkolwiek błogiemi zwane przez współczesnych, były istną plagą dla Polski; za Augustów to, obyczaje cudzoziemskie i pojęcia obce pierwszy raz wcisnęły się do nas. Magnaci, co dawniej synów wysyłali za granicę dla kształcenia się w naukach, albo sztuce wojowania, za Sasów sami często przebywali w Dreźnie lub Paryżu, gdzie ich nęciły albo zalotne uczty Augusta II, albo rozpustne bachanalje rejenta Francji, i gdzie obyczaj i strój obcy przyjmowali.

I płeć piękna naśladowała chciwie obce obejście i zepsucie. Znana była dawniej cnota kobiet polskich, to też jedynie w naszej historji nie ma śladu, żeby dama wysokiego rodu przyjęła tytuł faworyty panującego; a jeżeli były zabiegi ze strony królów naszych pozyskania serca jakiej szlachcianki, to stosunek ten kończył się albo małżeństwem, jak Pileckiej z Władysławem Jagiellą, Radziwiłłówny z Zygmuntem Augustem, albo nawet odmową ręki dla dobra kraju, jaką dała Tęczyńska temuż Zygmuntowi. Były wprawdzie znane faworyty Monarchów naszych, ale te zwały się Estera, Giżanka, Mejerin, ale nie polskie szlachcianki.

Za Augusta IIgo widzimy po raz pierwszy, że damy znakomite urodzeniem ubiegały się o względy zalotnego monarchy. Zepsucie tedy szło z góry, a choć się nie objawiło zaraz między drobniejszą szlachtą, to niemniej oswajało ją z wpływem obcym; patrzała ona obojętnie, że wojsko było autoramentu cudzoziemskiego, że tacy jak Brühl i Fleming doradzcami królewskimi, że szafowano indygenatem polskim dla nie-krajowców, i rozdawano im starostwa i dzierżawy, ten chleb dobrze zasłużonych. Jakaś dziwna apatja ogarnęła była cały naród, i słusznie ktoś powiedział, że August pił, a Polska pijaną była. O! zaprawdę musiała ona być w tym stanie otrętwienia, kiedy pozwalała obcym rządzić i buszować po kraju! Nie jeden magnat nadworną milicją mógł był odeprzeć obce wtargnienia, a przecież było wówczas rzeczą zwyczajną, widzieć nie tylko wojska całe, ale drobne oddziały Tatarów, Moskali, Szwedów i Hajdamaków włóczące się po kraju. Od czasu Jana Kazimierza nawykła szlachta widzieć groźne wtargnienia obce, a potem raptowny ich odwrót i często porażkę; ztąd też powstało przysłowie, że Polska to dom zajezdny, gdzie nikt długo nie popasa.

Z tego założenia możnaby wnosić, że szlachta polska długim pokojem, szczególnie za Augusta IIIgo uspiona, zniewieściała, że obcą jej była odwaga ojców i uczucie poświęcenia, że wiecznie z kielichem w ręku zapomniała o szabli. Inaczej jednak było. Wśród tych biesiad hucznych, wśród tych zwad domowych objawiało się właśnie męztwo do szaleństwa nieraz posuwane; mało gdzie napotkać można było szlachcica bez kresy na głowie lub twarzy, rzadko takiego, coby nie dosiadł najniesforniejszego konia, lub z oszczepem

nie uderzył na niedźwiedzia. I czegóżby tacy ludzie dokazać nie byli w stanie, gdyby oceniali położenie swoje i gdyby jedność była między nimi..... ale tej właśnie brakowało zawsze w Polsce, a szczególnie za panowania obu Sasów. Dawniej wprawdzie pojedyńczy magnaci wichrzyli, jak Lubomirski, Zebrzydowski, Kmita, ale naród stał przy królu i buntownicy ukorzyć się w końcu musieli; za Augusta dopiero cały naród podzielił się na dwie fakcje, jedną, którą zwano partją familji, na której czele stali trzej książęta Czartoryscy i szwagier ich Poniatowski, i ta miała dążności rojalistowskie; drugiej przewodzili Radziwiłłowie i Potoccy, i ta chciała nietknięte utrzymać przywileje szlachty i formę rządu republikancką z monarchą elekcyjnym. Tak więc różne były dążenia obu tych stronnictw, że zgoda stała się niepodobną, a król łagodny, ociężały i spokój przedewszystkiem miłujący, nie miał dość energji, żeby powagą swoją nakazać milczenie zwaśnionym, i wolę swoją poważną uczynić. Bodźcem partji familji była prywata, a u przeciwników nie pojmujących istotnych potrzeb kraju, obrażona duma kierowała czynnościami; tak rozdzielona chyliła się też Rzeczpospolita do upadku, a postronni widząc to konanie wyciągali już ręce po łatwą zdobycz.

Było wprawdzie w Polsce nieliczne stronnictwo, co widziało i grożące niebezpieczeństwo, i coraz zgubniejszy wpływ północy, a niemoc wewnętrzną kraju; ależ ten odcień za Augustów był tak mały, że ledwie nie na palcach można było policzyć przedniejszych jego członków. Najczynniejszymi z nich byli dwaj bracia Krasińscy i Józef Pułaski; nie widziano ich też ani na hucznych biesiadach panów stronni-

ctwa republikańskiego, ani na recepcjach na sposób cudzoziemski u Czartoryskich, a tem mniej u posła rosyjskiego, który przy końcu nieszczęśliwych rządów Augusta IIIgo, jakby prokonsul jaki w podbitym kraju, prawa dyktował.

Piotr Wielki pierwszym był z monarchów rosyjskich, co czynnie zaczął wpływać na sprawy Polski, broniąc praw Augusta II. Następczynie jego Anna i Elżbieta starały się ten wpływ utrzymać i sił swoich próbowały forytując na Księstwo Kurlandzkie, to Fryderyka na Lauenburgu, to znowu zezwalając na wybór syna Augusta IIIgo, a w końcu narzucając siłą wygnanego Birona; a kiedy ta próba im się powiodła, to już Piotr III w traktacie zawartym z królem pruskim, warował sobie wolne rozrządzanie Kurlandją, a obaj za wspólnem porozumieniem mieli osadzić na tronie polskim, po śmierci Augusta, kreaturę swoją. Katarzyna II dalej posunęła roszczenia swoje; bo nie długo przed śmiercią Augusta IIIgo żądała od niego sprawozdania z rządów jego nad Polską, a to jak się wyrażała, jako protektorka swobód Rzeczypospolitej.

Łatwo więc pojąć, jakiej powagi używał reprezentant monarchini, co tak stanowczo objawiała wolę swoją. Wyniesienie na tron Poniatowskiego, siostrzeńca Czartoryskich, przeważyło szalę zwycięztwa na ich stronę; to też przeciwnicy ich zaczęli się zbliżać do Krasińskich i Pułaskiego, jako ludzi, których założeniem było siłą odeprzeć roszczenia obce. Stanisław August wpływem rosyjskim dopiąwszy najwyższej władzy, był ślepem narzędziem w ręku posła rosyjskiego; każde jego wymaganie było prawem dla niedołężnego króla,

którego stronnicy dopomagali ambasadorowi w odkryciu ludzi nieprzychylnych nowemu porządkowi rzeczy.

Dziwnie trafnie wybrała Katarzyna reprezentanta swego w Polsce; zrozumiała ona, że w tym stanie odrętwienia w jakim była Rzeczpospolita, każdy krok zuchwały uda się i strachem przejmie zwątpiałe i pobałamucone umysły; dla tego na rozkazodawcę w imieniu swojem przysłała Repnina, człowieka dumnego, zuchwałego, żadnego innego prawa prócz woli swojej monarchini nie znającego. Nie pojmował on oporu jej rozkazom, czy wprost, czy przez usta jej ambasadora objawionym; z niesłychaną wzgardą traktował króla i panów zbliżających się do niego; nieobecność na salonach ambasadora, gdzie wielu za honor poczytywało sobie uśmiech przelotny albo łaskawe słówko z ust reprezentanta potężnej monarchini, uważał on za opozycją, za bunt istny, i stanowiło to *malam notam* dla nieobecnego; a że w nich nigdy nie widział ani Krasińskich, ani Puławskiego, czekał więc tylko chwili, żeby im dać uczuć gniew swój.

Traf nasunął mu sposobność po temu; zbierał się właśnie sejm, równie bezowocny jak prawie wszystkie w tych nieszczęsnych czasach; a kiedy przedwstępne narady się odbywały, Repnin zawezwał do siebie zgromadzone stany, żeby się znieść z niemi w imieniu swojej monarchini; i ten poważny Senat, ci reprezentanci stanu rycerskiego, tak dbałego o godność swoją i przywileje, szli teraz na wezwanie obcego posła, żeby w formie wprawdzie grzecznej usłyszeć rozkazy sąsiedniej z nimi władczyni, a pomiędzy nimi był Józef Pułaski, starosta Warecki a poseł z powiatu Brańskiego.

Nie daleko od zamku było mieszkanie Repnina; pieszo tedy udali się wezwani, a kiedy weszli na dziedziniec, ujrzeli posła rosyjskiego w gronie jenerałów swoich i stronników królewskich wesoło rozmawiającego. Skoro ich spostrzegł zbliżających się, wyraz dumy wystąpił na twarz jego, i wlepiwszy przenikliwy wzrok w idących, stał nieruchomy....

Kto raz obierze drogę uległości, ten trudno żeby się na niej zatrzymał; to też najstarsi wiekiem i co najpierwsi senatorowie, idący na przedzie, witając dumnego posła, zdjęli kołpaki; młodsi, czy nie chcąc się różnić od nich, czy może także z obawy złych skutków, toż samo uczynili; słowem całe to poważne grono stało z odkrytemi głowami przed Repninem, który lekkim ukłonem odpowiedział na ich powitanie, nie zdejmując kapelusza. Raptem namarszczył on brwi, wyraz gniewu wystąpił na twarz jego, bo wśród tego tłumu pochylonych ujrzał jedną postać wzniosłą, jedną głowę nakrytą i harde spojrzenie wlepione w niego; wniósł on zaraz, że ta mało-znacząca na pozór opozycja, może wpływ zgubny wywrzeć na jego despotyczne zamiary, i ośmielić wielu trwożliwych; a kiedy jeszcze ktoś mu szepnął, że to Pułaski, ów znany mu dawno oponent, uniósł się gniewem, i wskazując na niego ręką:

— Mości panie! — zawołał — jak waćpan śmiesz stać z nakrytą głową przedemną, który jestem reprezentantem najjaśniejszej imperatorowej?

— Wiem przed kim stoję — odrzekł spokojnie Pułaski — ale xiąże może nie wiesz, że ja także jestem reprezentantem tysiąca szlachty, co wolnemi głosami posłem mnie swoim obrała.

Na tę śmiałą odpowiedź, szmer zadowolenia rozszedł się w gronie Izby poselskiej, nie jedna czapka okryła głowę, nie jedna dłoń chwytała za karabelę; zaczęto się kupić koło Pułaskiego, a ta niespodziana manifestacja do najwyższego stopnia rozgniewała popędliwego Repnina, to też postępując nieco naprzód do Pułaskiego:

— Wiesz waćpan, na co się narażasz? — wykrzyknął.

— Prawnie na nic — odrzekł spokojnie zapytany — bo mnie strzeże nietykalny charakter posła wolnego narodu, a gdyby gwałtu się na mnie dopuścić chciano, będę się bronił, przestrzegam.

Ze wstydem przyznać trzeba, że pierwszy raz tak jawny i publiczny opór napotkał poseł rossyjski.... to też nie posiadając się z gniewu szedł ku Pułaskiemu, zapewne w nadziei, że zmiesza śmiałka, ale kiedy rozstąpili się dzielący ich senatorowie, to miasto pokory spotkał zaogniony wzrok Pułaskiego; jedną ręką ściskał on rękojeść karabeli, a drugą podnosząc w górę, pogroził Repninowi.

— Strzeż się mości xiąże! — zawołał — bo może ostatnia godzina dla ciebie wybiła!

Jak piorunem rażony zatrzymał się Repnin, bo prócz ognistego wzroku Pułaskiego co mu niechybną śmierć zapowiadał, przestraszył go niezmierny okrzyk »*Vivat!* poseł Brański!« wydany przez lud, co cisnął się do bram dziedzińca i zalegał całą ulicę.

Tymczasem towarzyszący Repninowi, widząc fałszywe jego położenie, otoczyli go mitygując prawie nieprzytomnego z gniewu; posłowie znowu i senatorowie cisnęli się około Pułaskiego, zaklinając żeby o bezpieczeństwie swojem myślał,

a ten obojętnie słuchał gwarnej tej rozmowy, a potem uchwycił za rękę Krasińskiego, podkomorzego Rożańskiego, a swego przyjaciela od serca, i wskazując za odchodzącym Repninem:

— On byłby mnie obraził niewątpliwie — zawołał — ja bym go zabił, ale naród może z letargu obudził!...

— Nie udało się — dodał ze smutkiem — wracajmy do izby poselskiej — i otoczony posłami, wśród tłumu ludu witającego go okrzykami, szedł na zamek.

Stanąwszy tam, przyjaciele Pułaskiego naradzali się nad sposobem zasłonienia go od gniewu Repnina, a że co moment dochodziły niepokojące wieści: to że officerowie moskiewscy przebiegają ulice pędząc z rozkazami, to że wojsko gromadzić się zaczyna i w błękitnym pałacu zbierają się adherenci Czartoryskich, gotowali się więc do odporu; i najprzód tyłami pieszo przeszli do Radziwiłłowskiego pałacu, gdzie milicja x. wojewody wileńskiego stanęła pod bronią i osadziła bramy, potem wszyscy odesłali powozy, któremi na zamek przybyli, a natomiast zewsząd pędzili stajenni z końmi wierzchowemi, ze wszystkich bram wypadała szlachta dworska dobrze uzbrojona i na dzielnych koniach, wszystko to tłoczyło się w dziedzińcu Radziwiłłowskiego pałacu, który chociaż obszerny, ledwie ich mógł pomieścić.

Tym czasem trzeba było powziąć jaką stanowczą decyzję, skutkiem której mogło być wydalenie się Pułaskiego z Warszawy; chciał więc przedewszystkiem mieć synów koło siebie, którzy pobierali nauki w konwikcie OO. Teatynów pod szczególną opieką x. Partelupiego. Trzech ich było braci: Antoni, Kazimierz i Franciszek i stryjeczny ich Dominik, który gdzieś

potem w zamieszkach domowych przepadł, nie pozostawiwszy śladu po sobie*) Starosta Warecki obawiał się, żeby mściwy Repnin »nie mogąc po koniu«, jak się wyrażał »nie bił po chołoblach«, i żeby niewinne dzieci nie padły ofiarą zajścia ojca z posłem rossyjskim; dla tego wysłał po nich z dobranym pocztem krewnego Horaina. Młodzież konwiktu ujrzawszy zbrojnych, wjeżdżających na dziedziniec szkolny, zdziwiona tym niezwykłym widokiem, biegła tłumnie naprzeciw nowo przybyłych, a młodzi Pułascy poznawszy w przywodźcy krewnego, wyprzedzili innych i pytali o przyczynę tych zbrojnych odwiedzin.

— Ojciec wasz w niebezpieczeństwie — odrzekł Horain — zmuszony może opuścić Warszawę, chce was mieć przy sobie; zabierajcie się więc jak najprędzej.

Na słowo o niebezpieczeństwie ojca, Antoni i Franciszek ręce załamali, a Kazimierz chwilę w milczeniu patrzał na mówiącego, potem poskoczył do swego mieszkania, przypasał szablę i chwytając za rękę Horaina:

— Chodźmy dzielić niebezpieczeństwa drogiego ojca mego! zawołał.

Uściskał Horain dzielnego młodzieńca, a kiedy opowiadał zajście starego Pułaskiego z Repninem, to Kazimierz wzruszony do głębi duszy:

— Jakże ja dumny — mówił w zapale — żem synem takiego męża!

---

*) O tym Dominiku mówiła często jedna z córek starosty Wareckiego, która była kanoniczką w Marivilu w Warszawie.

I szczęśliwy pewnością że będzie dzielił los ojca, co żywo robił przygotowania do wyjazdu, a kiedy te pokończono, wyszli na dziedziniec, gdzie luźne konie oczekiwały na nich, i czule żegnani przez kolegów, a błogosławieni przez Ojców Teatynów, ruszyli ku Pałacowi Radziwiłłowskiemu.

W obszernej sali tego gmachu, którą zwano kardynalską dla portretów wszystkich polskich książąt kościoła, co zdobiły jej ściany, ciżba była wielka posłów i senatorów, których zgromadził świeży wypadek z Pułaskim; wszyscy z cicha rozmawiali i zdania swoje objawiali; jedni radzili korzystać z usposobienia mieszkańców Warszawy, uderzyć zaraz na posterunki moskiewskie, a po województwach zawiązać konfederacją; rozważniejszych przestraszał ten gwałtowny środek, i wystawiali okropne skutki wojny domowej, bo partja familji obojętnie by na to nie patrzała, i adherenci jej silny by opór stawili. W końcu ludzie nawykli do form prawnych, a takich było wielu, radzili przedewszystkiem na drodze legalnej opozycją stawić, manifest spisać, i do akt wnieść. Dzieliły się tedy zdania, coraz żwawszą stawała się dyskusja; nic jednak stanowczego nie uradzono, bo wszyscy oglądali się na małe grono na początku sali zgromadzone, zkąd miała wyjść ostatnia decyzja.

Kilka osób składało to zebranie, na które oczy wszystkich zwrócone były. O nieduży stolik oparty stał duchowny w fioletach i rokiecie, tak jak wyszedł z senatu; na łagodnem jego obliczu malowało się zadumanie jakieś; jedną ręką kręcił on krzyżyk szmaragdowy przy grubym łańcuchu na szyi zawieszony, w drugiej trzymał kapelusz o szerokich brzegach ze splotami fioletowemi złotem przerabianemi,

których końce kutasami zakończone do posadzki dotykały. Był to Adam Krasiński, biskup kamieniecki, jeden z tej trójcy, co pierwsza powzięła myśl i zawiązała później Konfederacją Barską; tęskny wzrok prałata zwrócony był na ogromny portret Zbigniewa Oleśnickiego, tego opiekuna dzieci Jagiellowych, który choć był przykładem jako duchowny, głośno przyznawał, że nim został kapłanem, urodził się obywatelem tego kraju, sprawy też jego miał na szczególnem baczeniu. Krasiński jak Zbigniew przedewszystkiem kraj miłujący, w poważnym wzroku kardynała szukał natchnienia.

Obok łagodnego oblicza Biskupa, dziwną sprzeczność stanowiła ogromna twarz Karola Radziwiłła; wysokiego i białego jak śnieg czoła jego jeszcze nie pokrywały zmarszczki; niebieskie jak turkus oko pełne było ognia; w ruchach jakaś żywość, którą podwajało oburzenie na Repnina*); a jak szkaplerz piersi, szabla boku, tak nieodstępny Radziwiłła stał za nim Wołodkiewicz, który od stolika przechadzał się do radzącego głośno grona posłów. Żwawo coś mówił Panie kochanku, jedną ręką ujął on za ramię Michała Krasińskiego, drugą Pułaskiego, i musiał jakieś gwałtowne proponować środki, bo Wołodkiewicz wąsa pokręcał i potakiwał kiwając głową. Podkomorzy, równie jak biskup, stał zamyślony, a Pułaski wargi zagryzał, zapewnie na wspomnienie zniewagi, jakiej doznał. Wysokiego on był wzrostu, głowę małą dobrze już siwizna pokrywała, nie-

*) Portret Karola Radziwiłła, taki jakem go opisał, jest w Bibljotece Ossolińskich we Lwowie.

duży wąs całkiem do gory podniesiony widocznemi czynił zaciśnięte usta, obie ręce splótł on na piersiach, czapkę białą z długą kitą zawiesił na aspisowej rękojęści szabli, i roztargniony wzrok prowadził po zgromadzeniu całem*).

Obaj Krasińscy nie zgadzali się zapewne na proponowane przez Radziwiłła środki, co widno było po ruchu głową obu, i Pułaski przemówił zapewne w tymże sensie, bo w końcu Radziwiłł zamyślił się, potem pochylił głowę na znak że odstępuje od swego, a biskup obrócił się do zgromadzonych, i przemówił w te słowa:

— Jaśnie wielmożni panowie i bracia! Współczucie jakie okazujecie dla zniewagi uczynionej JW. staroście Wareckiemu, jawnym mi jest dowodem, że cięży wam ten nacisk obcy, pod jakim od lat tylu zostaje Rzeczpospolita. Wielu z was objawia godną ojców naszych myśl, siłą odparcia obcej przemocy; ależ, panowie bracia, chciejcie zwrócić uwagę, czy chwila jest potemu?... Dotąd wszystkie czynności posła rosyjskiego są obleczone w formy prawne wielkie stronnictwo w kraju w opiece jego monarchini szczęście Rzeczypospolitej upatruje; gdybyśmy więc dziś zbrojnie powstali, wielu (wprawdzie zaślepionych, nie mniej braci naszych) widziało by w tym kroku prywatę, od której uchowaj nas Boże; bo jakkolwiek czcigodny poseł Brański obrażony został przez posła rosyjskiego, jednak zajście to nie stanowi dosyć ważnego powodu, — żebyśmy naród do broni powołać, a może i krew bratnią przelewać mieli. Ależ po-

*) Portret Józefa Pułaskiego znajduje się na Wołyniu, we wsi Deraźni, pod Korcem, u wnuka jego.

pędliwy charakter posła rosyjskiego zmusi nas wkrótce do kroku, który w tej chwili odradzam; bądźmy tylko godnymi zaufania braci, stójmy stale przy prawach i swobodach naszych, a ta opozycja ściągnie niebawem, wierzajcie mi, śmierć albo wygnanie na którego z nas; los takiego będzie godnym zazdrości, bo wtedy powiemy młodszym braciom naszym: więżą twoich posłów, gwałcą twoje prawa, a więc powstań narodzie! i usłucha on głosu naszego, a przyjaźne nam państwa, widząc słuszność sprawy naszej, nie odmówią pomocy. Niech więc zdaniem moim JW. starosta Warecki wydali się ze stolicy, niech przebywając na Podolu lub Ukrainie, obznajomi braci tamtych województw z położeniem kraju, a może przyjdzie chwila, gdzie uznacie panowie, że pobyt jego w tych oddalonych prowincjach Rzeczypospolitej, więcej korzyści przyniósł sprawie publicznej, niż obecność jego tutaj.

Cichość największa panowała w czasie mowy biskupa kamienieckiego, bo wszyscy wielce cenili poważne zdanie jego, a pewni byli że trwoga nie ma przystępu do serca; potem Pułaski dziękował zgromadzeniu za dowody ich względów dla niego, zaklinał żeby się zgodzili na zdanie czcigodnego pasterza, zapewniał że w wydaleniu swojem będzie się starał służyć sprawie publicznej, i w końcu prosił o zachowanie mu afektu braterskiego, który po łasce Boskiej największem dobrem swojem mienił. Wtedy gwar powstał w sali, wszyscy cisnęli się żeby uściskać rękę Pułaskiego i zapewnić go o swojej przyjaźni, kiedy okrzyki na dziedzińcu przerwały ten objaw przychylnych uczuć.

— Co to takiego? — spytał Radziwiłł stojącego w oknie Wołodkiewicza.

— To szlachta — odrzekł — wita starościców Wareckich.

Na te wyrazy uśmiech zadowolenia wystąpił na twarz Pułaskiego, a wszyscy zwrócili się ku drzwiom, wyglądając ich przybycia.

Po chwili rozwarły się podwoje i ukazał się najprzód Harain, potem czterej młodzi Pułascy. Zmięszani nieco widokiem tego poważnego towarzystwa, stanęli rzędem przy drzwiach i niskim ukłonem powitali tych wybrańców narodu; a choć w głębi sali ujrzeli stojącego ojca, przejęci uszanowaniem chwilę stali nieruchomi, aż kiedy Radziwiłł, jako gospodarz domu, gromkim głosem zawołał:

— Prosimy bliżej do nas i do ojca.

Wtedy szli rzędem jak stali, ośmieleni przyjaźnemi dla nich uwagami, jakie ich dochodziły po drodze.

Zaprawdę trudno było napotkać bardziej urodziwych młodzieńców jak byli ci czterej Pułascy; mało różnili się wiekiem, bo najmłodszy 16, najstarszy 19 lat liczył, wszyscy do siebie podobni, nie wyłączając stryjecznego ich brata Dominika; u każdego z nich wzrost dobry, wyraz oczu śmiały i otwarty, ależ nad wszystkich i urodą i dziwnie hardem spojrzeniem prymował pan Kazimierz; najwięcej go też lubił ojciec, bo w nim spostrzegał i animusz i rozsądek nad wiek jego. Szli tedy ku końcowi sali, a kiedy się zbliżyli do stojących, tam skłonili się znowu biskupowi i księciu wojewodzie, a potem z wybuchem miłości synowskiej uklękli przed ojcem i ze łzami w oczach całowali ręce jego. Wyraz ojcowskiej dumy wystąpił na twarz starego Pułaskiego na

widok tych pięknych młodzieńców, przyszłej nadziei kraju i pociechy starości jego; chwilę patrzał zadumany na nich, a kiedy powstali, to prezentując ich zgromadzonym, prosił o zachowanie im względów, jakiemi ojca zaszczycają. Wszyscy z oświadczeniami życzliwości i przyjaźni szli ku Pułaskiemu, a on rozrzewniony uściskiem ręki odpowiadał na ten dowód braterskiego afektu, potem prosił o błogosławieństwo biskupa, a kiedy je otrzymał, żegnał wojewodę i podkomorzego, który przyszedł odprowadzić go do Czerniakowa, gdzie się Pułaski udawał, i wśród życzeń najszczerszych szedł na dół, dosiadł konia, i otoczony wielu życzliwymi wyjechał na ulicę.

Z obawy jakiego gwałtu, w wojennym ordynku postępował orszak, co odprowadzał Pułaskiego; szpicę złożoną ze strzelców X. Wojewody prowadził Wołodkiewicz; każdy z nich trzymał w ręku sztuciec gwintowy na udzie wsparty, wszyscy mieli u boku kordelasy na trzy palce szerokie, na biodrach kartuzy z ładunkami; siedzieli na niedużych koniach żmudzkich, które przywykłe do zwrotów i biegu na łowach, z łatwością powodować się dawały; za tym oddziałem jechał Pułaski w gronie kilkunastu posłów, za nim w glejcie synowie i brataniec, potem tłum szlachty, a pochód zamykała nadworna chorągiew ułańska Podczaszego litewskiego i pół sotni kozaków starosty Wareckiego. Wśród okrzyków zgromadzonego ludu postępował zbrojny orszak przez Krakowskie przedmieście i Nowy świat ku rogatkom mokotowskim, a choć widzieli na pustym wtenczas placu koło trzech krzyżów i około Ujazdowa zgromadzone oddziały

rossyjskie, niezaczepieni jednak od nich spokojnie opuścili Warszawę.

Czerniaków, do którego dążyli, był na ówczas, czy w posiadaniu, czy w posesji starosty Wareckiego, który tym sposobem miał dom w bliskości Warszawy, gdzie synowie jego na wakacje przybywali, a starościna z córkami zjeżdżała w porze letniej; pierwsze to miejsce było w którem się miał zatrzymać, nim w dalszą puści się drogę.

Słońce się już miało ku zachodowi, kiedy ujrzeli wieże murowanego kościoła w Czerniakowie, sławnego odpustami, gdzie spoczywają zwłoki ś. Bonifacego; starosta Warecki szczególne mając nabożeństwo do tego świętego zatrzymał się koło kościoła, z którego poważny dźwięk organów słychać było, bo właśnie nieszpory odprawiano.

Wszedł Pułaski do kościoła w towarzystwie przyjaciół i synów, i zaraz powitał go proboszcz miejscowy, z którym chwilę pomówił; a potem długo klęcząc modlili się wszyscy, a kiedy się nieszpory skończyły, proboszcz postąpił do ołtarza, i odkrył relikwje, co nie mało zdziwiło obecnych, bo to było rzeczą niezwyczajną; po chwili powstał Pułaski, skinął na synów, i postępując z nimi do stopni ołtarza, ukląkł na nich, młodzieńcy po dwóch koło niego także klęczeli, a on pobożnie składając ręce wzruszonym głosem zaczął taką modlitwę:

— Boże! coś miłość dla rodzinnej ziemi wlał w serce prawego człowieka, ty, co czytasz w tajnikach serca ludzkiego, co błogosławisz szlachetnym zamiarom, coś wodzem ludu w twojem imieniu walczącego! Boże! coś od Abrahama żądał ofiary jedynego dziecka, coś umocnił słabą rękę Dawida, którego potęgą silny Jozue zatrzymał słońce, by przyświecało porażce nieprzyjaciół ludu twego, tobie Panie! w którego imieniu walczyli przodkowie nasi za wiarę twoją świętą, za swobody swoje, tobie ja niegodny oddaję w opiekę te dziatki, pociechę życia mego, podporę starości, i poświęcam ich na bój wieczny z wrogami swobód naszych i kościoła twego! Amen

Tu wzniósł ręce nad głowami synów, jakby ich błogosławił, potem powstał wraz z nimi, przystąpił do ołtarza na którym złożył szablę, z którą walczył pod Chocimem przodek jego Rafał Pułaski, stolnik bielski, rotmistrz husarski. Dziwną jakąś analogją, z onym Rafałem w jednej chorągwi służyło dziewięciu synów jego, i bili się z nieprzyjaciołmi wiary i wolności jak w półtora wieku po tym Józef z synami swymi*). Na tej tedy spadkowej szabli młodzi Pułascy wykonywali przysięgę, że póki żywota stanie walczyć będą z nieprzyjaciołmi kraju**), poczem ojciec ich błogosławił o ile wierni będą przysiędze swojej.

Wszyscy obecni tej scenie z podziwieniem patrzali na tego ojca poświęcającego nadzieje życia swego dla dobra kraju; zdało im się widzieć powtórzoną ową scenę starożytności, kiedy przyszły pogromca Rzymu przysięgał ojcu że wiecznie walczyć będzie z nieprzyjaciołmi Kartaginy; w milczeniu patrzali oni na klęczących młodzieńców, na których obliczu malowały się różnie wrażenia jakich doznawali:

*) Prawdziwe, patrz Niesiecki.

**) O owej przysiędze Pułaskich, w wielu pismach jest wzmianka, a w Warszawie ma się znajdować obraz przedstawiający ten akt.

twarz Kazimierza jaśniała takim zapałem, że nikt nie wątpił iż on nie tylko ziści, ale przejdzie nadzieje ojca, tęskna twarz Franciszka wyrażała rezygnacją ofiary, Antoni zaś pobladł, jakby przygnieciony ogromem obowiązków, jakie ta przysięga na niego wkładała, a którym przeczuwał może, że zadosyć uczynić nie będzie w stanie *).

W cichości wszyscy opuścili kościoł, i kiedy stanęli we dworze zajęto się naprzód bezpieczeństwem Pułaskiego, dom i ogród obstawiono strażami, co kilka godzin wychodził patrol, który docierał aż do miasta, potem na radę zebrali się u Pułaskiego podkomorzy Rożański, Wołodkiewicz i Horain i tam ułożono, że kiedy droga przez Wołyń nie była zbyt bezpieczną, uda się starosta przez Ruś czerwoną na Podole.

Jakkolwiek Pułaski pewien był i dobrego usposobienia, i współczucia szlachty podolskiej, ostrożność jednak nakazywała dowodnie przekonać się, czy mu tam nie grozi jakie niebezpieczeństwo, i dla tego miał przodem jechać Horain, a Pułaski przez ten czas przebywać w Krakowskiem, w Maleszowie, majętności należącej do Stanisława Krasińskiego, starosty Nowowiejskiego, którego imieniem podkomorzy zaprosił Pułaskiego. Wysłano zaraz kozaka z listem zawiadamiającym starostę o przybyciu niespodzianych gości, i na drugi dzień, pożegnawszy czule podkomorzego i Wołodkiewicza, którzy wrócili do Warszawy, wyruszył Pułaski w drogę

*) Kazimierz Pułaski walczył przez lat pięć trwania konfederacji, Franciszek w pierwszym roku tej wojny zginął, a Antoni, uwiedziony kłamliwemi obietnicami, był potem marszałkiem konf. targowickiej.

w towarzystwie synów, Horaina i stu przeszło jezdnych dobrze uzbrojonych.

Maleszowa od dawnych czasów była w posiadaniu rodziny Krasińskich, którzy choć mieli dobra po różnych stronach Polski, tu jednak najczęściej przemieszkiwali, i szczególnem staraniem ozdobili i wzmocnili siedzibę swoją.

Wśród krainy lesistej, skałami okrytej, wznosił się zamek o czterech piętrach z czterma wieżami po rogach, na których kręciły się od powiewu wiatru blaszane chorągiewki; dziedziniec okazały, mury grube strzelnicami opatrzone, na wałach stały haubice, wiwatówki, szmigownice, do bramy wjazdowej prowadził most zwodzony, fosy zalane wodą broniły przystępu; nad bramą wyrznięty był na marmurze szarym Ślepowron, herb Krasińskich, nad nim widno było kapelusz kardynalski, pamiątkę po Franciszku Krasińskim, biskupie krakowskim; liczne zabudowania dworskie, jak stajnie, kuchnie, psiarnie i mieszkania dla służby mieściły się w obejściu zamkowem; wszystko otoczone wałami i wodą oblane, stanowiło bardzo obronne miejsce, które dawniej nie jedno wytrzymało oblężenie.

Podanie jest miejscowe, że za rządów Zygmunta III Tatarzy zagnali się w te strony, i oblegli Maleszowę, w której zamknął się był Aleksander Krasiński, natenczas towarzysz ussarski; dzielny on stawił opór Tatarom i taką im klęskę zadał przez częste wycieczki, że zmuszeni byli odstąpić oblężenia, a wódz ich, w dowód szacunku dla dzielnego obrońcy zamku, przysłał mu w darze zegar ze stosownym napi-

sem*). Tak umocnione miejsce pewne przedstawiało schronienie tem bardziej, że starosta Nowowiejski trzymał załogę silną złożoną z dragonji i oddziału strzelców celnych z samych kurpiów złożonego, których zaciągał w dobrach swoich w Płockiem położonych a dotykających do puszczy Myszenieckej; przytem taka liczba dworskich była w Maleszowej, że w potrzebie mogli niemal o sto głów powiększyć liczbę obrońców zamku.

Do tego tedy *asilium* dążył Starosta Warecki, a że po drodze wstępował po znajomych, czasem i zbaczał z drogi na usilne żądanie tych ze szlachty, których doszły wieści o przyczynie podróży jego, wolno też postępował, i dopiero szóstego dnia był o milę od Maleszowej.

Dojeżdżali do wsi Piotrkowice, do klucza Maleszowskiego należącej, gdzie jest kaplica na wzór Loretańskiej wystawiona i gdzie starosta Warecki zatrzymać się pragnął, żeby się pomodlić i podziękować Bogu za szczęśliwie odbytą podróż. Ruszyli wszyscy spiesznie, i już byli niedaleko wioski, kiedy ujrzeli wyjeżdżający z niej orszak z kilkudziesiąt jezdnych złożony; domyślił się Pułaski, że ta kalwakada na jego spotkanie jedzie, bo w przodkującym poznał starostę Nowowiejskiego, obok niego jechało kilku panów, dwóch Świdzińskich, wojewodów bracławskich, starszy, starosta Radomski, był zięciem Krasińskiego, dwóch podczaszyców Dębińskich, Jordan młody i wielu innych, a za nimi dworzanie i respektowi sadzili na dzielnych koniach.

*) Zegar ten sam widziałem, długo on był w obcych rękach, aż w roku 1850 wrócił napowrót do Krasińskich i jest w zbiorze pamiątek jener. Win Krasińskiego.

Serdeczne było powitanie obu starostów. Krasiński zapewniał gościa swego, że się ma za szczęśliwego, iż dom jego wybrał za schronienie dla siebie, prezentował mu panów towarzyszących mu i dodał, że przybyli umyślnie, żeby mu dopomagać w przyjęciu czcigodnego gościa; potem młodych Pułaskich ucałował, poczem razem jechali do Piotrkowic, zkąd po krótkiej modlitwie w kaplicy ruszyli do Maleszowej.

Oczerniony wiekami zamek pięknie odbijał na błękitnem niebie, za nim w oddaleniu szarzały Świętokrzyskie góry, a na najwyższej jak gwiazda świecił kościół i opactwo Benedyktynów. Na murach zamku ruch był wielki, mnóstwo ludzi kręciło się, a kiedy zbliżyli się nasi podróżni, błysk ognia i dym gęsty opasały zamek i zaraz huk wystrzałów dał się słyszeć. Pułaski uścisnął rękę Krasińskiego na podziękowanie za to świetne przyjęcie, a kiedy wjeżdżali w bramę, dragoni i strzelcy w ordynku stojący broń prezentowali, na ganku pierwszego piętra ustawiona muzyka grała marsza, a w sieniach witała ich starościna wraz z damami.

Rodzina starosty Nowowiejskiego z samych kobiet składała się; żona jego Aniela Humiecka cztery mu córki powiła, z których dwie jeszcze pannami były, najstarsza zamężna Swidzińskiemu, staroście Radomskiemu, ze średnią zaś Franciszką ożenił się był królewicz Karol, syn Augusta III.

Długo małżeństwo to było sekretem dla króla, a skoro się o niem dowiedziano, to minister Brühl starał się wymódz na królewiczowej zezwolenie na rozwód i przysłał z tą propozycją ministra Borcha, ale kiedy stanowczą ode-

brał odmowną odpowiedź, zaprzestał dalszych kroków, bo widział blisko koniec króla, a królewiczowi narazić się nie chciał. Pod względem tedy prawności związek Krasińskiej z królewiczem nie ulegał żadnej kwestji, ale serce dużo ucierpiało, bo królewicz lekkomyślny i zalotny zapomniał wkrótce o żonie, a za powód tego opuszczenia dawał z początku niemożność objawienia tego związku zchorzałemu i bliskiemu zgonu ojcu, później kiedy ten zeszedł ze świata, trudnościom jakie mu stawiał brat starszy, elektor saski; i tak lata mijały, a królewiczowa pędziła ten czas albo w Opolu u ciotki swojej księżny Lubomirskiej, wojewodziny Lubelskiej, albo w Sulgostowie u pani starościny Radomskiej, i teraz w chwili przybycia starosty Wareckiego do Maleszowy, była właśnie u siostry.

Z całą gościnnością staropolską podejmował Krasiński gościa swego; zajęty myślą uprzyjemnienia mu pobytu gromadził gości i huczne biesiady co dzień wyprawiał, po nich popisy koni i jeźdźców uprzyjemniały po obiedzie godziny, a wieczór tańcowano *in gratiam* starościców. We wszystkich zabawach prymował Kazimierz Pułaski; mało kto tak dobrze konia prowadził, tak trafnie strzelał, tak zręcznie wywijał krakowiaka jak pan Kazimierz; wszyscy mu to przyznawali, wszyscy go lubili, a to powodzenie niezmiernie cieszyło ojca, bo widział w nim w przyszłości i kawalera dzielnego animuszu, i człowieka, który będzie miał mir u ludzi, a z tym w Polsce daleko zajść można było.

Wszystkie zabawy młodych paniczów dzieliła szlachta na dworze starosty Nowowiejskiego zostająca; a że różnego

byli wieku, każdy prawie znalazł takiego z którym szczególnie sympatyzował.

Pomiędzy pokojowcami pana Krasińskiego był jeden młody chłopiec, bo nie więcej jak lat 20 liczący, a zwał się Stanisław Golian; dobrego był rodu, bo Gryfem się pieczętował; przodkowie jego w Rawskiem ziemskie urzędy piastowali, a ojca jego traf wyprowadził na Podole, gdzie po różnych niefortunnych zabiegach dostał się w końcu do stryja starosty, podkomorzego ciechanowskiego i kluczem Dunajewieckim rządził. Młodszym będąc na wszystkich zjazdach, sejmikach, trybunałach stawał on dzielnie w obronie swego pryncypała, co świadczyły gęste kresy na głowie i twarzy, a kiedy piwo się wyburzyło, i z ożenieniem statek przyszedł, podkomorzy w nagrodę krwawych zasług pana Goliana dał mu zarząd dóbr swoich koło Kamieńca podolskiego leżących, czyli, jak to rządzców w ruskich dobrach zwano, gubernatorem go zrobił.

Atrybucje takiego gubernatora były wielkie; panowie bowiem rzadko kiedy i to na czas krótki przebywali w tych oddalonych prowincjach Rzeczypospolitej, gubernator więc mieszkał w rezydencji pańskiej, a że to zawsze były albo zamki obronne, albo przynajmniej wałami ziemnemi, rowem i ostrokołem obwiedzione mieszkania, był więc i garnizon z milicji i kozaków złożony, którego dowódzcą *natus* był gubernator, co mu wiele powagi nadawało, bo na każde zawołanie miał siłę zbrojną.

Od najdawniejszych czasów Ukraina i Pobereże, często i Podole służyły za *asilium* dla wszelkiego rodzaju banitów, zbiegów i łotrów, którym bliskość Wołoszczyzny i Siczy

Zaporoskiej w razie poszukiwań pewne schrónienie przedstawiała, a że sprawiedliwość bezsilną była w tamtych stronach, to władza sądowa i wykonawcza były przy gubernatorze, który nieraz złapanego rabusia, po sądzie bardzo doraźnym, a częstokroć i bez sądu wieszać kazał, łatwo więc pojąć, jakiej powagi używali ludzie, w których ręku było *jus gladii*, a na poparcie *brachium militare.*

Nie jeden taki gubernator traktaty zawierał z baszą Benderu, z atamanem koszowym i hanem tatarskim, nie jeden zbiegami z Wołoszczyzny i Budziaków wsie osiedlał i zaludniał tę piękną krainę, która dotąd żadnego prawie dochodu właścicielom nie robiła.

Mładanowicz, gubernator Humańszczyzny, był pierwszym co zaraz na początku zarządu swego przysłał wojewodzie kijowskiemu, dziedzicowi Humania, miljon złotych jako dochód roczny, czem zdziwiony wojewoda, który i dwudziestej części tej sumy nigdy nie odbierał, zapytywał go, czy skarb wykopał, na co Mładanowicz odpowiedział, że tym skarbem jest błogosławiona ziemia, na której gospodaruje, że rąk tylko brakło żeby ją uprawić, czemu on zaradzi, bo wsie nowe zakłada; podziękował mu wojewoda za tak dobry pomysł, pochwalił zakładanie nowych osad, a jako rekognicją zasług jego, dozwolił mu od każdych stu wsi nowozałożonych wziąć sobie dwie na własność *). Zarządzający tedy niezmierną przestrzenią, na której setkami powstawały nowe siedziby, *alter-ego* możnego pana, posiadający władzę dy-

*) List ten cytuje Krepsowa, córka Mładanowicza w pamiętniku swoim.

skrecjonalną, zmuszony był poniekąd do życia wystawnego, bo to było we zwyczaju i korzystnie wpływało na sąsiadów, jakimi byli Zaporożce, Wołochy i Tatary, z którymi częste miewał relacje, a ci by za nic mieli człowieka, któryby mieszkał w skromnym dworku, nosił się w szarej kapocie a nie siedział w warownym zamku najeżonym działami, otoczony liczną asystencją, a strojny w lamę i w sajetę. Wystawa tedy była koniecznością, ale nie każdy rządzca miarę w niej zachować umiał, a w tej liczbie był i pan Golian.

Zdawało mu się, że rządzca klucza Dunajowieckiego tak powinien występować jak gubernator Humania lub Smilańszczyzny; dla tego kiedy żona jego jechała do Kamieńca, lub gdzie w odwiedziny, to nie inaczej jak kolasą w sześć koni i z asystencją nadwornych kozaków; w domu gość gościa wypędzał, wino strumieniem płynęło, muzykanci całe zapusty nie wyjeżdżali z Dunajowiec. Wprawdzie cała ta wystawa nie była z uszczerbkiem skarbu, bo dochody rządzcy były znaczne, a pan Golian pracowity i zabiegły, i o sobie i o panu pamiętał; ależ jak mówi przysłowie: Maciek zrobił, Maciek zjadł; kiedy więc umarł, zostały się drobne dzieci i wdowa bez żadnego funduszu. Pomyślał o sierotach pan podkomorzy, dwóch synów oddał do szkół, córkę do klasztoru na naukę, a kiedy podrośli, starszego, który miał powołanie do stanu duchownego, ksiądz biskup kamieniecki oddał do nowicjatu, a młodszego Stanisława wziął na dwór swój starosta Nowowiejski, gdzie jakem mówił był pokojowcem, za parę lat miał nadzieję zostać dworzaninem, a

wkrótce może i koniuszym, bo i miłośnik był wielki koni, i znawca, i jeździec tęgi.

Tego tedy Goljana szczególniej polubił pan Kazimierz, bo jednakowe gusta mieli, oba prymowali we wszystkich zabawach rycerskich, tylko Golian był powolniejszy nieco od porywczego towarzysza swego. Uważał te ich zażyłości pan starosta Warecki, a że z ust pana Krasińskiego słyszał pochwały i dobrej konduity i szlachetnego a rozważnego postępowania pana Goliana, rad był temu, że przypadł do serca burzliwemu panu Kazimierzowi człowiek z takiemi przymiotami, i w duszy żałował że go w domu swoim mieć nie może.

Korzystali z tego młodzieńcy, i nie raz o wschodzie słońca, kiedy inni spali, obaj w towarzystwie starego kozaka starosty, opuszczali zamek i zapuszczali się ku górom śto krzyskim, a że obadwa byli rodem z jednych okolic, oba też tęsknili za Podolem i za życiem stepowem, które tyle ma uroku dla tych, co go zakosztowali.

Pan Kazimierz miał nadzieję wkrótce zobaczyć rodzinne strony, ale towarzysz jego i myśleć o tem nie mógł; wzdychał też na wspomnienie lat dziecinnych, z żalem mówił o sieroctwie swojem, a ta jego tęsknota do głębi przejmowała serce p. Kazimierza, tem bardziej, że rady na to nie widział w tej chwili; nie tracił jednak nadziei, że los ich kiedyś złączy z sobą, nie raz też cieszył swego towarzysza, i dodawał otuchy.

— Któż to wie — mówił — co nam przeznaczone; coś się na spokój w kraju nie zanosi, bo gdyby miało być jak dotąd było, czyż by nam ojciec kazał był przysięgać że

wiecznie walczyć będziemy z wrogami swobód naszych, a więc są zagrożone, kiedy mój ojciec tak powiada, toć trzeba ich bronić do ostatniej krwi kropli, a ja dotrzymam przysięgi mojej, wierzaj mi; a wtedy i ty kochany Stanisławie pewnie w domu nie zostaniesz!..... P. starosta nie tylko ci nie wzbroni tego, ale myślę, że hufiec w potrzebie wystawi, a gdyby sam z nim nie poszedł, to pewnie go odda podkomorzemu, a ten z pewnością bilby się gdyby potrzeba tego była. Ja miarkuję, że coś oni oba z moim ojcem przeczuwają, bo często ich widzę radzących, a i biskup nie raz do tej narady należy; wkrótce więc zmiany jakieś nastąpią, a wtedy znajdę ja ciebie choćby na końcu świata...

— Dziękuję uniżenie za dobre słowo panu starościcowi — mówił smutnie Golian — ależ to dużo wody upłynąć może, nim pożądane zmiany nastąpią, a pan starościc będziesz miał czas zapomnieć o biednym Golianie.

— Ja zapomnieć o tobie! — zawołał z żywością młodzieniec — nigdy kochany Stanisławie, i daję ci słowo szlacheckie, że skoro do boju przyjdzie, muszę cię mieć koło siebie! — i wyciągnął rękę do przyjaciela, który ją uścisnął.

— Wierzę — zawołał — słowu pana Kazimierza jak Ewangelii, i przysięgam nawzajem, że w każdej potrzebie, w złej czy dobrej doli, nie odstąpię cię starościcu Warecki, bo cię pokochało serce moje.....

Łzy stanęły w oczach pana Kazimierza na te wyrazy, rzucił się w objęcie przyjaciela, potem długo w milczeniu stali obadwa, aż wyrwał ich z tego zadumania głos kozaka, który przypomniał że słońce już wysoko, i godzina

obiadowa zbliża się, dosiedli więc koni, i pędem dążyli do zamku.

Przeciągał się pobyt starosty Wareckiego w Maleszowej; wysłany na Podole Horain nie wracał, a przez ten czas odwiedzali oba starostowie sąsiednią szlachtę, a w końcu, na usilne żądanie p. starosty Radomskiego, mieli jechać do Sulgostowa, gdzie i królewiczowa znajdowała się.

W wigilią dnia wyjazdu pan Kazimierz swoim zwyczajem wyjechał z panem Golianem bardzo rano, nie tyle dla przejażdżki, jak żeby sprobować konia, którego ojciec jego świeżo kupił od Greków wracających z jarmarku Jędrzejowskiego, zażywał go tedy różnie chcąc się przekonać o sile, w krótkim też czasie przebiegli oba znaczną odległość i dojechali do jaru krzakami obrosłego, przez który droga przechodziła, i zwolnili biegu, żeby odsapnęły konie.

Pan Kazimierz cały zajęty nową akwizycją, wychwalał cnoty swego wierzchowca i z upodobaniem głaskał go po szyi, a p. Golian, którego nie mogły tyle obchodzić zalety cudzego konia, patrzał przed siebie ciekawie, a po chwili ręką wskazując:

— Widzi pan? — zapytał.

— Co takiego? — odrzekł z roztargnieniem p. Kazimierz.

— Tam przed nami — mówił znów Golian.

Zakrył zapytany ręką oczy od blasku słońca, i wpatrzywszy się —

— Jakaś kobieta — odrzekł — zapewne żebraczka.

I w istocie, na stromym brzegu wąwozu siedziała wiekowa kobieta, dziwacznie ubrana, głowa wstążką w jaskrawe kolory przepasana, odzienie w nieładzie, w ręku

trzymała kij długi, na którym zawieszona była czarna torebka; siedziała z opuszczeniem, na brzegu wąwozu, i patrzała na zbliżających się młodzieńców.

— Cóż to za jedna? — pytał ciekawie pan Kazimierz.

— To wojewodzanka z Łysej góry, jak ją ludzie nazywają — odrzekł p. Golian — sama się tak nazywa, i bardzo się gniewa kiedy jej kto tego tytułu nie daje, zdaje się jest nie spełna rozumu, a jednak często dziwnie trafnie przyszłość przepowiada; nasz trefniś Macieńko mówił mi, że kiedy królewiczowa była jeszcze dzieckiem, przyszła wojewodzanka do Maleszowy w dniu jej imienin i życzenia jej składała, pan starosta w żartach prosił ją żeby solenizantce powróżyła, a ta wzięła drobną jej rączkę i patrząc chwilę na nią mówiła z powagą:

Korona cię czeka moja śliczna pani,
Królewicz ci serce swoje złoży w dani.

— Rozśmieli się wszyscy na to proroctwo, bo jakkolwiek starościanka i cudowną urodą i cnotami przewyższała później inne kobiety, toć wtenczas nikt przypuścić nawet nie mógł, że będzie żoną królewicza; dopiero w lat kilka, kiedy się sprawdziło, co przepowiedziała wojewodzanka, wszystkim obecnym tej scenie przyszła na myśl owa wróżba, a starosta szczególnemi względami odtąd zaszczyca wojewodzankę i nie tylko datku nie szczędzi, ale jeszcza na śto krzyskiej górze w miejscu nędznej lepianki, w której dotąd mieszkała, kazał jej wystawić schludną chałupkę, przyjął kobietę do jej usług, a prowiant pobiera z Maleszowy.

Przez ciąg mowy p. Goliana zamyślił się p. Kazimierz, i ciekawie patrzał na siedzącą na górze staruszkę, a kiedy

już dojechali blisko, ta skinęła ręką jak by ich wzywała do siebie.

Spostrzegli to oba młodzieńcy, zatrzymali się, a potem na żądanie pana Kazimierza zsiedli z koni, oddali je kozakowi i oba drapiąc się po stromym brzegu wąwozu, dążyli do wróżbiarki.

Pan Kazimierz za przykładem Goliana zdjął czapkę i powitał nizkim ukłonem staruszkę, ta im odkłoniła głową i patrzała na pana Kazimierza, który zbliżając się do niej:

— Słyszałem — mówił — od towarzysza mego, że panna wojewodzanka tym, na którycheś łaskawa, przyszłość przepowiadasz; czy ja bym nie mógł usłyszeć, co mnie czeka?

Miasto odpowiedzi opuściła głowę stara, zdała się zamyśloną, bo z roztargnieniem skubała odzienie, potem z woreczka wyjmowała jakieś rupiecie, w końcu wyciągnęła z zanadrza złoty krzyżyk na łańcuszku zawieszony, i pokazywała go panu Kazimierzowi.

Oglądał go ciekawie, bo robota była bardzo misterną, a Golian szepnął mu, że to dar królewiczowej; stara tym czasem patrzała w niebo na obłoki, co się przesuwały i kryły czasem szczyt śto.-krzyskiej góry, a potem ujęła rękę młodzieńca, wzniosła swoją w górę i tak zaczęła.

Wzlecisz, wzlecisz ptaszę młode
Wyżej nad te chmarę,
Stoczysz boje za swobodę
I za ojców wiarę.
Poprowadzisz dzielne plemię
Na taniec z wrogami,
Krwią najezdzców polską ziemię
Zalejesz strugami

Dzielny w boju, mądry w radzie,
Strzeż się chłopcze miły,
Czarne oczy spojrzą na cię,
I braknie ci siły.

Na początku przepowiedni szczególnym zapałem błyszczał wzrok p. Kazimierza, boć ta wróżba dziwnie była w analogii i z przysięgą wykonaną w Czerniakowie, i z ruchem jaki przewidywał, ale ta alluzja do czarnych oczu nie pomału go zdziwiła, bo mu i w głowie nie postało dotąd uczucie tego rodzaju; spojrzał też na Goljana jakby od niego żądał rozwiązania tej zagadki, ale ten zajęty przyszłem powodzeniem przyjaciela nie tak tłumaczył sobie badawcze jego spojrzenie.

Stara siedziała ciągle zamyślona, a pan Kazimierz domyślając się że nic się więcej od niej nie dowie, sięgnął do kieszeni, i wyjmując z niej co tam było pieniędzy podał je starej; a ta wzięła go za rękę, i ważąc ją w swojej dłoni patrzała mu w oczy i mówiła:

Ręka co daje, ręka co bije,
Ta ręka hańbę wiekową zmyje.

Po tych wyrazach rumieniec wystąpił na twarz pana Kazimierza, bo to co słyszał przechodziło granice marzeń jego

Nie raz on wprawdzie widział się w myśli na czele dzielnego hufca, pełen zapału, gromiący pierzchającego nieprzyjaciela, ależ być wodzem, zwycięzcą, tego sobie nie obiecywał; to też w zamyśleniu opuścił wróżbiarkę; towarzysz jego milczący postępował za nim, aż kiedy dosiedli koni, pan Kazimierz zwracając się do Goliana:

— Cóż sądzisz o tem cośmy słyszeli? — zapytał.

— Ja myślę, że stara prawdę mówi — odrzekł — bo ona już nie jedno odgadła; świetna tedy przyszłość czeka pana Kazimierza, a nikt pewnie więcej odemnie nie będzie się cieszył jego powodzeniem.

Uścisnął młodzieniec rękę przyjaciela, a potem mówił ze skromnością i powagą nad wiek swój:

— Jeżelim dobrze zrozumiał wyrazy tej staruszki, to ja mam być wodzem!.... O mój Stanisławie, pochlebia to dumie, zadowolnić może największe wymagania, ale czy siły wystarczą, to kwestja?

— I dla czegóżby wystarczyć nie miały? — odrzekł skwapliwie Golian — przecież to nie będzie ani dziś, ani jutro, to lata miną może, lata które użyjesz p. Kaźmierz na kształcenie się, a potem tak dobrze możesz pan przywodzić jak kto inny, bo wszystko jest potemu; stosunki pana starosty są rozgałęzione bardzo, mir u szlachty wielki wzrośnie jeszcze po tem zajściu z Repninem, ród wasz starodawny i rycerski, a co jeszcze wiele rzeczy ułatwić może, mienie ogromne, bo to nie wiem czy jest województwo w całej koronie, gdzieby nie było dóbr pana starosty Wareckiego [1]). a człowiek takiego animuszu jak rodzic pański, pewnie fortuny nie pożałuje. Nic więc panu Kazimierzowi w poprzek nie stanie, chyba owe czarne oczy, o których wspomniała wojewodzanka, ale to może sekret, o który wypytywać nie

[1]) W chwili zawiązania konfederacji stary Pułaski miał 108 wsi i kilkanaście miasteczek.

godzi się — dodał z uśmiechem i patrzał z pod oka na przyjaciela.

— O! co to! to wierutna bajka — zawołał modzieniec — ani mi to w głowie nie postało nigdy; w moim wieku?..... kochać się?..... to szaleństwo... ot, stara warjatka plecie jak na mękach; w pierwszej chwili nie wielem zważał na ten koniec przepowiedni, ale teraz widzę, że tyle w tem prawdy, co i w mojej przyszłej wielkości, śmiechu rzecz godna i kwita — dodał.

— A przepowiednia królewiczowej czy także śmiech wzbudza w panu Kazimierzu? — zapytał Golian.

— To przypadek tylko — mówił z niedowierzaniem pan Kazimierz.

— Niech i tak będzie — mówił poważnie Golian — gdy by jednak koniec przepowiedni poprzedził początek, nie zapominaj panie starościcu, coś winien sprawie której was ojciec poświęcił.

— Ja miałbym zapomnieć przysięgi mojej i to dla kobiety? nigdy mój Stanisławie; i gdybym nawet uległ uczuciu, z którego sobie dziś sprawy zdać nie mogę, to czuję, że nietylko by mnie nie wstrzymało na drodze powinności, ale może śmielszym uczyniło w dobijaniu się zasługi.

— Szlachetne to zamiary — mówił Golian — ale to podobno więcej trzeba odwagi, żeby opuścić tę co się kocha, niż życie narazić.

— Czyliś się kochał kiedy? — pytał ciekawie pan Kazimierz.

— Bogu dzięki nie kochałem się, ale widziałem zakochanych zapamiętale, o! to stan nie do zazdrości, szczególnie jeżeli przed nami są progi za wysokie na nasze nogi.

— Dla szlachcica — mówił pan Kazimierz — każden próg do przestąpienia, bo czyż nasi dziadowie nie śpiewali:

Ożenił się równy z równą,
Pan Zamojski z Batorówną? —

a Panna Starościanka Nowowiejska czy spodziewała się być królewiczową? a jest nią! Wierzaj mi, wysokie urodzenie nie zraziło by mnie. Ale dajmy temu pokój; te czarne oczy, których mi się strzedz każą, może jeszcze na lalkę z upodobaniem zwrócone; dalekie to rzeczy, mój drogi.

Poufna pogadanka młodzieńców ustała dopiero w chwili, kiedy wjeżdżali do zamku. Pan Kazimierz opowiedział braciom wydarzenie z wróżbiarką, pan Golian kolegom, ci znów pannom respektowym, i w krótkim bardzo czasie cały dwór Maleszowski rozmawiał o tem, a kiedy doszło to do uszu pana Starosty Wareckiego, zamyślił się mocno, a potem kazał przywołać pana Kazimierza, napomniał go żeby nie przywiązywał wiary do takich baśni, bo to się nie godzi, i żeby go to w dumę nie wbijało, bo by się śmiesznością okrył.

Poważnego zdania doświadczonego męża nie dzieliła młodzież; wierszyki wróżbiarki podobały się, kapelmajster ułożył do nich nutę, a jedna z panien respektowych bardzo ładny głos mająca, śpiewała je na rozkaz pani Starościny, Starościanki zaś układały sobie z przyjemnością, że nową śpiewkę siostrom do Sulgostowa zawiozą.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu w zapowiedziane odwiedziny do starostwa Radomskich; a że to była podróż kilkunastomilowa, wysłany przodem koniuszy urządził popasy i noclegi, a na drugi dzień wyruszyli zaproszeni w kilka powozów, oddział dragonji szedł z nimi, bo wymagało tego bezpieczeństwo starosty Wareckiego, a młodzi Pułascy w tym rodzaju podróżowania widzieli przyjemność, bo w towarzystwie kilku pokojowców, w których liczbie był Golian, konno jechali.

Dojeżdżając do Sulgostowa, spotkał ich starosta Radomski w towarzystwie kilkunastu sąsiadów i krewnych, a kiedy wjeżdżali na dziedziniec, nadworna chorągiew huzarska, którą utrzymywał pan Świdziński, oddawała honory. Na ganku stała starościna w towarzystwie dwóch sióstr pana starosty, jednej zamężnej Lanckorońskiemu, kasztelanowi Połonieckiemu, drugiej Granowskiemu, wojewodzie Rawskiemu; było tam i kilku wiekowych panów, między nimi wojewoda Bracławski, ojciec gospodarza domu; wszystko to wyszło na przyjęcie starostwa Nowowiejskich, których z radością witała córka, a kiedy oboje rodzice zapytali ją o królewiczowę, to za powód nieobecności dała im cierpienie na głowę; w rzeczy zaś inaczej było. Królewiczowa bowiem nie chciała mieć świadków spotkania się swego z rodzicami, bo chociaż ci zezwolili na jej związek z królewiczem Karolem, chociaż przysłali do Warszawy proboszcza z Maleszowy, który im ślub dawał, to jednak nie wiadomo, z jakich powodów tak ją etykietalnie przyjęli, kiedy w rok po ślubie przybyła do Maleszowy, że biedna łzami się zalała, i poraz pierwszy uczuła ciernie korony; powtórzenia tej sceny w obecności

tylu świadków unikała więc, i to pani Świdzińska wyłożyła matce kiedy same były, — a ta pospieszyła do córki, starosta zaś Radomski prowadził gości swoich na pokoje, gdzie witali się po raz drugi znajomi; a że wielu po długiem niewidzeniu się spotykało się teraz, wspomnienia więc lat ubiegłych, u starszych młodości, wywoływało uścisk przyjazny i gwarną rozmowę.

Dom w Sulgostowie nie był to zamek jak w Maleszowy, ale pałac w guście włoskim postawiony; obszerny ogród rozciągał się za nim, zabudowania dworskie odpowiadały zamożności właściciela; wewnątrz nie było przepychu, ale dostatek, pokoje w obiciach olejnych, a pryncypalne adamaszkiem pokryte; z wielkiej sali szpalerem obitej, w której rozmawiali nowo-przybyli, szło się do niedużego pokoju, adamaszkiem niebieskim obitego; na ścianach wisiały portrety przodków rodziny Świdzińskich; na boku były drzwi ciężką jedwabną firanką zakryte, przy której siedziało dwóch pokojowców w barwie saskiej; drzwi te prowadziły do mieszkania królewiczowej.

Niedługo dano znać do stołu i przy huku trąb i kotłów spełniano zdrowia naprzód prześwietnych Stanów Rzeczypospolitej, dalej stanu duchownego, a w szczególności biskupów Sołtyka, Załuskiego i Krasińskiego, potem szło zdrowie hetmanów Klemensa Branickiego i Seweryna Rzewuskiego, dalej jako reminiscencję przeszłości, wniesiono toast na cześć rodziny saskiej; słowem nie pominięto żadnej zasługi, nie zapomniano ani o przeszłości ani o nadziejach na przyszłość; królewskiego tylko zdrowia nikt nie

wniósł, bo to na nieszczęście nie było wyrazem pomyślności kraju.

Z końcem obiadu nie skończyły się toasty; kielichy krążyły jeszcze w kole mężczyzn, gospodarz na chwilę oddalił się wezwany przez żonę, a kiedy wrócił, zbliżył się do starosty Wareckiego i oświadczył mu, że królewiczowa dowiedziawszy się o jego przybyciu, pomimo cierpienia przyjdzie żeby go powitać; niskim ukłonem odpowiedział Pułaski na podziękowanie za honor mu robiony, potem za jego przykładem wszyscy ruszyli do szabel, a kiedy je przypasali, i czapki do rąk wzięli, szli do owego pokoju z niebieskiem obiciem, i rozmawiając z damami oczekiwali przybycia królewiczowej.

Po chwili powstali pokojowcy, rozsunęli firankę, i głośno zaanonsowali:

— Najjaśniejsza królewiczowa idzie!

Na te słowa wszyscy ruszyli z miejsc swoich, nawet oboje starostwo Nowowiejscy powstali, a po chwili wsparta na ręku starosty Radomskiego, ukazała się królewiczowa.

Anielski wyraz twarzy i cudowna uroda Franciszki Krasińskiej usprawiedliwiały wybór królewicza. W samej wiośnie wieku, bo nie wiele więcej jak lat 20 liczyła; kibić jej wyniosła, płeć nadzwyczaj biała zdała się pudrem posypaną, oko czarne miało jakiś wyraz tęskny i łagodny, niezwykły u brunetek, włosy jak heban czarne, w długich kędziorach spadały jej na szyję, zęby nadzwyczajnej białości widne było przez rozwarte nieco usta, na których igrał uśmiech dziecinny; w całem ułożeniu była jakaś powaga odpowiednia wysokiemu jej stopniowi; ubraną była w suknię

czarną z ciężkiej materji, mnóstwo koronek okrywało piersi i spadało na ramiona, a na nich gustownie opięty łańcuch złoty unosił miniaturę królewicza bogato oprawną.

Za królewiczową szły obie jej młodsze siostry i kilka panien respektowych, za niemi dwóch młodziutkich paziów po hiszpańsku ubranych, z których jeden niósł koszyk szylkretowy z robotą, drugi zaś trzymał na ręku dziwnie małego bonończyka, ulubionego pieska królewiczowej.

Szmer podziwienia rozszedł się w gronie mężczyzn na widok tylu wdzięków, wszyscy też pełnym uszanowania ukłonem oddali hołd i wysokiemu stopniowi i urodzie nowoprzybyłej, a ta oddała ukłon z wdziękiem i powagą i postąpiła do starosty Wareckiego.

— Szczęśliwa jestem — rzekła z przymileniem — że traf pozwala mi wynurzyć panu staroście, jak wysoko cenię jego przychylność dla domu Saskiego; wiem ja z ust królewicza, że pan starosta byłeś z liczby tych obywateli tego kraju, których życzeniem było, żeby syn po ojcu i dziadu nosił tę świetną koronę; gdyby więc nie intrygi obce, królewicz miałby dużo do zawdzięczenia panu staroście, którego poważne zdanie i gotowość do poświęcenia w dobrej sprawie znaną jest u nas.

Wielce uradowany Pułaski tą grzecznością, która źródło swoje miała w przyjaźnem usposobieniu królewicza dla niego, nisko się skłonił, a potem z rosnącym zapałem odrzekł:

— Wasza Królewiczowska Mość czytasz jak widno w tajnikach serca mojego; gotowe ono do poświęceń w potrzebie kraju, którego dobro zapewnić tylko może sumienne za-

chowanie swobód naszych przez panującego, i energiczny opór przeciw obcym wtargnieniom; na to trzeba prawości jaka cechowała rządy Augusta III, i wytrwałości w złej doli, jaką się odznaczał August II; nie dziw więc że syn i wnuk takich dwóch królów, był pożądanym monarchą dla dobrze myślących; wprawdzie los nieubłagany zniweczył nadzieje nasze, ale Bóg co się opiekuje Polską, nie da tryumfu złej sprawie, i jeszcze Korona — dodał z galanterją — może ozdobić skronie godne tego zaszczytu.

Z zadowoleniem słuchała mówiącego królewiczowa; na ostatnie wyrazy rumieniec okrasił piękną jej twarz, podała Pułaskiemu rękę, a kiedy ten ją z uszanowaniem do ust podniósł, spytała go o synów.

— Są tu ze mną — odrzekł — i jak ja przejęci obowiązkami dla kraju, a przywiązani do Najjaśniejszego Domu Saskiego. Czy pozwolisz Wasza Królewiczowska Mość przedstawić ich sobie?

— Bardzo proszę — odrzekła z wdziękiem zapytana, a Pułaski odwrócił się i ręką skinął na synów, którzy opodal stali.

Franciszek i Antoni postąpili do ojca; a Kazimierz stał chwilę nieruchomy, i jakieś dziwne uczucie malowało się na jego twarzy, z której chwilowo znikł rumieniec co krasił ją zwykle; spostrzegł to Golian, który był koło niego i chwytając go za rękę, szepnął w ucho: że go ojciec wzywa. Jakby ze snu obudzony szedł młodzieniec, a kiedy po prezentacji królewiczowa podała mu rękę, to przyklął na jedno kolano, i kiedy ją niósł do ust, silniejszy jak zwykle ru-

mieniec wystąpił na lica, a wzrok pełen zapału zwrócił na królewiczową.

Instynktem właściwym kobietom, poznała ona widno w tej oznace uszanowania hołd oddany nie tyle wysokiemu jej znaczeniu, jak raczej wdziękom, bo i ona zapłonęła jak jagoda, i nieśmiale patrzała na młodzieńca, którego znalezienie się wzbudziło powszechne zadziwienie, czego oznaką był szmer co się rozszedł w całem zgromadzeniu, i powiększył pomięszanie królewiczowej; ale chwilę to tylko trwało, bo chcąc wyjść z fałszywego położenia przybrała ton poważnej matrony i zwróciła się do starosty Wareckiego.

— Szczęśliwi — rzekła — stokroć szczęśliwi ci, których Opatrzność obdarzyła dziećmi; jaka to pociecha musi być dla pani starościny widzieć dorastające tak liczne potomstwo!

Zapytanie to wymówiła z żalem, który się dał tłumaczyć rozdziałem jej z królewiczem. Smutek jej znalazł odbicie w sercach wszystkich obecnych, zapomnieli też o znalezieniu się pana Kazimierza, który chwilę stał zamyślony, potem niepostrzeżony wyszedł do jadalnej sali, z niej szklannemi drzwiami na ogród, gdzie czując że mu tchu braknie, odetchnął całą piersią, a widząc zbliżającego się Goliana, postąpił ku niemu, i ocierając czoło chustką

— Coś mi nie dobrze mój Stanisławie! — zawołał.

Wpatrywał się chwilę Golian w twarz przyjaciela, a potem z cicha wyrzekł:

— Panie Kazimierzu! to początek przepowiedni....

— Jakiej przepowiedni? — zapytał z roztargnieniem młodzieniec.

— Wojewodzanki z Łysej góry — odrzekł Golian kiwając głową.

— Jakto? — zawołał pan Kazimierz — więc by to miały być czarne oczy, których mi się strzedz kazała?... Nie to być nie może!... to jakieś złudzenie chwilowe, wszak prawda Stanisławie?

Miasto odpowiedzi patrzał Golian na twarz pana Kazimierza, a przestraszony jego zaognionym wzrokiem:

— Uspokój się pan na miłego Boga! — zawołał — pamiętaj, że wielkie obowiązki masz do spełnienia i że pomięszanie, w jakiem jesteś, może być uważane przez obojętnych, których nie uszło uwagi, żeś pan przyklękł przed królewiczową.

Pan Kazimierz w zamyśleniu słuchał mowy przyjaciela, potem zwrócił łzawe oko na niego.

— Wierzaj mi — mówił — że ten hołd oddany jej, był mimo mojej woli; kiedym się dotknął jej ręki, nie wiedziałem co się ze mną stało, przyklękłem jak przed Bóstwem i dziwię się żem nie upadł na oba kolana, bom takiego wzroku w życiu nie napotkał. Ten królewicz Karol duszy chyba nie ma, żeby zaniedbać skarb taki!

— Zapewne że skarb — odrzekł Golian — ale im droższy, tem wyżej cenić go potrzeba i nie narażać na złe języki; niech że się p. Kazimierz uspokoi, i wracajmy do pokoju.

Pojął młodzieniec słuszność uwagi przyjaciela, i przeszedłszy się nieco w cienistym szpalerze, złączyli się z resztą towarzystwa.

Wkrótce wszyscy wyszli do ogrodu i przechadzali się, a nasz młodzieniec, zdaleka idąc, nie spuszczał z oka królewiczowej, której assystowały i damy starsze wiekiem i panowie.

W pierwszych dniach pobytu starosty Wareckiego w Sulgostowie gości było dużo, przy obcych więc zachowywano względnie królewiczowej etykietę stanowisku jej przynależną, o którą bardzo dbałą była cała rodzina Saska; ale kiedy rozjechali się goście i sami domowi zostali, na usilne żądanie królewiczowej wrócił poufalszy stosunek, wyjeżdżano na spacery do poblizkich folwarków, damy i starsi panowie powozami, młodzież konno; w takim razie pan Kazimierz i jego bracia byli zawsze przy drzwiczkach kolebki w której jechała królewiczowa, ośmielani jej łaskawem obejściem rozmawiali z nią często, a ona uwiadomiona do jakiej roli ojciec ich przeznacza, starała się zbadać ich usposobienia; a że w panu Kazimierzu upatrywała najwięcej energii i gotowości do poświęcenia i zapatrywanie się nad wiek poważne, z nim też najchętniej rozmawiała.

Wieczorami, kiedy kapela przybyła z Maleszowy przygrywała i młodzież wzięła się do tańców, z nim tańczyła kilka razy; kiedy pływano po stawie, pan Kazimierz kierował statkiem, w którym siedziała królewiczowa, było to więc zbliżenie które może i niekorzystnie tłumaczyć można było, gdyby obejście królewiczowej z panem Kazimierzem nie było nacechowane względami osoby starszej dla niedojrzałego młodzieńca; wkrótce jednak musiała zmienić postępowanie swoje i być oględniejszą, bo się przekonała, że

pana Kazimierza za dziecko uważać nie można, czego dowodem było następujące wydarzenie.

W jednej z przejażdżek do okolicznych wiosek, chroniąc się przed deszczem, zajechało całe towarzystwo do schludnej chałupki pod lasem, gdzie mieszkał leśniczy z rodziną. Żona jego, młoda kobieta ciężko chora, zwróciła uwagę królewiczowej; nie szczędziła też ani datku, ani leków, co dzień posyłała dowiadywać o zdrowie swojej pacjentki, i teraz nowe przesławszy jej środki, rada była wiedzieć czy skutkują; a że burza była ogromna, deszcz ulewny i pioruny, nie chciała więc trudzić na taki czas nikogo z dworzan, a ktoś ze sług nie mógłby jej zdać dokładnej relacji o stanie chorej.

Pan Kazimierz słysząc jak pożądaną była ta wiadomość dla królewiczowej, nikomu nic nie mówiąc, wyszedł do swego mieszkania, kazał sobie konia podać, i już miał wsiadać, kiedy nadszedł Golian. Zdziwiony, co za powód wyjazdu w taką porę, pytał o przyczynę, a kiedy pan Kazimierz opowiedział mu rzecz całą, oświadczył zaraz, że mu towarzyszyć będzie, i jak w Maleszowej, ich dwóch i kozak sami trzej jechali do owej leśniczówki.

Niezmierna zlewa utrudzała pochód; woda strumieniami leciała ze wzgórz, pioruny biły w około i płoszyły konie; z ciężkością więc dojeżdżali do celu podróży, kiedy huk silniejszy jak poprzednie rozległ się powietrzu, potem dym słupem wzniósł się nad słomianym dachem leśniczówki, i zaraz ogień z trzaskiem ukazał się w kilku miejscach między snopkami, a pomimo to niebezpieczeństwo nikt nie

wyszedł z domku, gdzie leżała chora, jakby to było pustkowie.

Spostrzegli to młodzieńcy — pali się! — wykrzyknęli jednocześnie, i pochyleni na koniach pędem spieszyli na ratunek. Zaledwie dopadli do domku, zeskoczyli z koni, poparli silnie ramionami zamknięte wewnątrz drzwi, które pękły na połowę — w jednej chwili byli w izbie, gdzie zastali zemdloną chorą, i uwinąwszy ją w prześcieradła co ją okrywały, wynieśli z chałupy. Owiana świeżem powietrzem przyszła do przytomności chora, i składając ręce do swoich wybawicieli:

— Dziecko moje! — zawołała z przerażeniem.

— Gdzie? — spytał pan Kazimierz.

— W kołysce u pułapu! — zawołała łkając, i drugi raz zemdlała.

Pan Kazimierz ściągnął z chorej jedno z prześcieradeł tak mokre jakby w wodzie zmaczane, i zostawując ją na rękach Goliana, biegł do domu owijając się w płótno. Spostrzegł to Golian:

— Stój pan na miłego Boga — wołał — ja pójdę po dziecię!

Ale nie zatrzymał się pan Kazimierz, i znikł wśród dymu buchającego ze drzwi.

Golian złożył chorą pod płotem, co nieco osłaniał od burzy, i poskoczył za panem Kazimierzem; nim dopadł do drzwi, trzask walącego się dachu przejął go trwogą o życie przyjaciela; jednocześnie z nim przypadł i kozak, i oba już byli przy drzwiach, kiedy paląca się krokiew wisząc na jednym końcu, zsunęła się i przecięła im drogę, a kiedy

wiatr chwilowo zwrócił dym na bok, ujrzeli w sieni pana Kazimierza; stał on jak widmo owinięty w białą płachtę, która się cała kurzyła i co chwilę zająć się mogła.

Na ten widok Golian na nic niepomny, gołemi rękami porwał z pomocą kozaka za palące drzewo, szarpnęli oba silnie, a kiedy pękła krokiew pod tym naciskiem, kozak upadł, a Golian jednym skokiem był w sieni w chwili, kiedy pan Kazimierz, któremu tchu brakło, miał upaść. Z wysileniem, które podwajała rozpacz, porwał on go na ręce, i choć paliły się suknie jego i czapka, choć ręce miał popalone, wyniósł go na dwór, i kiedy składał na ziemię, z pod płachty wyleciało dziecię i krzykiem dało znak życia, a on zatoczywszy się, zemdlał.

Oba młodzieńcy leżeli bez przytomności; kozak biegał od jednego do drugiego trzeźwiąc i ręce załamując, kiedy z za płotu ogród okalającego wyskoczył ktoś ze strzelbą na plecach i borsuczą torbą a za nim dwóch chłopów z kosturami; widząc leżące dziecię porwał je na ręce i z rozpaczą do piersi tulił, a kiedy znów zapłakał chłopczyna, radość wystąpiła na twarz smutną przed chwilą i ta oznaka czułości zdradziła ojca; pytał o żonę, a dowiedziawszy się, że w bezpiecznem miejscu złożona, zajął się zbawcami swojej rodziny.

Z pomocą gajowych przenieśli ich do szopki, z tyłu domku, gdzie i chorą złożono. Pan Golian pomimo mocnego opalenia przyszedł zaraz do przytomności, ale pan Kazimierz widno tak mocno zaczadział w dymie, że znaku życia nie dawał; widząc to leśniczy, zwrócił się do kozaka:

— Na koń kozacze — wołał — leć do pałacu i dawaj znać co się tu stało.

Dwa razy nie trzeba było mówić kozakowi, w jednej chwili był na koniu, i jak wiatr pędził drogą.

Tymczasem wszyscy w Sulgostowie w milczeniu czekali końca burzy, a królewiczowa czy ciekawością zdjęta, czy jakiemś przeczuciem powodowana, siedziała z robotą w oknie i niespokojnie spoglądała na dziedziniec.

Burza już nieco ustawała, coraz się oddalał huk grzmotów, już i niebo błękitne wyglądać poczęło z pomiędzy usuwających się chmur, kiedy wpadł na dziedziniec kozak wysłany z leśniczówki. Wołał on widno na ludzi przed stajniami stojących, ręką machał i pędził do pałacu. Spostrzegła go pierwsza królewiczowa i powstała raptownie:

— Panie starosto! — zawołała na Pułaskiego — co to za człowiek? — i ręką wskazywała w okno.

Zaledwie okiem rzucił wezwany:

— To mój kozak — zawołał — jakieś nieszczęście spotkało mego syna!

Obecni spojrzeli po sobie. Antoni, Franciszek i Dominik byli w pokoju, brakowało tylko Kazimierza.

Wszyscy przerażeni biegli przez salę ku sieni, kiedy drzwi do niej wiodące rozwarły się z trzaskiem, i w nich okazał się kozak. Popalone odzienie z którego strugą lała się woda, pokrwawiona twarz i ręce, wyraz pomięszania w wejrzeniu przejęły strachem wszystkich, a kiedy kozak spostrzegłszy Pułaskiego zawołał:

— *Baťku! nasz panycz może już nie żyw!* — wtedy pobladł nieszczęśliwy ojciec, i oparł się o stolik; kobiety poczęły płakać, a królewiczowa zemdlała.

Otoczono kozaka; pan starosta Nowowiejski wypytywał o szczegóły wypadku, a kiedy je opowiedział, wnieśli wszyscy, że jeszcze nadzieja nie stracona. W starostę Wareckiego wstąpiła otucha, kazano kulbaczyć konie, zaprzęgać do powozu dla przewiezienia chorych; kobiety nieco spokojniejsze podawały kordjały i wina; w jednej chwili ruszyli mężczyźni ku leśniczówce, a kobiety otoczywszy królewiczowę gorąco modliły się.

Z największym pospiechem dążyli wszyscy do leśniczówki, kiedy w połowie drogi ujrzeli gajowego, którego przytomny leśniczy wysłał na koniu pana Goliana; z daleka machał on czapką na znak radości i wrzeszczał na całe gardło:

— Pan starościc ożył!

Na tę wiadomość szczęśliwy ojciec rzucił sakiewkę z pieniędzmi zwiastunowi tej pomyślnej wieści, i kazał spieszyć do pałacu, a sam co koń wyskoczy pędził do leśniczówki, którą mu wskazywały kłęby dymu.

Jednocześnie prawie dopadli wszyscy do celu podróży, a kiedy weszli do szopki, ujrzeli pana Kazimierza siedzącego na sianie; blady, jakby w nim krwi nie było, odzież zmokła i podarta, obuwie spalone, twarz dymem oczerniona; obok niego Golian z obwiązaną głową i obwiniętemi rękoma, na drugiej stronie szopki leżała chora, i tuliła płaczące dziecię, a leśniczy krzątał się między niemi i usługi oddawał.

Z radością trudną do opisania, witał ojciec już opłakanego syna, którego czyn odważny i ludzki, tem droższym mu go czynił.

— Bóg cię ocalił moje dziecię! — wołał rozrzewniony.

— Bóg, ojcze — odrzekł młodzieniec — zesłał mi przyjaciela, który mi życie uratował — i wskazywał na towarzysza, którego znowu jak syna uściskał starosta, a potem odwracając się do pana Kazimierza:

— Cóż was w taką burzę zagnało tutaj? — zapytał.

Zmięszał się nieco zapytany, bo prawdziwy powód wycieczki mógł zdradzić uczucie serca jego, ale zaraz z pewnością odrzekł: że obiecał chorej, odwiedzić ją w tym dniu i przywieść nowe lekarstwo, i dla tego nie uważał na burzę, i przybyli tutaj w chwili, kiedy piorun dom zapalił.

Zrozumiał pan Golian pobudki, dla których przyjaciel jego w ten sposób tłumaczył wycieczkę ich, potwierdził też co pan Kazimierz mówił, chora w gorączce nie przeczyła, uwierzono tedy, chwalono odwagę, a pan starosta Nowowiejski przyrzekł szczególne względy swoje panu Golianowi; a kiedy zajęty był wybadywaniem leśniczego i gajowych, to pan Kazimierz z cicha z ojcem rozmawiał, a ten po chwili powstał i biorąc starostę Nowowiejskiego za rękę:

— Mości starosto dobrodzieju! — rzekł — przez względy swoje dla mego syna, które on, pewien jestem, wysoko cenić będzie umiał, obiecałeś łaskawco zająć się losem pana Goliana, za co ci uniżenie dziękuję; ależ chciej pomnieć, że to mój obowiązek wywiązać się mu z długu wdzięczności, i że ja jestem debitorem pana Goliana, a Bogu dzięki w stanie wypłacić się choć w części; żebym zaś to mógł

spełnić, zezwól, ażeby ci dwaj młodzieńcy nie rozłączyli się, bo doprawdy, podobni do siebie.

— Zawszem — odrzekł pan Krasiński — dobrze uważał pana Goliana, a dziś go wysoko cenię; z przyjemnością też widziałbym go w domu moim, ale kiedy takie jest życzenie szanownego pana starosty, a pan Golian zgadza się na to, chętnie przystaję, ażeby wszedł w służbę jego. Cóż Waść na to? — zapytał.

— Wiem ja dobrze — odrzekł Golian — com winien JW. Panu i jego dostojnej rodzinie. Ojciec mój w nieszczęściu znalazł pomoc i kawałek chleba przyzwoity u stryja JW. Pana, który mnie i rodzeństwu memu dał wychowanie, siostra i brat pokierowali się za łaską JW. Biskupa, mnie sierotę przyjąłeś JWPan w dom swój i dobrze mi na chlebie pańskim, służyć mu więc jest dla mnie i obowiązkiem i przyjemnością; ależ inny znowu stosunek wiąże mnie z panem starościcem; nieraz mówiliśmy w Maleszowej o teraźniejszej niedoli kraju i prawdopodobnym oporze dobrze myślących. Pan Starościc pewien, że w spodziewanym ruchu udział weźmie, z przyjemnością patrzał w przyszłość, ale ja, zależny, nie wiedząc czy uzyskam pozwolenie pańskie, narzekałem, że może będę zmuszony pozostać w domu kiedy inni bić się będą, i ze smutkiem mówiłem o rodzinnej stronie, którą już widzieć nie miałem nadziei. Pan starościc chcąc mnie pocieszyć przyrzekł, że jak przyjdzie chwila po temu, choćbym był na krańcu świata znajdzie mnie, i chce mieć za towarzysza, a ja dziękując mu za ten honor dałem słowo, że w złej czy dobrej doli nie odstąpię go na krok, mam więc dwa obowiązki do spełnie-

nia, a teraz JWny Pan chciej wyrzec, któremu zadosyć-uczynić powinienem.

— *Verbum nobile debet esse stabile* — zawołał pan starosta — bo dalipan w korcu maku znaleźliście się!

Pan Kazimierz dziękował najczulej staroście, pan Golian ucałował rękę jego, potem wsadzono obu młodzieńców do powozu, chorą z dzieckiem na wóz słomą wysłany, i tak wszyscy zadowoleni wracali do Sulgostowa.

Wkrótce po odjeździe tych co spieszyli z pomocą panu Kazimierzowi, nadbiegł do Sulgostowa gajowy i doniósł, że staroście odzyskał przytomność; radość też była powszechna, zawołano kozaka żeby opowiadał całe wydarzenie, każde jego słowo wzbudzało zadziwienie i szacunek dla obu dzielnych młodzieńców, a królewiczowa widziała jasno, że powodem tej wycieczki, która tak smutne mogła mieć skutki dla pana Kazimierza, było zadosyćuczynienie jej życzeniu; tłumaczyła sobie tedy uczuciem wdzięczności tęskne jakieś wrażenie, jakiego po tym wypadku doznawała; a i niepokój ją dręczył, było bowiem do przewidzenia, że wybadywany przez ojca o przyczynę przybycia swego do leśniczówki, niedoświadczony młodzieniec powie co go spowodowało do tego, a pan starosta Warecki w duszy jej będzie złorzeczył, że wymaganiem swojem omal że go nie naraziła na najboleśniejszą stratę; biedziła się tedy nieboga, pogrążona w zamyśleniu i siedziała milcząca, kiedy nadjechali oczekiwani.

Wszyscy niemal wyszli na ich spotkanie; nie szczędzono młodzieńcom pochwał; zajęto się panem Golianem, biedną chorą i jej dzieckiem, i kiedy pan Kazimierz poszedł się

przebrać, to młodsze siostry królewiczowej opowiadały jej: że teraz wierzą temu co wojewodzanka z Łysej góry przepowiedziała, i że świetna przyszłość czeka człowieka takiego poświęcenia i odwagi.

— Jakaż była ta przepowiednia? — pytała ciekawie królewiczowa.

— Niepamiętam jej — odrzekła najmłodsza jej siostra — bo stara wierszami mówi, jak wie pani siostra, ale Zuzia Linowska ma ją przepisaną i spiewa ją bardzo ładnie, bo nasz kapelmajster ułożył do niej nutę.

— Bardzo będę ciekawa usłyszeć tę piosenkę — odrzekła królewiczowa, i patrzała z roztargnieniem przez okno.

Samym wieczorem ukazali się obaj młodzieńcy; pan Kazimierz blady i nieco osłabiony, pan Golian z głową zawiązaną i z ręką na temblaku. Staroście powitał z uszanowaniem wychodzącą naprzeciw niego gospodynię domu i jej matkę, a spostrzegłszy na uboczu siedzącą królewiczowę, ukłonił się jej nisko, i z tem uczuciem delikatności wrodzonem u niektórych, nie patrząc w jej stronę, z roztargnieniem odpowiadał na zapytania pani Świdzińskiej, która go właśnie pytała, jakim wypadkiem w taką burzę znalazł się w mieszkaniu leśniczego.

W tej chwili pobladła królewiczowa, a pan Kazimierz spostrzegł zapewnie tę zmianę i odgadł przyczynę, z przytomnością bowiem odrzekł:

— Burza letnia nie jest to rzecz tak straszna, a że w czasie ostatniej bytności naszej u tej biedaczki, przyrzekłem dziś jej przywieść nowe lekarstwo, pojechaliśmy więc, i jak widzi pani starościna przydała się bytność nasza.

Po tych wyrazach rumieniec powrócił na twarz królewiczowej, spojrzała na młodzieńca, który urósł w jej opinii, bo przytomnością i taktem, rzeczą tak cenioną przez wykształcone kobiety, przeszedł on jej oczekiwanie.

Przy kolacji ciągle mówiono o świeżem wydarzeniu i toastem uczczono obu młodzieńców; pani starościna Nowowiejska opowiadała tym co nie byli w Maleszowej przepowiednię zrobioną panu Kazimierzowi, którą dzisiejsze jego znalezienie się zdało się usprawiedliwiać, starościanki wspomniały o pięknej muzyce do niej zrobionej, i zaraz na żądanie wszystkich zawezwano kapelmajstra; usiadł on do szpinetu. Panna Linowska stanęła koło niego i zaczęła śpiewać

Z wielkiem zajęciem słuchali wszyscy, królewiczowa słysząc jak świetną przyszłość wróżono panu Kazimierzowi, nawykła własnem doświadczeniem wierzyć słowom Pithonisy z Łysej góry, po każdej strofie z uczuciem jakiegoś uwielbienia patrzała na młodzieńca, tem śmielej że on zamyślony, z oczami na dół spuszczonemi stał wsparty na stole, a kiedy śpiewaczka zanuciła ostatnią strofę:

Dzielny w boju, mądry w radzie,
Strzeż się ch opcze miły,
Czarne oczy spojrzą na cię,
I braknie ci siły.

królewiczowa spojrzała na młodzieńca, to miasto spuszczonych oczu spotkała tęskny wzrok jego tak wyraziście mówiący, że to serce obce bojaźni bezsilnem jest przed jej spojrzeniem, że przejęta do głębi duszy powstała spiesznie,

a chcąc ukryć wzruszenie, kiedy inni obsypywali oklaskami śpiewaczkę, wyszła na chwilę do przyległego pokoju.

Wieść o wypadku zaszłym w leśniczówce, równie jak piosnka przepowiedni, rozeszły się po okolicy; wiele też sąsiadów przybywało umyślnie do Sulgostowa, żeby poznać dzielnego młodzieńca, któremu tak świetną przyszłość wróżono, a i poświęcenie dla niego pana Goliana powiększało ciekawość, bo człowiek pospolity nie jest w stanie wzbudzić uczucia zdolnego do poświęceń; oba też młodzieńcy byli przedmiotem ciekawości i zwano ich wszędzie Orestem i Piladem. Królewiczowa szczególnie zajęła się losem biednej chorej i jej dziecięcia, może dla tego właśnie, że ocalenie ich tak drogo mogło było być okupionem; nie tylko więc na jej żądanie pan Świdziński kazał zaraz odbudować zgorzały ich domek, nie tylko wszyscy złożyli się na uprowidowanie pogorzelców w sprzęty i odzież, w czem pan starosta Warecki był najhojniejszym, ale jeszcze co dzień, królewiczowa i jej siostry, po kilka razy odwiedzały chorą, a ich starania, wygoda, może i wstrząśnienie jakieś całego organizmu, spowodowało pożądaną zmianę i robiło nadzieję wyzdrowienia.

Trzeciego jakoś dnia, pan Kazimierz przechadzając się z panem Golianem napotkał leśniczego, męża chorej, który skoro go spostrzegł, postąpił ku niemu i jak długi do nóg mu upadł. Podniósł go pan Kazimierz i wypytywał o stan żony; ten mu odrzekł że zdrowsza, a potem takie jakieś zakłopotanie widno było w oczach leśniczego, że pan Kazimierz chcąc go ośmielić, zapytał, czy ma jakie żądanie do niego.

— Gdyby — mówił leśniczy — JWy pan nie odmówił mojej prośbie, to bym z nieśmiałością prosił..... — i przestał znowu zmięszany.

— No! o cóż mój kochany? — zapytał pan Kazimierz — mów śmiało.

— O to, żeby JWy pan raczył odwiedzić moją kobiecinę, bo onaby rada widzieć dobrodzieja naszego — i całował w kolana pana Kazimierza.

— Bardzo chętnie — odrzekł młodzieniec — prowadź mnie do niej.

W oficynie złożono chorą i jej dziecię, z rozkazu królewiczowej umieszczono porządne łóżko z pościelą, ścianę kobiercem obito, co potrzeba do wygody nagromadzono; opływała więc teraz chora jak pączek w maśle, i stan jej zdrowia znacznie się polepszał. Do tej tedy stancji wszedł pan Kazimierz i zastał w niej królewiczowę, która siedziała tyłem do drzwi i trzymała na kolanach chłopczynę. Chora spostrzegła zaraz młodzieńca, i składając ręce:

— Panie mój i dobrodzieju! — zawołała.

Odwróciła się w tej chwili królewiczowa, którą pan Kazimierz niskim powitał ukłonem, a kiedy przystąpił do łóżka chorej, ta go uchwyciła za rękę i całując ją rzewnie płakała.

Z widocznem zadowoleniem patrzała królewiczowa na tę oznakę wdzięczności, a potem podnosząc dziecię na ręku:

— Przypatrz się panie starościcu — mówiła do pana Kazimierza — bo pan pewnie nie wiesz jeszcze jak wygląda; wszak ładny? — zapytała.

— W istocie — mówił pan Kazimierz wpatrując się w twarz dziecięcia — trudno napotkać ładniejsze dziecko,

a jakie oczy piękne! — dodał i spojrzał na królewiczowę, która spuściła swoje, chłopczyna bowiem jak ona miał czarne oczy.

Po chwili pan Kazimierz chciał go wziąć za rączkę, a ten wyciągnął obie do niego, i uśmiechał się trzepiąc nóżkami, jakby się darł w jego objęcia.

— Mocny Boże! — zawołała matka — poznaje swego dobrodzieja! — i ręce złożyła patrząc z rozrzewnieniem to na pana Kazimierza, to na dziecię, a królewiczowa podała je panu Kazimierzowi i rzekła żartobliwie:

— Nie upuść że go panie starościcu, bo to może pierwszy raz zdarza się panu mieć na ręku dziecko.

— Drugi raz — odrzekł krótko pan Kazimierz.

— Ach! prawda — mówiła królewiczowa — zapomniałam, że na ręku pana starościca znalazł on po raz drugi życie! — i uśmiechała się do chłopczyny, bawiąc go wachlarzem.

— Jakże mu na imię? — pytał pan Kazimierz matkę.

— Józef, JWy panie; ależ on z wody tylko chrzczony, a radabym żeby był z ceremonji, i dla tego prosiłam Najjaśniejszą królewiczowę, żeby uprosiła JWgo pana na ojca chrzestnego, bo to po Bogu on JWu panu życie winien, niech więc i zbawienie ma do zawdzięczenia.

— Bardzo chętnie, moja pani — mówił pan Kazimierz — tylko mi wynajdź kumę.

— Kumę?... kumę dla JWgo pana — mówiła i nieśmiało patrzała to na królewiczowę, to na pana Kazimierza, a potem zamilkła, a królewiczowa widząc to wahanie, rzekła z dobrocią:

— Kiedyż ci tak trudno wynaleść kumę dla pana starościca, to ja nią będę, z kondycją, że na chrzcie damy mu imię Kazimierz, i że go odtąd tak nazywać będziecie, bo to się należy panu starościcowi.

Z radością trudną do opisania szczęśliwa matka wychyliwszy się z łóżka, całowała kolana królewiczowej; pan Kazimierz na tę wiadomość zapłonął z ukontentowania, i nizkim ukłonem podziękował za honor mu zrobiony, a potem pieścił chłopca, który bawił się złotemi pętlicami jego bekieszy.

Na drugi dzień odbyły się chrzciny; dwie pary trzymało dziecię, pan Kazimierz z królewiczową, a pan Golian z panią starościną Radomską, po chrzcie pan Kazimierz oddał rodzicom dziecięcia papier, gdzie było zapewnione dla małego, skoro dorośnie, stypendjum w kollegium OO. Bazyljanów Kamienieckich, przy którem bursa na 10 uczniów kosztem starosty Wareckiego utrzymywaną była; królewiczowa zaś włożyła dziecku na szyję gruby łańcuch złoty, na nim wisiał nie duży medaljonik z emalją, przedstawiającą śgo Kazimierza królewicza modlącego się.

Akt ten był powodem dla gościnnego gospodarza uraczenia gości swoich; kielichy krążyły, młodzież tańcowała, a zdrowszej dużo matce dziecięcia kazano z niem pozostać w pokojach. Bawiło chłopczynę nowe dla niego widowisko, skakał na kolanach matki, wszystkie damy zajmowały się i matką i dzieckiem, znoszono im różne przysmaki, i królewiczowa przyniosła ciastka jakieś, i trzymała chłopca na ręku. Kiedy zbliżył się pan Kazimierz, dziecko jak przedtem w oficynie, wyciągnęło rączki do niego, trzymając w jednej

medaljon, a kiedy pan Kazimierz nachylił się do niego, to drugą pochwyciło ono za szmaragdową szpinkę u kontusza, której blask uderzył oczy jego.

— Mieniajmy się, mój drużbo — mówił żartobliwie pan Kazimierz i brał za medaljon. Chłopiec po chwili, jakby się namyślił, opuścił mu go na rękę; oboma swemi ujął szpinkę i ciągnął do siebie.

— Gdyby to od nas zależało — mówił niby do chłopca pan Kazimierz — zamiana by nastąpiła; ale nie wiem.. — dodał nieśmiało — czy dawczyni daru zezwoli na to? — i spojrzał na królewiczowę — a ta po chwili namysłu odrzekła zapłoniona:

— Nie śmiem mu tego bronić, bo ten klejnot los mu kiedyś zapewnić może...

Ledwie to wymówiła, szpinka była w ręku dziecięcia, a medaljon na piersiach u pana Kazimierza, który uradowany uchwycił dziécię za rękę.

— Chłopcze! — zawołał — jam twój debitor do śmierci!

I wyszedł do przyległego pokoju, a kiedy wrócił, matki z dziecięciem nie było w sali, a królewiczowa siedziała zamyślona.

Wkrótce po chrzcinach nadjechał dawno oczekiwany Horain. Wiadomości jakie przywiózł z Podola były zaspokajające, wojska bowiem rosyjskiego było nie wiele w tamtych stronach, i tak porozrzucane, że obecność ich nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. Duch przytem szlachty podolskiej był jak najlepszy; wiadomość o zajściu starosty Wareckiego z Repninem przyjęli oni z zapałam i niecierpliwie wyglądali jego powrotu.

Jednocześnie prawie z powrotem Horaina nadeszły listy z Warszawy, od podkomorzego i biskupa Krasińskich. Donosili oni, że nadużycia posła rosyjskiego nietylko nie ustawały, ale przybierały coraz to despotyczniejszą formę, pożądaną zatem rzeczą było, żeby tę wiadomość udzielić wszystkiej szlachcie, i dla tego naglili starostę do jaknajspieszniejszego wyjazdu, zalecając, aby podróż swoją obrócił na Lwów, gdzie arcybiskup tameczny ułatwi mu porozumienie się z przedniejszemi panami, o czem biskupa kamienieckiego listownie upewnił.

Gotów zawsze na posługi kraju, nie ociągał się starosta i oświadczył panu Świdzińskiemu, że na drugi dzień chce opuścić Sulgostów, a ten go nie śmiał zatrzymać, bo znane mu były i wieści jakie przywiózł Horain, i treść listów nadeszłych z Warszawy; ułożono więc, że po rannem śniadaniu wyruszą nasi podróżni w drogę, a gospodarz z teściem odprowadzą ich o mil parę.

Piękny dzień zaświtał na drogę dla naszych podróżnych, którzy od rana zajęci byli wyborem; bo bryki podróżne pakowali hajduki, pięćdziesiąt kozaków starosty stało przy osiodłanych koniach, stajenni wodzili wierzchowce i panów i pokojowców, w których liczbie był koń pana Goliana świeżo mu darowany przez starostę Nowowiejskiego; a kiedy na zegarze pałacowym wybiła dziewiąta, wyszedł z swego mieszkania Pułaski z synami, w towarzystwie gospodarza domu i kilku dworzan, i szli do pałacu.

Pan starosta Warecki na podróż przywdziewał zwykle strój wojskowy, to też i tą razą miał na sobie karacenę w karpią łuskę, na niej szeroką ferezję z lekkiego sukna

kitajką podszytą, u boku szablę z rękojeścią stalową i takąż osadą, a za pasem pistolet na smyczy; synowie jego miasto pancerzy, mieli pod wierzchnią suknią koszulki stalowe, jeden tylko pan Kazimierz był w węgierskim stroju, który bardzo lubił, bo krótkie to ubranie, daleko odpowiedniejsze było żywym jego ruchom, jak długa polska suknia. Wdział też na siebie kaftan zielony kolan niedochodzący, bramowany w około ciemnemi kunami, z mnóstwem wypukłych guzików i sznurków, spodnie czerwone suto wyszywane, buty węgierskie z kutasami i złotą ostrogą, u pasa z klamrą wisiała szabla krzywa, przez ramię ładownica złocona, w pochwie u pasa pistolet, a w ręku trzymał nie duży kołpaczek futrzany, przy nim strzępiata kitka bujała. Ten strój dziwnie harmoniował z rycerską jego postawą, to też wszystkich oczy zwróciły się na niego, kiedy weszli na pokoje.

Wkrótce podano śniadanie, przy którem z całą gościnnością staropolską częstował odjeżdżających pan starosta Radomski, a kiedy po niem wrócili goście do bawialnych pokoi, to pan Kazimierz zbliżył się nieśmiało do królewiczowej, żeby ją pożegnać, ale ta pierwsza zaczęła z dobrocią:

— A więc za chwilę — mówiła — opuszczacie nas panowie...

— Obowiązek — odrzekł młodzieniec — wzywa nas daleko od Sulgostowa, ale gdziekolwiek los nas obróci, zachowamy pamięć miłych chwil, spędzonych w domu szwagra Waszej Królewiczowskiej Mości i jej szanownych rodziców!

— Proszę wierzyć — mówiła królewiczowa — że życzenia nasze towarzyszyć będą wszędzie panu staroście Wareckiemu i jego rodzinie, i że za szczęśliwych poczytamy się, jeżeli przepowiednia zrobiona panu starościcowi sprawdzi się, bo choć wiem że ona śmiech wzbudza w panu, powiem jednak prawdę, że jej wierzę.

— Jakkolwiek zanadto ona pochlebna dla mnie — mówił młodzieniec — i ja jej wierzyć zaczynam.

— Bardzo się z tego cieszę — odrzekła królewiczowa z uśmiechem — bo wiara w siebie podwaja siły wierzącego; ale cóż wpłynęło na tę pomyślną zmianę? — bo ilem słyszała, pan starościc dawniej żartowałeś z niej...

Chwilę milczał młodzieniec, jakby walkę wewnętrzną staczał z sobą, a potem z żywością, której nie był panem:

— Pani! — zawołał — przed kilką dniami część jej ziściła się dla mnie...

Zbladła królewiczowa na te wyrazy, a pan Kazimierz nie mniej zmięszany odwrócił się, bo właśnie w tej chwili ojciec jego żegnał się z gospodarstwem, królewiczową i jej rodziną; z kolei przystąpił pan Kazimierz, i jak przy pierwszem widzeniu przyklął, a kiedy do ust podniósł podaną sobie rękę, królewiczowa zadrżała, bo gorąca łza padła na nią....

Minęły lata od powrotu starosty Wareckiego na Podole, a przez ten czas wielkie zaszły zmiany i w kraju i w rodzinnem kole starosty. Poseł rosyjski używał wszelkich środków, żeby do reszty sparaliżować siły Rzeczypospolitej, dla tego wyperswadował przedniejszym członkom stronnictwa Republikańskiego, że Imperatorowa, widząc jaki wpływ zgubny wywiera na królu partja familji, odmawia mu opieki i obojętnie patrzeć będzie na wszelkie czynności, przeciwne temu stronnictwu. Dosyć było tego błahego zapewnienia, żeby otucha wstąpiła w zwątpiałych; zaczęli się gromadzić, naradzać, i potem za zezwoleniem Repnina zawiązano konfederacją w nadziei, że rozpowszechniona po kraju, będzie dość silną, żeby przywrócić naruszoną w wielu względach, dawną formę rządu, a może i króla z tronu złożyć. Najważniejszą jej czynnością był wybór marszałka, bo ten miał stanowić upersonifikowanie zasad konfederacji; a kiedy się nad tem naradzano, przewrotny Repnin, chcąc utrzymać do końca w obłędzie i iluzjach zkonfederowanych, sam zaprojektował oddanie laski wygnanemu Radziwiłłowi, który po niefortunnej bitwie pod Nieświeżem do Włoch wy-

jechał. Wybór jego jednogłośnie nastąpił, a to oddanie władzy w ręce człowieka znanego z prawości i najzaciętszego przeciwnika dworu i Czartoryskich, wielu wahających się skłoniło na stronę konfederacji, a Litwa, której on był bożyszczem, cała niemal skwapliwie akces podpisała. Zebrali się reprezentanci konfederacji w Radomiu, gdzie zaraz nadeszły siły rosyjskie, dla zasłonięcia (jak się wyrażał Repnin) obradujących od jakiej gwałtowności ze strony partji familji, i dla powagi zebrania. Pierwsza drażliwa kwestja, jaką się zająć mieli, była sprawa dyssydentów; myśl tego rozdziału w narodzie podał gabinet berliński, chciwie ją pochwycono w Petersburgu, i zaraz znaleźli się odrodni synowie ojczyzny, którzy oddali się pod protekcją obcych dworów, i zawiązali konfederacje w Słucku i Toruniu, a choć ją nie więcej jak pięćset kilkadziesiąt osób składało, a w tej liczbie były i dzieci niedorosłe, i starcy niedołężni, i nawet krewni zkonfederowanych za granicą kraju mieszkający; niemniej dwory opiekujący się nimi nazwali ten krok fakcjonistów szumnym wyrazem objawu życzeń znacznej części narodu, i żądania ich popierały. Trzeba powiedzieć na pochwałę miast pruskich, że te pomimo wielokrotnych wzywań ze strony przewódców owej konfederacji, nie chciały się z nią łączyć, a mieszkańców Torunia Golz, którego rodzina wraz z Grabowskimi rej wodziła w tym związku dyssydentów, z pułkiem któremu dowodził, a w którym sami prawie byli akatolicy, siłą przymusił do podpisania akcesu. Kwestja ta silny opór znalazła, i byłaby zaraz większością głosów odrzucona została, kiedy Karr, wysłaniec Repnina, imieniem Imperatorowej zażądał

zadosyćuczynienia wymaganiom dyssydentów. Zdziwiło to wszystkich, nie zwracając jednak uwagi na tak potężną protekcją, niechcieli koncesji żadnych zrobić, ale zaraz, jako odpowiedź na tę opozycją, wojska rosyjskie weszły do miasta, i zatoczono działa nabite przed gmach gdzie obradowano.

Opór był niepodobny; chciano więc zyskać na czasie i wysłano deputację do Repnina, która miała użalić się na gwałt jaki wyrządzono obradującym i wyjaśnić pobudki odmowy żądaniom konfederatów toruńskich, a kiedy to dopełniano, to Repnin w odpowiedzi zapewniał, że dowodzący wojskiem źle zrozumiał rozkazy mu wydane, co zaś do sprawy dyssydentów, nic z żądań swoich spuścić nie chciał; że zaś jak mówił, nieraz jeszcze mogła zajść potrzeba skomunikowania się, a odległość między Radomiem a Warszawą znacznie utrudzała czynności konfederacji, zaproponował przeto przeniesienie obrad do Warszawy.

Przystali wszyscy na to, w przekonaniu, że w wielkiem mieście jak Warszawa, nie będą uważać na przymus, jakiego w Radomiu doznali; Repnin znowu chciał ich mieć pod ręką, i skuteczniej działać przez zaprzedanych mu.

Z wielu tedy restrykcjami zgodzono się na żądanie dyssydentów, a przy tym akcie najwybitniejszymi oponentami roszczeniom posła rosyjskiego okazali się z senatu, biskupi Sołtyk i Załuski, ze świeckich senatorów hetman Rzewuski, ze stanu rycerskiego zaś syn jego starosta Dolski.

Wkrótce po zjeździe marszałków i konsyljarzy konfederacji, Repnin zażądał, prócz absolutnego zadosyćuczynienia żądaniom dyssydentów, adresu do króla, w którym miał

być wynurzony żal za wszelkie czynności poprzednie, dalej sankcji wszelkich nowych zmian przez niego poczynionych, a które były jednym z powodów konfederacji, w końcu prośby do imperatorowej, żeby gwarancji swej nie odmawiała, a obecność wojsk jej żeby dopomagała do przywrócenia pokoju w Rzeczypospolitej i posłuszeństwa legalnej władzy króla.

Na to żądanie powstało powszechne oburzenie; a że najbardziej opór stawiali temu nadużyciu Sołtyk i Rzewuski, Repnin kazał ich porwać i uwieść w głąb Rosji.

Na ten czyn niesłychany okrzyk oburzenia rozszedł się po całej Polsce; a biskup Krasiński z przenikliwością cechującą go, nie dowierzając miodowym słowom Repnina, nie chciał zjechać ani do Radomia ani do Warszawy; zniósł się z bratem swoim i Pułaskim, a ci w Barze zawiązali konfederacją, która unieważniała wszelkie czynności radomskiej, jako gwałtem wymuszone, a wzywała do oporu pod hasłem wiary i wolności.

Takie to wypadki zaszły w kraju przez lat parę, a tym czasem synowie starosty dorośli już, i nie tracili tego czasu napróżno, ale się wykształcili na obywateli i żołnierzy. Ojciec ich bowiem wiedząc, że sztuka wojenna nie na samej odwadze zasadza się, sprowadził do siebie oficera ze służby francuskiej, biegłego w inżynierji, który udzielał im nauki wojskowe; a i inne przedmioty nie były zaniedbane, a te im wykładali co lepsi nauczyciele ze szkół kamienieckich.

Pan Kazimierz najbardziej się oddawał naukom ścisłym, tak potrzebnym dla wojskowego, a przy tem dużo miał wprawy w jeździeniu konno i robieniu bronią, zatrudnienia,

które dzielił z nim nie odstępny Golian. Ojciec zaczął wszystkich ich wdrażać w sprawy publiczne, relacje jakie odbierał o wypadkach zaszłych w stolicy odczytywał z nimi, przy każdem takiem wydarzeniu pytał o zdanie, chcąc zbadać skłonności, a że zapatrywanie się pana Kazimierza tchnęło największą energją, a przytem rozwagą wyższą nad wiek, szczególnie go też ojciec cenił, bo w nim upatrywał przyszłe nadzieje kraju i pociechę starości swojej.

Wkrótce dał mu tego dowody; między wielu bowiem królewszczyznami jakie miał nadane sobie przez Augusta III, było starostwo Żazulinieckie, w którego instrumencie wyraźnie stało: »niniejszego starostwa na kogo sam zechce *liberam* zostawiamy *dispositionem*.« Zdał tedy ojciec owe Żazulince na pana Kazimierza, a choć to nie był gród, nie mniej nadawało mu to tytuł, i Jaśnie Wielmożnym go pisano. I w wojsku dostąpił rangi młodzieniec, kiedy bowiem z ojcem był w Białymstoku u hetmana Branickiego, to mu się tak podobał, że go przyjął do swojej chorągwi, co było wielkim zaszczytem; towarzysz bowiem chorągwi pancernej był rotmistrzem w wojsku, a stopień ten w chorągwi królewskiej i hetmana wielkiego, których oni byli rotmistrzami, przez najznakomitszych był pożądany; i stary Pułaski chociaż dygnitarz, jako pisarz nadworny koronny, był towarzyszem w chorągwi królewskiej; dla młodzieńca tedy dwudziestoletniego, jakim był pan Kazimierz, honor to był nie mały; a kiedy pierwszy raz wystąpił w stroju pancernym, to w ryngrafie miał osadzony ów medaljon z konterfektem śgo Kazimierza, którego piękność i bogatą oprawę wszyscy podziwiali, a jeden Golian tylko

wiedział, jakiej on był ceny dla pana Kazimierza; a że to była oznaka stopnia, jaki zajmował w wojsku, zawsze go też na szyi nosił.

Myśl konfederacji, powziętą przez ojca, dziwnie zręcznie propagowali synowie między młodzieżą podolską; a że powszechnie lubiani byli, i że nikt nie widział, żeby znakomitość urodzenia, albo wysoka pozycja w świecie stanowiła jaką różnicę w ich obejściu z młodzieżą, wszyscy się też garnęli do nich, bo gościnność ojca i zalety synów pociągały, a opinje polityczne jakie wyznawali, przechodząc przez ich usta trafiały do serca.

Rozmaitego rodzaju polowania były powodem częstych zjazdów. Od początku października wyruszało wesołe grono na stepy z chartami, i hulali często na nim do końca listopada. Takie polowanie było istną wyprawą, bo bez względu na słotę ciągnęli wszyscy konno, na wozach szedł prowiant i namioty; noc spędzali w jakim młynie lub futorze, i wtedy dumki przy teorbanie i powiastki starych znachorów uprzyjemniały długie wieczory, aż łopotanie skrzydłami i pianie koguta do snu zawezwały.

W takich wycieczkach przyjeżdżali do nich na popis z chartami to Tatary z za Sieniuchy, kiedy szli ku Jachólikowi, to znowu z powrotem, Wołochy i Turki z za Dniestru; porobili też znajomości z niejednym Mirzą Tatarskim, lub Agą Janczarów, i zawiązali stosunki, które potem nie raz im pomocne były.

W pierwszym zaraz roku pobytu swego na Podolu wyjechali na polowanie, i w okolicach Sawrania ciągnęli stepem; wszyscy niekontenci, milczący, bo czy to zwierz prze-

czuwał bliską słotę, czy też jakiś *casus fatalis*, słowem od rana do południa, ani jednego zająca nie było w trokach, a głód się czuć dawał, tabor nie nadciągał, rozglądali się też po stepie, i wzrok ich zatrzymał się na jednym punkcie, który z daleka za mogiłę wzięli; zwrócili się więc w tym kierunku, i wolno jechali niedaleko stada koni, co brodząc po nieciętej trawie, rozstrzelone pasło się.

Pan Kazimierz rozmawiając z Golianem, jechał na boku, kiedy uwagę jego zwrócił siedzący na trawie stadnik. Każda żyjąca istota na stepie, to ewenement; to też obadwa patrzali na owego tabuńczyka jak zajadał kaszę jaglaną ze słoniną i wygartał ją z kiszki, która nią była nadziana. Widząc zbliżających się, zdjął czapkę.

— *Ne baczył ty zajacia?* — pytał pan Kazimierz.

— *A na szo wam baťku zajać?* — odrzekł zapytany.

— Jakto na co? — zawołał zdziwiony młodzieniec — czy nie widzisz że mamy charty? — i wskazał na dwoje krymskich, co były w tej chwili koło niego.

— *Taż ja wiżu* — odrzekł stadnik skrobiąc się w głowę — *ależ oni towo zajacia, co ja o nim wiem nie wezmą.*

— A toż dla czego?

— *Bo go mój Kucy ne raz gonił a taki ne wział.*

— A cóż to za pies ten twój Kucy? — pytał rozciekawiony pan Kazimierz.

— Ot tak dworny, proszę jegomości — odrzekł chłopak i uśmiechnął się złośliwie.

Popatrzyli na siebie obaj młodzieńcy, a pan Golian po chwili zawołał:

— To jakiś durny!...

— *Ne durny ja mój panyczu* — odrzekł chłopak — poprobujcie, jak wasze sobaki złapią Kucego, to i *zajacia* złowią, a jak nie? — zapytał, i patrzał uśmiechając się na obu młodzieńców.

— To ty talara dostaniesz — zawołał pan Kazimierz — dawaj tego Kucego — i zaraz kiwnął ręką, zbiegli się towarzysze, koło nich psy, a chłopak patrzał na nich i palcem liczył.

— Ho, ho, ho! chmara tego - mówił — a *taki* Kucy ujdzie!

Rozpowiedział pan Kazimierz jaki stanął zakład, wszyscy ciekawi byli, wróciła wesołość, i odezwały się głosy:

— I ja talara stawię, i ja, i ja!

Chłopak słysząc tak świetne obietnice, wstał zwolna, wziął długi bicz, którym konie zganiał, i szedł stepem, za nim śmiejąc się jechali myśliwi i nawoływali psy, bo im jakoś zaimponowała pewność owego stadnika.

Po chwili zwrócił się on na prawo, w miejsce gdzie leżało siodło jego przykryte derką, świsnął batem, »a do dom!« — krzyknął, i zaraz z pod derki wyskoczył jak oparzony spory pies moręgi, kudłaty, bez ogona, chwilkę stanął, i przerażony widokiem tylu ludzi i chartów, które się rwały na smyczach, szczeknął półgłosem.

— Hajże go!... — krzyknęli jednocześnie wszyscy myśliwi, i spuścili smycze.

— Umykaj! — zawołał stadnik, i w jednej chwili Kucy przodem, a za nim płotem charty i myśliwi kopnęli się po stepie.

Moment zaklęsłość skryła i ścigających i ściganego przed oczami myśliwych, a kiedy się ukazali na wzgórku, Kucy był dobrze na przedzie, a charty jak żurawie już się wyciągały.

— Hajże go!... Hajże go!... — wołali myśliwi, a tym okrzykom wtórował śmiech stadnika, co dosiadł konia i pędził za nimi. Coraz dłuższym stawał się sznur chartów, coraz dalej odsadzał się Kucy, i darł co siły do owego punktu, który nasi myśliwi wzięli za mogiłę, a w istocie był to kwadrat rowem okopany, a w środku stał stóg ogromny.

Po chwili Kucy przesadził rów i zadyszany układł się na burce obok człowieka siedzącego na niej, a charty zatrzymały się, bo na wale okazało się kilka ogromnych kundli, których widok przestraszył je.

Dojeżdżali niebawem myśliwi, i osadzili konie koło okopu, patrząc z zadziwieniem na psa, który tak skonfundował ich charty, to znowu ciekawie na siedzącego na przykopie.

Był to człowiek około trzydziestu lat mający, niedużego wzrostu, ale nadzwyczaj silnej budowy ciała; twarz miał dużą, ogorzałą, oko wypukłe, nadzwyczaj przenikliwe; ubrany był z kozacka, kurtkę zieloną ledwie biodra pomijającą ściskał pas z palonej skóry z klamrą mosiężną, szerokie szarawary spadały na kozłowe buty, na głowie miał czapeczkę wyszywaną w jaskrawe kolory z długim jedwabnym kutasem, w lewym ręku trzymał on długi cybuch turecki, z którego puszczał kłęby dymu, drugą głaskał zadyszanego Kucego, a ten szczęśliwy że znalazł protekcją przed stra-

szną pogonią, lizał rękę nieznajomego, który z uśmiechem patrzał na dobiegających myśliwych.

Jednym z pierwszych, co dopadli okopu, był pan Kazimierz, to też na niego zwrócił wzrok nieznajomy, i kiedy jednocześnie skłonili się sobie:

— Coś niefortunne polowanie — mówił nieznajomy — w trokach nic nie widzę, a Kucy pomęczył charty panów; poznaję ja sztukę mego Ostapa.... ale niech to panów nie dziwi i nie zniechęca do tych ładnych piesków — tu wskazał ręką na grono dyszących chartów — bo Kucy po ojcu pokurcz, ale co po matce, to potomek chańskich chartów...

— Ależ panowie zmęczeni — dodał — może zechcą spocząć w moim okopie...

Wszyscy z ukłonem przyjęli to grzeczne zaproszenie; a nieznajomy powstał, i ręką wskazując na bramę co wiodła do okopu:

— Służę panom moim — zawołał i znikł za wałem, a myśliwi rozmawiając o ujściu Kucego, dążyli do wnijścia, co było w przeciwnej stronie kwadratu.

Kiedy go minęli, zastali czekającego gospodarza; zsiedli też z koni, a on postępując do nich zdjął czapeczkę, i kłaniając się:

— Ja jestem Maciej Szyc Grotowski — mówił — kogoż mam przyjemność witać?

Pan Kazimierz, do którego zwrócił on swoją mowę, nazwał siebie i braci, a pan Szyc zdziwienie i zadowolenie okazał, potem z kolei przedstawił mu wszystkich towarzyszy, a ten zaprosił ich do mieszkania swego.

Szli tedy i przez drogę rozglądali się ciekawie, bo dziwne było i obejście i mieszkanie pana Szyca. W długiem poddaszu, płótnem pokrytem, stał szereg koni po turecku spętanych na zadnie nogi, i do kołów powiązanych; po czterech rogach okopu były budki, a w nich ogromne brytany na łańcuchach, z dołu, koło którego kręcili się ludzie, wznosił się dym słupem, a była to kuchnia i właściciela i czeladzi, gdzie przy ogniu z suchych burzanów, jak na homerowską ucztę piekły się całe barany i ogromne sztuki wołowiny; kilkoro dużych i ładnych chartów, wyżłów i jamników, w najlepszej komitywie z wilkiem chowanym, drobiem i kilku drapieżnemi ptakami, przechadzało się po dziedzińcu najczęściej w kierunku kuchni; pod wałem leżał wielbłąd z niedbałością mu właściwą, słowem, jak w arce Noego, było rozmaitych zwierząt po trosze.

A i ludzie byli tam różnoplemienni; bo opasły Wołoch piekł barany i urządzał mamałygę, (wydział bowiem kuchenny do niego należał); wychudły cygan psów doglądał i konie leczył; największy faworyt pana i jego prawa ręka, stary Semen, dawny assawuła kurenny na Zaporożu za jakieś przestępstwo skazany na kije, umknął przed karą do okopu, od lat już kilkunastu był w usługach pana Szyca, i zaufanie jego posiadał. Na dokompletowanie tej mięszaniny, mały Turczynek w mesztach i białym turbanie lulki podawał, a Węgier z Siedmiogrodu (dezerter z pułku huzarów koło Segietu stojącego), był masztalerzem, i trzech ulubionych wierzchowców pana Szyca doglądał. Wszyscy oni zachowali stroje narodowe, przeważał jednak element miejscowy, bo kozaków najwięcej się snuło.

Pomimo tej dziwnej mięszaniny największy ład, spokój i harmonja panowały między mieszkańcami okopu, bo wszystko drżało przed panem, który łagodny dla pełniących swoje obowiązki, był nieubłaganym dla przestępnych; pięćdziesiąt to była najlżejsza kara, a jeszcze wielu przekładało ją nad uderzenie ręką pana Szyca, który konia podnosił, albo wołu, za rogi ująwszy, obalał.

Pan Kazimierz i jego towarzysze rozglądając się szli za gospodarzem, i niepomału zdziwieni byli, widząc, że mieszkanie pana Szyca było w stogu. Siano maczane w wodzie, z ziemią zmięszanej, stanowiło materjał do budowy, w środku była izba spora, niby sklepiona, z podporami dla bezpieczeństwa, nie duży kominek z rurą sztagową ogrzewał ją w słotne dnie jesienne, okno, jak na okręcie, z szerokiemi futrynami, oświecało ją z jednej strony, wejście oponą zasłonięte z drugiej: ściany makatami obwieszone, szerokie sofy pięknemi tureckiemi kobiercami zasłane służyły za siedzenie i łóżko w potrzebie; w jednym kącie izby była zbroja staroświecka gustownie rozwieszona, w niej to Maciej Grot Grotowski, herbu Rawicz, pod Orszą walcząc, jednego bojara moskiewskiego swoją ręką do niewoli wziął, a drugiego w sztuki porąbał *), za co był w wielkiem uważaniu u Konstantego z Ostroga.

Pod ścianami stały szaragi, na których różna broń rozwieszoną była, podłoga rogóżkami wysłana, stół po środku i półki, a na nich srebro i farfury, stanowiły sprzęty tego mieszkania.

---

*) Niesiecki.

Nim się rozgoszczą nowo przybyli, zapoznajmy się z gospodarzem. Rodzina jego pochodząca z Saxonji od dawna mieszkała na Spiżu, gdzie z dziada pradziada oddawali się górnictwu; — ojca pana Macieja, bardzo wykształconego w górnictwie, król August II sprowadził do Polski i w górach karpackich dał mu nadzór jednej kopalni w dobrach swoich stołowych.

W krótkim czasie niespodziewany wypadek zrobił fortunę pana Szyca; w górach bowiem obowiązywało dawne prawo górnicze saskie, w moc którego wynalazca kruszcu, choć na cudzym gruncie, stawał się właścicielem kopalni. Pan Szyc tedy w hrabstwie Żywieckiem, dawniej własności Komorowskich Korczaków, a dziś margrabiów Wielopolskich, wynalazł rudę miedzianą; funduszem, jaki miał założył fryszerkę i duże zyski z niej ciągnął, a pan taki jak Wielopolski, nie wiedział nawet o tem.

Nadeszła wkrótce wojna wtargnieniem Karola XII spowodowana; August II powołał wszystkich stronników swoich do broni, i Szyc, który wiele miał do zawdzięczenia królowi, nie pozostał w domu; zebrał on swoich górników i z nimi do pułku cudzoziemskiego autoramentu zaciągnął się. Jakkolwiek los z początku nie sprzyjał Augustowi, Szyc, wierny przysiędze, nie porzucił chorągwi swojej, a jego poświęcenie i odwaga zwróciły na niego uwagę i króla i hetmana Adama Sieniawskiego, który obiecał po szczęśliwie ukończonej wojnie na pierwszym sejmie do nobilitacji go przedstawić.

Bitwa pod Pułtawą przeważyła szalę pomyślności na stronę Augusta i powróciła mu straconą koronę; rozpuścił też za-

raz wojska, a wtedy i Szyc wrócił do swojej kopalni w państwie Żywieckiem.

Wkrótce po jego powrocie, Karol Wielopolski, koniuszy koronny i starosta krakowski, objeżdżając górskie dobra swoje, zajechał do Żywca i dowiedział się o założonej na gruncie swoim kopalni. Wielce z tego nie kontent w przekonaniu, że ma do czynienia z jakimś nieokrzesanym spekulantem, posłał do niego z zapytaniem, jakiego żąda wynagrodzenia za wyłożone koszta na kopalnię, gdyż on nie cierpi nikogo na gruncie swoim.

To zapytanie w niezbyt grzecznej formie zrobione przez jakiegoś dworskiego pana starosty, obraziło Szyca, odrzekł też hardo, że on nie rusza prawa, ale stosuje się do niego, że gdyby pan starosta krakowski zamiast z ustnem zapytaniem przysłać, był się z nim listownie zkomunikował, rzecz by się załatwiła, ale teraz oświadcza, że nie odstąpi kopalni, a gwałtu się nie lęka, bo i opór stawi ze swymi górnikami, i znajdzie sprawiedliwość u króla, któremu wiernie służył.

Odebrawszy taką odpowiedź, dopytywał się starosta o pana Szyca, a dowiedziawszy się, że to człowiek zasłużony i niepospolitego animuszu, sam będąc gorliwym stronnikiem Augusta uszanował w nim wierność dla prawego monarchy, i grzecznym listem zawezwał do siebie.

Przy pierwszem poznaniu podobał go sobie bardzo, interes skończyli w dwóch słowach, bo pan Szyc z wielką bezinteresownością niewiele sobie likwidował, a pan starosta nie chcąc się dać wyprzedzić, ofiarował więcej jak żądano, i prosił Szyca, żeby dom jego za własny uważał; korzystał

on z tego zaproszenia, bo i przywiązał się do starosty, i między pannami respektowemi, co bawiły na dworze starościny, napotkał jedną, którą dusznie pokochał.

Była to panienka nie pierwszej młodości, ale po Bożemu wychowana, małej fortuny, ale dobrego rodu, a zwała się Aniela Grotowska. Staranie pana Szyca, za zezwoleniem pani starościny, dobrze przyjmowała ona, a kiedy przyszło do deklaracji, krewni panny zażądali od pana Szyca, żeby ponieważ nie jest indygieną polskim, przyjął do swego ich nazwisko, i pisał się Szyc Grotowski, oni zaś, skoro dostanie przyrzeczoną sobie nobilitację, do herbu go przypuszczą.

Przystał chętnie na to żądanie zakochany konkurent, a kiedy przyszło do spisania intercyzy, panna, prócz sutej wyprawy sumptem pani starościny sprawionej i kilku pamiątek familijnych, między któremi była owa zbroja po Macieju Grotowskim, żadnego innego mienia nie miała. Nie zważał na to pan Szyc, bo dochody z kopalni przez lat z górą dziesięć, i świeży układ z panem starostą krakowskim, dostatnią substancją stanowiły. W pierwszym roku pobrania urodził się syn, żywy obraz Grotowskich, których portrety posiadali; dano mu imię Maciej na pamiątkę owego pogromcy Moskwy.

Ojciec jego, stosownie do zobowiązania jakie dał rodzinie żony, robił starania o nobilitacją; ale że żaden prawie sejm w drugiej połowie panowania Augusta II nie doszedł do skutku, hetman Sieniawski protektor jego przeniósł się do wieczności, i odległość między górami gdzie mieszkał, a Warszawą była znaczną, nie sporo mu to szło, i minęły

lata, a nagrody krwawych zasług swoich otrzymać nie mógł. Przez ten czas syn jego podrósł, a ojciec dbały o jego wychowanie oddał go do szkół w Krakowie, gdzie znaczne postępy robił i sprawował się nienagannie; jedno tylko co mu przełożeni zarzucić mogli, że często miewał bójki z kolegami swymi, ci bowiem wiedząc, że nie był on szlachcicem, ani mieszczaninem krakowskim, intruzem, przywłoką go zwali, a potomek dzielnego wojaka z pod Orszy razami odpowiadał na te zniewagi; a że był nad wiek swój silny i strasznie zuchwały, najczęściej bójka taka na szwanku przeciwników kończyła się, a ztąd skargi nieustanne do władz szkolnych.

Ta niesprawiedliwość ze strony współuczniów wpłynęła na charakter pana Macieja; posmutniał, prócz kilku kolegów, z którymi żył w szczególnej zażyłości, stronił od reszty, a kiedy powrócił do domu ukończywszy szkoły, nie zastał ojca, który zmarł nagle. Matka osiadła z córką w Piaskowej Skale przy pani starościnia Krakowskiej, a młodzieniec puścił dzierżawą wieś, którą ojciec jego w zastawie od pana starosty trzymał; co było grosza po ludziach, prócz posagu siostry i dożywocia matki odebrał, inwentarze spieniężył, i ruszył w świat, i przez lat kilka nikt nie wiedział gdzie się obracał.

Różnie ludzie o tem jego wydaleniu gadali; jedni utrzymywali że był w Tureczyźnie, bo mówił po turecku, inni że w Siczy Zaporozkiej, gdzie miał być pisarzem koszowym (druga godność po atamańskiej) i że zawiedziony w nadziei otrzymania najwyższej władzy porzucił Zaporoże, w końcu, że przesiadywał w Bakczyseraju u hana, słowem różne do-

mysły robiono, a jeden Semen Assawuła mógł był coś pewnego powiedzieć, ale ten nigdy o tem nie mówił i zbywał ciekawych co go wypytywali. Jedno co wszystkim wiadomo było, to że przed laty dziesięciu nabył kawał stepu, założył w nim ów okóp, w którym go poznajemy, i nazwał go Grotów od swego nazwiska. Jednocześnie sprowadził, nie wiadomo zkąd, stado pięknych koni, skupił dużo bydła i owiec, które na skóry sprzedawał.

Całe lato i jesień siedział on w Okopie, a skoro mrozy nastawały, zostawiał wszystko pod komendą Semena, a sam wyjeżdżał do Kamieńca lub Kijowa, gdzie żył po pańsku i hulał za uzbierany grosz ze sprzedaży koni i innego inwentarza.

Obecność jego na stepie była prawdziwą opatrznością dla biednych; bo czy stado wołów zajęli hajdamaki lub Tatary, czy skrzywdzono jakiego biedaka, to pokrzywdzony biegł do Grotowa żebrząc sprawiedliwości, a pan Szyc siadał na koń z Semenem i kilkunastu mołojcami, i rzadka rzecz żeby nie odbił zagrabionej własności. Zbieg każdy schronienie u niego znajdował, a czy pan czy władca nie śmieli się o takiego upominać, bo od Kaniowa zacząwszy, na całym stepie aż po Akerman, wpływ pana Szyca rozciągał się. Mówiono, że przed laty jakiś gubernator Teplika zamierzający siłą odebrać zbiegłego od siebie kozaka, kiedy przygotowania do wyprawy na Grotów robił, przestrzegali go różni żeby tego zaniechał, a kiedy trwał uporczywie przy swojem, jednego dnia w przejeździe z jednej słobody do drugiej znikł bez wieści i rodzina miała go już za straconego, aliści po kilku tygodniach wrócił na tymże koniu,

na którym wyjechał ze wszystkiem co miał przy sobie, tylko jakiś wynędzniały; nikomu on się nie zwierzył gdzie przez ten czas przebywał, wyprawy jednak zaniechał, a chociaż kozak, ta kość niezgody, ukazał się potem parę razy w Tepliku, to pan gubernator udawał, że o tem nie wie i ofuknął tych co mu o tem donosili.

Kilka takich wydarzeń ustaliło wpływ pana Szyca na stepie, który nie ograniczał się na przytułku i wymiarze sprawiedliwości pokrzywdzonym, ale w każdej biedzie hojną ręką wspomagał niedolę, i ztąd miano go za nadzwyczaj bogatego; a że ludzie żądni są zwykle nadzwyczajności, to o nim mówiono, że wykopał skarb niezmierny, który gdzieś na tureckiej stronie w starym klasztorze był ukryty.

Takie to chodziły wieści niczem nie poparte, ale co było rzeczą niezawodną, to że ilekroć przyszło mu zetknąć się czy z jakim Mirzą pogranicznym, czy nawdt z Baszą Chocimskim, wszyscy uważali, że obejście ich z panem Szycem, dowodziło jakichś szczególnych względów na niego.

Powiedziawszy nieco o właścicielu Okopu, wróćmy do mieszkania jego. Zaraz na wstępie częstował on gości swoich, doskonałą starką i różnemi wędlinami, a kiedy się nieco posilili, wszczęła się rozmowa, której przedmiotem było ujście Kucego.

— Jakież to charty muszą być u pana — mówił pan Kazimierz — kiedy za takim psem jak Kucy nasze mydło woziły!

— Niech pan nie pospolituje ani swoich chartów, ani Kucego — mówił uśmiechając się pan Szyc — to nie lada pies ten Kucy, osądzicie to panowie.

I odwracając się do kozaka, co stał przy wejściu, zawołał:

— Niech Ostap psa swego przyprowadzi.

Po chwili wszedł wezwany, a za nim Kucy. Ciekawie mu się przypatrywali wszyscy, i czego w pierwszej chwili nie uważali, teraz ich uderzyło, że pies miał wszystkie formy doskonale zbudowanego charta, jedno co dowodziło mieszaniny, to był pysk dużo grubszy niż u rasowych chartów.

— To mieszaniec — mówił pan Szyc — a jednak każdego zająca dojdzie, lis dla niego to igraszka, a z wilkiem się nieraz borykał; a że przytem stróż pana dobry, z Ostapem tedy stada pilnuje, który nieraz widząc na stepie jadących myśliwych podobną jak panom psotę robi; wtedy Kucy do okopu prowadzi i psy i myśliwych; ale nigdy jeszcze — dodał kłaniając się — tak miłych dla mnie gości nie sprowadził, jak tą razą.

Podziękowali wszyscy za ten komplement, pan Szyc głaskał psa, a potem talarki wygrane przez Ostapa jak grad padały mu w czapkę.

Wkrótce potem wszedł Semen wystrojony w ponsowym kontuszu, białym materjalnym żupanie i siwych szarawarach, ulubiony strój Zaporożców, który przywdziewali ilekroć minęli granice Siczy, a zrzucali znowu i mazali się smołą wstępując w nie; oznajmił on, że jeść dali, a pan Szyc zaprosił gości swoich.

Było to jakoś pierwszych dni października; dzień jasny, ciepły, jak to często bywa pod jesień u nas, to też na dworze chciał pan Szyc uraczyć gości swoich. Na wale, w najszerszem miejscu stał namiot rozbity, cały w pasy niebieskie

i żółte, przez podjęte boki widno było stół nakryty, zastawiony półmiskami z rozmaitem mięsiwem, na talerzach bakalje wschodnie, a między niemi dużo butelek rozmaitego koloru i kształtu.

Za przykładem Semena cały dwór pana Szyca przywdział świąteczne szaty; kozaki w białych szarawarach, nankinowych kurtach, niebieskiemi pasami opasani, Węgier w jasno zielonym dołmanie, czerwonych spodniach, świecących wykrawanych butach; i Turczynek miał strój suto wyszywany, cygan nawet utrefił długie czarne włosy, wdział koszulę białą, czerwono wyszywaną na kołnierzu, ramionach i rękawach, szerokie szarawary w czerwone pasy spadały na żółte buty, przez ramię przewiesił harap długi, postrach całej psiarni.

Zasiedli biesiadnicy, a że długa przejażdżka zaostrzyła apetyt, zajadali też smacznie, a kiedy pierwsze danie sprzątano, pan Szyc dużym kielichem wniósł zdrowie gości swoich, ci znowu kolejno spełniali gospodarskie; od ostatniego co wypił odebrał pan Szyc kielich i napełniwszy go mocniejszem jak poprzednie winem, z wielkiem podziwieniem wszystkich, a szczególnie młodych Pułaskich, wzniósł zdrowie starosty Wareckiego. To zdziwienie nie uszło uwagi pana Szyca, to też nim przepił:

— Dziwi panów — mówił — że człowiek zdala od świata zamieszkały, wie co się na nim dzieje i oddaje cześć zasłudze?

Pan Kazimierz odpowiedział: że wprawdzie dziwi go to trochę, ale cieszy mocno, że i w tych oddalonych stronach cenią jego ojca jak wart tego.

— Mości starościcu — zawołał Szyc — step może obcy Polsce, ale ona mu nie obca. I na stepie są ludzie! — dodał z zapałem i wychylił do dna.

Te dwa toasty wywołały inne; spełniono kielich za pomyślność dzielnych synów stepu, potem nasze konieczne „kochajmy się“, a kiedy ktoś podochocony już wniósł zdrowie bogdanki gospodarza, to pan Szyc rozśmiał się głośno.

— Mojej bogdanki!... — zawołał — no, zgoda!... ale niechże sama podziękuje — i odwracając się do Semena:

— Słyszysz! — wykrzyknął — panowie chcą poznać mój gust, a więc bogdankę co prędzej!

Zaledwie kozak wybiegł spełnić rozkaz, milczenie się zrobiło w całem towarzystwie, tylko pan Szyc śmiał się do rozpuku, co zmięszało nieco gości jego; ale chwilę to tylko trwało, bo zaraz wrócił Semen, i miasto czarnobrewej Ukrainki trzymał w ręku szablę, którą położył na stole. Pan Szyc wyciągnął ją z pochwy i podając panu Kazimierzowi:

— Czytaj pan — zawołał; a ten głośno odczytał następujący napis:

Ciebie ja kocham, w ciebie ja wierzę,
Z tobą ja z djabłem nawet się zmierzę.

Wszystkich wzrok podziwienie wyrażający wlepiony był w pana Szyca, który chwilę milczał, a potem podnosząc kielich do góry:

— Ta ziemia — zawołał z zapałem — co mi życie dała, i ta szabla co jej bronić potrafi, to kochanie moje!..

Na te wyrazy wszyscy powstali z miejsc swoich; pan Kazimierz bardziej od innych wzruszony porwał kielich, i postępując do pana Szyca:

— A więc niech żyje ta coś ukochał! — wykrzyknął, a kiedy wypił, chwilę obadwa z panem Szycem patrzali na siebie, a potem, jakby dziwną jakąś sympatją wiedzeni, rzucili się w objęcia; obecni okrzykiem powitali ten wybuch przyjazny, a Szyc ściskając młodzieńca:

— Rachuj na mnie i na nią! — zawołał i wskazał na szablę.

Do nocy trwała uczta, a wśród toastów nastąpiły wywnętrzania; słusznie bowiem mówi przysłowie, że co u trzeźwego na myśli, to u pijanego na ustach; nie dziw więc, że wśród tej kilkogodzinnej zabawy lepiej dał się poznać pan Szyc gościom swoim i oni jemu, niż po długiej znajomości; a że cechą charakteru pana Szyca była nadzwyczajna energja, najbardziej też sympatyzował z panem Kazimierzem, bo każde gwałtowne uczucie właściciela okopu, znajdowało odbicie w sercu młodzieńca.

Na drugi dzień Szyc wyjechał z niemi na polowanie, i wtenczas mieli sposobność przekonać się, że kogo spotkali na stepie, każdy witał pana Szyca z rodzajem uszanowania, i gotów był na jego usługi.

W zimie tegoż roku pan Szyc będąc w Kamieńcu, poznał się ze starostą Wareckim, ten go zaprezentował biskupowi, podkomorzemu i innym przyjaciołom swoim, potem zaczął bywać w domu starosty, był w coraz większej zażyłości z panem Kazimierzem, a kiedy nadeszła druga jesień, to okop pana Szyca obrali sobie myśliwi za *locum standi*, ztąd wycieczki robili, tu przebywała zewsząd młodzież podolska, i nie jeden Mirza tatarski i dowódzca janczarów, nad granicą stojących.

Starosta Warecki poznawszy niezwykłą energję i prawy charakter pana Szyca, zwierzał mu się z politycznych czynności swoich; obaj Krasińscy zaszczycali go zaufaniem, a ten ich zapewnił, że w danym razie przyprowadzi oddział ludzi na wszystko determinowanych, ale żąda, żeby mu wolno było partyzancką wojnę prowadzić, nie ręczy bowiem za posłuszeństwo swoich podkomendnych, którzy innej władzy jak jego uznawać nie zechcą.

Zgodzili się na to przywódzcy konfederacji, pewni, że oddział awanturników nie znający żadnej obawy, z tak energicznym dowódzcą jak pan Szyc, wielkie może oddać usługi.

Wierny danemu zobowiązaniu, zajął on się zaraz werbunkiem ludzi; i kiedy w jesieni 1767 roku przybył do Okopu pan Kazimierz i towarzysze jego, zastali zebranych dużo ochotników. Semen i Węgier uczyli konnych, sam pan Szyc w obrotach ćwiczył piechotę, która nadzwyczaj trafnie strzelała; wybrał on kilkunastu pojętniejszych, co obsługiwali dwa działka trzyfuntowe; słowem, nieduży oddział pana Szyca miał wszystkie trzy bronie, i był zawiązkiem niejako małego korpusu, do którego w potrzebie nie brakłoby ochotników.

Już tedy myśl powstania zajęła wszystkie umysły, i jak to bywa w podobnych wypadkach, choć mało było inicjowanych, wszyscy przeczuwali, że wstrząśnienie nastąpi. Siły rosyjskie były w tym czasie tak porozrywane na Podolu i Wołyniu, że nie mogły paraliżować czynności konfederatów; to też spokojnie, 29 lutego 1768 roku spisany został akt w Barze, z początku przez nie wielu zaprzysiężony, potem przybywała szlachta setkami, i w krótkim bardzo czasie mar-

szałkowie konfederacji znaleźli się na czele armii do 15,000 ludzi wynoszącej.*) A że w owej epoce najpotężniejsze nawet państwa nie wielkiemi rozporządzały siłami, piętnastotysięczny korpus, złożony z ochotników i ludzi determinowanych, mógł wiele dokazać. Czuł to Repnin i stronnicy królewscy; pierwszy też jak najspieszniej zgromadził rozprószone wojsko swoje, i chcąc w zarodzie stłumić konfederacją, starał się opasać stanowisko związkowych. Ale zaraz przy pierwszem natarciu, złamali konfederaci linję rosyjską, zdobyli usypane szańce, i zmusili nieprzyjaciela do odwrotu w nieładzie. Odtąd nie było prawie dnia bez utarczki.

W każdem takiem spotkaniu, szczególną odwagą i szczęśliwemi pomysłami odznaczał się pan Kazimierz; zastęp jego po największej części ze szlachty złożony, dobrze uzbrojony i wyćwiczony w obrotach, w karności trzymał dwudziestoletni dowódzca, co wszystkich dziwiło, bo najtrudniejszem zadaniem było utrzymać posłuch w tej armji, składającej się po większej części ze szlachty, przejętej uczuciem równości, i walczącej za ten najdroższy jej przywilej.

Trzeba niewątpliwej wyższości, żeby na równych sobie wpływ wywierać, i nie siłą, ale przeświadczeniem nagiąć harde z natury umysły do posłuszeństwa; a że do tego rezultatu z przywódzców konfederacji prawie jeden pan Kazimierz doszedł, oddział też jego był wyborem w całem wojsku, a szczęśliwych pomysłów, jakiemi się odznaczyły ruchy jego, nie paraliżowała niewczesna ciekawość podkomendnych,

*) Historyczne, wyjęte z Pamiętników Murraya, do których się często odwoływać będę.

którzy mu ślepo wierzyli. Najmniejsze przekroczenie w służbie karał on surowo; — kiedy stanął przed frontem, to taka cichość panowała, że muchy przelatującej dosłyszeć można było, ale za to raz w obozie, żaden oddział taką wesołością nie odznaczał się, nigdzie takich spiewek, takiego dźwięku teorbanów nie słychać było, jak na stanowisku pana Kazimierza.

Wielką pomocą i radą młodemu dowódzcy był pan Szyc, który zaraz po zawiązaniu konfederacji przybył do Baru, i kiedy marszałkom przedstawiał oddział swój, to wszystkich podziwieniem przejęła dobra postawa i dokładność ruchów tych ochotników. To też co było w obozie strzelców nadwornych, leśnych, gajowych, dojeżdżaczy, garnęło się pod komendę pana Szyca, który w krótkim czasie zformował oddział z ośmiuset pieszych i kilkudziesięciu jezdnych, których do zwiadów i służby obozowej używał.

Pięknie, a razem strasznie wyglądał ten oddział pana Szyca; lud wszystek doborowy, nie wzrostem ale marsową postawą; ubrani w kurtki zielone, w szarawary ciemne na sposób turecki, u kartuzy z palonej skóry wisiał jatagan, z boku pistolet, z tyłu w pochwie toporek; na głowie mieli kołpaczki borsucze z białym wierzchem, przy nich strzępiata kitka płomienistego koloru; na bandolerze przewieszony krótki karabinek, przy nim składany szeroki bagnet obosieczny; słowem, lekkie to uzbrojenie w niczem nie przeszkadzało szybkim obrotom, jakie odbywali.

Wszyscy prawie nosili brody krótko podstrzyżone i podgolone głowy, co obok ogorzałych twarzy, wyrazu zuchwałej odwagi i pewności siebie, jakie skutkiem powodze-

nia malowały się na nich, strachem przejmowało nieprzyjaciela.

Prócz kilku spotkań z większemi siłami, cały epizod konfederacji Barskiej można nazwać wojną partyzancką; a w niej strzelcy pana Szyca szczególnie się odznaczali. W dzień spali albo biesiadowali; ale skoro słońce zapuściło się, wszyscy byli pod bronią, i rzadko dzień był taki, żeby obładowani zdobyczą nie wracali do obozu; a że prawie nigdy pardonu nieprzyjacielowi nie dawali, że najczęściej nocną porą wyprawy robili, dano im nazwę »Piekielnej Kohorty« *), którą też oni szaloną odwagą i częstokroć okrucieństwem usprawiedliwiali.

Sympatja dowódzcy ich dla młodego Pułaskiego rosła z każdym dniem; to też w boju wspierali się wzajemnie, a przezorny i starszy wiekiem i doświadczeniem Szyc, był niejako mentorem popędliwego młodzieńca; ten zaś słuchał rad przyjaciela, których skuteczności nieraz doświadczył.

Pierwsze powodzenia konfederatów były tak świetne, że siły rosyjskie na Podolu i Wołyniu będące sprostać im nie mogły; trzeba więc było czasu, żeby posiłki z głębi Rosji nadciągnęły; przewłoka więc i zyskanie czasu było koniecznością, którą rozumiał dobrze i Repnin i król; dla tego po naradzie z senatorami sobie przychylnymi, wysłał Stanisław August do przewódców konfederacji Mokronowskiego, który imieniem króla tak świetne warunki podawał, że wielu skłonnymi się pokazało do przyjęcia ich, i pomimo

*) Szyc i jego oddział nie jest wymysłem; figurował on w Konfederacji Barskiej, a ówczesne pamiętniki mówią, że od czasów Barona Trenck'a nie było słynniejszego partyzanta.

oporu Pułaskiego i Krasińskiego, nastąpiło zawieszenie broni i przystąpiono do traktowania; a tymczasem wielu z pocztami swemi powracało do domu; a przeciwnie siły rosyjskie spiesznemi marszami zdążały; a skoro się już znaleźli o wiele silniejsi, zerwali z rozkazu króla układy, a wojsko moskiewskie uderzyło na garstkę Konfederatów, którą składały oddziały starego Pułaskiego, synów jego i Szyca.

Z niesłychaną wytrwałością bronili się oni w usypanych na prędce szańcach; a kiedy te pomimo desperackiego oporu zdobyte zostały, opuścili je w porządku, i dążyli ku Dniestrowi. Tylną straż, w codziennej z nieprzyjacielem utarczce, prowadził Szyc i pan Kazimierz; strzelcy pierwszego celnemi strzałami wstrzymywali natarczywość Moskali, a skoro chwila była po temu, konnica pana Kazimierza wypadała z boków i rozbijała dragonów i kozaków.

Po kilkudniowym takim marszu, przeszło wojsko Konfederatów przez Dniestr na Mołdawską ziemię; a nieprzyjaciel obawiając się zajścia z Portą Ottomańską, zaniechał pogoni. Intryga obca i niechęć swoich, która źródło w zawiści miała, były przyczyną zgonu starosty Wareckiego, przez co wszyscy adherenci jego zostali bez wodza Konfederacja zaś zdawała się zupełnie ukończoną.

Spokój zdał się powracać na Podolu, a szlachta nie biorąca udziału w sprawach wojennych i wielu rozbiegłych po ostatniem rozbiciu, wracało do domowej zagrody, gdzie swobodnie zaczęli się oddawać pracy gospodarskiej, wcale nie turbowani przez władzę rządową, której wpływ na obywateli tych oddalonych województw był prawie żaden.

W okolicy Kamieńca Podolskiego leży majętność Dunajowce, w owym czasie własność biskupa Kamienieckiego, Adama Krasińskiego, którą odziedziczył po matce swojej, Sołtykównej z domu.

Ilekroć przebywał w Kamieńcu, gościł on zawsze i w Dunajowcach, ale od lat kilku cały zajęty sprawami publicznemi, nie był w nich. Biskup był jednym z tej trójcy, co jeszcze za Augusta III pierwsza powzięła myśl konfederacji i do skutku ją doprowadziła we cztery lata po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta. Wielkiej energji i zacności ludzie składali to małe kółko: jednym z nich był Michał Korwin Krasiński, brat biskupa, w konfederacji Barskiej marszałek jeneralny, drugim Józef Pułaski, starosta Warecki, pisarz nadworny koronny i marszałek związkowy, trzecim biskup Kamieniecki.

Powiedzmy w krótkości, jaka była każdej konfederacji akcja na kraj i jaka władza przysługiwała marszałkom. Marszałek związkowy zastępował hetmana i miał całą siłę zbrojną pod swemi rozkazami; pod nim stali regimentarze po wo-

jewództwach, pod ich rozkazami marszałkowie ziem i powiatów.

Do marszałka jeneralnego należała administracja w kraju, skarb i stosunki z ościennemi dworami; tę część atrybucji swoich podkomorzy Rożański zdał na brata swego biskupa, a ten wdrożony w sprawy publiczne, rzadkiej rozwagi i jasnego widzenia człowiek, z wielką je prowadził oględnością.

Niezmiernej trzeba było ostrożności, żeby uniknąć wszelkiego rodzaju zasadzek, jakich nie szczędzono na pochwycenie biskupa, który, gdyby nie przenikliwość, właściwa cecha jego charakteru, byłby niewątpliwie doznał losu biskupa Sołtyka i hetmana Rzewuskiego, i został jak oni wywiezionym na Sybir. Ale on przewidział gwałt jakiego się dopuści gabinet petersburgski, a kiedy przestrzegani przez niego, ci co deportacji ulegli, wiary temu zuchwalstwu nie dawali, biskup Kamieniecki w wigilją dnia, w którym porwano Sołtyka i Rzewuskich, przebrany za strzelca opuścił Warszawę, i tym sposobem uniknął nieszczęścia *).

Później przebieg wypadków zmuszał biskupa do częstego znoszenia się z osobami wpływowemi, i zawsze mu się to szczęśliwie udawało, a że ludzie żądni są nadzwyczajności, dziwne też rzeczy o tych jego politycznych wycieczkach opowiadano.

Z przejściem konfederatów na Wołoszczyznę spokój zupełny był na Podolu; wszyscy co czynny udział mieli w tym ruchu wracali do domów, i chętnie przytułek da-

*) Historyczne.

wali niezamożnym towarzyszom broni, to też nie było jednego prawie domu w okolicy Kamieńca, gdzieby nie można napotkać jednego, dwóch, a czasem i kilku członków tej bohaterskiej falangi.

Dunajowce nie były wyjątkiem pod tym względem. Rządzca tameczny z polecenia biskupa, kilku towarzyszy i szeregowych pomieścił w zarządzie dóbr Dunajowiec; a jeden ze starszyzny, niejaki Zarzycki, porucznik z milicji księcia wojewody Bracławskiego, jako rezydent X. biskupa mieszkał w Dunajowcach i najgościnniej był podejmowany.

Był on od początku konfederacji nieodstępnym towarzyszem starosty Wareckiego i jego synów, wielkim admiratorem ich poświęcenia i odwagi, i szedł już z nimi na Wołoszczyznę, ale rana odebrana w jednej z licznych potyczek, jakie nieustannie toczyły się aż do granicy wołoskiej, zmusiła go pozostać w kraju.

Kiedy wyzdrowiał, osiadł w Dunajowcach i tam uprzyjemniał nieraz wieczory opowiadaniem przygód swoich, a w każdej takiej narracji któryś z Pułaskich figurował.

Dom w Dunajowcach nie odpowiadał ani zamożności, ani wysokiemu stanowisku właściciela; był to bowiem obszerny budynek drewniany, szalowany tarcicami, na których rzeźby różne widno było; wewnątrz pokoje wysokie; w pryncypalnych obicia adamaszkowe już wypłowiałe, bo dawna ta budowa na wzrost wielu pokoleń patrzała. Wszystko też nosiło tam cechę dawności; mnóstwo zaułków, schowków, może i sekretnych przejść pokrytych łamanemi dachami, mieściło się we wnętrzu tej nieregularnej budowy, bo bliskość Chocima i Kamieńca, dawniej przez Turków zajmo-

wanego, i sąsiedztwo Wołoszy, tego steku banitów i łotrów, zmuszały właścicieli na całem Podolu do obmyślania środków zabezpieczających ich mienie i osoby. Jedyną murowaną częścią tego budynku była kaplica, o ile sądzić można było z jej budowy, o wiele dawniejsza od reszty domu.

Dziwnie piękna to część ziemi naszej, ta okolica Kamieńca Podolskiego. Kraj wzgórzysty, falowaty, poprzerzynany jarami, po których piętrzą się fantastyczne skały; wśród jarów zaległy sioła, tak ocienione drzewami, że częstokroć dymem tylko z kominów wychodzącym zdradzają mieszkania ludzkie przed okiem wędrowca; przytem żyźność niesłychana ziemi, bujny porost i ziół i drzew, łatwość wychowania, czy koni, czy bydła, i plon niesłychany rzuconego bez mozołu ziarna w ziemię, słusznie jej nadało miano szpichlerza Polski.

W takim to kraju leżała rezydencja biskupa Kamienieckiego. Oddalona od całej osady, miała ona dziedziniec wałem, fosą i ostrokołem obwiedziony; na wale stało kilka armatek, a koło wjazdowej bramy były dwa blokhauzy z mieszkaniem dla nadwornych kozaków; z tyłu zaś domu, do którego dotykała kaplica, nie duży ogród, w nim dwa wirydarze grabowe i cienista aleja dotykały do brzegu jaru skałami najeżonego.

Osamotnione wydaleniem biskupa Dunajowce, po powrocie spokoju na Podolu ożywioną znowu przybrały postać; rządzca bowiem tamtejszy odebrał ze Szlązka od biskupa wiadomość, że agituje się jakiś układ familijny między panami Krasińskimi, w skutek którego prawdopodobnie biskup w zamian za Dunajowce ma wziąć od starosty Nowowiejskiego dobra jego w Płockiem położone; zalecał tedy biskup rządzcy swemu, żeby przygotował się na przyjęcie starosty, lub kogoś z rodziny jego, który przybędzie do Dunajowiec dla obejrzenia tego majątku.

Stosując się do odebranej instrukcji, zajęto się uporządkowaniem domu; wydobyto sprzęty, które dawno w pakach spoczywały, uprowidowano dom we wszystko co do wygody niezbędnem było; a cała ta robota szła i składnie i z pospiechem, bo bardzo czynnemu i wielkiej poczciwości człowiekowi powierzył biskup zarząd Dunajowiec. Był nim niejaki Kierski, już nie młody człowiek, wychowany staraniem kasztelana Wizkiego, ojca biskupa; sprawował on naprzód różne funkcje na dworze panów Krasińskich, a kiedy ze śmiercią pana Goljana, ojca nieodstępnego towarzysza pana Kazimierza Pułaskiego, zawakowało gubernatorstwo Dunajowiec, biskup dał tę posadę panu Kierskiemu, który był szwagrem nieboszczyka. I odtąd od lat dwudziestu z górą, zarządzał on tą piękną majętnością z wielką korzyścią dla jej właściciela, czem pozyskał zaufanie jego.

W krótkim bardzo czasie wszystko było gotowe na przyjęcie zapowiedzianych gości; a niedługo potem przybyła do Dunajowiec królewiczowa z siostrą swoją panią starościną Radomską, i zaraz na wstępie oświadczyły panu Kierskiemu, że ojciec ich, chce nabyć Dunajowce dla Królewiczowej; żądają też od niego, ażeby co do obejrzenia i ocenia takowych, znosił się z plenipotentem królewiczowej, który wkrótce miał nadjechać; przytem oświadczyły one panu Kierskiemu, że nie wiele osób widywać będą, proszą więc, żeby żadnych wydatków nadzwyczajnych na przyjęcie ich nie robił. Pomimo to zastrzeżenie, w parę dni po

przyjeździe ich do Dunajowiec, dwóch kanoników przybyło imieniem kapituły powitać synowę dawnego ich króla, i bliskie krewne pasterza.

Drugiego dnia po przybyciu królewiczowej, pan Zarzycki zaprezentował się obu siostrom, które uwiadomione o udziale jego w konfederacji, mile go przyjęły.

Na początku jesieni przybyły te same panie do Dunajowiec. Pora była jeszcze ciepła, dnie suche i jasne, przejażdżki też co dzień używały, w takim razie pan Zarzycki, kilku pokojowców i kozaków, jechało obok kolasy, w której siedziała królewiczowa i jej siostra.

Obie spędzały wieczory w towarzystwie pana Zarzyckiego, który na ich żądanie opowiadał różne szczegóły bitew niedawno stoczonych, i uważał szczególne zajęcie z jakiem go słuchały.

Od czasu pobytu królewiczowej na Podolu, między Dunajowcami i Kamieńcem codzienny prawie był stosunek; bo tego wymagała wygoda obu pań, o którą bardzo dbały był pan Kierski, a przy każdej takiej okazji, odbierały obie dużo listów od rodziny i zażyłych z niemi osób; a że rozgałęzione bardzo miały stosunki, obszerną też była ich korespondencja.

Jednego wieczora Królewiczowa i pani starościna zajęte były czytaniem nadeszłych listów; w końcu pokoju siedział X. Hilarjan z zakonu OO. Karmelitów bosych kamienieckich, dwóch paziów, w barwie saskiej, często opuszczało siedzenia, jakie mieli przy drzwiach, bo jeden podniecał ogień w dużym marmurowym kominie, drugi bawił się i droczył często z karzełkiem, nadzwyczaj małym i foremnym, po turecku

ubranym. Bliżej kanapy, którą zajmowały obie siostry, siedział pan Zarzycki z założonemi na piersiach rękami i patrzał ciekawie na czytające panie, bo się spodziewał nowin, których był bardzo żądny; cichość tedy zupełna panowała, a przerywał ją czasem piskliwy wykrzyk karła, który się gniewał na psoty, jakie mu robił bawiący się z nim paź.

Królewiczowa pierwsza skończyła czytanie, i odwracając się do pana Zarzyckiego, mówiła mu, iż księżna Wojewodzina Lubelska, jej ciotka donosi, że otucha wstąpiła w umysły regalistów, bo uważają oni konfederacją za zupełnie upadłą; uwijają się wprawdzie drobne oddziały po kraju, ale te nie mając kierownictwa, a zatem i celu, muszą się rozejść wkrótce.

Wysłuchawszy tych wieści porucznik pokiwał głową, i kłaniając się królewiczowej:

— Wiem ja dowodnie — mówił — że żadna wojna nie może pójść pomyślnie, jeżeli władza nad wojskiem nie spoczywa w jednym ręku, i to w ręku człowieka co żadnemi względami powodować się nie da, na żadne stosunki się nie ogląda, ale karci surowo nieposłuszeństwo i swawolę, a nagradza zasługi. Takim człowiekiem był starosta Warecki, to też początkowe boje nasze w konfederacji świetne budziły nadzieje; a któż w nich dowodził, jeżeli nie starosta Warecki? Na kogo z uwielbieniem zapatrywało się wszystko co młode było w naszych szeregach, jeżeli nie na dzielnych synów jego i synowców, nad którymi jak gwiazda prymował pan Kazimierz!

Tu przestał pan Zarzycki, zamyślił się chwilę i pod wpływem zapału z jakim mówił o całej tej bohaterskiej rodzinie,

nie uważał wzruszenia królewiczowej, która z nadzwyczajnem zajęciem patrzała na niego.

— Daleko oni — mówił — daleko! Sieroty bez ojca — dodał wzdychając — a przecież jakieś przeczucie mi mówi, że póki oni żyją, to dobra sprawa znajdzie obrońców i przewódców... Nie! Pan Kazimierz nie wyrzekł się nadziei — mówił porucznik — nie zwątpił w opiekę świętego patrona, który go strzegł wśród tylu niebezpieczeństw, a którego obraz miał zawsze przed oczami.

Po tych wyrazach, badawczym wzrokiem patrzała na mówiącego Królewiczowa, a potem z żywością, której nie była widno panią, zapytała:

— Jakim sposobem pan starościc Warecki miał zawsze przed oczami obraz swojego patrona? Wytłómacz mi to pan.

— Żeby to zrozumiałem zrobić Waszej Królewiczowskiej Mości, muszę wspomnieć o wydarzeniu, które miało miejsce przed parą laty. Zaraz po powrocie z Warszawy pan starosta Warecki odwiedził wraz z synami starego hetmana Branickiego w Białymstoku, któremu tak się podobał pan Kazimierz, że go przyjął za towarzysza do swojej chorągwi; zaszczyt ten nie mały i przez dygnitarzy nawet pożądany, chlubnie odznaczył młodego jak pan Kazimierz człowieka. I odtąd zawsze na szyi nosił oznakę rangi, jaką miał, w poważnych znakach, a tą był ryngraf z wizerunkiem jego patrona, do którego miał szczególne nabożeństwo, o czem sam się później przekonałem.

— Widziałeś że go pan kiedy? — pytała z żywością królewiczowa — jakże on wyglądał? Powiedz mi Waszmość.

— O! widziałem go! widziałem! — odrzekł pan Zarzycki — a w jakim wypadku po raz pierwszy, opowiem. Jużem to wspominał dawniej Waszej Królewiczowskiej Mości, że zaraz po zawiązaniu konfederacji, milicja księcia Wojewody Bracławskiego, w której ja służyłem, pod wodzą pułkownika Gosławskiego połączyła się z powstaniem, a w kilka dni potem udecydowano wyprawę dla zrekognoskowania nieprzyjaciela, której pan Kazimierz miał dowodzić, a do niej z milicji Bracławskiej odkomenderował Wy Gosławski czterdziestu ludzi, których mnie powierzył.

»Poszedłem tedy zameldować się panu Kazimierzowi, który mnie wypytywał o stan zdrowia i ludzi i koni, o broń i rynsztunek wojenny, w końcu o usposobienie i duch żołnierza; a odebrawszy zadowalniającą relację, kazał mi wieczór po parolu być w swoim namiocie.

»Pamiętny rozkazu, skoro hasło rozdano i wieczorną odmówiono modlitwę, szedłem do miejsca, gdzie obozował pan Kazimierz z oddziałem swoim. I zaraz pan Golian, który już czekał na mnie, szedł ze mną do mieszkania jego. Ale kiedy podniósł zasłonę, wejście do namiotu pokrywającą, stanęliśmy jak wryci, przejęci poszanowaniem. W namiocie bowiem stał stolik, na nim dwie świece gorzały, w pośrodku o sprzęt jakiś wsparty ów ryngraf z wizerunkiem śgo Kazimierza, a przed nim klęczał pan starościc w modlitwie zatopiony.

»Staliśmy oba w milczeniu, nieruchomi, a ja miałem czas przypatrzeć się obrazkowi. Był to nie duży, owalny medaljon, myślę ze słoniowej kości, na nim dziwnie piękny konterfekt śgo Kazimierza królewicza modlącego się; nad-

Wypożyczalnia Książek w Szczawnicy Wiedeń pod Kraszewskim

zwyczaj czysty kryształ pokrywał tę malaturę, a oprawa złota, jakby w węzły powiązane, jasno odbijała na czarnym szmelcu ryngrafu złotemi ozdobami nabijanego.

›Nie długo trwała modlitwa, a kiedy powstał młodzieniec, to obrócił się do mnie, i z tą uprzejmością która mu jednała serca wszystkich:

›— Wybacz mi‹ mówił ›Mości Poruczniku, żeś był zmuszony czekać nieco; ale kto jak my walczy za wolność i wiarę, ten przed każdą czynnością powinien używać opieki Matki Boskiej; i ja też o nią prosiłem gorąco za pośrednictwem św. patrona mego‹ — tu pocałował wizerunek, i zawiesił go pod szyją.

›— *Sodalis Mariae*, odrzekłem, nie może jak tylko uwielbiać to uczucie JW. Pana!‹

›— Aha!‹ zawołał, ›tośmy widzę z jednej konfederacji, o! teraz wierzę‹, dodał, ›że przy jutrzejszem spotkaniu sprawisz się Waszmość, jak na szlachcica i wielbiciela Marji przystało.‹

›Potem dawszy mi instrukcję kazał być w pogotowiu do wymarszu.

›Na drugi dzień, na godzinę przed świtem, wyruszyliśmy z obozu, i zaroślami, uboczami, dążyliśmy ku posterunkom moskiewskim.

›Już był dzień dobry, kiedyśmy spotkali chłopów z dobytkiem do lasu uciekających, i od nich dowiedzieliśmy się, że we wsi, którą widno było przed nami, są Moskale. Na tę wieść pan Kazimierz zatrzymał całą komendę i stanąwszy przed moim oddziałem:

›— Mości Zarzycki!‹ zawołał, ›milicja Bracławska pierwszy raz dziś będzie w ogniu; mam nadzieję, że nie zawiedzie zaufania, jakie w niej pokłada X. wojewoda i Marszałkowie konfederacji!

›— Pójdziemy!... pójdziemy naprzód!‹ krzyknęli wszyscy z zapałem; a na twarz pana Kazimierza wystąpił wyraz ukontentowania na tę gotowość naszą wobec nadchodzącego nieprzyjaciela.

›Było nas ze trzystu, wszystko lud doborny, na tęgich koniach i dobrze uzbrojony; a na każdej twarzy wybitnie malowała się ochota do starcia z nieprzyjacielem, i pewność zwycięztwa.

›Po chwili ujrzeliśmy wychodzącą ze wsi konnicę moskiewską i szykującą się na polu. Po błyszczących giwerach, na których łamały się promienie wschodzącego słońca, poznaliśmy że to dragonja, żołnierz w szable i karabiny uzbrojony.

›Na ten widok pan Kazimierz sprawił swój zastęp, w środku którego postawił mój oddział, stanął na czele, i zaraz z tą fantazją rycerską, co umiała zelektryzować trwożliwych nawet, wyciągnął szablę z pochew, okręcił silnie temblak około ręki, potem nasunął na prawe ucho soboli kołpak ze strzępiatą kitą, i zwracając w miejscu spinającego się pod nim konia:

›— W imię Boskie! Panowie! kłusem, marsz!‹ zawołał.

›Im bardziej zbliżaliśmy się do nieprzyjaciela, tem dowodniej widzieliśmy, że Moskali dwa razy więcej było jak nas; ale w konfederacji nie zważano na taką różnicę, to też w pięknym porządku szły naprzód i konie i ludzie.

»Kiedyśmy byli od nich o jakie sto kroków, Moskale stanęli, pierwszy szereg złożył się z karabinów, i zaraz huk wystrzałów rozległ się po polu; świsnęły koło uszów kule, kilku naszych padło, a pan Kazimierz jakby siłą jakąś popchnięty, pochylił się na tył tak mocno, że aż ręką wsparł się na krzyżu konia, a my struchleli na ten widok. Ale chwilę to tylko trwało, bo zaraz poprawił się na siodle, wzniósł szablę do góry, i z okrzykiem: »Wiara i wolność!« wpadł pierwszy w szeregi moskiewskie, a my tuż za nim pędząc, złamaliśmy całą linię nieprzyjaciela i dopieroż, porozdzielani na kupki, kłuliśmy, rąbali, albo do niewoli brali wołających o pardon.

»Nie więcej jak pół godziny trwała ta gonitwa, a kiedy ozwały się trąby wzywające do szeregów, i te się formować poczęły, spojrzałem ku wsi, i spostrzegłem pana Kazimierza wracającego z pogoni. Biały koń jego szedł w samych podskokach, rycerska postawa jeźdźca jaśniała radością; w prawym ręku trzymał on chorągiew moskiewską, co ją sam zdobył, a której fałdy wiatr rozwiewał po nad głową jego; za nim kilkudziesiąt szlachty, jak on upojonych zwycięztwem, sadziło na dzielnych koniach.

»Na ten widok w naszych szeregach rozległy się krzyki na cześć dzielnego dowódzcy, a on z powagą dziękował za te oznaki uwielbienia, a potem ręką dał znak żeby się uciszono; a kiedy ustały wiwaty:

»— Panowie bracia! — zawołał, Bóg nam dał zwycięztwo, jemu też dzięki najprzód złóżmy za nie!

»Tu zdjął kołpak, wszyscy poszli za jego przykładem, i pochyleni na koniach krótką odmawialiśmy modlitwę.

»— Opłakujemy — mówił dalej — śmierć kilku dzielnych towarzyszy broni, a więc wieczny odpoczynek tym szlachetnym ofiarom dobrej sprawy — i znowu wszyscy powtórzyli za nim.

»— A teraz — zawołał — osobiste mam do was żądanie. Kiedyśmy dochodzili — mówił — do nieprzyjaciela, a ten nas powitał rzęsistym ogniem, jedna kula niechybną śmierć mi niosąca, ugodziła mnie. Ale mnie ocaliła opieka ś. patrona mego, którego wizerunek noszę, bo kula uderzyła w ryngraf i odbiła się o niego; o westchnienie tedy do tego świętego za to cudowne ocalenie, proszę was panowie.

»Jakby na komendę, wszystkie czapki wzniosły się w górę, i serdeczne wołanie:

»— Święty Kazimierzu! patronie korony polskiej, bądź pochwalony! — rozległo się po pobojowisku.«

Przez ciąg mowy pana Zarzyckiego, królewiczowa nie mogła wątpić, że wizerunek, przedmiot czci i modłów pana Kazimierza, był to ów medalion, którym ona obdarzyła chrzestnego syna swego, a który dziecię oddało panu Kazimierzowi, w zamian za kosztowną szpinkę; łatwo też pojąć, jakie uczucie owładnęło ją na tę wiadomość; to też ze spuszczonemi oczami, żeby ukryć wrażenie, słuchała ona opowiadania pana Zarzyckiego, ale kiedy kończąc je mówił o cudownem ocaleniu młodzieńca, to królewiczowa w największej obawie o los wizerunku, który może sama za talizman pana Kazimierza uważała, niespokojny wzrok wlepiła w mówiącego i wzruszona, drżącym zapytała głosem:

— A medalion czy strzaskała kula?

— Choć heretycka — odrzekł porucznik — uszanowała jednak wizerunek świętego, i cal od niego zagięła blachę ryngrafu, a medalion nietknięty pozostał.

— Boże! dzięki Ci za to składam! — zawołała z uniesieniem królewiczowa i rękę na sercu położyła, jakby chciała stłumić mocne jego bicie; a potem, niechcąc mieć świadków rzewnego uczucia, które we łzach gotowe było wybuchnąć, spiesznie wyszła do przyległego pokoju.

Pan Zarzycki nie mogąc sobie zdać sprawy ze wzruszenia królewiczowej, patrzał też zdziwiony za odchodzącą, a potem na starościnie, w której oczach łzy także błyszczały, spoczął wzrok jego.

Nie uszło jej uwagi zadziwienie porucznika; chciała usprawiedliwić znalezienie się siostry, to też odwracając się do pana Zarzyckiego:

— Dziwi pana widzę — mówiła — wzruszenie królewiczowej opowiadaniem pańskiem spowodowane; w krótkości je panu wytłumaczę. — Kiedy pan starosta Warecki w skutek zajścia z Repninem zmuszony był opuścić Warszawę wraz z synami, przebywali oni długo naprzód u rodziców moich w Maleszowej, a potem u nas w Sulgostowie, gdzie i siostra moja natenczas bawiła. Mieliśmy też sposobność ocenić prawy charakter, i energję pana starosty Wareckiego i podzielać nadzieje, jakie budziły piękne przymioty jego synów; zawiązał się też stosunek zażyłości między nimi a rodziną, który ścieśniała jeszcze przyjaźń starosty z księdzem biskupem i jego bratem. Na to przyjaźne usposobienie wpłynęła jeszcze drobna wprawdzie okoliczność, ale dziwnie usprawiedliwiana stanowiskiem, jakie pan Kazimierz

dziś zajmuje, a tem była przepowiednia, jaką mu zrobiła w czasie pobytu jego w Maleszowej kobieta, wprawdzie niespełna rozumu, ale dziwnie trafnie przyszłość wróżąca. Sprawdzenia się jej przepowiedni doświadczyła siostra moja na sobie; a że jest bardzo wrażliwą i dusznie sprzyja konfederacji, naturalną więc jest rzeczą, że bez wzruszenia nie mogła słyszeć opowiadania pańskiego, a pan widzisz że i ja jestem pod wpływem tego wrażenia.

Usprawiedliwszy w ten sposób znalezienie się królewiczowej, pożegnała starościna zadowolonego oświadczeniem porucznika, i poszła do siostry, którą zastała modlącą się, z wyrazem jakiegoś bolesnego uczucia na twarzy.

Od dwóch tygodni gościły obie panie w Dunajowcach, a przez ten czas X. Hilarjon kapelanował im, a wieczorami grywał w marjasza z panem Zarzyckim — gra, którą porucznik namiętnie lubił.

Ale od kilku dni wydalał on się często, a pan Zarzycki, pozbawiony towarzysza do ulubionego marjasza, pytał go o powód tej nieobecności, a zapytany tłumaczył się to potrzebą odwiedzenia chorego w miasteczku, to sprawami konwentu, nie dając żadnych szczegółów, a pan Zarzycki nie pytał już o nic, bo zrozumiał, że świeckiemu nie wypada badać zakonnika, który polecenia od przełożonego pod obedyencją odbiera.

Pozbawiony tedy miłego dla siebie towarzystwa, zapraszał wieczorami porucznik jednego z pokojowców królewiczowej, i z tym w warcaby grywał.

Pewnego dnia, panie, jakieś znużone, zaraz po kolacji udały się na spoczynek, a porucznik z pokojowcem poszli

do oficyny gdzie było mieszkanie pierwszego i zasiedli do gry, kiedy wejście pana Kierskiego przerwało ich zabawę. Oświadczył on młodzieńcowi, że królewiczowa go wzywa, a kiedy ten pospieszył do dworu, to pan Kierski zamknął drzwi starannie, i przystępując do siedzącego za stolikiem pana Zarzyckiego:

— Mości poruczniku! — rzekł — sprawa publiczna potrzebuje współudziału Waszmości; zechcesz że jej dopomódz?

Na te wyrazy zerwał się z siedzenia zapytany, i z uniesieniem zawołał:

— Zkąd to powątpiewanie, mości rządzco! Proszę mi się wytłumaczyć; ja przecież bez przymusu, z dobrej woli przysięgałem na wierność konfederacji i jej naczelnikom; a że mnie nikt od tej przysięgi zwolnić nie może, byłem więc, jestem i będę posłusznym rozkazom w imieniu tej władzy wydanym.

Na te wyrazy pan Kierski podał rękę mówiącemu i chcąc go uspokoić:

— Nie miałem ja myśli — rzekł łagodnie — ubliżać Waszmości mojem zapytaniem, bo znane mi najlepsze chęci jego; ale tu chodzi o przyjęcie chwilowo roli, która wstrętną mu być może, i to niech mi będzie tłumaczeniem.

— Mości Kierski — odrzekł udobruchany konfederat — jeżeli x. biskup kamieniecki nie wahał się przywdziać na siebie stroju i roli strzelca, kiedy tego była potrzeba, toć Zarzycki jak cygan nawet wystąpić nie ma prawa wzdragać się.

— No! kiedyż tak chętne jest usposobienie Waszmości — mówił pan Kierski, opowiem o co rzecz chodzi. Z rozmowy

już mogłeś się jegomość przekonać, jakie są uczucia królewiczowej dla sprawy narodowej; ma ona gorące uczucie patrjotyczne i sprzyja konfederacji jako prawa córa zacnego domu. Może też jako synowej ostatniego króla naszego, i żonie królewicza Karola, który ma wiele sympatji w kraju, staje jej na myśli i świetna przyszłość, rzecz bardzo możliwa, słowem: ze wszech względów nie może ona być obcą ruchowi, jaki się w kraju objawił i nie brać w nim udziału; i to jest rzeczą naturalną, przyznasz mi Wasindziej. Otóż dziś ma ona potrzebę zrobić jakąś tajemniczą wycieczkę. Kazała mi, żeby lekki powóz czekał na nią, przytem zaleciła sekret i oględność największą. Ale jakże zachować sekret przypuszczając do niego sługi? Sam tedy chcę tę rzecz załatwić i Wasindzieja wzywam do pomocy. Ja będę stangretem, Wasindziej przybierzesz się za hajduka i tak zawieziemy ją gdzie nam wskaże... Czy zgadzasz się panie poruczniku, na mój projekt? — dodał.

— Z miłą chęcią, mój dobrodzieju... — odrzekł pan Zarzycki, ale gdzież ją mamy zawieść? powiedz mi Wasindziej?

— Do pasieki pana Jelca — odrzekł zapytany.

— No! to nie daleko — mówił porucznik, i zaraz zarzucił burkę na ramię, za pas wsadził parę pistoletów i krótki jatagan turecki, i oba podążyli na komisarją, gdzie było mieszkanie pana Kierskiego.

Około dziesiątej gasły ognie i we dworze i w budynkach do rezydencji należących, wszystko zasypiało snem twardym, kiedy z dziedzińca komisarji wyjeżdżała mała karyolka, dwoma silnemi ciągniona końmi, które powstrzymywał wo-

źnica ferezyą starannie otulony; w karyolce zaś siedział hajduk.

Powóz przeszedł koło dziedzińca, okolił stajnie na boku stojące, potem wązką drożyną zdążał do tylnego wyjścia z ogrodu, gdzie była po za kaplicą furtka w parkanie; koło niej zatrzymał się pojazd, hajduk wysiadł z niego, i wsparłszy się nogą o koło a ręką o koziołek karyolki, rozmawiał półgłosem ze stangretem. Stali tak chwilę w milczeniu, a kiedy na zegarze kościelnym w miasteczku usłyszeli bijącą jedenastą godzinę, wtedy woźnica nachylił się do hajduka:

— Niebawem nadejdą — rzekł z cicha — stój Waszmość koło furtki....

Ten spełnił to zlecenie, i pilnie nadsłuchiwał, a kiedy usłyszał szelest stąpaniem po suchych liściach spowodowany:

— Idzie już — rzekł półgłosem do furmana, i stanął koło stopni karyolki.

Po chwili skrzypnęła furtka, i ukazał się Karmelita podający rękę kobiecie ciemnym rańtuchem owiniętej; w milczeniu wsiedli oni do powozu, hajduk stanął z tyłu, a konie żwawo ruszyły.

I zaraz drożynami, często odłogiem lub brzegami łąk dla skrócenia drogi, zdążali do pasieki pana Jelca, członka starożytnej, zubożałej rodziny, który położywszy rozmaite zasługi w domu ojca biskupa, miał od niego nadany dożywociem spory szmat pola i stepu, i jar ciernisty, gdzie założył siedzibę swoją i pasiekę; a że był i wielki znawca i miłośnik pszczelnictwa, w krótkim też czasie rozmnożył ją znamienicie.

Po godzinnej podróży, wjechała karyolka w bramę dziedzińca, którą zaraz zamknięto, i stanęła przed gankiem. Ksiądz wyskoczył z niej i szedł do domu, za nim mniemany hajduk prowadził królewiczowę, która chwilę przystała w sieni, jakąś zawadą zatrzymana; przez ten czas ksiądz zapukał, otworzono drzwi, i kiedy przestąpił próg zamknięto je zaraz. Chwilę to tylko trwało, ale przez ten czas hajduk rzucił okiem na izbę, i ujrzał na środku niej stojącego mnicha, który nasuwał kaptur na głowę, ale nie dość spiesznie, żeby blask ognia na kominie palącego się nie oświecił twarzy księdza, a na ten widok:

— Jezus Marja! — zawołał hajduk.

— Co to takiego?... — spytała z żywością dama.

— Polano jakieś — odrzekł tenże — na które omal nie nastąpiła Wasza Królewiczewska Mość.

— Zastukaj pan trzy razy — rzekła i zaledwie to dopełnił, rozwarły się znowu drzwi, i jak wprzódy, na środku izby stał ów zakonnik, tym razem kapturem okryty, i błogosławił klęczącego przed sobą księdza Hilarjona.

Kiedy zamknięto wejście, hajduk, a raczej nasz znajomy pan Zarzycki, wiadomy miejscowości, namacał drzwi w przeciwległej ścianie sieni będące i otworzywszy je, znalazł się w piekarni. Słaby ogień palił się na kominie, wiekowa jakaś kobieta podniecała go; na piecu zaś, na zapiecku i na kupie mat w kącie izby leżących, spała czeladź miejscowa, a pod oknem, obok ławy, był prosty stół, w połowie obrusem nakryty, na nim świeca w lichtarzu, półgarncówka z jakimeś napojem zapewne, i dwie szklanki ustawione zdały się oczekiwać gości.

Skoro wszedł nowoprzybyły, staruszka popatrzyła chwilę na jego odzienie, i zadowolona widno z tego przeglądu:

— Proszę Waści siadać i posilić się — rzekła wskazując na ławę pod oknem.

Po chwili wszedł pan Kierski, stara przypatrzyła mu się jak pierwszemu i zaprosiła, a sama wyszła do przyległego alkierza.

Obaj dworscy nalali szklanki miodem, jak zwyczajnie stangret z hajdukiem, i sparłszy się łokciami na stole, rozmawiali półgłosem. Pan Kierski spostrzegł na twarzy swego towarzysza jakieś zakłopotanie; pytał go też zaraz o powód takowego, a ten składając ręce:

— A mój mości dobrodzieju — rzekł — czy mi się śni, czy ja w obłędzie jakimś! nie pojmuję.. bo sprawy sobie zdać nie mogę z tego com widział.. *Deus me custodiat* — dodał, i przeżegnał się pobożny konfederat.

— Cożeś Wasindziej widział tak nadzwyczajnego? — pytał pan Kierski.

— Com widział, zrozumieć tego nie mogę; a przecież tak mi dobrze znane oblicze! — mówił zamyślony — Byłożby dwóch ludzi tak do siebie podobnych? to rzecz nadzwyczajna! I znowu zamilkł w myślach pogrążony.

— Coż przecież takiego? — mówił pan Kierski — mów asindziej na miłego Boga!

— Kiedyśmy wysiadali przed gankiem, X. Hilarjon wyprzedził mnie i królewiczowę, którą ja prowadziłem; w sieni zatrzymaliśmy się chwilę, bo jakieś drzewka porozrzucane usunąć trzeba było, a przez ten czas ksiądz zapukał do drzwi, a kiedy je otwarto, ujrzałem zakonnika jakiegoś na

środku izby stojącego, który nasuwał kaptur na głowę; a mnie się zdało, że to nasz zacny biskup stoi przedemną.... a przecież wiem, że to rzecz niepodobna, bo on gdzieś daleko w rakuzkich krajach przebywa.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się pan Kierski — to przywidzenie!

— Czekajże Asindziej! — zawołał porucznik — kiedy dla królewiczowej otworzono znowu drzwi, przed tym zakonnikiem, tą razą okrytym kapturem, klęczał ksiądz Hilarion, a ten go błogosławił; wytłumacz mi to Wasindziej?

— Jakiejże reguły był ten zakonnik? — pytał p. Kierski.

— Zdaje mi się, że śt. Franciszka — odrzekł zapytany.

— Teraz rozumiem — mówił Kierski kiwając głową — w Krakowie jest prowincjał Reformatów, jak mi mówiono nadzwyczaj podobny do naszego biskupa; on to musiał przyjechać dla widzenia się z królewiczową, której jest dobrze znany z czasu pobytu jej w domu rodziców. To on, pewno on — dodał — bo to także polska dusza. Z resztą cudzych tajemnic, gdyby jakie były, zgłębiać się nie godzi, tem bardziej kiedy w nie wmięszane takie osoby, jak nasz pasterz i królewiczowa.

— Niechże mnie Bóg broni od tej ciekawości — mówił porucznik — z nikim ja o tem wydarzeniu mówić nie myślę, ale Wasindziejowi, jako posiadającemu zaufanie księdza biskupa, opowiem dwa wypadki, jeden który mnie się wydarzył, drugi którym z ust wiarogodnych słyszał.

— Bardzo będę ciekawy — odrzekł pan Kierski — bo pojmiesz Wasindziej, że wszystko co księdza biskupa dotycze, nieskończenie mnie obchodzi.

Tu nalał wypróżnione szklanki, a porucznik zaczął:

— Było to jakoś na początku zimy; staliśmy garnizonem w Smile, gdzie rok przedtem, w czasie krótkiej bytności x. wojewody w Smilańszczyznie, przybył ksiądz biskup kamieniecki, dla poświęcenia nowo erygowanej kaplicy i przy tym akcie, z wielką solenizacją obchodzonym, dobrzem się przypatrzył poważnej postaci księdza biskupa. Dowodził już wtenczas całą milicją x. wojewody, tak pieszą jak konną, znany Waszmości pułkownik Gosławski, wielkiego animuszu i poświęcenia człowiek, już w on czas, jakem się później dowiedział, wtajemniczony w zabiegi konfederacji. Z niezmierną skwapliwością sposobił on się do boju, który przewidywał wkrótce. Co było koni lichych wyrzucono z szeregów, a zastąpiono je młodemi i silnemi, a nie bardzo nam to szło sporo, bo Prusaczyska włóczyli się po kraju, i wykupywali co było lepszego. Broń naprawiali płatnerze i puszkarze, nowe umundurowanie odebrał żołnierz, choć miesiąc prawie brakowało do końca roku; najważniejszą zaś rzeczą była amunicja, która miała być w forteczce Berszadzie, a jej dowódzca był już wciągnięty do związku; do niego tedy wysłał mnie pan Gosławski, żebym się przekonał naocznie o jej ilości i gatunku.

»Sanna była doskonała, (jak to zwykle bywa na pierwszym śniegu, to też szparko unosiła sanki moje para silnych koni pułkownika.

»W połowie może drogi ujrzałem przed sobą dużo koni luźnych, które wiedli czumaki; a kiedym się z nimi zrównał, zapytani przezemnie, czyje to konie prowadzą? odrzekli mi: że to remonta pruska, którą zakupił oficer na

przedzie jadący. Naklałem utrapionemu Niemcowi, bo wolno mijając konie mogłem się przekonać, że były i silne i zdrowe; i tak dojechałem do sani, na których siedział ów Prusak, przewódzca remonty. Kiedym zjeżdżał z toru i wolno go mijał, spojrzał on na mnie... a ja zerwałem się na równe nogi, uchwyciłem za kołnierz wyrostka, żeby powstrzymał konie, bo ów Prusak, to był prawdziwy obraz naszego biskupa*). Na ten mój ruch, Prusak mrugnął wyraziście oczami, spiesznie położył palec na ustach, a potem, niby w chęci powitania mnie zdjął czapkę i machnął nią przed się, jakby mi chciał wskazać, żebym jechał dalej.

— Cóż Wasindziej mówisz na to spotkanie? — dodał.

— Ja myślę — mówił poważnie pan Kierski — że kierownicy sprawy publicznej znajdują się nieraz w excepcjonalnem położeniu, i że czynności ich nie zawsze mierzyć można na skalę zwykłym ludziom właściwą. Ale jakie było drugie wydarzenie, o którymeś Wasindziej wspominał?

— Nie wiem czy znany jest Waszmości Wy Iwanicki, łowczy koronny Żytomirski? — zapytał porucznik.

— O! i dobrze! — mówił pan Kierski — mieszka on w Iwanicach, wsi swego nazwiska, niedaleko Porycka; czy ten?

— Tenże sam — ciągnął porucznik — jest to człowiek nadzwyczaj prawy, pobożny, rygorysta, co więc z ust jego wyjdzie, jak w Ewangelję wierzyć można, a żeśmy krewniacy, przybył tedy do Smiły, żeby mnie odwiedzić, a

*) Zdarzenie prawdziwe, pisze o niem Rulhière.

było to niedługo jakoś po tem mojem spotkaniu z Prusakiem. Otóż w rozmowie opowiedziałem mu to wydarzenie, pewny że go tem w zadziwienie wprowadzę, ale on nie okazał żadnego, i najspokojniej mi odrzekł:

›— Bardzo temu wierzę, bo i mnie coś podobnego wydarzyło się.‹

›I zaraz mi prawi, że niedawno jechał do Dubna na jarmark, i po drodze wstąpił do pana Osieckiego, który się spławem trudnił i szypruje kilku znakomitym panom, a miał część we wsi Szlachowa na gościńcu leżącej.

›— Na samym początku jesieni, bo przy końcu września, mówił pan łowczy, przybyłem do Szlachowej; dnie dużo krótsze, bo też już ciemno było jakeśmy przy kieliszku używali *Vespertynki* i rozmawiali, jak to zwykle między szlachtą bywa, trochę *de privatis*, a więcej *de publicis rebus*.

›Pan Osiecki był wdowiec, dwie córki miał już postanowione gdzieś daleko; sam też siedział na cząstce swojej, a mieszkanie jego ze sporej izby i alkierza składało się.

›Siedzieliśmy już więcej godziny, w rozmowie i konjunkturach różnych zatopieni, kiedy mocne ujadanie psów zwróciło uwagę gospodarza; zawołał też na kozaczka, który nam usługiwał, żeby wyjrzał na dwór, kto tam psy droczy, a nim ten wrócił, usłyszeliśmy skrzypienie bramy na wrzeciążach, którą otwierano, potem cichy turkot zbliżającego się wozu, który wjeżdżał w dziedziniec i zatrzymał się przed dworkiem.

›Słuchał pilnie tego turkotu mój gospodarz, a ja na twarzy jego widziałem jakiś wyraz niepokoju i pomięszania.

›Po chwili wszedł kozaczek, a za nim barczysty jakiś chłop, widno gajowy, bo borsuczą torbę miał przez ramię przewieszoną; a na jego widok zerwał się raptownie pan Osiecki, i patrząc wytężonym wzrokiem na gajowego:

›— Co tam nowego?‹ zawołał składając ręce.

›— Przywozimy kufer, mój Jegomość‹ odrzekł chłop kłaniając się.

›— Już!‹ mówił pan Osiecki, ›jutro was się dopiero spodziewałem; ale chodźmy! chodźmy!‹ dodał i szedł do sieni, a za nim gajowy z kozaczkiem.

›Nie długo potem, usłyszałem ciężkie stąpanie kilku ludzi i głos mego gospodarza, który ostrożność zalecał; potem rozwarły się na oścież drzwi izby, i weszło dwóch gajowych, za nimi dwóch parobków, a w pośród nich spory kufer, który dźwigali z wysileniem.

›Pan Osiecki, który wszedł z nimi: ›na prawo! na prawo!‹ wołał a wyprzedziwszy ich, otworzył drzwi do alkierza, potem dopomagał im w ustawianiu kufra, a kiedy niosący go byli w izbie, zamknął drzwi i zaraz parobcy i jeden z gajowych wyszli do sieni, a pozostał tylko ten co był już przed chwilą. Przystąpił on do stołu, przy którym siedziałem, nalał szklankę wina, a kiedy ją niósł do ust, na serdecznym palcu jego ujrzałem sygnet z krwawnikiem; patrzałem też ciekawie na niego, ale on nie zważając wcale na mnie, wypił wino i zaraz opuścił izbę.

›Wszystko com widział, nie zrozumiałem dla mnie było; to też siedziałem zamyślony, kiedy wszedł pan Osiecki. Spiesznie otworzył on szafkę w murze będącą, wyjął z niej dwie świece w lichtarzach, wniósł je do alkierza; potem

butelkę i szklanki ustawił na tacy, i zaniósł jak świece; nareszcie przyszedł do mnie, i ściskając mi rękę, przepraszał, że mi kompanii nie dotrzymuje, niczem wszakże nie usprawiedliwiając; a ja go prosiłem, żeby ze mną ceremonii nie robił i wracał do swojej czynności. Oczekiwał on widno tego wezwania, bo wrócił zaraz do alkierza, a dla mnie widocznem było, że obecność moja jest mu zawadą; postanowiłem też zaraz jechać, bijąc się z myślami czemby to usprawiedliwić, kiedy znowu nadszedł pan Osiecki. Tą razą jakiś swobodniejszy, nalał wypróżnione szklanki, przepił do mnie i pytał, jak długo myślę zabawić w Dubnie?

›— Przynajmniej do niedzieli‹ — odrzekłem, ›bo mam szkapy pokupić i sprawunki do domu porobić.

›— Nie wiem, czy się to Waszmości uda!‹ odrzekł i nie patrząc na mnie, kręcił wypróżnioną lampkę.

›— I dla czegóżby się udać nie miało?‹ odparłem zdziwiony.

›— O! dla czego? dla czego?...‹ mówił wahając się, ›bo nie wiemy częstokroć co nam w poprzek drogi stanie.‹ Tu przestał, badawczy wzrok wlepił we mnie, a potem ujął mi rękę:

›— Panie bracie! — rzekł — znane mi zacne sentymenta Waszmości i gotowość do usług krajowi, nim ci zwierzę coś ważniejszego, zrobię ci jedno pytanie, czy znasz dobrze pana podczaszego koronnego?*).

*) Szczęsny Czacki znany z patrjotyzmu i wielkiej pobożności; był on pierwszy z Dygnitarzy, którego porwano na Sybir; obraz przedstawiający ten gwałt w kościele dopełniony, jest w jednej z cerkiew na Wołyniu.

›— Bardzo dobrze — odrzekłem — przecież moje Iwanicze leżą o dwie mile od Porycka; bywam więc tam często i mogę śmiało powiedzieć, że mnie JW. podczaszy szczególnemi zaszczyca względami.

› — No, kiedy tak — mówił pan Osiecki — to Wasindziej jesteś ten właśnie którego nam potrzeba; proszę z sobą — i wskazał mi na drzwi do alkierza.

›Na to solenne wezwanie, zerwałem się z siedzenia, i postąpiłem ku drzwiom; a kiedy je rozwarł pan Osiecki, stanąłem podziwieniem zdjęty, bo w alkierzu, na łóżku gospodarza, siedział ksiądz biskup Kamieniecki, w jakąś ferezję ubrany. Popatrzył on na mnie z tym wyrazem powagi jemu tylko właściwej, i od ust ręką witając mnie: **)

›— Mości Łowczy — rzekł — wszak to nie pierwszy raz widzimy się, w czasie koronacji Matki Boskiej w Berdyczowie miałem przyjemność poznać Waszmości; przypominasz że to sobie panie Łowczy?

›— Zanadto to dla mnie zaszczytne — odrzekłem nizko kłaniając się — żeby mi miało wyjść z pamięci; pozwól Wasza Excelencja ucałować rękę swoją — a kiedy mi ją podał, z uniesieniem do ust ją poniosłem, a on po chwili:

›— Cóż mówisz Mości Łowczy? — pytał — o tym dziwnym sposobie podróżowania? — i wskazał na kufer otwarty i pusty.

›— Boleję ja, przewielebny pasterzu — odrzekłem — że widzę Waszą Excelencją na tyle trudów i niebezpieczeństw narażoną.

**) Historyczne, Rulhière.

›— No! kiedy tak! to ulżyjże mi tych trudów Mości Łowczy — mówił z dobrocią i wyciągnął do mnie rękę, którą znowu ucałowałem.

›— Gdyby mi przyszło i głową nałożyć — odrzekłem — wypełnię wszystko co mi Wasza Excelencja zlecisz.

›Potem biskup, kontent widno z gotowości mojej, powiedział mi, że ma potrzebę zniesienia się z panem podczaszym koronnym; dał mi list do niego, a ja wziąwszy błogosławieństwo czcigodnego biskupa, poszedłem na spoczynek.

Rano jeszcze ciemno było, kiedy mnie zbudził czujny gospodarz; przyniesiono polewkę, a kiedym ją spijał, wszedł ów gajowy z sygnetem i stanął u drzwi; a na jego widok powstał spiesznie pan Osiecki, podał mu rękę i prowadząc go do mnie rzekł:

›— Przedstawiam Waszmości pana Kulczyckiego, poufnego dworzanina księdza biskupa — a potem wskazując na mnie: A to jest pan łowczy Iwanicki, dawny znajomy Jego Excelencji.‹ Tym sposobem nie obcym był nam obu stosunek nasz do biskupa.

›Zasiedliśmy we trzech już do polewki, opowiadałem panu Kulczyckiemu podziwienie moje, kiedym ujrzał sygnet na palcu jego, a on uśmiechając się odrzekł mi:

›— Różne ja przybieram postacie, bo tego bezpieczeństwo księdza biskupa wymaga... a nie raz było tak już krucho z nami, że widoczną widzę opiekę Boską nad czcigodnym pasterzem, żeśmy dotąd nie popadli w biedę; ale czy długo tak się udawać będzie nie wiem! — i zamilkł zadumany.

›— W Bogu nadzieja! — zawołał wesoło gospodarz — a Wasindziejowi, rzekł do mnie, czas w drogę.

›Pożegnałem zaraz czule obydwóch, i już nie do Dubna, ale ku domowi ruszyłem.‹

— Widzisz tedy Wasindziej — mówił pan Zarzycki — że kiedy pan łowczy spotkał księdza biskupa w kufrze, ja znowu przysiągłbym, że ów Prusak to był on, cóż więc dziwnego, gdyby teraz pokazał się w postaci zakonnika?

— Zapewne — odrzekł — że to mogłoby mieć miejsce, gdybyś Wasindziej nie był widział listu księdza biskupa z Głogowej pisanego, gdzie był przypisek i dla Waszmości, a pismo to tak niedawne, że chybaby na skrzydłach tu doleciało.

— Prawda, święta prawda! — mówił przekonany porucznik — na poczciwość zgłupieć człowiekowi przyjdzie w tej całej sprawie.

Kiedy domawiał tych słów, wszedł ks. Hilarion, i oznajmił, że królewiczowa chce wyjeżdżać; pospieszył też pan Kierski do podszopia, gdzie stała karyolka, a pan Zarzycki w sieni oczekiwał żeby spełnić obowiązki hajduka..

Po jakiej godzinie karyolka zatrzymała się znowu przed tylnem wyjściem z ogrodu, i dama zakwefiona z księdzem Hilarjonem zniknęli po za furtką.

Na drugi dzień przy obiedzie królewiczowa znalazłszy się chwilę sama z panem Zarzyckim:

— Dziękuję bardzo za usługę mi oddaną — wyrzekła, i więcej mowy o tej tajemniczej wycieczce nie było, chociaż się to kilka razy powtarzało.

Od kilku dni nie ponawiały się wycieczki do futoru pana Jelca, X. Hilarjon częściej grywał w marjasza, a królewiczowa, po usłudze jej oddanej przez pana Zarzyckiego, tem milej go przyjmowała i wyraźnie szukała towarzystwa jego, co wielce cieszyło poczciwego porucznika, bo lubił bardzo opowiadać przygody, których był świadkiem.

Wspomniałem wyżej, że zwykle spędzano wieczory w bawialni, a obok był nieduży pokój, w nim ściany do sufitu szafami okryte, które mieściły zapewne książki, choć te zakrywała przed oczyma patrzących zasłona materjalna, po za siatką drucianą zawieszona. Prócz stołu orzechowego i dwóch krzeseł złoconą skórą obitych, nie było tam innego sprzętu, był to bowiem pokój przechodni, przeto wieczorami nie zapalano w nim światła.

Świeżo zaszłe wypadki w kraju wyświecały różne postacie; bo ludzie wtenczas mieli wiele fantazji, nie byli nastrojeni jak kółka jednej maszyny, i różnili się między sobą częstokroć dziwną oryginalnością, naturalną cechą każdego wybitnego charakteru. W rozmowie tedy jaka się toczyła w bawialnym pokoju, zaczęto naprzód od czynów wysokiej zasługi, potem stopniowo przeszli mówiący do wybryków fantazji, i tak spuszczając zeszli do najniższej warstwy społeczeństwa, a poświęcenie, ta wybitna zaleta kozaków Ukraińskich, była przedmiotem ich rozmowy.

Obie panie opowiadały z upodobaniem wypadki, gdzie taki kozak dworski w najtrudniejszem nieraz położeniu, z właściwym sprytem umiał załatwiać dane mu zlecania, a gdzie nie pomogła odwaga i przytomność umysłu to wybiegiem je zastąpił.

Pan Zarzycki nie pozostał w tyle, miał on bowiem w pamięci znaczny zapas różnego rodzaju podobnych wydarzeń, bo ostatnie wypadki i usiłowania konfederatów szerokiem były do nich polem, a te obcy nawet pisarze, niezbyt częstokroć pochopni do oddania sprawiedliwości Polakom, bohaterskiemi zowią *).

— Nie wiem czy znana łaskawym paniom — mówił porucznik — jedna z najenergiczniejszych postaci w konfederacji, jaką był niejaki Szyc. Z rodziny górników w Karpatach zamieszkałej pochodzący, po różnych kolejach osiadł on na stepie; tam zapoznał się na polowaniu ze starościcami Wareckiemi i dusznie przywiązał się do pana Kazimierza, a że podzielał jego opinie polityczne, naturalnie więc, że przystąpił do konfederacji. Siedząc na niezmiernym odłogu, zdala od ludzi, w ustroniu okopem obwiedzionem, mógł bez obawy na rok blizko przed wybuchem konfederacji zajmować się formowaniem oddziału, który kiedy go przyprowadził do Baru, był podziwem dla nas wszystkich.

»Byli tam wprawdzie ludzie różnych nacji, bo i Wołochy i Tatary, i Węgry, i cyganów kilku; przeważał jednak element kozacki. Wielu z pomiędzy nich było pewnie w niezgodzie ze sprawiedliwością, może na sumieniu niejednego i zbrodnia zaciężyła, ale każdy gotów na wszystko, lekceważący życie, szalonej odwagi i powierzchowności strach obudzającej.

»Ubrani porządnie, uzbrojeni w krótkie karabinki z szerokim bagnetem, w jatagany i toporki, wyglądali oni pra-

*) Rulhière.

wdziwie po żołniersku. Powierzchowność ich mimowolnie zwracała uwagę, bo na ich ogorzałych twarzach malował się wybitnie wyraz zuchwałej odwagi i srogości.

›Trzeba było istotnych zalet żeby dowodzić takimi ludźmi i wzbudzić w nich poszanowanie i uczucie posłuszeństwa. Te wszystkie przymioty posiadał pan Szyc; średniego wzrostu, barczysty, niesłychanej siły i odwagi, nie miał sobie równego w całym zastępie. Nie różnił on się strojem od swoich podkomendnych, tylko miasto płomienistej kitki, miał białą z czerwonem, w miejscu jatagana szeroki bułat perski, którym klamki ucinał, a przez ramię przewieszony gardłacz, w której garść półkulczów właziło.

›Długo by było mówić, co on z tą swoją piekielną kohortą, jak ją przezwano, dokazywał, co szczęśliwych wypraw dokonał, ile razy zeszedł spiącego albo niebacznego nieprzyjaciela; a w każdym prawie takim wypadku szczególną mu był pomocą młody cygan, imieniem Saga, który od kilku lat był przy nim, i w futorze, a raczej w okopie pana Szyca psów doglądał. Ile razy chodziło o wywiedzenie się o ruchach nieprzyjaciela, o zbadanie miejscowości którą atakować miano, wysyłano Sagę, a ten zawsze dobrze poinformowany wracał.

›Był on niesłychanie zwinny i zręczny, przeskakiwał zawady dla innych niepodobne, na najwyższe drzewo, na mur gładki, byle się było o co uchwycić, lazł jak wiewiórka, nie było też przeszkody któraby go zatrzymała, a tej zręczności winien był nieraz ocalenie swoje.

›Miał on towarzysza swoich wycieczek, a tym był nie duży koń stepowy, którego od źrebięcia wychował, a ten

tak go rozumiał, że na głos jego przypadał, i jemu tylko dawał się okiełznać i dosiąść. Dobrze karmiony od najmłodszych lat, był on nadzwyczaj silny, twardo chowany, nie znał nawet stajni, ale zimą i latem step goły, na którym się pasał; ale za to o południu i wieczorem przybiegał na głos Sagi, i wtenczas chleb z wódką wymięszany dostawał od swego pana; a że biegał okrutnie, zwrotny był niesłychanie, dla tego w okopie jeszcze Wijunem go przezwano, i tak znał nazwisko swoje, że się odzywał jak je wymówił Saga.

›Cygan tak był nawykł do życia ruchliwego, pełnego przygód i niebezpieczeństw, że spoczynek był mu nieznośny; to też jeżeli nie był na wyprawie z rozkazu swego pana, to z własnej ochoty uwijał się po okolicy na swoim koniku, i często przywoził bardzo użyteczne wiadomości. Jednego dnia znikł gdzieś i Saga i Wijun, na wieczór nie wrócił, toż samo i drugiego dnia, i już niespokojni wszyscy byli o niego, kiedy trzeciego dnia ujrzano go w obozie. Zaczęto wypytywać gdzie bywał i co porabiał, ale on zbywał pytających i dążył do namiotu pana Szyca.

›Zastał tam pana Kazimierza, i obudwom opowiadał, że był po za obozem moskiewskim i tam napotkał cyganów, którzy mu powiedzieli, że we wsi na uboczu leżący jest duży pałac, zajęty przez Moskali; na górze umieszczono tam rannych i starszyznę, na dole rozłożyły się dwie kompanje piechoty, w lochach zaś pałacu chowają rzeczy porabowane we dworach i kościołach.

›Usłyszawszy to, z pomocą znajomego cygana dostał się on do wsi, potem do pałacu, i tam sztukami, graniem na

drumli i wróżeniem ujął sobie sołdatów, którzy uradowani z tej zabawy, częstowali go wódką, a przy tej sposobności Saga, który już sobie plan układał, mówił im że mógłby dostać baryłkę starki, gdyby go zapewnili, że ją kupią; i stanęła umowa, że wieczorem drugiego dnia przybędzie z zapowiedzianą wódką.

›Wysłuchawszy całego opowiadania Sagi, ułożył pan Szyc z panem Kazimierzem plan napadu na ów pałac przez Moskali zajmowany; i zapewne w skutek takowego przed zachodem słońca wyjechał z obozu wózek jednym uprzężony koniem, którego poganiał cygan znajomy Sagi, a on na swoim Wijunie jechał obok; a kiedy się zaciemniało, wyruszyli strzelcy pana Szyca, a nieco później pan Kazimierz we dwieście koni.

›Już była noc, kiedy Saga z towarzyszem swoim dojechali do miejsca przeznaczenia, po za ogrodem w gęstwinie ukryli beczułkę ze starką, do której wsypali jakiś proszek, potem Saga rozkiełznał Wijuna, uderzył go uzdeczką, a koń skoczył z miejsca i o kilkadziesiąt kroków paść się zaczął.

›Towarzysz Sagi pozostał w zaroślach, a Saga jak kot przesadził parkan ogrodu i dążył do pałacu. Przybycie jego powitali Moskale radośnym okrzykiem, bo zaraz na wstępie doniósł im, że starkę przywozi; czekali tedy, aż oficerowie na górze stojący zasiędą do wieczerzy, a potem do kart, a kiedy pewni byli że nikt im uciechy nie przerwie, czterech z nich poszło z Sagą po antałek. Po chwili przynieśli go, obstąpili dokoła, i poczęła się pijatyka, gwarna rozmowa, potem spiewy i tańce; a choć ten hałas dochodził do

uszu oficerów na górze będących, nic na to nie mówili, radzi że *rabiata* weselą się.

›Wśród spiewów, złorzeczeń na Kondratów (jak ich nazywali), wśród przechwałek i uwielbień dla carowej, od dwóch godzin trwała już hulanka; moc wódki podniecona jeszcze wsypanym w nią proszkiem dobrze już działała, to też niektórzy już leżeli, u reszty zaś rozognione twarze, błędne spojrzenie i krok chwiejący oczywistym były dowodem, że wkrótce legną obok towarzyszy swoich; a tę całą bachanalją oświecał suty ogień z dużego komina.

›Kiedy tak piją, Saga stanął przy otwartem nieco oknie, spoglądał w ogród, i widział jakieś cienie podsuwające się ku pałacowi.

›Po chwili usłyszał przytłumione psykanie, wychylił się:

›— A co chłopcze! czy czas? — spytał go ktoś półgłosem.

›— Czas, bat'ku, czas — odrzekł skwapliwie, bo poznał głos pana Szyca, i zaraz rozwarł okno na oścież i odstąpił na bok, a w tej chwili, ukazał się w oknie pan Szyc, palnął z garłacza, kilku Moskali zatoczyło się wydając jęk bolesny, a na to hasło wypadły z łoskotem okna, a otworami wskakiwali konfederaci.

›Bezładna kupa sołdatów pchała się ku drzwiom, ale nim ich dopadli, pękły one ja okna, kilkanaście wystrzałów powitało ich z tyłu i rozpoczęła się rzeź straszna.

›Pan Szyc spoglądał obojętnie na to dzieło zniszczenia, kiedy Saga uchwycił go za rękę.

›— Na górę bat'ku! na górę! — wołał — tam starszyzna!

»Tu porwał zapaloną głownię z komina i ruszył przodem. Za nim z szablą w ręku biegł po schodach pan Szyc i kilkunastu strzelców.

»Wszystko to w jednej chwili się stało, tak że oficerówie zaledwie usłyszeli hasło i za broń chwytać poczęli, kiedy do pokoju wpadł pan Szyc ze swymi:

»— *Kryczy pardon!* — zawołał na nich, a ci nie widząc nadziei ocalenia:

»— Pardon! — zawołali i rzucili broń na ziemię.

»Saga uchwycił z ziemi dwa pistolety, wetknął je za pas, potem jednym susem stanął na oknie, wybił je nogą i z gzymsu skoczył na rynwę, z niej na dach, a kiedy stanął na szczycie, wypalił dwa razy, a na ten huk we wsi usłyszał turkot kół i tentent pędzących koni.

»Tymczasem pan Szyc zbliżył się do oficera najbliżej stojącego, i patrząc groźno na niego:

— Gdzie są rzeczy przez was zrabowane? — zapytał.

»Moskal czy zalękniony, czy niechcąc wydać składu kosztowności odrzekł: że nie wie.

»— Nie wiesz?! — krzyknął — to ja dopomogę twojej pamięci.

»Podniósł rękę szablą uzbrojoną do góry, uderzył go rękojeścią w głowę i zaraz mózg bryznął na ścianę, a Moskal upadł bez ducha.

»Ani spojrzał na zabitego pan Szyc, i postępując do drugiego:

»— Czy i ty nie wiesz także? — mówił podnosząc rękę.

»— Wiem i poprowadzę was — odrzekł zbladły.

»— Ruszaj naprzód! — zawołał, i poprzedzony przez Moskala, schodził do lochów zamkowych.

»Jak to już doniósł Saga, było tam dużo sreber, i stołowych i kościelnych, różne kosztowności po dworach zrabowane, jak pasy, makaty, suknie bogate, z kosztownemi guzami i zapinkami, broń cenna, słowem całą zamożność wielu bogatych domów w tym lochu zgromadzili rabusie.

»Na rozkaz pana Szyca, wynosili strzelcy wszystko do sieni i owijali czem mogli, a kiedy zajęci byli tą robotą, nadjechało kilka fur i pięćdziesiąt konfederatów konno. Czekali oni we wsi sygnału Sagi, że pałac już opanowany, a kiedy go usłyszeli, ruszyli z furami które ze wsi wzięli.

»Pan Szyc rozmawiał z oficerami dowodzącymi oddziałem konnym, a strzelcy jego ładowali wozy; a kiedy już wypróżniono lochy, ruszyły one w prawo pod konwojem 40tu konnych, a pozostałych dziesięciu sprowadziło znowu inne wozy; na te kładziono co było pod ręką, połamane sprzęty, potłuczone albo proste naczynia, słowem rzeczy do żadnego użytku nie będące, a kładli je z wielką ostrożnością, niby coś kosztownego, i zalecali uwagę na nie chłopom co je wieźć mieli, potem fury ruszyły w lewo, a dziesięciu konfederatów, odebrawszy instrukcje pana Szyca, poszło wraz z niemi.

»Jak tylko odjechały fury, Saga uradowany z pospiechem przyszedł do pana Szyca:

»— No bat'ku! — zawołał — już jednych czort wziął, drugich wam przyprowadzę na uciechę.

»— Idź synu — mówił pan Szyc — niech cię Bóg prowadzi i strzeże — i po twarzy poklepał Cygana, a ten uca-

łował jego rękę, potem poskoczył ku ogrodowi, świstnął przeraźliwie i zaraz nadbiegł towarzysz Sagi na koniu co wiózł wózek z wódką, a obok niego był Wijun.

›Pan Szyc przystąpił do nowo przybyłego.

›— Słuchaj! — rzekł — rób co ci Saga każe, a będziesz miał sowitą nagrodę; a jakbyś zdradził, to ja cię znajdę choćbyś był pod ziemią i żywcem upiec każę; ty wiesz, że ja dotrzymam co obiecuję.

›Wystraszony Cygan przysięgał, że wiernie spełni co Saga poleci, i zaraz oba dosiadłszy koni, ruszyli drogą ku obozowi moskiewskiemu wiodącą.

›Kiedy ustała bitwa w pałacu, cała wieś zaległa dziedziniec; jedni upominali się o sprzęty, albo o dobytek, który im Moskale pozabierali, a większa część ciekawością zdjęta, przybyła przypatrzeć się nowemu dla nich widowisku.

›Pan Szyc kazał zaraz kobietom i dzieciom rozejść się, chłopów zaś zebrał w pałacu, pozwolił im odzierać zabitych, i chcąc niby obchodzić zwycięztwo odniesione, rozłożono ognie we wszystkich kominach, co było światła i we dworze i w cerkwi poustawiano zapalone na oknach, potem wtoczono kufę z wódką, strzelcy napili się w miarę, resztę oddał pan Szyc chłopom, przykazując im, żeby pijąc spiewali i wykrzykiwali, i jak najwięcej hałasu robili, a jak usłyszą strzały, żeby przez ogród uciekali na wieś.

›Dawszy to zlecenie, opuścił ze swemi pałac, przeszedł dziedziniec, po za którym po obu stronach drogi były dwie stajnie gościnne; połowa oddziału jego zajęła je, wyjęto po jednym dylu w przesłach, i zaraz oba budynki w całej długości najeżyły się bagnetami, druga zaś połowa na równe

części podzielona, stanęła w linji po obu rogach budynków i ci się pokładli na ziemi.

›Kiedy te przygotowania porobiono, pan Szyc obejrzał się za się, i widział że cały pałac jaśniał światłem, a przez otwarte okna spiewy i śmiechy rozlegały się po rosie.

›Odległość między pałacem a obozem moskiewskim była tak mała, że na dobrym koniu w kilkunastu minutach przebyć ją można było, a w połowie jej był lasek, przez który droga przechodziła.

›Do tego lasku dojeżdżał Saga, kiedy wołanie ›kto jedzie!‹ odbiło się o uszy jego.

›— Saga! Saga! — krzyknął skwapliwie Cygan, a w tej chwili wypadł jakiś konny z krzaków, a zrównawszy się z placówką:

›— To ty chłopcze — zawołał! — co tam nowego? gadaj.

›Cygan, który po głosie poznał pana Kazimierza:

›— *Wsio dobre!* — Jaśnie Wielmożny Panie — odrzekł z radością — Moskwę w pień wycięli, co zrabowali odebrali, a ja sprowadzę nowych jak Bóg dopomoże.

›— Zuch z ciebie! — zawołał pan Kazimierz — jak staniem w obozie przyjdź do mnie.

›Cygan pewny sowitej nagrody, ucałował rękę pana Kazimierza, i ruszył spiesznie.

›Jakkolwiek napad był raptowny i niespodziany, jakkolwiek zdało się że wszystko poległo co było w pałacu, niemniej kilku żołnierzy, co się włóczyło po wsi, zdołało umknąć, i spieszyło ku obozowi, ale z ostrożnością obchodząc wiele miejsc, z obawy spotkania konfederatów, to też kiedy się

dostali do swoich, w pałacu już było po wszystkiem, i Moskale wykłuci a grabież odebrana.

»Wyszli oni na samym początku napadu, nie mogli też nic powiedzieć o rezultacie, a ta wieść wielkie zrobiła zamięszanie w obozie. Wszystko stanęło pod broń; silny oddział piechoty i konnicy ruszył na pomoc zaatakowanym, i zaledwie uszli byli połowę drogi do lasku, po za którym stał pan Kazimierz ze swoim oddziałem, kiedy na szpicę ich najechał Saga z towarzyszem swoim.

»Zaprowadzono go zaraz do dowódzcy, a ten pytał ich co są za jedni i gdzie jadą.

»— Jesteśmy biedne Cygany — mówił Saga — i uciekamy przed kondratami, którzy napadli na pałac, ot tam — i wskazał ręką za siebie.

»— Byłżeś przytem? — pytał dowódzca.

»— Oj! byłem — odrzekł żałośnie Saga — widziałem jak jedni drzwiami, oknami wpadali do pałacu, a drudzy z lochów coś wynosili, na wozy kładli i ujechali z niemi.

»Ta część opowiadania najbardziej zainteresowała starszyznę obu oddziałów, bo mniejsza o to że sołdaty zginą, Carowa ma ich bez liku, ale srebra, kosztowności! Na tę stratę zabolało moskiewskie serce; to też nie pytając o los towarzyszy:

»— W którą pojechali stronę? — pytał skwapliwie dowódzca konnicy.

»— Ot! w tę — odrzekł Saga, wskazując ręką w kierunku, gdzie poszły wozy z gratami.

»— A dużo ich przy wozach? — pytał rotmistrz.

»— Z piętnastu, nie więcej — odpowiedział Saga.

»Na tę wieść rotmistrz odwrócił się do majora, co piechotą dowodził.

»— Moja rada taka — rzekł — ja na koniach dworu atakować nie będę; niech pan major idzie ze swymi naprzód, a ja może dopędzę powózki, a jednego z tych cyganów wezmę za przewodnika.

»Major niekontent, że rotmistrzowi przypada w podziale łatwa i korzystna wyprawa, a jemu niebezpieczna bez możności obłowienia się, chwilę się z nim certował, ale kiedy ten mu zarzucił, że przecież z piechotą nie dosięgnie dobrze uprzężonych wozów, zgodził się na tę propozycję rotmistrza, a ten wskazał na Sagę, żeby z nim jechał.

»— Niech mój towarzysz pana prowadzi — odrzekł — on lepiej odemnie zna te strony, bo ja niedawno do tej bandy nastałem.

»Ofuknął rotmistrz mówiącego, ale major niekontent z całego obrotu wyprawy, poparł zdanie Sagi, a rotmistrz rad nie rad musiał pójść za wolą starszego, i pospieszył z przewodnikiem swoim w pogoń za wozami.

»Po ich odejściu ruszyła kolumna piechoty, a na czele jej obok majora, jechał Saga, i rozpowiadał mu o napadzie i sile konfederatów.

»Niedługo weszli w lasek, po za którym stał pan Kazimierz ze swoją komendą. Saga oglądał się, czy co nie zdradzi obecności konfederatów, ale cichość była zupełna; spokojnie przeszli zarośla, potem na małem wzgórzu, na które wjechali, major zatrzymał konia, a uderzony blaskiem światła co biło z okien pałacu:

»— Co to takiego? — zapytał cygana.

›Ten chwilę słuchał:

›— Zdobyli widno pałac — odrzekł — a teraz hulają.

›— Hulają! — zawołał Moskal — ha! *sukinsyny!* — zaklął — dam ja wam!

›I posuwała się zwolna cała kolumna, wysłuchując spiewów i krzyków, co dochodziły do nich. Saga który posiadał i kocią zręczność i kocie oczy, pierwszy dojrzał wśród ciemności czerniejące się budowle, gdzie zasiedli konfederaci; to też zebrał cugle, a zmyślny Wijun zrozumiał widno o co chodzi, bo szedł stępo, przysiadając na zadzie, a kiedy Saga zmiarkował, że są już na strzał od budynków, oddał koniowi cugle, pokręcił go za ucho, a ten skoczył jak oparzony, w kilku susach pominął budynki, i zaraz komenda: ›Ognia!‹ rozległa się, i grad kul powitał Moskali, a w tej chwili pogasły światła w pałacu i ustały spiewy i krzyki.

›Ale major i oddział jego cały byli to starzy żołnierze, to też stanęli i odstrzelili się, a kule ich zaklekotały tylko po ścianach budynku. Major widząc nieskuteczność strzałów chciał się cofać, żeby albo wywabić w pole nieprzyjaciela, albo obejść budynki które zajmował, kiedy leżący na ziemi podnieśli się raptownie, dali ognia i bagnetami uderzyli w kolumnę moskiewską.

›Pomimo to niespodziane natarcie bronili się dzielnie Moskale i odstrzeliwając się dążyli ku lasowi, i już byli nie daleko niego, kiedy tentent pędzących koni i znany im dobrze okrzyk konfederacki rozległ się z tyłu.

›Nie ma tak bitnego żołnierza, któryby napadnięty z dwóch stron nie poszedł w rozsypkę; to też zaraz złamały się szeregi moskiewskie, a czego nie zagarnęła konnica pana Kazimierza, albo nie skłuli strzelcy, to rozpierzchło się po polu.

›W tej chwili dzień się robić zaczął i oświecił pobojowisko. Koło stosów trupów stali strzelcy pana Szyca i obcierali zakrwawione bagnety, konnica uganiała po polu za uciekającymi, ode wsi biegli ludzie ciekawością zdjęci, a na boku stał pan Kazimierz w towarzystwie pana Szyca i oficerów obu oddziałów. Przywołano Sagę, nie szczędzono mu pochwał i obietnic nagrody; konfederaci czując że jego zabiegom zawdzięczyć mogą odniesione zwycięztwo, okrzyki wydawali na cześć jego i odtąd Saga urósł w opinji całego wojska i wielce był ceniony przez dowódzców. Po tej potyczce wracali konfederaci do swoich, znalazł się i towarzysz Sagi uradowany z tej wyprawy, bo od rotmistrza, którego naprowadził na wozy z mniemanemi kosztownościami dostał dziesięć karbowańców w nagrodę.‹

— To jest jeden z licznych wypadków — mówił porucznik — w których Saga istotne oddał posługi konfederatom; wyrobiło się też w nim jakieś uczucie godności osobistej, porzucił strój cygański, który przywdziewał tylko w potrzebie, i sam widziałem go walczącego w szeregach piekielnej kohorty. Mam w Bogu nadzieję — dodał — że jeżeli wrócą kiedyś nasi wychodźcy wołoscy, to i Saga się pokaże.

Tu skończył pan Zarzycki opowiadanie swoje i przepraszał obie panie że znużył je może tą długą narracją; ale obiedwie upewniły go o zajęciu jakie w nich wzbudziło, i królewiczowa wypytywała go jeszcze, kiedy szelest w bibljotece zwrócił ich uwagę.

Ucichła rozmowa, szelest się powtórzył, a przelękłe kobiety tuląc się jedna do drugiej:

— Panie poruczniku! — wołały drżącym od przestrachu głosem — słyszysz pan!

— Słyszę odrzekł zdziwiony — i zaraz się przekonam co to jest.

Tu powstał, wyciągnął z kieszeni dubeltową krucicę, odwiódł kurki, i biorąc jeden z świeczników ruszył do bibljoteki, a wzrok wylękłych kobiet szedł w ślad za nim. Zaledwie próg przestąpił i świecę podniósł do góry, zawołał:

— Wielki Boże!

I słychać było że podszedł kilka kroków, a potem spiesznie wrócił do bawialnego pokoju.

— Cóż to takiego? — pytały obie siostry.

— Jakiś zakonnik — odrzekł — stoi w bibljotece.

— W bibljotece? — pytała pani starościna — i jakimże sposobem?

— Jakim sposobem, tego nie wiem, ale że widok jego wielką sprawi radość obu paniom, za to ręczę.

Na to zapewnienie powstały one, pan Zarzycki podał im świecę, i odprowadził na próg bibljoteki, który zaledwie przestąpiły, zamknął drzwi za niemi, potem spuścił kurki krucicy, schował ją i zamyślony stał koło komina.

Po niejakim czasie uchyliły się drzwi i pani starościna wychylając głowę:

— Pana Kierskiego prosimy! — zawołała i drzwi zamknęła.

Poskoczył porucznik do kredensu, jeden z hajduków pobiegł spełnić to zlecenie, i niebawem wszedł pan Kierski, a porucznik ujął go za rękę.

— Mosanie rządzco! Xiądz biskup jest w bibljotece. O! już mnie tym razem nie zdurzysz Wasindziej podobieństwem z jakimeś tam prowincjałem, bom go widział i rękę jego ucałowałem — a potem wskazując na drzwi biblioteki, dodał:

— Ale tam oczekują Wasindzieja, spiesz się.

Pan Kierski słowa nie wyrzekłszy, odszedł, a porucznik stał zamyślony.

Od tej chwili wszystko się zmieniło w Dunajowcach.

Pan Kierski serdecznie przeprosił porucznika, że robił przed nim sekret z bytności biskupa, ale się tłumaczył wyraźnym jego rozkazem; nie taił przed nim, że ważne jakieś gotują się rzeczy, wzywał też jego pomocy do spełnienia zleceń biskupa.

Chętnie na to przystał porucznik, i zaraz pan Kierski nietylko nic nie sprzedawał z krestencji Dunajowieckiej, ale jeszcze zakupywał zboże w okolicy i mielono je z pospiechem; prócz miejscowych sprowadzano stada wołów i baranów, i znaczny zapas wódki, i składano te prowizje we wsiach w blizkości Dniestru położonych.

Wiele dworów odwiedził porucznik z panem Kierskim z tytułu zakupna, a wszędzie widzieli oni czynność wielką i przygotowania, chociaż nikt nie wiedział, kiedy zużytkowane będą.

Rozmaici ludzie jacyś przybywali do Dunajowiec z listami, a i gości odwiedzających obie panie nie brakło; bo przyjeżdżał pan Potocki, Podczaszy Litewski, pan Bierzyński,

wielki zwolennik Domu Saskiego i zaufany starej królowej*), pan Bohusz, co potem był sekretarzem generalicji, w końcu pan Pac, starosta Ziołkowski, później marszałek jeneralny litewski.

Najdłużej gościł pan Pac, bo kilku nawrotami był w Dunajowcach. W czasie jednej takiej bytności rozmawiał on długo z panem Zarzyckim, i po wielu pochlebnych dla niego wynurzeniach oświadczył, że ma potrzebę jechać do Chocimia, i prosi go, żeby mu chciał towarzyszyć. Chętnie przystał na to nasz porucznik, i na drugi dzień z dwoma pokojowcami pana starosty i dwoma Polesiukami puścili się w drogę.

Kilko-milową przestrzeń, dzielącą ich od Chocimia, przebyli dosyć spiesznie, to też słońce wysoko jeszcze było, kiedy wjeżdżali w bramę miasta. Musiano się widno spodziewać ich przybycia, bo zaraz na wstępie jakiś czaus turecki oświadczył, że im przewodnikiem będzie, i kręcąc się po różnych zaułkach stanęli na dziedzińcu opuszczonego klasztoru.

Wązkiemi wschodami weszli na górę i znaleźli się w obszernej sali; w niej porucznik zatrzymał się, a pan Pac poprzedzony przez czausa poszedł dalej.

Nie pomału zdziwiło pana Zarzyckiego, że pomiędzy wielu oficerami janczarów i spahów, którzy tam byli, ujrzał dwóch czy trzech szlachty, poufale z nimi rozmawiających. Poznał on jednego z nich, który był z panem podczaszym litewskim w Dunajowcach, a uradowany, że przecież znaną twarz

*) Rulhière.

napotyka, przywitał się z nim serdecznie, a ten obracając się do stojącego obok jegomości:

— Muszę panów zapoznać — rzekł — to jest pan Kulczycki, dworzanin x. biskupa kamienieckiego.

Pan Zarzycki skwapliwie odrzekł:

— Znane mi dobrze nazwisko pańskie.

— Przez kogo? — pytał Kulczycki.

— Przez pana łowczego Iwanickiego, który pana spotkał w Szlachowej.

— Aha! — zawołał uśmiechając się — to zapewne i okoliczności towarzyszące temu poznaniu znane panu także?...

— Cóż robić — dodał — *necessitas frangit legem* — i podał rękę panu Zarzyckiemu.

W trakcie rozmowy porucznik nie mógł ukryć podziwienia swego z tej dobrej komitywy, jaka zdawała się panować pomiędzy Turkami a konfederatami; a pan Kulczycki lakonicznie mu odrzekł:

— Mój dobrodzieju, wierzaj mi, lepsza sprawa z Muzułmanem jak z syzmą! — a te kilka słów wyszłych z ust człowieka, który posiadał zaufanie głównego kierownika spraw konfederacji, nasunęły panu Zarzyckiemu myśl, że się agituje jakiś sojusz między Portą a Rzeczpospolitą.

Kiedy tak rozmyśla, rozwarły się drzwi, któremi wszedł pan Pac, i ktoś zawołał:

— Mosanie Dowoyna, prosimy! — A ów dworzanin pana podczaszego litewskiego na to wezwanie pospieszył; niedługo potem wrócił, ukłonił się w około obecnym i opuścił salę.

Po jego odejściu znowu się drzwi rozwarły, i głos zewnątrz pana Kulczyckiego zawezwał; i ten zabawiwszy chwilę wyszedł, i jak pierwszy opuścił salę.

Po dłuższym nieco przestanku pana porucznika zaproszono. Wszedł tedy, i zaledwie próg przestąpił, spotkał go pan Pac, który go przepraszał, że się poważył nim rozrządzać, ale ważny interes znaglił go do tego. Pan Zarzycki oświadczył gotowość swoją, a pan Pac prosił go o chwilę cierpliwości; miał też czas rozpatrzyć się po towarzystwie, w jakiem się ujrzał.

Duży pokój, w którym się znalazł, cały owieszony był bogatemi makatemi; pod ścianą przeciwległą wnijściu, stała sofa nizka, której dwa boki na pokój wystawały, pokryta była ona jedwabnym kobiercem równie jak część podłogi. Na sofie wsparty o poduszki siedział biskup kamieniecki, w francuzkie suknie ubrany i w peruce na głowie; patrzał on pilnie na porucznika, kiedy rozmawiał z nim pan Pac, a jak ten odszedł, ręką go powitał, a ten nizkim odpowiedział ukłonem.

Koło biskupa siedział bogato ubrany Turek (jak się potem dowiedział porucznik, był to basza Benderu), trzymał on w ręku gięty cybuch z dużym bursztynem, a u nóg jego na dywanie klęczał mały Nubijczyk, jedną ręką przytrzymywał nargilie, w którym ogień rozniecał, drugą głaskał jak śnieg białego charta ze złotą obróżką, leżącego na kobiercu.

Przed siedzącym na sofie stał człowiek po grecku ubrany, był to drogoman, który po włosku tłumaczył słowa baszy. W części sofy na pokój wystającej, zasiadł niedbale Jakób

Aga, jeden z najpierwszych przewódzców tatarskich, wielki przyjaciel Polaków; na boku stało kilku Agów i Bimbaszów i dwóch Mirzów tatarskich.

W tem gronie było także kilku Polaków, jak podkomorzy Narbutt, zażyły przyjaciel Radziwiłła, wojewody Wileńskiego, pan Wilczek, porucznik pancerny chorągwi hetmana Branickiego, i pan Bierzyński, którzy rozmawiali półgłosem z Turkami.

Na drugiej stronie pokoju, przy stoliku papierami założonym, siedział pan Bohusz i pisał listy, które młody jakiś człowiek kładł w koperty i pieczętował; przy drzwiach zaś, jak posągi, stało dwóch Polikarpów, olbrzymiego wzrostu, z pękiem piór u wysokich czapek turbanem białym obwiedzionych, z berdyszami w ręku.

Zaledwie porucznik ukończył ten przegląd, odwrócił się pan Bohusz, i podnosząc się nieco na krześle:

— Witam Waszmości panie Zarzycki! — rzekł z powagą — i proszę bliżej — a kiedy przystąpił wezwany:

— Wszak my się znamy? — zapytał.

— Miałem zaszczyt — odrzekł porucznik — być przedstawionym JWPanu w Dunajowcach.

— Pamiętam! pamiętam! — mówił pan Bohusz — i tam z ust królewiczowej słyszałem wiele pochlebnych rzeczy o Waszmości, dlatego z zaufaniem przystępuję *ad rem*.

Tu sięgnął po listy na stole leżące.

— To jest expedycja do pana starosty Kaniowskiego. Wiem że opuścił Buczacz, i gdzieś się w tych stronach znajdować musi; w Marchwy się o nim dowiedzieć można. Tę drugą expedycją trzeba spiesznie przesłać do Bałty,

a tam będzie Sandziak z Kiszeniewa, który wyprawi ją zaraz do starosty Szczyrzewskiego do Stambułu. Sposób przesłania tych listów pan Kierski obmyśli; a dla Wasindzieja mam osobne zlecenie. Jest rzeczą konieczną mieć baczne oko na to, co się dziać będzie nad brzegiem Dniestru, między Mohilewem a Uszycą; tę małą przestrzeń łatwo dopilnować, a pomocy Waszmości do tego nie braknie, bo w każdym razie x. Hilarion tem się zajmie. Tylko z jednym panem Kierskim mów Waszmość o tej wyprawie. Skoro coś będzie ważniejszego do doniesienia, proszę przesłać wiadomości do Dunajowiec, a te dojdą do rąk pana starosty Ziółkowskiego, który będzie w pobliżu. A teraz żegnam Waszmości, i polecam jego pamięci całą tę sprawę, która jest arcyważną.

Po tej rozmowie pan Pac żegnał także porucznika i proponował, żeby wziął z sobą jednego z jego pokojowców i pachołka, ale pan Zarzycki podziękował za to, i zapewnił, że sam w kilku godzinach będzie w Dunajowcach. Na drugi dzień przed świtem wyruszył w drogę. Przybywszy na miejsce zniósł się z panem Kierskim, wysłał zaraz jednego z dworzan do Bałty, drugiego do pana starosty Kaniowskiego, a sam w towarzystwie tego pokojowca królewiczowej, który z nim w warcaby grywał, wyruszył do Uszycy.

Było to przed świętami Bożego narodzenia, śnieg spadł duży, saniami tedy jechali podróżni.

Skoro stanęli w Uszycy, porucznik, który miał od x. Hilariona list do tamecznego proboszcza unickiego, u niego sobie obrał *locum standi*, a to na usilne żądanie księdza, wielkiego zwolennika konfederacji.

Porucznik wypytywał go zaraz o nowiny z Bessarabji, ale ksiądz go zapewnił, że gdyby tam zaszło coś nadzwyczajnego, on by wiedział o tem, bo ma stosunki po tamtej stronie Dniestru, teraz zaś cisza tam zupełna panuje.

Pomimo to zapewnienie, porucznik ze swym towarzyszem wyjechali na drugi dzień, i brzegami Dniestru dążyli ku Mohilewowi; żeby się obznajomić z miejscowością. Powtarzało się to przez dni kilka, a w takich przejażdżkach wstępowali do sąsiednich dworów, napotykali wszędzie wprawdzie gotowość do zbrojnego wystąpienia i przeczucie jakichieś zmian nastąpić mających, ale były to tylko domysły, pewności żadnej.

O parę mil od Uszycy, była na drodze karczma, porządniejsza nieco od innych w tamtych okolicach, bo arendarz, co w niej siedział, zapobiegliwy i obrotny, miał czem poczęstować zajeżdżających do niego; zawsze tam dostać można było miodu, dereniaku dobrego, marynaty, a ryby i bakalij wschodnich na przekąskę; alkierz ciepły mieścił zziębłych podróżnych w porze zimowej, a arendarz i żona jego tak umieli zachwalić to czem częstowali przybywających, z taką chęcią i pospiechem usługiwali im, że nikt z przejeżdżających nie minął karczmy Arona. I nasz porucznik z towarzyszem, w przejażdżkach do Mohilewa, zawsze tam wstępowali.

Jednego dnia zawieja była na dworze, wiatr wył przeraźliwie i tłukł okiennicami karczmy. Aron chodził po izbie i wyglądał, czy kto z podróżnych nie będzie szukał u niego schronienia przed zawieją, tą plagą Podola, dzieci tuliły się w pie-

rzyny, a żona Arona zajęta była wypruwaniem znaków z bielizny, którą przepili u niej jacyś Zaporozcy.

W izbie, za stołem, siedziało dwóch chłopów; ubrani w opończe z kapuzą, na głowach mieli wysokie baranie czapki pochylone na tył. Jeden z nich wcisnąwszy rękę prawą w zanadrze, mówił półgłosem do towarzysza, który małomowny, a może niemy, gestami tłómaczył to, czego usta wymówić nie mogły.

Na twarzach obu chłopów wybitnie malował się wyraz srogiej zawziętości; z pod gęstych brwi ponuro patrzały czarne ich oczy, a ogromne wąsy, brody rozczochrane i długie osełedce na ucho spadające, w harmonji były z całym ustrojem tych złowrogich postaci; na stole przed nimi stała półkwartówka z wódką, którą wolno spijali zajadając chlebem z wędzoną słoniną z torby wydobytą.

Kiedy tak siedzą, stukanie do tylnych wrót karczmy zwróciło uwagę Arona; wyszedł też, słychać było że otwierał drzwi w stajni, a po chwili wrócił nazad do izby, ale nie sam, bo obok niego szedł człowiek w krótkim kożuszku ubrany, szerokie kozackie szarawary spadały na buty, na głowie szpiczasta czapka z siwego baranka, a pod szyją spiętą miał guńkę na opaszki zawieszoną, której kaptur jaskrawemi kolorami był wyszywany i takichże kolorów potrzeby.

Płeć on miał nadzwyczaj śniadą, włosy i wąsy jak kruk czarne, wyraz oczu przenikliwy; szczupły, zwiędły, wyglądał na Wołocha, Ormjanina lub Cygana. Skoro wszedł do izby, popatrzył chwilę na obu chłopów, a potem obracając się do arendarza:

— Dajcie mi wódki, tylko co dobrego! — zawołał.

— Mam starkę — odrzekł Aron — co nią panowie nie gardzą.

— I ja nią nie pogardzę, dajcie mi lampkę.

Arendarz poszedł po wódkę, a nowo przybyły usiadł naprzeciwko dwóch chłopów, patrzał na nich pilnie, a potem zapytał:

— A z daleka ludzie?

— O! z daleka! z daleka! — odrzekł zapytany — aż z Ukrainy.

— A co tam dobrego u was słychać? — pytał znów podróżny.

— A co u nas może być dobrego? ot bieda, ta i bieda — i kiwnął ręką, a nowo przybyły pomiarkował, że chłop unika rozmowy, zamilkł też, a kiedy arendarz przyniósł starkę, którą wypił duszkiem:

— Coś zawieja nie ustaje — mówił — noc będzie niebawem, koń mój bardzo zmęczony. Ot może i przenocować u was wypadnie.

— No! dobrze — odrzekł Aron — możecie z nami w alkierzu przespać się — i spojrzał podejrzliwie na obu chłopów.

— Zgoda na to; żeby zaś czas zabić, sprażcie nam krupniczku, to i te ludziska może się napiją — i popatrzył na chłopów, a ci zmiarkowali widno, że z kimś zamożniejszym mają do czynienia, to też jeden odrzekł:

— A to dobrze, kiedy łaska wasza — a drugi potakiwał kiwając głową.

— Tylkoż miodu nie żałujcie arendarzu — dodał nowo przybyły, a ten zapewnił, że trunek będzie doskonały, i pospieszył do żony, żeby się zajęła przyrządzeniem.

Po jego odejściu nowo przybyły zdjął z siebie opończę, rozpiął pętlice kożuszka, a chłopi ujrzeli szeroki kindżał, za pas z palonej skóry wetknięty.

Nie długo żona arendarza wniosła niecierpliwie oczekiwany trunek, nalał nim nowo przybyły lampki, i podnosząc swoją do góry:

— *Szczoby łycha ne znaty!* — zawołał i wypił, a chłopi poszli za jego przykładem.

Po drugim, trzecim kieliszku wszczęła się rozmowa.

— A z jakich wy stron Ukrainy? — pytał częstujący — bo ja tam znam wiele miejsc.

— My z Koszowaty, mój panoczku — odrzekł chłop.

— A ha! to niedaleko Bohusławia, Taraszczan; oj! znam ja tamte strony dobrze, bo ja z nich rodem.

— To wy także z naszej Ukrainy? — pytał uradowany chłop.

— A z Ukrainy — mówił podróżny — tylko mnie dzieckiem ztamtąd wzięli; długom był na pańskim dworze, a teraz włóczę się światami, bo wołami handluję.

— Oj, to lepsze jak panom służyć — odrzekł chłop.

— Ta pewna — mówił podróżny — bo pany biedy narobili w naszej Ukrainie.

— Pany by rady nie dały, żeby im Moskal był nie pomógł.

— Słyszał ja o tem — mówił podróżny — alem nigdy nie spotkał takiego co to widział; rozpowiedz mi jak to było.

Zapytany spojrzał na swego towarzysza, ten głową dał znak potakujący, nalano szklanki, a Ukrainiec zaczął:

— Wszystko było u nas cicho, spokojnie, jak u Boga za drzwiami, kiedy naraz przyszły jakieś Monachy z za Dniepru i zaczęły gadać ludziom, że Lachy chcą wywrócić cerkiew świętą, wypędzić popów, naprowadzić Wezuwitów na Ukrainę, a całą Kozaczyznę w niewolę obrócić. Mówili oni, że święci z Peczarskiej Ławry przestrzegli o tem Białą Carowę, która kocha Kozaków i chce bronić naszej swobody i wiary, i czytali po wsiach pisanie od niej, gdzie nakazuje wyrżnąć wszystkich Lachów i żydów, żadnemu nie darować; i zaraz rozdali ludziom noże w Ławrze poświęcane *). Potem mołojcy zbierać się zaczęli, obrali watażków jak Gontę, Żeleźniaka, Szydłę i innych, i dalejże na Lachów i Żydów. Na całej Ukrainie rzeź była, a Moskale bratali się z prowodyrami; potem nasi wielkim taborem stanęli koło Humania i pili i hulali na ochotę, a Moskale w nocy cichaczem powiązali wszystkich i pomimo prożby oddali w ręce Lachom. A był tam proklaty Lach Stempkowski, co go regimentarzem nazywali, założył on sądy na naszych i zaraz Gontę umęczyć kazał, a mołojcom przez dwie doby łby ścinali; potem resztę podzielili na kupy, jednych posłali do różnych miast dla odebrania kary, drugim języki urzynali, ot jak temu — tu wskazał na swego towarzysza — ostatnich kalekami porobili, tak jak mnie.

*) Manifest ten Imperatorowej Katarzyny z dnia 9/20 czerwca 1768 r. cytuje dosłownie Hr. D' Angeberg w dziele swojem: „Traktaty Polski dotyczące", toż samo mówi Wielhorski w Manifestach, Sienkiewicz w Dokumentach,

Tu wyjął rękę prawą z zanadrza, rozwinął szmaty, któremi okręconą była, i ukazał uciętą rękę, której część pozostała, nie dobrze zagojona, odrażającą przedstawiała bliznę *).

Podróżny patrzał na ten straszny wymiar sprawiedliwości, a zacięty hajdamaka, jakby podniecony w nienawiści widokiem kalectwa swojego:

— Tak to się skończyła ta koliszczyzna — mówił — Moskal nawarzył, a Lach wypił, bo to dobrze mówią:

Lach, żyd, sobaka,
To wira odnaka.

— A czemużeście — mówił podróżny — uwierzyli tym Monachom, przecież Lachy cerkwi nie niszczą, chociaż oni teraz górą. A wy wiele ich wyrżnęli?

Zamyślił się hajdamaka.

— Ta to stare ludzie mówią — rzekł — że dawno, dawno to Kozaki z Polszczą trzymali, a teraz co?

Tu przestał, a po chwili dodał:

— Może to i prawda, co nas zdurzyli Moskale, bo to także psu braty; na pochybel i Moskwie i Lachom!

Tu uchwycił szklankę z wódką i wypił duszkiem. Chwila była milczenia, którą przerwał znowu podróżny.

— A dużo teraz tam wojska w Ukrainie? — pytał.

— Nie ma, mój panoczku, nie ma — odrzekł chłop.

— A gdzież się podzieli? — pytał znowu.

— Moskale poszli na panów, co się to zbuntowali na króla, a jak ich na Wołoszczyznę zagnali, to pociągnęli do Warszawy, bo i tam pono jakaś zawierucha, a Stempkowski,

*) Wszystkie pamiętniki ówczesne mówią o tem.

i drudzy ze swemi chorągwiami stanęli po stannicach, na kresach; tylko ludzie mówią, że wszędy po zamkach dużo milicji panów, i samiśmy widzieli przechodząc przez Humań, że tam nowe wały posypali, a na nich stoją armaty, co je jakieś Niemcy obsługują. Teraz w naszej Ukrainie cicho jak po burzy! — I znowu nalane lampki wypróżnili biesiadnicy i siedzieli milczący, jakby w myśli przechodzili okropność hajdamaczyzny i nie mniej straszny odwet.

Tymczasem noc się już zrobiła, ogień z komina oświecał izbę, w której siedzieli pijący, podróżny dolewał napitku, a chłopi z ochotą spijali słodki trunek, którego moc działała już widno, bo czerwone ich policzki i niewyraźna mowa jasnym były tego dowodem, kiedy stukanie do bramy zwróciło uwagę wszystkich. Arendarz wybiegł do sieni, otworzył wrota, potem słychać było dźwięk dzwonków, kiedy sanie wjechały do sieni, a w nich musieli być znajomi Arona, bo usłyszeli bardzo radosne powitanie, i wkrótce śniegiem obrzuconych weszło dwóch ludzi do karczmy.

— Ledwieśmy się z duszami tu dostali — zawołał starszy zdejmując wilczurę, w czem mu dopomagał Aron.

Na ten głos ów podróżny, co częstował Ukraińców, spojrzał z podziwieniem na mówiącego, czapkę nasunął na oczy, i podparł się na dłoni, tak że ta mu poł twarzy zakrywała i patrzał z pod oka na nowo przybyłych, którym arendarz z wielką skwapliwością pomagał się rozbierać.

— Cóż wielmożnego pana w taką zawieruchę tu przygnało? — pytał.

— Jechaliśmy do Suchak, zawieja się zerwała, straciliśmy ślad, kręciliśmy się długo po polach, strach nas zebrał, kiedy światło z tej karczmy zaprowadziło nas tutaj.

— Wielkie szczęście — mówił Aron — że panowie gdzie na skały dniestrowe nie zajechali, bo tam śmierć oczywista; ale może czem służyć mogę? — dodał.

— Dawaj — odrzekł zapytany — byle co mocnego, bo dalipan ducha w sobie nie czujemy, takeśmy zmarzli.

— Proszę do alkierza — mówił usłużny gospodarz — tam i cieplej i wygodniej będzie.

Poszli za nim nowo przybyli, a on zamknął drzwi za sobą.

Po ich odejściu nasz podróżny wstał z ławki i chodził po izbie jakiś zamyślony, potem zapalił lulkę i kurząc ją grzał się przy kominie, a ile razy chłopi zwracali się do niego, żeby wypił z nimi:

— Pijcie druhy, pijcie — mówił — ja już mam do woli — a ci zachęceni prosić się nie dali i pili sami.

Nie długo wszedł Aron, szukając czegoś, a nasz podróżny pytał go, co to za jedni ci panowie, ale ten zbył go mówiąc: że on się gości swoich nigdy nie pyta co za jedni, że ci panowie nieraz do niego zajeżdżają, piją i dobrze płacą. Podróżny wcale nie obrażony tą nauczką, jaką mu dał arendarz, wrócił do komina, potem zbliżył się do stołu, za którym dobrze podchmieleni siedzieli chłopi, wstrząsnął półgarncówką, a przekonawszy się że tam jeszcze było trochę trunku:

— Ta wypijcie resztę — zawołał — bo to szkoda żydowi zostawić, a ja pójdę zobaczyć co się z koniem dzieje.

I zaraz nalał szklanki, a pijani hajdamacy bełkotali coś niezrozumiale na podziękowanie, a kiedy dopijali krupnik, podróżny wyszedł do sieni.

Tym razem w alkierzu koło stołu pod oknem stojącego zasiedli obadwa zziębnięci podróżni; usłużny gospodarz oświecił stancję dwoma szabasówkami w kilkoramienny mosiężny lichtarz wetkniętemi, postawił gąsiorek z dereniakiem, a podróżni z rozkoszą rozgrzewali się słodkim trunkiem.

Wypytywali oni gospodarza o wiadomości z za Dniestru, o niektóre osoby w okolicy mieszkające, w końcu polecili mu dowiedzieć się, czy furman nakarmił konie, a gospodarz wziął zaraz latarkę i do sieni pospieszył.

Zaledwie drzwi za sobą zamknął, dało się słyszeć lekkie stukanie w okno; podróżni zdziwieni wpatrywali się w nie z ciekawością, i ujrzeli, że z zadworu zmiatał ktoś śnieg z jednej szyby, którym zawieja zasypała okno, a kiedy ją zupełnie oczyścił, przytknął twarz do niej. Starszy podróżny zaledwie ujrzał to oblicze:

— Jezus Marja! — wykrzyknął podziwieniem zdjęty, a twarz patrząca dawała znak potakujący, potem palec przyłożywszy do ust, znikła.

Młodszy podróżny niewiedząc powodu zdziwienia swego towarzysza, pytał o przyczynę, a ten odrzekł żywo:

— Potem o tem; a teraz, jak wróci Aron, zagadnij go Waszmość, bo ja wyjść muszę.

Niebawem wrócił arendarz, zdał sprawę, że konie i nakarmione i napojone, młodszy podróżny zaczął z nim rozmowę a towarzysz jego wyszedł do izby. Hajdamaki chrapali wsparci na stole, a ten co ich częstował stał koło komina

i zgartywał rozrzucone głownie. Na szelest wejściem podróżnego spowodowany rzucił on okiem na spiących, a potem postąpił do wchodzącego i chwytając go za kolana.

— Wielmożny poruczniku! — zawołał — Bóg was tu sprowadził, bo ja do was jadę — a podróżny (którym był nasz znajomy Zarzycki) całując w głowę mówiącego:

— Sago! mój chłopcze! — wołał — zkąd ty się tu wziął?

— Z Wołoszczyzny Dobrodzieju! — odrzekł — mam do was pisanie od waszych starościców i pozdrowienie od naszego batka; jak będziem w spokojnem miejscu, to wam je oddam.

— Ale cóż tam nowego? gadaj! bo kiedy cię tu wysłali, to tam coś ważnego zajść musiało.

— Ot co! Oto nie długo zobaczycie starościców i pana Szyca, i znowu pohulamy trochę z Moskalami; a teraz, jak zawieja ustanie, jedźmy gdzie w pewne miejsce, bo w karczmie zdradno gadać.

— To pewno! — odrzekł porucznik — ztąd o pół mili mieszka dobry mój znajomy, do niego zajedziem; a ty jak się tu dostał, sankami, czy konno? — zapytał.

— Na Wijunie, mój jegomość! — odrzekł cygan.

— To go masz jeszcze? — pytał Zarzycki.

— A coby ja wart był bez niego? — odrzekł Saga.

Potem stanęli oba koło komina i półgłosem rozmawiali. Wkrótce nadszedł towarzysz porucznika, którym był ów pokojowiec królewiczowej, co grywał w warcaby, za nim nadszedł Aron, i zastał wszystkich rozmawiających o cenie wołów na Wołoszczyźnie, o jarmarkach okolicznych, a arendarz

dawał im objaśnienia, których z wielką uwagą słuchał Saga, jako handlujący wołami.

Po niejakim czasie przyszedł furman pana Zarzyckiego i oznajmił pomyślną wiadomość, że zawierucha ustaje i księżyc się pokazuje z po za chmur; na tę wieść porucznik oświadczył, że pojedzie na noc do Suchak, a Saga się prosił, żeby mu mógł towarzyszyć, bo ztamtąd już bliżej do Uszycy, gdzie go oczekuje wspólnik jego; chętnie przystał na to porucznik, dopili resztę dereniaku, którym i handlarza wołów częstowali, i zaraz porucznik ze swoim towarzyszem wsiedli do sań, Saga dosiadł Wijuna, Aron pokazywał w oddali światełko, które, jak mówił, błyszczało w chałupie w bliskości Suchak będącej, a podróżni pożegnawszy go, kierując się światłem, pchali się w śniegu.

We wsi Suchaki do klucza kuryłowieckiego należącej, mieszkał p. Skólski dawny towarzysz chorągwi husarskiej X. Jabłonowskiego, wojewody Wołyńskiego, od którego trzymał wieś tę w zastawie; był on w zażyłości z panem Kierskim, i jak on sprzyjał konfederacji, to też w każdej potrzebie chętnie dopomagał porucznikowi, który przed nim tajemnicy nie czynił z zabiegów swoich.

Z przyjemnością powitał go i jego towarzysza, cygan nawet ugoszczenia doznał, a kiedy się ogrzali nieco podróżni, przywołano Sagę, a ten wszedł do izby trzymając w ręku poduszkę z kulbaki; zaczął ją pruć i z pomiędzy włosienia, którym wypchaną była, wyjął w szmaty obwinięte papiery i oddał je porucznikowi.

Rozwinął je skwapliwie pan Zarzycki i znalazł dwa listy, jeden do Xiędza Biskupa Kamienieckiego, drugi do pana

Paca, i krótkie pismo do niego samego, w którem mu donosił pan Kazimierz, że ma nadzieję wkrótce go zobaczyć, gdyż prawdopodobnie zbrojno wkroczą niebawem do kraju; dalej polecał listy tu załączone, na które odpowiedź Saga przywiezie, wyrażał przytem, że wszelkie informacje co do poczynionych przygotowań, jak i wszystko to, czegoby pismu powierzyć nie chciał, może zwierzyć Sadze, w końcu zalecał, żeby po nad Dniestrem w okolicy Uszycy był zawsze ktoś zaufany, z którymby w potrzebie znieść się można było.

Odczytawszy to pismo, długo jeszcze rozmawiali z cyganem, potem poszli wszyscy na spoczynek, a dobrze przed świtem wyruszyli w drogę do Dunajowiec.

Stanąwszy na miejscu, porucznik opowiedział wszystko panu Kierskiemu, ten wziął oba listy, które sam podjął się oddać tym, do których zaadresowane były, a Saga pojechał prosto do Chocima, bo tam także miał jakieś zlecenie do spełnienia.

W skutek wiadomości, jakie przywiózł Saga, ruch się zrobił wielki koło Kamieńca; nic nie paraliżowało przygotowań, bo wojska, tak królewskie, jak i moskiewskie, opuściły były Podole; pierwsze unikały spotkania z konfederatami, bo dowódzcy ich nie byli pewni ich wierności, drugie pociągnęły do Warszawy wzmocnić garnizon tamtejszy. Bez przeszkód tedy uzbrajano się i prowidowano w różnego rodzaju zapasy; przeznaczone one były dla armji tureckiej, która miała nadciągnąć, Porta bowiem w owym czasie zdecydowała się była na zaciętą wojnę z Rosją, a garnizon Chocimia szczególny zapał i sympatję dla konfederatów okazywał.

Pan Kierski i porucznik nadzwyczaj czynni byli; pierwszy zajął się wyłącznie gromadzeniem żywności, drugi pilnował brzegów Dniestru i ukazania się starościców Wareckich.

Wszyscy ci, których pan Zarzycki widział na naradzie w Chocimiu, jak podkomorzy Narbutt, p. Wilczek, Bierzyński, w końcu pan starosta Ziołkowski i pan Bohusz przebywali w okolicy Kamieńca, i często odwiedzali Dunajowce, a że co chwila można się było spodziewać wejścia wychodźców z Wołoszczyzny, wszyscy też zbrojno przejeżdżali po kraju, i wzywali dobrze myślących do czynnego wystąpienia.

Saga uwijał się ciągle po Bessarabii dla powzięcia wiadomości, i za każdą ważniejszą nowiną spieszył do Uszycy, gdzie na plebanii pewien był zastać pana Zarzyckiego, albo przynajmniej wieść, gdzie go ma szukać.

Jednego dnia było dość liczne zebranie u pana Skólskiego, bo okoliczna szlachta znając jego zażyłość i z panem Kierskim i z Zarzyckim zjechała się do Suchak, żeby się coś nowego dowiedzieć i zastali oni tam porucznika z towarzyszącym mu ciągle pokojowcem królewiczowej.

Duch szlachty podolskiej był jak najlepszy; trudno tam było napotkać stronnika dworu, to też w tem całem zebraniu jak największa panowała harmonja, i wesołość była między obecnymi. Pomoc turecka, na którą z pewnością rachowano, wielkie budziła nadzieje i na cześć ich liczne spełniano kielichy, do których zachęcał gościnny gospodarz. Nikt jednak nie przebrał miarki, bo na to nie pozwalały okoliczności, w jakich się znajdywano.

Na waletę jeszcze pan Skólski nalał kielich i wniósł zdrowie starościców Wareckich i kiedy go miał wychylić, jeden z biesiadników koło okna stojący:

— Jakiś jezdny — zawołał — pędzi do nas!

Wszyscy ruszyli z miejsc swoich, a jeździec przed gankiem osadził zdyszanego konia, i zaraz drzwi się rozwarły i ukazał się w nich Saga.

— Co nowego chłopcze? — pytał skwapliwie porucznik.

— Na koń! Wielmożni panowie! — wykrzyknął cygan — dziś w nocy starościce przejdą Dniestr!

Chwila była milczenia, a potem Skólski, który stał z kielichem:

— A więc niech żyją! — zawołał — niecierpliwie oczekiwani! W twoje ręce Sago — i wśród okrzyków spełniono ten toast.

I zaraz ruch się zrobił wielki, kazano zaprzęgać i kulbaczyć konie, pan Zarzycki jako świadomy całego przebiegu czynności dawał instrukcje i jednych wysłał do Dunajowiec dla zawiadomienia o nowem wtargnięciu konfederatów, a ztamtąd miała wieść ta dojść do baszy w Chocimie, drudzy mieli ją powieźć panu staroście Kaniowskiemu i panu Pacowi, reszta zaś dostała zlecenie rozbiedz się po okolicy i wezwać braci szlachtę do wystąpienia *armata manu*, naznaczając Dunajowce jako punkt zborny. Jakoż wszystkiemi drogami z Suchak wiodącemi pomykały albo sanie lekkie, albo pędzili jeźdźcy na koniach pochyleni.

Po ich odjeździe Saga opowiedział porucznikowi i panu Skólskiemu, że przed trzema dniami będąc na Bessarabji spotkał po za Bielcą ciągnących konfederatów, a było ich

przeszło 600 koni, że tym całym oddziałem za wspólną zgodą dowodzi pan Kazimierz Pułaski, i ten mu jak najspieszniej wracać tu kazał i uwiadomić o jego przybyciu... Wyliczył on mu miejsca przez które przechodzić będą i polecił opatrzeć gdzie najmniej stromy brzeg Dniestru, i w końcu wyjechać naprzeciwko siebie, żeby mu być przewodnikiem.

— Skoro tylko mój Wijun odpocznie — mówił Saga — ruszę na ich spotkanie, a pan porucznik jak wyjedzie o 5tej, będzie dość czasu, bo ja sobie miarkuję, że prędzej jak przed 10tą nie będą nad Dniestrem. Niech pan każe na górze koło tej figury murowanej rozpalić ogień, na który ich będę prowadził, bo tam jest wąwóz, którym najpewniej przejść można. Skoro wyjdziemy z lasu ja wystrzelę na znak, a pan niech mi odpowie strzałem.

Po tej rozmowie wyszli na ganek, gdzie stał już Wijun, którego słudzy pana Skólskiego wytarli wiechciami słomy, i nakarmili bochenkiem chleba z solą, potem na żądanie Sagi przyniesiono kwartę wódki, cygan ją wlał w gardło koniowi, a kiedy ją połknął, strzepnął się, parsknął zdrowo kilka razy, i chwytał wargami za odzienie cygana, jakby go wyzywał do nowego biegu. Saga wskoczył na kulbakę, skłonił się nisko wszystkim i ruszył ku Dniestrowi.

Po odjeździe Sagi wrócili pozostali do dworu, a pan Skólski zbliżył się do pana Zarzyckiego.

— No! Mości poruczniku! — rzekł — na tę wyprawę ja się obieram kwatermistrzem, i naprzód cały oddział zapraszam do siebie na wypoczynek. Każę zabić wołu i kilka baranów i piec je, co jest chleba we wsi zabiorę, a oddam im mąką, krup nie zabraknie Bogu dzięki i omasty

także, a moja jejmość tem się zajmie. O! całą noc dzisiaj w Suchakach nikt spać nie będzie. Ależ to kawał do Dniestru — mówił zamyślony — na znużonych koniach nie pospieszą... a tu i chłodno i głodno... — i zamilkł; a po chwili — Ot! wiesz co Asindziej — mówił — tak zrobię: pojadę z Waszmością i czekać was będę w Aronowej karczmie; wódki dla szeregowych, miodu dla starszyzny u niego dostanie, a ja nabiorę chleba, wędzonej słoniny, szynek parę, to i będzie czem przekąsić; na karczmę tedy prowadź ich Asindziej.

— Dobrze mój dobrodzieju — odrzekł porucznik — doskonały widzę z waszmości kwatermistrz; myślisz i o brzuchu i o gardle, bo człowiek głodny to do niczego.

Po tej rozmowie wielki zrobił się ruch i w domu i w obejściu pana Skólskiego; wszystko się krzątało koło przygotowań na przyjęcie zapowiedzianych gości, a kiedy piąta wybiła, porucznik z panem Skólskim i pokojowcem wsiedli do sań gospodarza, za nimi szły drugie z prowiantem, a sługa prowadził wierzchowce porucznika i jego towarzysza. Tak dojechali do karczmy Arona, gdzie znowu wszystko było w ruchu, rozporządzał pan Skólski a pan porucznik, pokojowiec i kozak dosiedli koni i ruszyli w kierunku umówionym.

Noc była jasna, bo to właśnie pełnia przypadała, mróz silny, ale cisza w powietrzu, a dzielne konie naszych podróżnych otoczone kłębami pary, co im z nozdrzów buchała, spiesznie unosiły jeźdźców swoich. Stanąwszy na stromym brzegu Dniestru ujrzeli z tej wyżyny okiem nieprzejrzaną płaszczyznę, błyszczącą jak lama srebrna przy świetle księżyca; nigdzie, jak zajrzeć mogli ani światełka, ani sterty, lub stogu, zwiastuna obecności ludzkiej, tylko step goły, na nim w oddali czernił się las nie wielki, jedyny punkt, na którym spocząć mogło oko patrzących. Kroczyli wolno brzegiem rzeki, i dojechali do figury murowanej, na pamiątkę jakiegoś zwycięztwa nad Tatarami odniesionego wystawionej; zsiedli z koni, porucznik je trzymał, a pokojowiec z kozakiem znosili suche gałęzie z krzaków co pomiędzy szczelinami skał rosły i nakładli na kupę, a kiedy ją zapalili, kozak odebrał konie i wodził je, a porucznik i jego towarzysz, dobrze odziani w krymskie burki grzali się przy ogniu, rozmawiając o nadziejach, jakie wzbudzał powrót Pułaskich, duch jaki panował w kraju, i pomoc Turka.

Towarzysz porucznika, młody, żądny bojów, z ciekawością wypytywał o różne szczegóły powstania, a porucznik z prostotą je opowiadał, bo miał to przekonanie, że kiedy w ludziach jest poczucie świętości sprawy, której bronią, kiedy wierzą w te prawdy, za które walczą, to między takimi odwaga jest rzeczą pospolitą, a na poparcie twierdzenia swego, opisywał bohaterskie oblężenie w Berdyczowie.

Tam pan Kazimierz Pułaski zamknął się w 1300 ludzi w klasztorze Franciszkanów, gdzie go obległ kilka razy liczniejszy nieprzyjaciel. Pięć tygodni bronił się dzielnie, co dzień grzmiały działa moskiewskie, co noc prawie robili wycieczki dzielni obrońcy klasztoru, aż kiedy zabrakło żywności, kiedy wystrzelano wszystką amunicję, wtenczas zmuszony był kapitulować z zastrzeżeniem wolności dla całej załogi. Dla niego jednego nie dotrzymano umowy i uwięziono go. Ale wkrótce starszyzna moskiewska w przekona-

niu że względy osobiste i świetne obietnice potrafią ująć starego Pułaskiego, wysłała z niemi syna do niego, ale ten skoro stanął między swymi, napisał list do jenerała dowodzącego, w którym mu wyraził, że obowiązki dla kraju i uczucie honoru nie pozwoliły mu mówić nawet z ojcem o poddaniu się, a ponieważ zgwałcono względem niego najgłówniejszy warunek kapitulacji, nie widzi się on obowiązanym do powrotu, które to przyrzeczenie siłą na nim wymuszone zostało *).

— Nie spodziewali się Moskale — mówił porucznik — jaki bicz na siebie kręcą wypuszczając pana Kazimierza, bo któż mógł wtedy przypuścić, że ten dwudziestoletni młodzieniec w tak krótkim czasie zwróci wszystkich oczy na siebie, i stanie się jedyną podporą konfederacji? Wiem ja dobrze — mówił dalej — że ta garstka ludzi, którą prowadzi pan Kazimierz, nie wiele zaważy na szali pomyślności, ale imię przewódzcy to sztandar, pod którym zawsze gromadzić się będą ludzie kraj miłujący. Dla tego też na wieść ich powrotu, jakaś otucha wstąpiła w serce moje, a im bliższą jest ta stanowcza chwila, tem niecierpliwiej jej wyczekuję.

Tu przestał wzruszony, a towarzysz jego w myśli przechodził co słyszał i nie mógł utaić podziwienia, że w kraju, gdzie wiek (przynajmniej dojrzały) i doświadczenie, naturalne jego następstwo, tak szanowane były, młodzieniec w latach pana Kazimierza doszedł do tej wziętości i potrafił wzbudzić takie zaufanie we wszystkich; mimowolnie też doznawał

*) Historyczne.

jakiegoś wzruszenia na myśl, że za chwilę los go zetknie z człowiekiem takich zalet.

Kiedy tak stoją zamyśleni, kozak co wodził konie, zatrzymał się, chwilę patrzał na step szeroki, a potem zwracając się do stojących koło ognia:

— Bat'ku! — zawołał na porucznika — coś tam miga się w stronie lasu; czy wilk, czy człowiek, nie wiem.

Na to wezwanie obydwa ruszyli nad sam brzeg rzek, a kozak wskazując palcem:

— Ot tam!... tam! — wołał — a porucznik patrzał chwilę.

— Widzę!... Widzę! — mówił — to jakiś jezdny być musi... O! stanął — dodał; a w tej chwili błysk ognia zaświecił w oddali, i zaraz huk wystrzału odbił się o uszy patrzących.

— To hasło Sagi — zawołał Zarzycki — a to będzie odzew!

Wyciągnął pistolet z za pasa, podniósł rękę do góry, i wypalił, a jeździec ruszył cwałem.

— Dokładaj drewek! — wołał porucznik na kozaka, i zaraz z trzaskiem paliły się suche łomacze, płomień wznosił się coraz wyżej i oświecał starą figurę, której cień jak słup olbrzymi padał na rzekę lodem pokrytą, a porucznik z towarzyszem patrzali w stronę lasu Po chwili pierwszy chwytając za rękę młodzieńca:

— Idą już, idą! — zawołał.

I w istocie, z lasu, na czyste pole poczęły się wysuwać szeregi konfederatów, a kiedy cały zastęp opuścił las, to niby wąż ogromny wił się za śladem Sagi. Za nim w trop ciągnęły sanie z żywnością i przyborami, a jak ujrzeli łunę

ogniska i oświeconą niem figurę na rodzinnej już ziemi, zagrzmiała pieśń wojenna, a na jej dźwięki porucznik wzruszony do głębi duszy:

— O! znana mi ta nuta! — zawołał — spiewaliśmy ją idąc na Manasterzyska.

Po przestanku, konfederaci zaczęli drugą strofę, ale byli jeszcze w takiem oddaleniu, że stojący na skale słów dosłyszeć nie mogli.

I znowu w milczeniu postępował dzielny zastęp, a kiedy zaczęli trzecią zwrotkę do okoliczności zastosowaną, już i wyrazy dochodziły do uszu słuchaczy:

Wracamy do cię ziemio ukochana!
Z modlitwą w sercu, a i z szablą w dłoni,
Twe wrogi Polsko! może z łaski Pana
Nie ujdą naszej pogoni.

I znowu chwilę pieśń ucichła, a gdy wchodzili w zakres blaskiem ognia oświecony, ostatnią zaczęli zwrotkę:

Dla nas opieką wśród bitew i znoju
Najświętsza Marja Panna,
A więc w Jej imię, do krwawego boju
Prowadź nas, gwiazdo zaranna! —

Kiedy kończyli strofę spiewający, rżenie koni rozległo się po stepie, niby wtór do ostatniego akordu pieśni, a porucznik pod wpływem wrażenia ostatniej zwrotki:

— O! prowadź ich i strzeż Marjo Panno! — wołał rozrzewniony, i ocierał łzą zwilżone oczy.

Chwilę to tylko trwało; potem wszyscy trzej dosiedli koni, spuścili się w wąwóz, a gdy dojeżdżali do rzeki, uj-

rzeli Sagę stojącego nad brzegiem, wzniósł on się na strzemionach, i przykładając obie dłonie do ust:

— Na mnie, prosto, marsz! — zawołał.

Tym czasem przednia straż wchodziła już na lód, a blask ognia oświecał jeźdźców i konie.

Na czele jechał młodziutki chłopiec, na jasnokasztanowatym koniu z łysiną, miał on na sobie bekieszę sznurami na piersiach spiętą, na głowie kołpaczek futrzany z białą włosienną kitką, a na ramionach zawieszoną burkę ciemną, której kędziory gęste lśniły się przy świetle ognia.

Za nim postępowało kilkudziesiąt jeźdźców, wszystko ludzie dojrzałego wieku, a ich ogorzałe twarze, ogromne wąsy i blizny któremi wielu poznaczonych było, dziwną sprzeczność stanowiły z młodziuchną twarzą przewódzcy.

Wpatrywał się ciekawie towarzysz pana Zarzyckiego w nadchodzących, a porucznik wskazując przodkującego:

— To pan Franciszek Pułaski — rzekł — przypatrz mu się Wasindziej; dziecko prawie, a widziałem go walczącego z niesłychaną odwagą jeszcze w początkach konfederacji! Szczególnych to zalet cała ta rodzina!

Kiedy domawiał tych słów, konfederaci dochodzili do polskiego brzegu, a zaledwie stanął na nim pan Franciszek, zeskoczył z konia, ukląkł, i całując ziemię:

— Bądź pozdrowiona ziemio ukochana! — wołał rozrzewniony, a oddział cały poszedł za jego przykładem, i łzy gorące rosiły te twarze bliznami zorane.

Kiedy powstał Franciszek, przystąpił do niego pan Zarzycki, a młodzieniec uściskał go serdecznie i radość swoją

z widzenia go wynurzał. Potem kazał oddziałowi swemu posunąć się — bo nadchodził główny zastęp.

Szło naprzód sześciu trębaczy na srokatych koniach, za nimi chorąży w asystencji czterech szlachty niósł chorągiew Krzyża świętego, nareszcie, w małym odstępie, jechał pan Kazimierz w gronie kilkunastu starszyzny.

Siedział on na siwo-jabłkowitym koniu, na nim rząd z ponsowego jedwabiu, cały w plecionkach i kutasach, jaśniał srebrnemi ozdobami; sam jeździec w zwykłym swoim węgierskim stroju, miał na plecach dolman obszerny, futrem podbity, a na głowie kołpak barankowy ze strzępiatą kitą; koło niego jechało dwóch Turków, których mu dodał basza Benderu, a za nimi kilkunastu przedniejszych konfederatów, co dzielili los Pułaskich na Wołoszczyźnie, a między tymi był pan Szyc i nieodstępny Golian.

Na brzegu stał na piechotę porucznik w towarzystwie pana Franciszka, pokojowca królewiczowej i Sagi, a kiedy zrównał się z nim pan Kazimierz, podniósł on czapkę w górę.

— Witaj nam wodzu kochany! — zawołał z zapałem, a to uczucie podzielali widno wszyscy, bo niezmierny okrzyk wydali towarzysze pana Kazimierza, a ten pochyliwszy się z konia, ściskał rękę pana Zarzyckiego.

— Dobra to wróżba dla mnie, Mości poruczniku! — mówił — że pierwsza dłoń bratnia, którą uścisnąłem na naszej ziemi, to dłoń prawego syna ojczyzny, i dzielnego obrońcy swobód.

Porucznik uszczęśliwiony nie mógł ukryć radości swojej z tego przyjaźnego przyjęcia; pan Kazimierz zsiadł z konia,

za nim poszli i ci co w orszaku jego jechali, i cały zastęp przeciągał przed nimi; a kiedy nadeszła tylna straż, dowódzca jej, którym był Antoni Pułaski, najmłodszy z braci, serdecznie witał pana Zarzyckiego, który samych znajomych napotykał między przybyłymi, to też witania przyjaźne długo trwały.

Pan Skólski urządził wszystko na przyjęcie oczekiwanych; dwa stosy drzewa zapalone oświecały obejście karczmy, w podniesieniu na ławie stały baryłki z wódką, a obok nich w nieckach nakrajane wędzonki i stosy chleba; wewnątrz karczmy izba i alkierz porządnie umiecione jaśniały światłem kilkudziesiąt świeczek, któremi i szabaśniki i lichtarze nasadzone były, stoły białemi zakryte obrusami a na nich miód, wiśniak, dereniak i przekąski, które przywiózł pan Skólski, poustawiano. W tych przygotowaniach pomagało Skólskiemu kilku z okolicznej szlachty, co przybyli do Suchak dla powzięcia wiadomości, a nie zastawszy gospodarza podążyli za nim do karczmy Arona.

Przybycie porucznika i wiadomość jaką przywiózł, ucieszyła obecnych; rozniecono zaraz ognie, a kiedy zabrzmiały trąby, wszyscy wyszli na podsień, Aron i słudzy przybyłej szlachty przyświecali, a konfederaci dochodzili do karczmy. Na widok pana Kazimierza szlachta zdjęła czapki, a pan Skólski ujął za cugle konia, kiedy zsiadał z niego Pułaski, a potem nisko kłaniając mu się, nazwał siebie i obecnych sąsiadów prezentował; w końcu w kilku wyrazach wynurzył radość swoją, że mu pierwszemu dano jest ugościć go na ziemi polskiej, potem z towarzyszami swymi wszedł do karczmy.

Z wielką gościnnością częstował wszystkich pan Skólski, z lepszą też fantazją ruszyli do Suchak, a raz na miejscu, we wsi i zabudowaniach dworskich rozłożyli się do wczasu; jeden tylko porucznik pospieszył do Dunajowiec.

Pomimo późnej nocy zastał on czekających na siebie pp. Paca, Narbutta, Bierzyńskiego, Wilczka, i zdał relacją o wszystkiem, a ci ją powtarzali swoim towarzyszom; wieść bowiem o nadchodzących konfederatach z Wołoszczyzny rozeszła się po Podolu, i wielu zjechało się do Dunajowiec, gdzie przygotowano jaknajświetniejsze dla Pułaskich przyjęcie.

Piękny dzień zaświecił na tę uroczystość; mrozek niewielki orzeźwiał powietrze, a jasne słońce oświecało świeżym śniegiem ubieloną okolicę. W licznem gronie i mężczyzn i dam przybyłych do Dunajowiec zauważał porucznik dwóch szlachty z Mazowsza, którzy jak mu mówiono, przybyli dla porozumienia się z Podolakami. Nie znali oni żadnego z Pułaskich, niecierpliwie też oczekiwali chwili zetknięcia się z nimi.

Około dziesiątej nadbiegł chorąży w towarzystwie dwóch szeregowych i oświadczył, że już nadchodzą, a na tę wieść co było szlachty wyszło na ganek, panie stały w oknach, dziedziniec napełniała zbrojna służba przybyłych; po obu stronach blokhanzów uszykowała się milicja nadworna, przy nabitych moździerzach stanęli puszkarze, dęta muzyka x. wojewody Wołyńskiego siadła na koń, i ruszyła na spotkanie konfederatów, a za nią pospieszyło co było młodszych ze szlachty.

Niedługo potem wszystkie dzwony w miasteczku odezwały się, po nich huk wystrzałów dał się słyszeć, bo mieszczanie i duchowieństwo nie dało się uprzedzić szlachcie w uczczeniu wychodźców Barskich; a wkrótce potem dźwięki muzyki zaczęły dochodzić do uszu słuchaczy. Była to ta sama pieśń, której tony tak rozrzewniły porucznika, kiedy ją usłyszał nad Dniestrem; po każdej zwrotce którą odspiewali idący, odgrywała ją muzyka.

Nareszcie na wyżynie co była niedaleko dworu, zaczął się wysuwać cały zastęp. W przedniej straży szło kilkunastu jeźdźców w jaskrawe kolory ubranych, byli to ochotnicy wołoscy; za nimi szła muzyka i trębacze, potem niesiono chorągiew wojenną, tuż za nią jechało dwóch zakonników z krzyżami w rękach, w kapturach na głowie, jednym z nich był sławny Marek Karmelita, cudotworcą zwany, drugim ksiądz Hilarion, który wrócił do dawnej swej funkcji kapelana wojskowego, nareszcie postępowali trzej bracia Pułascy.

Ze względu na żałobę po ojcu czarno byli ubrani, bez żadnych bogatych ozdób, tylko konie ich suto przybrane były. Biały jak mleko źrebiec pana Kazimierza miał na sobie rząd pozłacany, karniolami sadzony, i takiejże oprawy siodło, piękny dywdyk w pasy żółte i fioletowe krzyż mu okrywał, a długa grzywa i suty ogon, na sposób turecki na czerwono malowane, pięknie odbijały przy śnieżnej białości sierści.

Za trzema braćmi jechali tłumnie i towarzysze wychodźtwa i młodzież co na spotkanie ich wyruszyła. Potem szedł zastęp z proporcami w ręku, w pierwszym szeregu była sama

szlachta, a za nią luzaki lżej uzbrojeni, dalej strzelcy pana Szyca, na małych siedmiogrodzkich koniach z długiemi grzywami, w końcu kozaki nadworne, u tych z baranich czapek spływały na ramiona z jednej strony jełomy czerwone, z drugiej gęsto splecione oseledce, nareszcie tabor obozowy ciągnął po polu.

W ulicy do dworu prowadzącej zatrzymały się zbrojne szeregi, i tylko starszyzna szła naprzód. Kiedy wjeżdżali w bramę zagrzmiały armaty, milicja w pięknym ordynku broń prezentowała, niezmierne okrzyki rozległy się po dziedzińcu, a tym hukiem i wrzawą rozpalone konie, rżąc i wspinając się w samych podskokach unosiły jeźdźców przed ganek.

Pan Pac imieniem obecnych witał młodzieńców i ich towarzyszy, a potem wszyscy weszli do obszernej sali, gdzie zaczęła się obopólna prezentacja. Młodzież obecna ze czcią i uwielbieniem patrzała na tych rówieników swoich, którzy odwagą i poświęceniem do tego doszli znaczenia, że chwilowo stali się niejako arbitrami losów i kraju.

Rycerska i pełna wdzięku powierzchowność wszystkich trzech braci, wiele im uroku dodawała, ale (jakem to nieraz powiedział) szczególną uwagę zwracał na siebie pan Kazimierz; węgierski strój jego z czarnego aksamitu, sobolami podbity, gęsto jedwabnemi sznurami był wyszywany; pod szyją miał ów ryngraf co go od śmierci ocalił, a na piersiach gruby łańcuch złoty z miniaturą Augusta II, dany mu w nagrodę walecznego czynu. Zaraz bowiem po powrocie z Warszawy, wysłał go był ojciec na dwór królewicza Karola, na ówczas księcia Kurlandji, który w Mitawie rezydował; wkrótce Moskale naszli ten kraj i oblegali kilka tygodni zamek Mitawski, gdzie się zamknął królewicz z garstką ludzi, a w ich liczbie był pan Kazimierz*). Przez ciąg tego oblężenia szczególną on się odznaczał odwagą i poświęceniem, to też wdzięczny książę dał mu ten wizerunek dziada swego, który przy chrzcie od niego otrzymał.

Epizod ten znany wszystkim jak najlepiej uprzedzał ich dla pana Kazimierza, bo królewicz znaczne miał stronnictwo między zkonfederowanymi w Barze; z wielką też skwapliwością wszyscy z nim się poznawali. Pan Pac przyprowadził owych dwóch Mazowszan, z których jeden trzymał w ręku srebrną tacę jedwabną serwetą przykrytą, a po przedstawieniu, starszy wiekiem odezwał się do pana Kazimierza w te słowa:

— Mości Starosto! widzisz przed sobą wysłanników zkonfederowanej szlachty Ziemi Łomżyńskiej, która nam zleciła powitać Was na granicy polskiej, i wypowiedzieć uczucia jej dla ciebie i twojej rodziny; włożonego na nas obowiązku z przyjemnością dopełniamy.

....Manifest wasz, łaskawi panowie, rehabilitujący pamięć nieodżałowanego ojca waszego, doszedł nas**), a szlachta łomżyńska przez usta nasze oświadcza wam, panowie, że nigdy potwarze, jakiemi ludzie złej woli chcieli oczernić najnieskazitelniejszy żywot starosty Wareckiego, nie znalazły wiary w umysłach dobrze myślących. Żeby wam zaś dać dowód uczuć swoich dla waszej rodziny, a w szczególności

*) Historyczne. Rulhière.

**) Rulhière.

dla ciebie Mości Starosto, którego męztwo i poświęcenie słuszne obudza nadzieje, zebrana na Łomży szlachta jednomyślnie i bez żadnego oporu ciebie, Mości Starosto, Marszałkiem swoim okrzyknęła, a na nas włożyła miły obowiązek wręczenia ci dowodu tego wyboru.

Tu ściągnął materję tacę pokrywającą, wziął jedną ręką papier z dużą pieczęcią, drugą buzdygan stalowy bogato złotem ozdobiony, i podając pismo panu Kazimierzowi:

— To jest *laudum* — rzekł — dowód zaufania braci; a to znamię władzy, jaką ci oni nadają.

Tu wręczył mu buzdygan, i kłaniając się nizko:

— A teraz w imieniu mandantów naszych — mówił — zapewniamy cię JWny. Marszałku, że skoro da Bóg znajdziesz się między nami i wzniesiesz to znamię dowództwa, tysiąc łomżyńskiej szlachty stanie gotowe na rozkazy twoje.

Niezmierny okrzyk: »Wiwat! Marszałek Łomżyński!« rozległ się po tej przemowie.

Nowy Marszałek w krótkich słowach wyraził podziękowanie za zaufanie w nim położone, i upewniał, że dołoży wszelkiego starania, żeby je czynami usprawiedliwić. Kiedy domawiał tych słów, przystąpił do niego pan Bierzyński i oznajmił, że królewiczowa prosi ich do siebie; i zaraz na oścież rozwarto drzwi do bawialnego pokoju, a pan Kazimierz ujrzał w głębi królewiczowę w gronie dam nowoprzybyłych.

Na ten widok pobladł, i chwilę stał pomięszany, a to uczucie jakby reflex odbiło się na obliczu królewiczowej, bo i z jej twarzy zniknął rumieniec, co ją krasił zwykle.

Nie długo to milczenie trwało, bo młodzieniec otarł czoło, jak gdyby cisnące się myśli chciał spędzić, i szedł z braćmi na spotkanie królewiczowej, która o kilka kroków postąpiła ku nim.

Wszyscy trzej Pułascy nizkim powitali ją ukłonem, pan Kazimierz zaś do stóp jej schylił buzdygan, a ta z wdziękiem odezwała się do nich:

— Lata to już minęły, jakeśmy się nie widzieli, a przez ten czas ponieśliście panowie nieodżałowaną stratę; cios ten znalazł bolesne odbicie w sercach sprzyjających wam, a że do nich, pewna jestem, zaliczacie całą rodzinę moją, to chciejcie panowie wierzyć w szczery współudział, jaki biorę w smutku waszym.

Uniżenie wszyscy trzej dziękowali za ten hołd oddany pamięci ich ojca, a królewiczowa zwracając się do pana Kazimierza:

— Pan marszałek — rzekła — nabyłeś prawa do mojej wdzięczności, broniąc tronu i osoby królewicza Karola w Mitawie, a chlubna oznaka, jaką widzę na piersiach jego, jasno mi dowodzi, że i królewicz dzieli to uczucie, kiedy ozdobił pana tą drogą dla siebie pamiątką.

— Miłościwa pani! — odrzekł młodzieniec — broniąc praw księcia Kurlandji dopełniłem ja obowiązków żołnierza i domownika jego, a jeżeli były względy, co umacniały ramię moje i podniosły ducha, to te jako drogie wspomnienia w tajnikach serca mego pozostaną.

Te słowa niezrozumiałe dla wszystkich wielkie zrobiły wrażenie na królewiczowej, i czuła już że nie była w stanie

go ukryć, ale przyszła jej w pomoc pani Świdzińska, przemawiając do pana Kazimierza.

Nie długo potem zasiedli wszyscy do stołu; okoliczności w jakich się znajdowano były powodem do licznych toastów, a kiedy skończyła się uczta i do bawialnych wrócono pokoi, gwarniejszą stała się rozmowa, mężczyźni więcej zbliżali się do dam, i królewiczowa w tej pogadance udział brała; a pan Kazimierz z roztargnieniem odpowiadał nie na jedno pytanie i oczami śledził każdy ruch, dosłuchiwał każdego słowa królewiczowej.

Po chwili usiadła ona na kanapie, którą sama tylko zajmowała, zamyśliła się, a pan Kazimierz zbliżył się do niej i zaczęła się rozmowa.

Z początku sprawy publiczne były jej przedmiotem, potem wypadki wojenne i wychodźtwo na Wołoszczyznę, i tak nieznacznie zeszli rozmawiający do przedmiotu mniejszej wprawdzie wagi, ale może najbardziej zajmującego dla obojga, a tym był pobyt Pułaskich w Maleszowej i Sulgostowie.

Pan Kazimierz wypytywał o znajomych domowników i o chrzestnego syna swego, a królewiczowa go zapewniła, że chłopiec zdrów, ładny i bardzo obudzony. Słuchał tego z zajęciem pan Kazimierz, a w końcu zapytał:

— Cóż porabia wojewodzanka z Łysej góry?

— Wróży jak dawniej — odrzekła — a dziś więcej ludzi niż kiedykolwiek udaje się do niej, bo znana wszystkim przepowiednia zrobiona panu marszałkowi ustaliła jej reputację.

— Dziwne to sądy Boże — odrzekł młodzieniec — i niewiadomo kto nam odkryje kartę przeznaczenia; ale dosłownie brać tego nie można, bo w każdym takim razie zawsze jest coś albo niezrozumiałe, albo fałszywe.

— Ależ tem — mówiła królewiczowa — nie zgrzeszyła wróżbiarka względnie pana, bo to co powiedziała, albo się spełniło, albo spełnić może. Mówiła ona o bojach, które staczać miano, i walczyliście dzielnie; o przewództwie w nich pańskiem, i dziś stoisz pan na czele ziemi, wkrótce zapewne poruczą mu władzę w województwie, a jeżeli Bóg błogosławić będzie dobrej sprawie, któż wie czy sięgnąć po buławę nie nabędziesz pan prawa?

— Zapewne — mówił pan Kazimierz — niepodobne nawet rzeczy ziścić się czasem mogą, i ta kobieta jasno może widzi w przyszłości, ale z pewnością nieznane jej są tajniki serca ludzkiego.

— A toż dla czego? — spytała z żywością królewiczowa; a po przestanku, po wahaniu się, odrzekł młodzieniec.

— Bo mi się kazała strzedz uczucia, które stanowi największą moralną siłę moją...

Na te słowa zbladła królewiczowa, wyraz pomieszania wystąpił na twarz jej, a to wzruszenie spostrzegła pani starościna Radomska, to też zbliżając się spiesznie:

— Co ci to siostro? — zapytała z cicha.

Miasto odpowiedzi, królewiczowa ściskała rękę pani Świdzińskiej, a potem powstając:

— Jakie ja próby przechodzę mój Boże! — rzewnie wyrzekła i wraz z siostrą oddaliła się, a pan Kazimierz stał jak przykuty do miejsca, które opuściła królewiczowa.

Nie uszło to uwagi Goliana, który przez czas rozmowy nie spuszczał oka z pana Kazimierza, to też przystąpił spiesznie do niego.

— Panie marszałku! — rzekł — interes służby wymaga obecności pańskiej, proszę z sobą.

Jakby ze snu zbudzony, słowa nie wyrzekłszy szedł pan Kazimierz za przyjacielem, a kiedy się znaleźli sami, to młodzieniec pod wpływem rozmowy z królewiczową:

— O! mój Stanisławie! — zawołał — jakże to słaba istota człowiek! Ja z natury twardy i dla siebie i dla drugich, bezsilnym jestem przed jej spojrzeniem; zdala od niej jeżeli zdobędę się na czyn energii i odwagi, to dla tego tylko, że mówię sobie: ona o tem wiedzieć będzie... i tyle mojego szczęścia; i wyznam ci szczerze, że nie żądam więcej, bo gdyby jednem słowem, jednem spojrzeniem zachęty, dała mi poznać, że dzieli uczucia moje, o! wtenczas czuję, żebym zapomniał o ludziach i świecie, i żył tylko dla szczęścia... Ale byłożby to godne nas obojga połączenie?... Ona żona innego, ja żołnierz przysięgły Wiary i Wolności!... Nie! nie marzmy nawet o tem — zawołał z uniesieniem — nie dla mnie rozkosze miłości! Walka i wieczna walka! czy z wrogiem, czy z sobą, to moja dola na tym świecie.

I długo wzruszony chodził z przyjacielem, zanim był w stanie złączyć się z resztą towarzystwa.

A królewiczowa? zapyta mnie kto...

Sam nam sam ze starością, wzruszona, wewnętrzną staczała walkę z sobą, i gorące łzy wylewała biedna; a kogo by dziwiło to usposobienie, niech spojrzy w jej przeszłość.

W szesnastym roku życia zaślubiona królewiczowi; znakomitego rodu, piękna, starannie wychowana, niezapragnęła ona korzyści jej przynależnych, ale stósownie do woli męża ciche na łonie rodziny swojej prowadziła życie. Lekkomyślny małżonek z niczem nie usprawiedliwioną obojętnością zaniedbywał ją, a w końcu opuścił; a ona te lata spędzała albo u ciotki, Xiężnej wojewodziny w Janowcu, albo w Sulgostowie, gdzie dobrym uczynkom i praktykom religijnym oddaną była.

Na początku tego obrazku powiedziałem, jak los ją zetknął z rodziną Pułaskich; poznała ona pana Kazimierza, osiemnastoletniego chłopca, pełnego energji i gotowości do poświęcenia, do tego wykształconego, z zapatrywaniem się poważniejszem nad wiek, i wielkie wróżącego nadzieje.

Na takim to młodzieńcu zalety i wdzięki królewiczowej silne zrobiły wrażenie; otaczał on ją czcią i uwielbieniem cichem wprawdzie, ale wymownem dla serca kobiety, a jeżeli słowo jakieś zdradziło to uczucie, to było one obleczone w takie formy poszanowania, tak wiele domyślać się dawało, czego usta wymówić nie śmiały, że wzbudziło w biednej opuszczonej szczególną sympatję i jakieś rzewne uczucie dla jej wielbiciela.

Lata minęły, a obiecujący młodzieniec przeszedł oczekiwanie. Podziwiany przez wszystkich dla niesłychanej odwagi, śmiałemi ruchami na wojnie wróżący znakomitego wodza, pięknej i rycerskiej powierzchowności, tych ram, w które najczęściej przyroda ustraja wybrańców swoich — takim po trzechletniem niewidzeniu ukazał się pan Kazimierz królewiczowej.

Relacje o nim, jakie jej robił pan Zarzycki, obejście się jego całe przy pierwszem spotkaniu, i krótka, ale pełna uczucia rozmowa, jaką z nim miała, przekonywały ją, że ani czas, ani oddalenie nie wyrugowały jej obrazu z głębi duszy młodzieńca.

I gdzież jest kobieta, któraby obojętną być mogła na szczytne uczucie, jakie wzbudzić potrafiła w człowieku zalet pana Kazimierza? Łatwo tedy pojąć wzruszenie królewiczowej; na łono siostry pochyliła ona głowę i obie rzewnie płakały.

Na drugi dzień rano solenne było nabożeństwo. Xiądz Marek miał kazanie; proroczym duchem przepowiadał on klęski, jakie brak jedności i ducha stronnictwa na kraj sprowadzić mogą, dalej ze znaną wszystkim prawdomownością zalecał oględność w zaufaniu jakie położą w przewódzcach: »bo są ludzie — mówił — którym prywata stokroć milsza od dobra ogółu«, a cały ten obraz tak dobitnie był skreślony, że wszystkich oczy zwróciły się na pana Bierzyńskiego, którego wielu za zręcznego raczej intryganta i ajenta starej królowej, niż za wylanego obrońcę swobód narodowych uważało *).

Wkrótce potem pan Pac z marszałkiem Łomżyńskim pojechali dla obejrzenia nagromadzonych za staraniem pana Kierskiego zasobów, a niedługo udali się przedniejsi konfederaci na naradę do Chocimia.

Wszystkie części Polski reprezentowane tam były. Pan Pac i podkomorzy Narbutt przedstawiali Litwę, Pułascy i dwóch

*) Rulhière.

z okolicznej szlachty Wołyń i Podole, pan Bierzyński Wielkopolskę, dwaj Łomżanie Xięstwo mazowieckie, największą zaś powagę w kraju, bo hetmańską, przedstawiał pan Wilczek, wysłannik starego hetmana Branickiego. Żałowano tylko nieobecności biskupa Kamienieckiego, o którego bytności w tych czasach na Podolu mało kto wiedział, a i ci utrzymywali, że się wydalił teraz. Dwa dni trwała narada w Chocimiu, a trzeciego znaleźli się wszyscy razem w Dunajowcach, i zajęci byli obszerną korespondencją, którą na wszystkie strony kraju rozesłano.

Marszałek Łomżyński, którego zajęcie było całkiem wojskowe, wieczory spędzał w towarzystwie pań, i zaraz drugiego dnia po powrocie z Kamieńca, po kolacji, oświadczył obu siostrom, że ma potrzebę pomówienia z niemi na osobności, a te wyszły z nim do bibljoteki.

Zamkniętych drzwi do bawialni paź pilnował, a obie panie wraz z panem Kazimierzem, koło owego stołu orzechowego zasiadły. Na twarzach obu malowało się jakieś pomięszanie, zapewne skutkiem tych solennych zaprosin do rozmowy będące; spostrzegł to pan Kazimierz, i zaraz z powagą ozwał się do nich:

— Nadeszła przecie długo oczekiwana chwila wznowienia boju z nieprzyjaciołmi kraju, a okolica ta będzie niewątpliwie świadkiem pierwszych usiłowań naszych; na razie bowiem w Chocimiu stanęła decyzja, że ja i brat mój Franciszek zajmiemy Żwaniec i Okopy Śtej Trójcy, dwa punkta strategiczne jeszcze przez wielkiej pamięci króla Jana za ważne uznane; bo armji tureckiej nieprzyjacielskiej bronią one przejścia Dniestru, sprzymierzonej zaś z nami ułatwiają

je; dlatego to wszelkie zapasy w bliskości tych dwóch punktów nagromadzono. W takiem położeniu pojmą panie, że czy ze względu walki z Moskwą, czy z przyczyny przejścia armji tureckiej, pobyt ich w Dunajowcach stał się niepożądanym, i o tem zawiadomić panie mam sobie za obowiązek. To wydalenie zasmuci niewątpliwie wszystkie serca im wylane, ale pewność bezpieczeństwa ich osładzać będzie to przykre wrażenie.

Wysłuchawszy przestrogi pana Kazimierza, odrzekła królewiczowa: Że przyjazd ich i dłuższy pobyt w Dunajowcach za radą i na żądanie księdza biskupa Kamienieckiego nastąpił, który miał różne do tego powody; niepodobna im tedy nic przedsięwziąć bez jego wiedzy.

— Nie wiem ja — dodała — czy wiadomo panu marszałkowi, że ksiądz biskup jakiś czas przebywał w tych stronach, w wielkiem wprawdzie ukryciu dla wszystkich ale nie dla nas, któreśmy go kilka razy widziały; upewnił on nas, że skoro nadejdzie potrzeba wyjazdu zawiadomione będziemy, a że dotąd nic nas nie doszło; o radę tedy prosimy jak sobie w tym razie postąpić mamy.

— Miłościwa Pani — odrzekł młodzian — pewien ja jestem, że bezpieczeństwo Waszej Królewiczowskiej Mości i jej siostry tak mocno obchodzi księdza biskupa, że niebawem będą panie miały wiadomość od niego.

— Listowną tylko chyba — mówiła królewiczowa — a ta jest niedostateczną do załatwienia wielu ważnych kwestji, bo trzeba panu wiedzieć, że przed kilkunastu dniami pożegnał nas stryj w daleką udając się podróż, i któż wie, czy dziś w Wiedniu, a może i w Paryżu nie znajduje się.

— Może to być — odrzekł młodzieniec — ale kto zna księdza biskupa i sposób traktowania interesów, ten nigdy z pewnością powiedzieć nie może, gdzie się on znajduje, bo często jest tam, gdzie go się najmniej spodziewają.

Kiedy domawiał tych słów, jakiś szelest zrobił się po za siedzącemi paniami, odwróciły się też przestraszone, i ujrzały jedną część szafy bibljotecznej otwierającą się, za nią ukazało się ciemne przejście, a w niem stał ksiądz biskup Kamieniecki.

Obie siostry zerwały się z siedzenia.

— Stryju kochany, Bóg cię tu sprowadza! — zawołały i pospieszyły na powitanie go.

Uściskał on je serdecznie, panu Kazimierzowi podał rękę, którą on ucałował, a potem przezorny prałat spojrzał na drzwi do bawialni prowadzące.

— Czyśmy sami? — zapytał.

— Nikt tu nie wejdzie, zaręczam — odrzekła pani Świdzińska.

Na tę pewność usiadł i patrząc na obie siostry:

— Przedewszystkiem sprawy publiczne, moje panie! — zawołał, i zwrócił się do pana Kazimierza:

— W jakimże stanie zastałeś panie marszałku Okopy Śtej Trójcy? — pytał.

— W bardzo nędznym — odrzekł zapytany — wszystkie roboty z muru mocno uszkodzone, ziemnemi je zastąpić trzeba będzie i to od strony Żwańca, bo jak lody puszczą, to z jednej strony Dniestrem, z drugiej Zbruczem oblana ta góra niedostępną będzie; a do umocnienia baterjami trzeciej wszelkiego dołożę starania.

— A ochotników dużo też przybywa? — pytał biskup.

— Co dzień po kilkudziesięciu, i jeżeli tak potrwa, to daleko ich więcej będzie, niż w Żwańcu i Okopach pomieścić będzie można.

— Dostateczna liczba żołnierza — mówił biskup — z takim dowódzcą jak ty panie marszałku, niepodobnych nawet rzeczy dokazać jest w stanie.

Ukłonem odpowiedział pan Kazimierz na te pochlebne wyrazy, a biskup odwracając się do pań:

— Słyszałem ja — mówił — rozmowę waszą z panem marszałkiem Łomżyńskim, i radę jaką wam dawał, to i w zupełności podzielam zdanie jego. Opuścić Dunajowce jest dla was koniecznością; jedźcie tedy za Wisłę, a raz na tamtej stronie, u xiężnej wojewodziny lubelskiej możecie czas jakiś zabawić, bo chociaż Janowiec jest na samym brzegu rzeki, myślę jednak, że nie tak prędko wojna przeniesie się w Zawiślańskie strony. Potem naturalnie udacie się do Maleszowej, albo Sulgostowa, a gdyby i tam wam nie było bezpiecznie, to w Piaskowej Skale, albo w Suchej mile was przyjmą Wielopolscy a ztamtąd, i na Węgry i do Moraw nie daleko.

Tu powstał, i biorąc panią Świdzińskę za rękę:

— Teraz z tobą mam pomówić moja Basiu — rzekł i poprowadził ją do sypialni, a królewiczowa została z panem Kazimierzem.

— Słusznie pan marszałek twierdziłeś — rzekła — że trudno wiedzieć, gdzie jest, i kiedy się ukaże ksiądz biskup, a ja wszystkiego bym się prędzej spodziewała była jak obecności jego tutaj, a bardzo nam jest użyteczną, bo ona

mocno wpływa na decyzję naszą. Od jutra zajmiemy się przygotowaniem do podróży, i za parę dni będziemy gotowe do wyjazdu. A gdziekolwiek los nas obróci — dodała nieśmiało — wszędzie modły gorące wznosić będziemy za pomyślność tej ziemi naszej, i najdzielniejszego jej obrońcy.

I wyciągnęła rękę, którą ze drżeniem do ust przyciskał młodzieniec.

— O! pewien ja jestem — odrzekł wzruszony — że Bóg wysłucha modłów anioła swego, i że cały wyjdę z walki za tę sprawę, której żywot mój poświęciłem; ale gdyby ta upaść miała.... wtenczas zgon rycerski na polu bitwy uproś mi pani!

Nie do opisania wzruszenie przejęło biedną kobietę, odwróciła się od okna żeby ukryć łzy rzewne — a poruszony do głębi duszy młodzieniec, klęcząc całował rękę jej z uniesieniem... potem powstał, bo usłyszał nadchodzących z sypialni.

Biskup czule żegnał synowicę i pana Kazimierza, błogosławił ich, i szedł do skrytego przejścia, a kobiety i pan Kazimierz postępowali za nim. Minąwszy je, znaleźli się w kaplicy, gdzie czekał pan Kulczycki, a ujrzawszy nadchodzące panie nizko on się ukłonił, a potem przystępując do konfesjonału, przycisnął jeden z wyskoków na tylnej ścianie wyrzeźbiony, ta się usunęła na bok, i odkryła korytarz, a biskup wszedł weń wraz z swoim towarzyszem, i zniknął.

We dwa dni po widzeniu się z biskupem wyruszyły obie siostry w podróż, a orszak konfederatów towarzyszył im do Dniestru; pozostał tylko przy nich pan Goljan, który miał je odprowadzić do Janowca, a przywieźć panu Kazimierzowi wiadomość, że są już w bezpiecznem miejscu.

W bliskości Żwańca i Chocimia jest góra wyniosła, której dwa strome i skaliste boki oblewa z jednej strony Dniestr, z drugiej Zbrucz, i te się łączą u jej podnóża, a jedynie trzeci brzeg, najwęższy, przystępną przedstawia spadzistość.

W każdej prawie wojnie, czy to z Wołoszą, czy z Turkiem, tędy przechodziły wojska Rzeczypospolitej, przez bród Kozaki zwany, i jeszcze Jan Tarnowski idąc przeciwko Wołochom w tem miejscu Dniestr przebywał.

Król Jan III w ciągłych wojnach swoich z Portą Ottomańską, chcąc sobie zapewnić możność pochodu naprzód i bezpieczny odwrót na przypadek klęski, wystawił na tej górze twierdzę, którą dla inwokacji, pod jaką był tam kościół, Okopami Śtej Trójcy nazwał.

Na końcu długiej i wązkiej płaszczyzny, jaką przedstawia szczyt góry, w miejscu jedynie przystępnem, wznosiła się owa warownia, murem, wałami i blankami obwiedziona; do niej się trzema wjeżdżało bramami, a każda miała nazwę swoją: jedna Polska, druga Hetmańska, trzecia Chocimska.

We wnętrzu twierdzy był kościół, prochownia, magazyny na żywność i amunicją, kazamaty dla załogi, w końcu nie wiele domów prywatnych i studnie, a płaszczyzna cała żyzna i łatwa do uprawy, zapewniała w czasie dłuższego oblężenia możność wyżywienia załogi *). Kiedy po trakcie Karłowickim ustała obawa zagonów tureckich, zaniedbano Okopy; to też waliły się mury, zasuwały przekopy, i cała twierdza obraz upadku przedstawiała.

Takie to miejsce, w skutek narady w Chocimiu, zajęli konfederaci i czynnie się wzięli do poprawienia uszkodzonych fortyfikacji.

Pomimo zimowej pory mnóstwo ludzi sypało wały, zwożono żywność i amunicje, urządzono szpital, oczyszczono mieszkania, i umieszczono konie, które do wycieczek służyć miały, a wszystkie te roboty z pospiechem wykonane, nie odznaczały się wprawdzie dokładnością, nie mniej opór możliwym czyniły.

Oddział, jakim dowodził marszałek Łomżyński, znacznie zwiększony ochotnikami, w dwójnasób prawie urósł, a dowódzca podzielił go na trzy części: jedna zajęła Okopy, z drugą pan Franciszek Pułaski osadził Żwaniec, a trzecia pod wodzą Bierzyńskiego stanęła w dwóch wsiach tuż koło Okopów leżących, i ta patrolowała w okolicy.

Dwa tygodnie z górą spokojność była zupełna; kiedy jednego dnia wracający ze zwiadów oddział zawiadomił o zbliżającym się nieprzyjacielu. Na tę wieść marszałek zebrał wszystkie siły swoje, małą tylko liczbę nowozaciężnych ochotników zostawił w Okopach i w Żwańcu, a sam w towarzystwie braci ruszył na spotkanie Moskali.

*) Rulhiére tak opisuje te miejscowości.

Znaczne to były siły, z któremi mieli zetrzeć się konfederaci, o wiele one przechodziły zastęp Barszczan, szczególnie wielka ilość dział, które prowadzili Moskale, ogromną stanowiła różnicę; bo konfederaci, oprócz tych jakie były na wałach Żwańca i Okopów, polowych wcale nie mieli. Ależ znajomość dokładna miejscowości i zapał jaki ożywiał towarzyszy marszałka Łomżyńskiego, równoważyły tę liczebną różnicę.

Nocą, szybkim nadzwyczaj marszem pan Szyc zmylił rachubę nieprzyjaciela; w lesie, gdzie go się najmniej spodziewano, zrobił zasadzkę, a kiedy ją pominęli Moskale i znaczną przestrzeń uszli, uderzył na nich z kawalerją marszałek. Przez cały przeciąg tej epopei Barskiej, nigdzie prawie niedotrzymali Moskale temu szalonemu natarciu; to też cofać się poczęli, a kiedy zbliżyli się do lasu, w którym czekał pan Szyc, dzielni strzelcy jego zmięszali ich ogniem karabinowym, a ci parci przez konnicę z przodu, a rażeni strzałami z tyłu, w nieładzie ustępowali.

W tem spotkaniu ranny koń Antoniego Pułaskiego, który prowadził jedną z chorągwi uniósł go; w szalonym biegu, przewracał on wszystko co na drodze napotkał, i wpadł z jeźdzcem na tyły nieprzyjacielskie.

Bronił się długo i dzielnie młodzieniec, ale obskoczony zewsząd i ranny w rękę do niewoli wzięty został *).

*) Rulhière.

Widząc to, pozostali dwaj bracia największe czynili wysilenia, ażeby odbić pojmanego, ale Moskale po stroju, dzielnym koniu i sutym na nim przyborze, domyśleli się, że znakomitego jakiegoś dostali jeńca, spiesznie go też uprowadzili.

Ten bolesny wypadek nie złamał energji marszałka Łomżyńskiego; gonił on ze swymi nieprzyjaciela i nie mogąc odbić brata, starał się go pomścić przynajmniej, a potem z całym oddziałem wrócił na dawne stanowisko i te czas jakiś spokojnie zajmował, bo nieprzyjaciel czekał na posiłki i ciężkie działa, żeby rozpocząć jednocześnie oblężenie Okopów i Żwańca.

Parę tygodni zeszło znowu na małych utarczkach, w których oddział w bliskości Okopów rozłożony największy brał udział, kiedy pan Kazimierz odebrał wiadomość, że nieprzyjaciel w znacznej sile, z przyborami do oblężenia potrzebnemi zbliża się. Poczynił też przygotowania do obrony, i zaraz oddziałowi, którym dowodził Bierzyński, kazał się cofnąć w głąb kraju, w kierunku Kitajgrodu, tam rozłożyć się w jakiem lesistem miejscu, i wycieczkami niepokoić oblegającego Żwaniec i Okopy nieprzyjaciela.

Ważna było bardzo rzeczą mieć komunikacją między dwoma oblężonemi punktami; ale to zdało się rzeczą niemożliwą, raz dla tego, że skoro przewidywane oblężenie zacznie się, Moskale do samego Dniestru dotrą, powtóre niepodobieństwem było wyjść z tej stromej góry, kiedy od Żwańca stanie nieprzyjaciel.

O tej potrzebie wiedział Saga, bo pan Kazimierz z panem Szycem nieraz o tem w jego obecności rozmawiali;

to też teraz po zajęciu okopów, kiedy jeszcze o nieprzyjacielu słychać nie było, kręcił on się po brzegu Dniestru, między dwoma twierdzami, dla zbadania miejscowości.

Po długiem poszukiwaniu znalazł on na górze, gdzie stały Okopy, ścieżkę w skale wyżłobioną, nadzwyczaj stromą wprawdzie, ale dla zręcznego Cygana możliwą do przebycia; a że zarośnięta była krzakami, przez kilka dni przecinał on zarośla, i torował sobie przejście z okopów, wprawdzie niezbyt bezpieczne, ale możliwe.

Otrzymawszy ten pierwszy rezultat, spuszczał się ową ścieżką na lód, i po nad brzegiem podchodził nieraz pod Żwaniec, upatrując, którędyby można się dostać do twierdzy.

W jednej takiej exkursji zerwała się zawieja i zaskoczyła cygana w bliskości Żwańca; skrył się też w krzaki, które go nieco od wichru zasłaniały, i tam wyczekiwał końca zawiei.

Kiedy tak siedzi, coś ciemnego zaczęło się majaczyć przed oczyma jego; z początku nie mógł rozeznać coby to być mogło, ale po chwili, wpatrzywszy się lepiej, poznał, że to były dwa wilki. Wlokły się one wolno do brzegu, pod którym siedział Saga, a kiedy doszły zarośli, zniknęły mu z oczu.

Wyczekał cygan chwilę, a widząc że nie wychodzą, domyślił się że objedzone obległy w krzakach, dobył też zaraz pistolet z za pasa, i w nadziei że zejdzie spiących, podsuwał się ostrożnie, a doszedłszy zarośli, rozpatrywał się, znalazł ślady wilcze głęboko wyżłobione w śniegu ale wilków nie było; wniósł więc zaraz, że w skale musi być jakaś

nora, gdzie się skryły, a zeschłe siano i słoma, które tam leżały, kryjówkę tę zasłaniają.

Wziął się też spiesznie do odrzucania nagromadzonego barłogu, kiedy usłyszał szelest, a po chwili oba wystraszone wilki wypadły z ukrycia, w szalonym skoku przewróciły Sagę i umykały po lodzie. Po ich ujściu, z wysileniem wziął się cygan do usuwania zawady, a kiedy tę w znacznej części rozrzucił, przekonał się, że to co brał za norę, było ręką ludzką w skale wykute wnijście, na prędce widno sianem i słomą zapchane.

Wygartał je tedy, i po nie długim czasie ujrzał wązkie podziemie, w połowie długości światłem dziennem, które z góry padało, oświecone. Ciekawością zdjęty szedł niem, a kiedy stanął na końcu owego kurytarza, ujrzał na prawo strome schody, któremi się puścił w górę.

Im dalej szedł, tem ciemniej było, postępował też z ostrożnością wyciągając jedną rękę przed siebie, a drugą sunąc po ścianie przejścia, rachował on schody, i już był tak kilkadziesiąt ich przeszedł, kiedy wyciągnięta ręka napotkała jakąś zawadę; stanął też, długo suwał rękami po gołej skale, aż w końcu namacał drzwi gładkie zupełnie, bez zamku i klamki, wewnątrz widno zamknięte.

To odkrycie i kierunek podziemia przekonały cygana, że drzwi wychodzą już we wnętrzu fortecy; układał też sobie, że wróciwszy do Okopów zaraz pospieszy do Żwańca, uwiadomi o wszystkiem pana Franciszka i będą poszukiwać, gdzie wychodzi owe przejście.

Uradowany odkryciem swojem zabierał się już do powrotu, kiedy stuk jakiś jakby upuszczeniem ciężkiego przedmiotu spowodowany, zwrócił jego uwagę; przyłożył też ucho do drzwi, hałas się powtarzał, zdało się nawet cyganowi, że szmer jakiś przytłumionej rozmowy słyszy, zaczął więc bić pięściami we drzwi, i zaraz głos pytający: »kto to?« odbił się o uszy jego:

— Saga! Saga! — wołał uradowany — otwórzcie drzwi!

Musiały one być czemciś zawalone, bo słychać było że usuwano tę zawadę, potem silne uderzenie we drzwi nastąpiło, a za trzecim, czy czwartym razem puścił zamek, drzwi się rozwarły, a Saga przy świetle latarni ujrzał pana Zarzyckiego, który zdziwiony tem niespodzianem zjawieniem się cygana, zaczął go skwapliwie wypytywać, ale on nie odpowiadając wcale, żądał żeby go prowadzono do pana Franciszka.

Ten wysłuchawszy opowiadania Sagi, uznał za potrzebę zachowanie sekretu co do tego tajemnego przejścia; i zaraz naprawiono zamek u drzwi do podziemia prowadzących, i urządzono je w ten sposób, żeby Saga mógł się niemi dostawać do wnętrza twierdzy, Saga zaś prosił pana Franciszka o kilka słów do pana marszałka, a ten mu skreślił te pare wyrazów:

»Saga odkrył pewny sposób znoszenia się między nami.«

Uradowany cygan wrócił do Okopów, i nikomu się nie zwierzył z odkrycia swego.

Na drugi dzień marszałek z panem Szycem wyszli na przegląd, a Saga szedł za nimi; opuścili oni szańce, i z tyłu twierdzy oglądali konie w stajniach naprędce wystawionych pomieszczone, dalej piekarnie dla załogi, w końcu procho-

wnię we wnętrzu góry urządzoną, której dach z belek ziemią pokryty, zabezpieczał ją od bomb i granatów.

Po tym przeglądzie szli oni nad brzeg Dniestru, i patrząc na okolicę, myśleli o tem odosobnieniu od reszty świata, w jakiem się znajdą skoro nieprzyjaciel oblęże okopy.

Brak komunikacji ze Żwańcem szczególnie kłopotał pana Kazimierza i to było przedmiotem rozmowy jego z panem Szycem.

— Nie wiem cobym dał za to — mówił — gdybym miał możność znoszenia się z moim bratem, w tem bowiem wielkie korzyści upatruję; bo przyznasz mi przyjacielu, że wycieczka i napad niespodziewany, to najdzielniejszy środek paraliżowania oblężenia, zniszczenia nieprzyjacielowi długiem staraniem nagromadzonych przyborów, a ten napad ze Żwańca i z Okopów jednocześnie wykonany dwoiłby jeszcze siły nasze; a tu przepaść w około — dodał rozglądając się — i żadnej możności dostania się do Żwańca w obec nieprzyjaciela...

To mówiąc spojrzał przypadkowo na cygana, na którego twarzy uśmiech napotkał.

— Czego ty się uśmiechasz chłopcze? — zapytał.

— Bo ja sobie myślę — odrzekł zapytany — że to co tak kłopocze JWgo marszałka, to furda.

— Jakto? — pytali oba słuchacze podziwieniem zdjęci.

— Ot tak! — odrzekł filuternie Saga — że ja dziś nogą nie postał ani tu w bramie, ani w Żwańcu, a jednak byłem w kwaterze pana starościca i mówiłem z nim.

— Co ty gadasz? — wykrzyknął marszałek chwytając chłopaka za rękę.

— Prawdę mówię — odrzekł — i mam dowód na to. — Tu wyciągnął pismo pana Franciszka i pokazał go panu Kazimierzowi.

Obydwa z panem Szycem odczytali je i nie do opisania radość malowała się na ich twarzach, a pan Kazimierz patrząc z podziwieniem na cygana:

— Ha! chłopcze! — zawołał — nie wiesz jakąś mi usługę oddał; po niej nie zniósłbym, żeby ci kiedy bieda dokuczyć miała; w Kurdywanicach, które są moje, pięćdziesiąt morgów pola, chałupę i budynki gospodarskie na własność ci daruję!

— A ja — dodał pan Szyc — zapomogę dodaję.

Saga całował ręce dobrodziejów swoich, i wracając do twierdzy rozpowiadał im, jakim sposobem wilki naprowadziły go na podziemne przejście do Żwańca. Po tej rozmowie pan Kazimierz pospieszył do brata i tam przekonał się o prawdzie tego co Saga mówił.

Tymczasem codzień wychodzące zwiady wracały z wieścią o nadciągającym nieprzyjacielu, a w kilka dni po owem odkryciu cygana ujrzano z Okopów, ciągnące gęste szeregi Moskali. Zatoczyli oni obóz około obu twierdz, budowali baraki w przyzwoitej odległości od warowni, sypali baterje, robili blokhauzy, a pan Kazimierz z panem Szycem, z wieży kościelnej, przez dobrą perspektywę, przypatrywali się tym przygotowaniom.

Trwało to dni kilka, a przez ten czas ani jednego niezamieniono strzału; Konfederaci nie strzelali dlatego, że kule ich niedosięgłyby robót, a Moskale, choć cięższe i dalej niosące działa mieli od przeciwników swoich, nie mając

posypanych baterji nie rozpoczynali ognia. Ale w niedługim czasie wzniesiono szańce, i jednocześnie przed Żwańcem i Okopami zagrzmiały działa, miotając grad pocisków w obie twierdze.

Miasteczko Żwaniec leży na płaszczyźnie, w końcu której jest wzgórze, na niem dawny zamek murem obwiedziony i fortyfikowany; była to niejako cytadela tej mieściny. *) W niej się zamknął pan Franciszek ze swoją komendą.

Moskale zaraz po przybyciu swojem chcieli zdobyć miasteczko, ależ próżne były ich usiłowania; ze stratą odparci cofnąć się musieli, i ograniczyli się na działowym ogniu, a rzucane przez nich granaty, zapaliły kilka domów.

Konfederaci z pomocą mieszkańców ugasili go wprawdzie, ale pan Franciszek nie chcąc narazić miasta na daremne zniszczenie, cofnął się do zamku, a tam zatknięte na wałach chorągwie oznajmiły Moskalom jego obecność.

W Okopach inaczej było. Nieliczne budynki nie przedstawiały takiej pastwy dla płomieni jak ściśnione domy w Żwańcu, a źle obliczona odległość przez Moskali była powodem, że strzały ich w początku wielkiej nie robiły szkody, osypywały jednak ze zmarzłej ziemi na prędce wzniesione szańce.

Od świtu do południa trwał ogień działowy, a kiedy ustał, ukazała się kolumna moskiewska do ataku idąca. Nieśli oni drabiny i pęki faszyn i wśród ognia armatniego z Okopów biegiem spieszyli, a kiedy dopadli do fosy, rzucali w nią pęki i przystawiali drabiny, ale konfederaci bli-

*) Rulhière.

skiemi i celnemi strzałami, strasznie ich razili, przewracali drabiny uginające się pod ciężarem ludzi, a nim zepchnięci podnieść się zdołali, z garłaczów gradem półkulczów zasypywali ich.

W jednym tylko punkcie, gdzie zginęło kilku broniących go, kilkudziesiąt Moskali zdołało wedrzeć się na wały, ale spostrzegł to pan Kazimierz, z rezerwą z najdzielniejszych ludzi złożoną uderzył na nich, wyrąbał do nogi co było na wale, zepchnął drabiny i ogniem karabinowym zmusił resztę do odwrotu. Widząc niepodobieństwo zdobycia twierdzy, cała kolumna cofać się poczęła, a w tym pochodzie wszystkie działa warowni kartaczami raziły ich z tyłu.

Przejście przez Sagę odkryte wielce pomocne było, Moskale bowiem dobrze znali miejscowość Okopów Śtej Trójcy, wiedzieli oni, że z tej strony góry nie było innego podobieństwa wyjścia jak miejscem, przed którem się obozem rozłożyli, nie dotarli też do samego Dniestru, chcąc wszystkie siły swoje mieć skupione; a że o tajnem przejściu do Żwańca nic nie wiedzieli, mógł też bezpiecznie cygan odbywać wycieczki swoje, i umożebnił komunikację.

Pan Kazimierz zaufany w odwadze swoich podkomendnych, pojął zaraz, że w tem obliczeniu nie mogąc sprostać nieprzyjacielowi, ani liczebnie, ani pod względem artylerji; całą więc nadzieję jakichkolwiek korzyści pokładać może tylko na wycieczkach, gdzie przytomność i osobista odwaga napadających przeciwważy często materjalną i numeryczną wyższość nieprzyjaciela. To też zaraz w pierwszych dniach oblężenia polecił bratu, żeby imieniem jego dał rozkaz Bierzyńskiemu

posunięcia się o ile możności ku Żwańcowi, i tam, w ukryciu oczekiwania dalszych poleceń.

Na rozstawnych koniach poniósł ten ordynans pan Zarzycki, a Bierzyński wyruszył dla spełnienia go. Z łatwością mu to przyszło; Moskale bowiem mniemali, że żadnej partji Konfederatów nie było w okolicy, i że tak ci co przyszli z Wołoszczyzny, jak i ci co złączyli się z nimi w czasie pobytu w Dunajowcach, słowem cała komenda pana marszałka Łomżyńskiego zamknęła się w Żwańcu i Okopach; o oderwanym tedy oddziale Bierzyńskiego nic nie wiedzieli. Bez przeszkody też stanął on w dużej wsi, na ustroniu leżącej, o dwie małe mile od Żwańca położonej, otoczył ją czatami, które nikogo ze wsi nie wypuszczały, i tam bezpieczny oczekiwał dalszych rozkazów.

O tym flankowanym marszu Bierzyńskiego uwiadomił pana Franciszka porucznik, który w pochodzie Bierzyńskiemu towarzyszył, a ta wiadomość za pośrednictwem Sagi doszła marszałka Łomżyńskiego.

Dwa dni czekał Bierzyński w swojem ukryciu, a trzeciego rozpoczął się atak, który opisałem. Zaraz na początku zmiarkował pan Kazimierz, że się tu na zamianie armatnich strzałów nie skończy, i że Moskale kusić się będą o zdobycie naprędce wzniesionych szańców przez niego bronionych, ale miał to moralne przekonanie, na doświadczeniu oparte, że jakkolwiek silne będzie natarcie, odeprą je dzielni obrońcy Okopów, a nieprzyjaciel tem wysileniem znużony, żądnym będzie wypoczynku, dlatego też postanowił zrobić napad nocny, i zaraz Saga poniósł do Żwańca rozkazy stosowne.

W skutek takowych, Bierzyński miał się podsunąć jak można najbliżej nieprzyjaciela, i w lesie, który się rozciągał na lewem skrzydle Moskali, czekać, aż sygnał ze Żwańca uwiadomi go o chwili stosownej do natarcia; jednocześnie pan Franciszek miał być w pogotowiu do uderzenia na front nieprzyjaciela, marszałek zaś zobowiązał się zrobić wycieczkę na oblegających Okopy, a wszystkie te trzy napady o samej północy miały być wykonane.

Tu muszę wspomnieć jakie były siły konfederatów. Oddział z Wołoszczyzny przybyły 600 koni wynoszący, w dwójnasób powiększył się w czasie pobytu na Podolu, jak to pan Kazimierz biskupowi kamienieckiemu oznajmił.

W chwili tedy zajęcia Okopów i Żwańca, było pod rozkazami marszałka Łomżyńskiego przeszło 1200 ludzi do boju zdatnych, i tych podzielił on na trzy części: 300 ludzi zostawił sobie w Okopach, 400 przeszło osadziło Żwaniec, a pod Bierzyńskim pozostało 500, do których przybyło jeszcze nieco ochotników w czasie pobytu koło Kitajgrodu, tak że w chwili przejścia pod Żwaniec przeszło 600 koni liczył pod komendą swoją. Z takiemi to siłami postanowił pan Kazimierz, uderzyć na sześć razy liczniejszego nieprzyjaciela.

Już się zupełnie zciemniło, kiedy cofnęli się Moskale na obu zaatakowanych punktach, a marszałek zajął się przygotowaniem do nocnego napadu.

Oddział jego składał się z trzydziestu determinowanej szlachty, kilkudziesięciu kozaków wypróbowanej wierności i odwagi, trochę artylerzystów co obsługiwali działa, w końcu ze strzelców pana Szyca, tego strasznego żołnierza, którego

czyny podziwienie wzbudzały nawet w takich ludziach, jakimi byli konfederaci Barscy, i tych było przeszło dwustu. Pan Szyc miał pozostać w Okopach, z nim sto strzelców i jego artylerzyści, a we dwieście koni miał pan Kazimierz zrobić wycieczkę.

Około dziesiątej zaczęto kulbaczyć konie, rozdano wódkę żołnierzom, i cały ten zastęp z marszałkiem na czele stanął w zakrytej drodze *(chemin couvert)* co prowadziła na pole, a pan Kazimierz z panem Szycem stojąc na parapecie przypatrywali się w kierunku Żwańca obozowi moskiewskiemu.

Gwar towarzyszący tak licznemu zebraniu ludzi ustał, ognie obozowe gasnąć poczęły, i tylko jak punkta światłe odznaczały przestrzeń przez nieprzyjaciela zajmowaną; w oddali czernił się Żwaniec, nad nim jak gwiazdki lśniły się oświecone gdzieniegdzie okna zamku.

Obaj dowódzcy rozmawiali o nastąpić mającym ataku, wiedzieli oni że choćby najszczęśliwszy był rezultat, nie zmuszą nieprzyjaciela do zaniechania oblężenia, ale niszcząc roboty jego koło twierdzy zyskają na czasie, przeciągną oblężenie do wiosny, a wtedy nadciągnie spodziewana armja turecka.

Tymczasem północ już nadchodziła, pianie kogutów oznajmiło to dzienne przesilenie; pan Kazimierz i pan Szyc oka niespuszczali ze Żwańca, i po chwili błysnęło światło po nad zamkiem, jak ogon komety wznosiło się w górze, potem huk nastąpił i zaraz wieniec *) oświecił przez kilka se-

*) Wieniec, wyraz używany.

kund całą okolicę. Był to racą dany znak natarcia; otworzono zaraz bramy, i dzielny zastęp popędził naprzód.

Po dużym śniegu w cichości biegły konie, założone na kruczki szable żadnego szczęku nie wydawały, to też niepostrzeżony przez nieprzyjaciela znalazł się cały oddział wśród baterji moskiewskich, a jednocześnie huk wystrzałów i gwar napadu od strony Żwańca i lasu oznajmił panu Kazimierzowi, że brat jego i Bierzyński bój rozpoczęli.

Zbudzony ze snu, zmęczony całodziennym szturmen żołnierz, niemógł się od razu opamiętać, to też pierwsi na których wpadli nacierający, uciekać poczęli, zostawiając działa, które gwoździli konfederaci; potem w kilkudziesąt miejscach podpalili obóz, i wszczął się pożar niezmierny. Wielu uspionych poginęło w ogniu, wiele zasobów spłonęło, nareszcie ogień doszedł do pozostawionych kilku jaszczyków z amunicją, których uprowadzić niezdołano, i te z hukiem wyleciały w powietrze, a tym wybuchem zapalone granaty padając na ziemię, pękały i raziły Moskali.

Pan Kazimierz widząc cel osiągnięty, zdał komendę Golianowi, i kazał mu ze zdobyczą i niewolnikami cofać się do Okopów, a kiedy zdziwiony tym rozkazem Golian pytał go, co z sobą zrobić zamyśla.

— Do Żwańca ruszam — odrzekł krótko.

— Ależ nieprzyjaciel — mówił Golian — rano wróci na dawne stanowisko swoje, i drogę panu przetnie.

— To nic nie znaczy — zawołał pan Kazimierz — dam ja sobie radę, bądź spokojny.

I wykręcając się na siodle:

— Saga za mną — zawołał, i oba co konie wypaść mogły pędzili ku Żwańcowi.

Nie do opisania podziwienie malowało się na twarzach Goliana i jego towarzyszy. Wnieśli oni że jakieś względy im nieznane zmusiły pana Kazimierza do oddalenia się, a że niesłychanem otaczali go zaufaniem, że wielu fatalistycznie wierzyło w szczęście jego, smutkiem ich też przejęło to opuszczenie, i stanąwszy w twierdzy skargi swoje rozwodzić poczęli przed panem Szycem, ale ten zgromił ich surowo i stanowczo oświadczył, że ich obowiązek jest ślepo wykonywać rozkazy dowódzcy, a nie kontrolować jego czynności.

— A co do naszego marszałka — rzekł — to jak tego będzie widział konieczną potrzebę, to wróci do nas.

— Ale którędy? którędy? — wołali rozżaleni — chyba z nieba spadnie!

Pan Szyc chcąc w tych prostych umysłach utwierdzić tę zabobonną wiarę, jaką większa część pokładała w szczęściu pana Kazimierza:

— I z nieba spadnie, jak zechce! — zawołał — ja wam powiadam! — I patrzał z wyrazem pewności na słuchających, a widząc zadziwienie, nie zaś niewiarę na ich twarzach:

— Teraz konie rozkulbaczyć — dodał — i iść na spoczynek.

Zaledwie domawiał tych słów, rżenie koni ozwało się za bramą.

— To Marszałek wraca! — wołali uradowani, i ruszyli do bramy, ale gdy ją rozwarli, wbiegł w nią Wijun, a obok, powodem do niego przywiązany, wierzchowiec Marszałka.

Oba konie miały na sobie całkowity rynsztunek, siodła na wojłokach i pistolety w olstrach, jeźdźców tylko brakowało.

Łatwo pojąć zadziwienie wszystkich na ten niespodziany widok, w milczeniu patrzali oni na zadyszane konie, tylko pan Szyc uśmiechał się kręcąc wąsy, a po chwili zwrócił się do stajennego pana Kazimierza.

— Bierz konie — zawołał — wytrzeć je słomą, nakryć kocami, napoić i nakarmić. A wy dzieci dodał, do stajen, marsz!

I zaraz ruszyli wszyscy i najdziwniejsze wnioski poczęli robić o tem zniknięciu Marszałka, i o powrocie jego wierzchowca i Wijuna.

Ale wracajmy na pobojowisko.

Skoro pan Kazimierz zdał komendę Golianowi, przebiegł zamarznięty Zbrucz i dążył pod Żwaniec, gdzie napad powiódł się równie pomyślnie jak z Okopów zrobiony, a że tu w większej sile byli konfederaci, strata też nieprzyjaciela w zabitych i rannych była znaczniejszą i korzyści większe.

Zaraz na początku napadu Moskale spiesznie opuścili obóz, i zdala uszykowani na polu, w wielkiej niepewności i obawie oczekiwali dnia.

Na to ich usposobienie nie wpłynął napad ze Żwańca dokonany, bo ten był do przewidzenia, ale niespodziany atak Bierzyńskiego zmylił wszystkie ich rachuby, i jak w każdej niepewności był on powodem do dziwnych wniosków, a w ich liczbie możność pomocy Tureckiej wielką odgrywała rolę. Łatwo więc pojąć, dla czego bez oporu pra-

wie wyszli z obozu, wyrzekli się dział ciężkich, i nagromadzonej w baterjach amunicji, i cofnęli się zdala od Żwańca.

Takie było położenie rzeczy, kiedy nadjechał pan Kazimier z cyganem. Serdecznie witał on i brata i pana Bierzyńskiego, potem należne pochwały oddawał obu oddziałom, zdobycz zaś kazał przenieść do Zamku. Z pomocą mieszkańców Żwańca uprowadzono na Zamek amunicją, rynsztunek wojenny, znaczny zapas żywności; konie umieszczono w miasteczku, zagwożdżono działa, rozrzucono baterje — a kiedy to dokonanem zostało, Marszałek kazał zapalić obóz, żeby nieprzyjaciela pozbawić schronienia.

Resztę nocy spędziły oba oddziały na uczcie wesołej, a zabrane w obozie moskiewskim wiktuały dostarczyły środków po temu; starszyzna zaś zebrana w zamku radziła.

Wiadomości, jakie przez Chocim dochodziły, dozwalały więcej jak kiedykolwiek rachować na pomoc turecką, a miarą zapału, jaki ożywiał Turków, było usposobienie garnizonu Chocimia, czego jasne dowody miał pan Franciszek w czasie kilkokrotnej bytności swojej u tamecznego baszy; szczególną zaś sympatją dla sprawy polskiej odznaczało się dwóch Agów janczarów, co na owych polowaniach na stepie, na parę lat jeszcze przed konfederacją, zapoznali się ze starościcami Wareckimi i dusznie się do nich przywiązali. Było więc koniecznością trzymać się w Żwańcu i Okopach; Bierzyński tylko dostał inne przeznaczenie, bo zamiast wracać na dawne stanowisko swoje, polecił mu marszałek Łomżyński wzdłuż Zbrucza posuwać się ku Skale, i tam w bezpiecznem jakiem miejscu oczekiwać nadejścia ich z Turkami.

Poczyniwszy takie dyspozycje oświadczył marszałek obecnym, że niechcąc zdradzać przed nikim tajemnego przejścia do Żwańca, ani sposobu dostania się do Okopów, w nocy dopiero opuści ich; na wypoczynku tedy i ugoszczeniu upragnionego gościa zeszedł dzień cały.

Nie tak swobodnie i wesoło było w Okopoch; odniesione nawet zwycięztwo, nie mogło pocieszyć towarzyszy pana Kazimierza z nieobecności jego; przewidywane przez nich przecięcie komunikacji ze Żwańcem, ziściło się, bo chociaż Moskale nie wrócili do spalonego obozu, nie mniej kozacy snuli się po zgliszczach, szczególnie po nad brzegami Zbrucza widno ich było uwijających się ciągle.

Dla tych powodów smutnie im zeszedł dzień cały, a jak się noc zrobiła, korzystając z odelgi rozłożono ognie, przy jednym zasiadła szlachta, przy drugim kozacy, trzeci obsiedli strzelcy pana Szyca, i dopieroż zawodzili Ukraińcy smutne dumki swoje, a te żałośne tony były w harmonji z tęsknem usposobieniem słuchaczy.

Przy ognisku, które obsiadła szlachta, nie spiewano, ale rozmawiano o tem opuszczeniu w jakiem się znajdowali. Wszyscy smutni, upadli na duchu, pytania robili panu Goljanowi jako zaufanemu marszałka i jedynemu, z którym kilka słów zamienił przy odjeździe do Żwańca. Nie wiele on mógł ich poinformować, jak wiemy, bo prócz kilku słów zapewnienia, żeby się o niego nie obawiano, nic więcej przy odjeździe pan Kazimierz nie powiedział. Niespodziany powrót Wijuna i konia, na którym siedział marszałek, do reszty ich zbił z tropu: »bo jeżeliż miał wrócić — mówili — pocóż się pozbywał konia?«

Smutek tedy był ogólny, a pan Golian osobiście tym wypadkiem dotknięty, żalu swego nie ukrywał.

— Mam ja to przekonanie — mówił — że marszałek lekkomyślnie tego nie uczynił, ale uległ jakiejś konieczności nam nieznanej; czemuż jednak na tę niebezpieczną wyprawę nie wziął mnie z sobą!... Czyż nie wie, że ja przysięgły towarzysz jego!... że w każdej potrzebie piersiami bym go memi zasłaniał!... Nie miał względu na to, pogardził mną i wziął za towarzysza kogo?... cygana! O! to bolesne, moi panowie! — dodał rozżalony i zakrył twarz rękami, żeby ukryć wzruszenie.

Chwila była milczenia, kiedy nagle z drugiej strony ognia, kilku szlachty naprzeciw Goliana siedzących, zerwało się na równe nogi, i jakby nadnaturalnym jakim pojawem przestraszeni:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — wykrzyknęli.

— I ja go chwalę — ozwał się głos po za Goljanem, a ten odwróciwszy się ujrzał stojącego pana Kazimierza, który z uśmiechem patrząc na nich:

— A cóż to, panowie bracia! — zawołał — czyście mnie wzięli za upiora, że mnie exorcyzmem witacie?

Po tych wyrazach nie do opisania radość zabłysła na wszystkich twarzach, szlachta, kozaki i strzelcy otoczyli ukochanego przez nich dowódzcę i całowali ręce jego, a ten zwrócił się do Goljana.

— Ty zaś Stanisławie — mówił — nie miej do mnie żalu, bo ja nieufnością nie zgrzeszyłem względem ciebie, a Sagą nie pomiataj, bo ty nie wiesz jaką on nam oddał usługę, a że to nie pierwsza, to wiadomo wszystkim.

Tu pan Golian postąpił do cygana, uchwycił go za szyję, i całował go w głowę, a konfederaci do okrzyków wydawanych na cześć marszałka dodawali wiwaty i dla Sagi.

Kilka dni upłynęło nim ujrzano znowu nieprzyjaciela. Po zniszczeniu obozu zajął on wioski w bliskości Okopów leżące, i tam sposobił się dalej do oblężenia.

Nowe działa prowadzono spiesznie, żeby niemi zastąpić pogwożdżone przez konfederatów, gromadzono potrzebne materjały do odbudowania spalonego obozu, żywność wszelkiego rodzaju, furaż dla koni zabierano po dworach, a kiedy to wszystko było pod ręką, podstąpili Moskale pod obie twierdze, i baraki i szańce spiesznie wznosili. Pomimo tej obecności nieprzyjaciela tajemnem przejściem utrzymywany był ciągle stosunek między obu warowniami, i wieści o tem, co się działo w Turcji, dochodziły marszałka Łomżyńskiego, ale te na nieszczęście nie były pomyślne.

Przygotowania wprawdzie do wojny z Moskwą były tam olbrzymie, ale na czele władzy stał fanatyczny Muzułmanin, który wszystkich chrześcian jednakowo nienawidził i odrzucał ze wzgardą wszelki sojusz z giaurami. Zabezpieczenie Turcji od najazdów moskiewskich upatrywał on nie w przymierzu z Polską, ale raczej w zupełnem zniszczeniu graniczących jej prowincji z Portą; chciał on żyzne te kraje w step zamienić, a tak oddzielony pustynią od Moskwy niepodobnem najście uczynić, i to w manifeście swoim wypowiedział *). Tym nowym Dżengischanem był Mehmet-Emin, niedawno wielkim Wezyrem mianowany.

---

*) Historyczne.

Prawego i sumiennego sułtana Mustafę oburzyło to założenie Wezyra, kazał mu je publicznie odwołać, ale ani władzy w kraju, ani dowództwa nad wojskiem nie odebrał mu, a to znane usposobienie Mehmet-Emina wpłynęło na podwładnych jego, ujętych złotem moskiewskiem. W liczbie zaś takich był i Basza chocimski.

Pułascy mieli stosunki bliskie z janczarami, tym uprzywilejowanym korpusem, co był niejako narodem w narodzie, przed którym drżeli najwyżej położeni, co Sułtanów z tronu składał, którego każdy objaw niezadowolenia wszystkich trwogą przejmował, a brzęk wywracanych kociołków z jedzeniem **) tem był dla uszu mieszkańców kraju, czem bicie na gwałt w dzwony w zbuntowanem mieście! Dowódzcy tych nowożytnych pretorjan nie wiele dbali o takiego urzędnika, jakim był basza chocimski, to też raz w obecności pana Franciszka w oczy mu wypowiedzieli, że jest przekupionym, a w tem całem zajściu z baszą szczególną sympatją dla sprawy polskiej, a przyjaźnią dla obu Pułaskich odznaczał się Abdalach-aga, wielkiego miru między janczarami używający, i za jego to pośrednictwem wszystko co dotyczyło sprawy polskiej, wiedział pan Franciszek i przez Sagę donosił bratu.

Takie wieści osłabiły bardzo wiarę marszałka w natychmiastową pomoc turecką; postanowił jednak wytrwać do końca, i do upadłego bronić zajętych przez siebie pozycji. Tym czasem pierwsze oznaki wiosny pojawiać się zaczęły, topniały śniegi i wody spadały, po zmarzniętej ziemi nare-

*) Zwykłe do buntu hasło janczarów.

szcie lody pękać poczęły, i kry ogromne toczyły obie rzeki, a Moskale, chcąc korzystać z tych ostatnich dni zimy, postanowili zdobyć obie warownie, i ujęciem albo śmiercią obu Pułaskich zakończyć konfederacją.

Ogromne oni mieli siły w porównaniu z oblężonymi, bo jak pamiętniki ówczesne opiewają, 15,000 stanęło pod samym Żwańcem, stósowna do tego liczba musiała oblegać Okopy, a jeszcze w pomoc tym nadciągał Galicyn we dwadzieścia cztery tysiące.

Pomimo tej niestósowności sił ani myśleli obaj Pułascy o poddaniu, ale raczej o chlubnym zgonie, kiedy jednego dnia, równo z brzaskiem dziennym, rozpoczęli Moskale straszny ogień armatni do twierdz obu, któremu słabo odpowiadało nie wiele dział konfederackich.

Do południa prawie trwał ogień bez przerwy, a potem do szturmu szła piechota. Pierwsze natarcie odparli Barszczanie i cofnęły się kolumny moskiewskie; zaraz za niemi ukazały się świeże, ale i te się dostać do Okopów nie mogły, a kiedy wysłana rezerwa nie była szczęśliwszą; zaniechano szturmu i znowu grzmiały działa.

Nareszcie noc się zrobiła, a z Okopów jak na dłoni, widno było palący się Żwaniec. Wiatr unosił kłęby dymu na bok, to też przy świetle łuny dokładnie dojrzeć można było czerniący się zamek, a nieustanne błyski jakie go okalały w całej jego długości, dowodziły że dzielnie broni się osada. Ale działa moskiewskie podsuwały się coraz bliżej coraz celniejsze były ich strzały, nareszcie buchnął płomień po nad dachem zamku, w momencie ogarnął go do koła, a czarny przed chwilą gmach jak olbrzymi słup ognisty

ukazał się oczom patrzących. Od tej chwili ogień działowy począł słabnąć widocznie, zwiastując nieuchronny upadek twierdzy.

Z bijącem sercem, ze wzrokiem wlepionym w płomienie, patrzał pan Kazimierz na to dzieło zniszczenia, a kiedy ucichły strzały:

— Zginęli! — wykrzyknął boleśnie — to trzecia mego rodu ofiara dla tej sprawy, której poświęciliśmy życie!

Tu otarł łzy mimowolnie cisnące się, a potem z tą przytomnością umysłu, co była cechą jego charakteru:

— Teraz dzieci — mówił — zagwoździć działa, wozy z amunicją ustawić w szopach i zapalić je.

W jednej chwili spełniono ten rozkaz, a kiedy w płomieniach stanęły liche budynki twierdzy:

— Za mną panowie bracia! — zawołał i ruszył w przeciwnym kierunku szańców.

Doszedłszy do stajen, w których stały już okulbaczone konie, marszałek zatrzymał oddział i obliczono się. Z trzystu przeszło ludzi, co weszli do Okopów, mało co więcej jak dwieście było w chwili wyjścia, reszta zginęła w czasie oblężenia.

Bolesna to była strata; to też w milczeniu siedli na koń i wolno postępowali, a zaledwie uszli połowę płaszczyzny, jaką przedstawiał szczyt Okopów, niezmierny huk rozległ się do koła, zdało się że góra zadrżała w posadzie swojej; to jaszczyki z amunicją wylatywały w powietrze. Doszli nareszcie do końca góry i tu ich zatrzymał marszałek, a sam z Sagą odjechał na bok i obiecał niebawem wrócić.

Straszna to była chwila... Wśród cieniów nocy nawykłe oko do blasku płomieni nic w bliskości rozeznać nie mogło, w oddali jak niezmierna pochodnia, świecił gorejący Żwaniec, bliżej nieco dopalały się budynki w Okopach, a po niedługim czasie na tle płomieni, zaczęły migać się cienie jakieś — to Moskale po długiem wahaniu się wchodzili do opuszczonych szańców...

Tak było z przodu, a z tyłu i boków noc czarna, wszędzie przepaście skałami najeżone, a u podnóża góry Dniestr i Zbrucz, w szalonym pędzie toczyły ogromne kry lodu, które z trzaskiem łamały się na skałach...

Przebić się było niemożliwem, wejścia broniły przepaście, cóż więc pozostało dzielnym obrońcom Okopów?... Oto zginąć mężnie postanowili i cichą modlitwą gotowali się na śmierć...

W takich to myślach pogrążeni stali, kiedy nadjechał pan Kazimierz, ale cygana przy nim nie było. Chwilę on pomówił z panem Szycem, potem dał rozkaz pochodu, i postępował cały zastęp ku brzegowi góry, a kiedy go doszli, ujrzeli stojącego Sagę, a obok niego był wierny Wijun.

Na rozkaz marszałka otoczyli go konfederaci, a on wzruszony ozwał się do nich:

— Towarzysze broni! Nie tają wam, że w strasznem jesteśmy położeniu. Przed nami nieprzyjaciel, przez którego gęste szeregi przebić się niepodobna, z trzech stron przepaście których ludzka nie dotknęła noga; cóż więc nam pozostaje? Oto albo śmierć męczeńska, albo, gorsza od niej niewola. W tem zdesperowanem położeniu jednego jeszcze chcę próbować środka; ot tam gdzie stoi Saga, jest znane

mi zejście, tak strome, że z wielkiem wysileniem pieszy je przebyć może; tem przejściem z końmi spuszczać nam się trzeba. Chcecież iść za mną? — zapytał.

— Pójdziemy! pójdziemy! — wołali — bo lepsza śmierć jak niewola!

— No! kiedy tak — mówił pan Kazimierz — słuchajcież pilnie przestrogi mojej: niech każdy prawą ręką ujmie silnie cugle przy wędzidłach, lewą zaś ma się trzymać linki tam wytrokowanej; kogo koń ściągnie, lub noga zawiedzie, temu ratunek niepodobny, bo byśmy wszyscy runęli w przepaść. A teraz westchnijcie do Boga, proście go żeby nas przytomność nie opuszczała, i dalej w ślad za mną!

I zaraz zsiadł z konia, wszyscy poszli za jego przykładem, potem zbliżył się do miejsca, gdzie stał Saga, lewą ręką chwycił linkę i schodzić zaczął. Jakże opiszę tę nadpowietrzną podróż?... Każdy z idących z wysileniem krok za krokiem zstępował w przepaść, a silnie przy pysku trzymane, drżące z obawy konie, przedniemi tylko postępowały nogami, sunąc się na zadach; ależ największe niebezpieczeństwo groziło przewodzącemu tą straszną przeprawą.

Nie był on jeszcze w połowie zejścia, kiedy posłyszał krzyk za sobą i w tej chwili ujrzał naprzód konia co toczył się po urwisku skały, za nim mignął się tylko nieszczęśliwy jeździec wydając jęki bolesne! Nie więcej jak pół godziny czasu zajęło każdemu to zejście, a przecież wiekiem ono im się wydało; nie jeden jeździec z koniem zabity leżał u podnóża góry, kiedy przodkujący wszystkim pan Kazimierz, stanął nareszcie u kresu. Tuż za nim był pan

Szyc, Saga, Golian, a potem wolno, jakby krople ściekającej wody, przybywało konfederatów.

Pomiędzy brzegami rzeki a górą było tak wązkie przejście, że po jednemu z trudnością iść mogli, a kiedy pominąwszy górę na szerszem znaleźli się miejscu, najprzód Bogu dzięki złożyli za to cudowne ocalenie, a potem z dobrą otuchą dosiedli koni, i trzymając się brzegu Dniestru wolno postępowali.

Marszałek z Golianem i Sagą wyjechali przodem na zwiady, i napotkali kozaka, który biorąc ich za swoich zbliżył się do nich. Uchwycić za cugle konia i zmusić kozaka do milczenia, było czynnością jednej chwili; z jeńcem tedy wrócił pan Kazimierz do swego oddziału. Wybadywany kozak wyznał, że nikt między nimi na chwilę nie pomyślał żeby obrońcy Okopów wyjść z nich mogli, ale obawa napadu tureckiego była wielkę, i dla tego konnica stanęła nad Dniestrem na linii, którą szli konfederaci.

Na tę wiadomość, szczęśliwa myśl przyszła panu Kazimierzowi, a tą było skorzystać z obawy, jaką wzbudzał w Moskalach napad turecki, i z ich okrzykiem uderzyć na nich. Zgodził się na to pan Szyc, stósowny do tego rozkaz odebrał oddział cały i wziąwszy kozaka między siebie, poprzedzeni przez Sagę, który pewnie wprzód by Moskali dostrzegł nim by oni go zobaczyli, szli ostrożnie naprzód.

Od kozaka wiedział marszałek, że Moskale w znacznych odstępach szwadronami rozstawieni są nad Dniestrem, wniósł więc naturalnie, że będąc liczebnie silniejszym od każdego z tych oddziałów pojedyńczo wziętych, łatwo mu przyjdzie pokonać je.

Wkrótce nadbiegł Saga i doniósł, że pierwszy oddział moskiewski stoi w bliskości, a mając całą uwagę zwróconą na rzekę, nie uznał potrzeby zabezpieczenia forpocztami boków swoich.

Usłyszawszy to pan Kazimierz wolno i w cichości zbliżał się do Moskali, a kiedy zmiarkował że dojrzanym już być może, podniósł szablę w górę, i z okrzykiem: »*Ałłach! Kierim!*« uderzyli konfederaci.

Któż nie wie, jakie są nieuniknione następstwa każdego flankowego natarcia, to też w jednej chwili poszedł w rozsypkę cały szwadron, a nim następny zdołał front rozwinąć i ten również rozbitym został.

Okrzyk turecki nacierających i wołanie rozbitych Moskali, że Turki ich napadli, strachem przejął resztę szwadronów, to też pędzili do obozu, niosąc wieść o tem najściu. Zwiedzeni nią dowódzcy całą piechotę uformowali w kolumny, w odstępach stanęły działa, potem otoczyli się łańcuchem flankierów i tak ubezpieczeni do dnia postanowili czekać mniemanego napadu Turków. Korzystał z tego popłochu pan Kazimierz, i skoro ujrzał brzeg Dniestru oczyszczony, ruszył naprzód, a w tym pochodzie Saga jechał samym brzegiem rzeki.

O jakie pół mili od pobojowiska, pod wsią Bielowcami, rozchodzi się Dniestr na dwa koryta, a pomiędzy niemi jest wyspa płaska i przystępna, i tylko przy zupełnem roztajaniu lodów wodą zalana; w tem to miejscu, na znak Sagi zatrzymał marszałek swoich, i choć serce jego przepełniał smutek losem brata spowodowany, niemniej widział on obowiązkiem swoim nie okazywać tego podkomendnym, to też wesoło prawie odezwał się do nich:

— Towarzysze! Na górze Okopów gorącej użyliśmy łaźni, teraz zimnej trzeba nam spróbować w nurtach Dniestru, a raz na tamtej stronie i bezpieczeństwo i wypoczynek czeka nas.... W Imię Boskie więc, za mną wiara!

Podjechał ku brzegowi, potem spiął konia ostrogami i pierwszy skoczył w wodę, a konfederaci szóstkami wskakiwali za nim.

Każdy z nich lewą ręką razem z cuglami uchwycił silnie za grzywę konia, a prawą odpychał cisnące się lody.

Długo walczyli oni z trudnościami, jakie kra im przedstawiała, i tak dostali się do wyspy, gdzie odpoczęli nieco, potem znowu przeszli węższe koryto rzeki; i znaleźli się w Bessarabji na tureckiej stronie, gdzie bezpieczni spiesznie ruszyli w górę Dniestru.

Wypoczęte konie długim postojem w Okopach, zziębłe tą lodową kąpielą, szybko unosiły jeźdźców swoich, w krótkim też bardzo czasie doszli do dużej wsi, gdzie wypoczynek i dostatek żywności znaleźli. Przez resztę nocy i pół dnia następnego używali wczasu, a potem szli do bliskiej granicy Bukowiny, natenczas jeszcze pod zwierzchnictwem tureckiem będącej *) i zamierzyli koło Śniatyna wejść napowrót w granice Polski.

Jakkolwiek kilku znamienitych historyków naszych rozświeciło nam przedrozbiorowe dzieje Polski, w tej pracy jednak najmniej obrobioną jest epoka Konfederacji Barskiej,

*) W ośm lat dopiero potem dostała się Bukowina Austrji.

a o mnóstwie owych bohaterskich utarczek na całym prawie obszarze Rzeczypospolitej staczanych, mało bardzo danych mamy.

To przemilczenie tak zajmujących szczegółów nie jest ze strony piszących skutkiem ignorancji, a tem mniej złej woli ale raczej wynikiem niepodobieństwa zebrania materjałów ku temu, bo te rozsiane na całej przestrzeni Polski, w zapiskach prywatnych, albo w archiwach kościelnych leżą zapomniane.

Z tych więc powodów myślę, że mogą się znaleźć niektórzy z czytelników moich, co nie mając możności zbadania ducha tamtej epoki, opisy moje tych kilku utarczek z silniejszym bez porównania nieprzyjacielem szczęśliwie staczanych, za przesadzone uważać będą. A inni znowu, nieznający dokładnie przeszłości naszej, mierzący czyny ojców na skalę dzisiejszych usiłowań, obrazy nieustraszonej odwagi, poświęcenia bez granic, i religijnej abnegacji rycerzy Baru skreślone przezemnie, za naciągnięte i nieprawdopodobne poczytają.

Nie mam ja pretensji do powagi historyka, ale chcę uniknąć zarzutu stronniczości i fałszu, tej chronicznej choroby dzisiejszego wieku, i dlatego, na dowód że podnosząc męztwo i poświęcenie Konfederatów Barskich, nie schlebiam im, ale oddaję winny dank zasłudze, przytoczę świadectwo nie Polaka, nie członka tego narodowego bractwa, które nazwałem Rodziną Konfederatów; ale cudzoziemca, co zelektryzowany czynami tych rycerzy wiary i wolności, wstąpił w ich szeregi, a potem w pamiętniku zapisał ich czyny.

Tym ochotnikiem, a zarazem historjografem konfederacji był Anglik Murray, którego cenny bardzo dyariusz, długo w ukryciu będący, niedawno światu jest znany.*) Tam na każdej niemal karcie napotyka się wyrazy uwielbienia, jakie w nim wzbudzały żelazna wytrwałość i straszna odwaga rycerzy barskich. Opisując początkowe działania konfederatów, jeszcze za życia starosty Wareckiego, ich liche uzbrojenie i brak wszelkiego rodzaju zasobów, tak się wyraża:

›Przeciw działom moskiewskim i bagnetom — mówi Murraj — mieli szable tylko liche, i nieco strzelb, które z braku kul kamykami nabijali, a jednak stawili Moskalom czoło w każdem spotkaniu, i rzadko kiedy dawali się złamać. Jeżeli ogień nieustający nieprzyjaciela, dobrze utrzymywany, zmusił ich do odwrotu, zbierali się znowu o kilka kroków zwracając przeciw niemu to żelazne czoło, równie straszne jak przed chwilą. Sami Rosjanie mówiąc o nich, uskarżali się, że można ich porąbać, zabić, ale nigdy zwyciężyć, lub zmusić do poddania.‹

Takie to zdania o powstańcach polskich przed stu laty walczących wyrobiło się u Moskali nawet, a ci byli w stanie ocenić te zalety przeciwników swoich, bo w ich pułkach nie było prawie młodego, niedoświadczonego rekruta, ale wszystko stary żołnierz, osiwiały w bojach, co od lat dwudziestu życia do późnego wieku stał ciągle pod bronią.

Nie mieli oni wprawdzie tego szlachetnego zapału, ani szalonej odwagi, którą natchnąć jedynie może przeświadcze-

*) Pamiętnik Murraya przetłmaczył i wydał H. Schmitt.

nie o świętości sprawy, której się broni, ale posiadali za to wytrwałość i abnegacją niewolników. Z rezygnacją ofiary nadstawiali oni piersi swoje, podobni w tem do owych gladiatorów rzymskich, co idąc na śmierć, żegnali Cezara znanym okrzykiem: *Morituri te salutant!* O nich to powiedział Fryderyk Wielki po siedmioletniej wojnie, że Moskala nie dosyć zabić, jeszcze go przewrócić trzeba.

Nad takim to wytrwałym i wyrobionym żołnierzem odnosili korzyści Konfederaci Barscy, i nigdzie bez silnego oporu nie ustąpili.

I cóż zastępowało u nich i nierówność sił i brak środków obrony?...

Oto raz gorąca wiara religijna, zagrożona zbrodniczemi zamachami Prus i Moskwy, których były dowodem podżegane przez nich anti-narodowe dążności dyssydentów i świeżo dokonana rzeź humańska; drugim zaś bodźcem była nienawiść obcej przemocy, aż nadto gwałtami Moskali usprawiedliwiona.

To nagięcie religji do celów politycznych, przez wrogów Polski użyte, oburzało pobożnych konfederatów; bo oni mieli tak wielkie poszanowanie praktyk religijnych, tak wstrętną im była poniewierka takowych, że nawet od łączących się z nimi nie żądali przysięgi, ale tylko podpisu na akcesie. Co zaś do pojęć wolności, tego drugiego ich hasła, te tylko do walki z nieprzyjacielem ograniczały się; pojmowali oni bowiem, że niemając mandatu od całego narodu, wygłaszać zmian kardynalnych nie mieli prawa, bo te były atrybucją sejmów, w których jedynie spoczywała

władza prawodawcza. Takie to było zapatrywanie się na Konfederatów Barskich; z takich to ludzi składał się oddział marszałka Łomżyńskiego, z którym on po prawym brzegu Dniestru, przez Pokucie, ciągnął ku Zachodowi.

Plan działania ułożony w Chocimie polegał cały na pomocy tureckiej i utrzymaniu przejścia przez Dniestr dla nadciągającej armii; nikt bowiem wtenczas nie przewidywał zwłoki, a tem bardziej zupełnego zawodu ze strony Porty, i dla tego żadnego nie ułożyli planu konfederaci do dalszego działania. Skoro więc Marszałek Łomżyński wyszedł szczęśliwie z Okopów Śtej Trójcy, znalazł się z swoim zastępem bez żadnego przez radę wskazanego kierunku. Ale on, pomimo wiek młody, miał dużo logiki i przezorności, to też będąc jeszcze w Okopach przemyśliwał gdzieby obrócić działanie swoje, gdyby mu się udało wyjść szczęśliwie z stromej góry.

Z relacyj, jakie miał jeszcze w Dunajowcach o usposobieniu szlachty w Czerwonej Rusi, wniósł on zaraz, że mając jaki punkt oparcia w tamtych stronach, łatwo mu przyjdzie zgromadzić ją pod swojem dowództwem, a dawniejsze czyny jego, i świeżo dokonana i dzielna obrona i zuchwałe wyjście z Okopów, niemogły jak tylko wzbudzić zaufanie w człowieku, co dokonał niepodobnych prawie rzeczy.

Najstosowniejszem miejscem do rozwinięcia dalszych zamiarów swoich, zdawał mu się Sambor, miasto królewskie, murami jeszcze przez Szydłowieckich wzniesionemi obwarowane. Ludne, w okolicy żyznej leżące, posiadało ono wszelkie kondycje, do formacji nowych oddziałów konieczne; postanowił też zająć je jeżeli opróżnionem przez wojska królewskie będzie, albo zdobyć z pomocą okolicznej szlachty, jeżeliby mu opór stawiono. Szedł też po nad Dniestrem, który był wylał a przez to komunikacja z drugim brzegiem niepodobną była. Wolno postępował oddział konfederatów; często wypoczywali oni po drodze, bo wielu łączyło się z nimi, wszędzie cudowne wyjście z Okopów podziwienie wzbudzało, wszyscy co zaciągali się pod chorągiew marszałka Łomżyńskiego, za zaszczyt poczytywali sobie, iść pod rozkazy naczelnika, co powziął i wykonał tak zuchwały pomysł.

Czyn ten, jak i całe oblężenie, zjednały mu sławę dowódzcy, co przytomnością umysłu korzysta z każdej okoliczności, nie zraża się największemi trudnościami, i umie wyjść zwycięzko z każdego niebezpieczeństwa, to też znacznie urósł oddział jego garnącą się zewsząd szlachtą w pochodzie tym na Sambor.

Wylew Dniestru przerwał wszelką komunikację z drugim brzegiem, niemógł się też nic dowiedzieć, co się stało z Bierzyńskim, który jakem to dawniej powiedział, gdzieś w okolicach Skały znajdował się.

Po kilkudniowym pochodzie byli już konfederaci niedaleko Sambora, kiedy ich zaczęły dochodzić wieści, że wojsko jakieś zajęło miasto; a że żadnej w tych stronach

nie było partji konfederatów, ani oddziałów moskiewskich, wnieśli więc, że wojska królewskie są w Samborze, dla tego też marszałek z tameczną szlachtą naradzał się, jakimby sposobem można sobie zrobić stosunki między nimi, i przeciągnąć ich na swoją stronę, jak to już nieraz miało miejsce w początkach konfederacji, kiedy chorągwie pod wodzą Regimentarza Dzieduszyckiego, załogi Berszady i Niemirowa przeszły na stronę konfederatów.

We wsi Radłowice była owa narada, po której mieli wyznaczeni na to udać się do Sambora ubocznemi drogami, od chłopów bowiem dowiedziano się, że gościńcem nikogo nie puszczają do miasta.

Sambor nie leży nad samym Dniestrem, ale w bliskości jego; na rzece jest most, koło niego jak mówili przybywający ztamtąd, stoi warta, która niedozwala przejazdu.

Pan Kazimierz słysząc to postanowił jak najbliżej podsunąć się pod Sambor, miał bowiem to przekonanie, że widok bratnich chorągwi wiele wpłynie na usposobienie osady. Ruszył też ze swymi naprzód.

Kiedy dochodzili do Dniestru, ujrzeli kilku jezdnych, którzy na ich widok cwałem popędzili do miasta. Pan Kazimierz przewidując spotkanie, nie chciał przechodzić mostu, żeby niemieć rzeki za sobą, zatrzymał też koło niego oddział, i sam z panem Szycem, Sagą i dwoma szeregowymi posunął się naprzód.

Jak na dłoni widno było całe miasto, jasne słońce oświecało gród ten stary, murami otoczony, a przez perspektywę dojrzeć można było rozwiane chorągwie z oznakami żałoby.

Długo patrzał p. Kazimierz i opowiadał pana Szycowi spostrzeżenia swoje, a naraz zwracając się do towarzysza:

— Co to jest? — zawołał zdziwiony — czy mnie oczy mylą, czy obłęd jaki? — i patrzał znowu z natężeniem.

— Cóż pan marszałek tak dziwnego dojrzał? — pytał zaciekawiony Szyc.

— Wszak to Turcy są w Samborze! — wykrzyknął — Widzę i chorągiew z księżycem i migające białe turbany na murach, patrzaj przyjacielu! — dodał podając mu perspektywę.

Nie do opisania podziwienie malowało się na twarzach obu konfederatów na to niespodziewane widowisko, sprawy sobie zdać nie mogli, zkąd się wzięli Turcy w Samborze, kiedy o ich pochodzie żadnej wieści nie było; nie mogła to być armja cała, bo o niej pomimo wylewu, wiedzianoby na tej stronie rzeki, a jeżeli oddział nie wielki, w jakimże celu zapuścił się w granice Polski?

Nie mogąc zrobić żadnego nawet prawdopodobnego wniosku, stali obaj dowódzcy zamyśleni, kiedy ujrzeli wychodzący oddział janczarów, za nim postępowała konnica, a po proporcach, które migały, poznali że to nie byli Turcy.

Na ten widok marszałek odwrócił się spiesznie do pana Szyca.

— Nie pojmuję ja zupełnie — rzekł — co tu się święci; ale co jest widocznem, to że ten oddział idzie na nasze spotkanie; trzeba się więc mieć na baczności. Za mostem bezpieczni jesteśmy, ale go bronić może przyjdzie; dla tego wracaj przyjacielu do oddziału, każ strzelcom swoim zsiąść z koni, połowę w kolumnie postaw przy samym moście, drugą rozsyp pojedyńczo po obu brzegach rzeki, żeby mogła ostrzeliwać most cały. Ja tu chwilę jeszcze zostanę, żebym mógł zorjentować się, z kim mamy do czynienia.

Po tych wyrazach pan Szyc pospieszył spełnić dane sobie zlecenie, a Saga zbliżył się do pana Kazimierza.

— Jaśnie Wielmożny Panie! — rzekł — to nie same Turki na nas idą, a ta konnica coś mi na królewskich nie wygląda!

— Więc cóż to są za jedni, jak myślisz? — zapytał.

— Może to konfederaty! — mówił cygan.

— Ot pleciesz! — odrzekł niecierpliwie pan Kazimierz — zkądby się tu wzięli?

— Alboż to cuda się nie dzieją? — mówił cygan patrząc na nadchodzących; a raptem, jakby stanowczą powziął decyzją:

— Ot, co będzie to będzie! — zawołał — przekonam się o prawdzie — i wskazując ręką — koło tamtych krzaków iść muszą — mówił — tą doliną na prawo podsunę się pod zarośla i przypatrzę się im.

— Ależ cię dojrzą w krzakach bez liści! — mówił pan Kazimierz.

— Pełno tam jeszcze śniegu — to się skryję — odrzekł cygan.

— A potem, jak się do nas wrócisz?

— Nie dostaną oni cygana — odrzekł wesoło Saga, i pędząc doliną zniknął z oczu panu Kazimierzowi.

Niedługo od strony krzaków ukazał się Wijun; biegł on w całym pędzie ku mostowi, a pan Kazimierz wnosił że cygan gdzieś ukryty pozostał; zwrócił też konia i stanąwszy za mostem ujrzał polecenia swoje spełnione.

Połowa strzelców w kolumnę zformowana, gotowa była odeprzeć natarcie, druga rozsypana nad brzegiem rzeki czekała nadciągającego nieprzyjaciela, konnica zaś stanęła opodal nieco, żeby uniknąć strzałów.

Nareszcie zbliżyli się Turcy, część ich rozsypana postępowała przodem, reszta oddziału zformowana w trzy szeregi szła za nimi, a kiedy zbliżyli się do mostu, rozpoczęły się pojedyńcze strzały, na które odpowiadali strzelcy pana Szyca.

Janczary, ten jedyny regularny i wyrobiony żołnierz turecki, z wielką dokładnością każdy ruch wykonywali, strzelcy ich nie będąc niczem zasłonięci, pełzając po ziemi zbliżali się ku mostowi, rozwinięta reszta oddziału w kolumnę do ataku formować się poczęła, wszystko zapowiadało uderzenie na bagnety, kiedy z tyłu, po za ich szeregami a nadchodzącą kawalerją, rozległ się krzyk jakiś i wołanie.

Dowódzca janczarów pospieszył ku nim, a po chwili po nad głowami piechoty ujrzano pędzących kilku jeźdźców, pomiędzy nimi migał zielony turban Agi janczarów. Kiedy dobiegli do kolumny, rozstąpiła się ona, wysunął z jednej jeździec na kasztanowatym koniu, obok niego Aga, kilku szlachty, a między nimi Saga na tureckim bachmacie; machali wszyscy chustkami i wołali na strzelających. Ogień ustał a przodkujący im i orszak jego wpadli na most.

Niewypowiedziane podziwienie malowało się na twarzy p. Kazimierza i jego towarzyszy na widok tych pokojowych oznak. Na rozkaz marszałka zaprzestano strzelać, i wszyscy z ciekawością patrzali przed siebie, a kiedy jeździec na kasztanie

siedzący był w połowie mostu, to pan Kazimierz wznosząc ręce do góry:

— Boże wielki! — wykrzyknął — to mój brat Franciszek! — i z rozrzewnieniem rzucił się w jego objęcia, a Turcy i konfederaci wydawali okrzyki niezmierne *).

— Jakimże cudem — pytał pan Kazimierz — wyszedłeś ze Żwańca? bośmy cię mieli za zginionego.

— Mnie pomoc dał przyjaciel — odrzekł zapytany wskazując na dowódzcę janczarów, którym był Abdalah-Aga, ów dawny znajomy obu Pułaskich.

— Ale ty, mój drogi! jakżeś się wydobył z Okopów?

— Później pomówimy o tem — odrzekł pan Kazimierz — a teraz oddajmy się radości, tak mało niestety znanemu nam uczuciu.

I zaraz skinął na swoich, kłusem przeszli oni most, nadszedł i oddział pana Franciszka, wszyscy zsiedli z koni, i pomięszani i Turcy i konfederaci witali się z niewypowiedzianą radością. Kilku szlachty z oddziału pana Kazimierza pospieszyło z tą wieścią do Sambora, i niedługo wszystkie dzwony ozwały się, a potem tłumy ludu wyszły na spotkanie obu braci, którzy upojeni szczęściem, na czele oddziałów swoich, wśród radosnych okrzyków, wjeżdżali do miasta.

Poświęciwszy chwil kilka obowiązkom służby znalazł się przecie pan Kazimierz z bratem, i ten opowiadał: że po zapaleniu Żwańca, nie widząc możności dłuższego oporu

*) To niespodziewane spotkanie, równie jak obecność janczarów, i niektóre szczegóły tego opisu są historyczne.

w gorejącym zamku, udał się do Chocimia, żądając pomocy od tamecznego Baszy, ale ten stanowczo mu jej odmówił, składając się odebranym w tym względzie rozkazem Wezyra, w istocie zaś ujęty był datkiem rosyjskim, jak się później dowodnie o tem przekonano.

Ta zła wiara ze strony baszy, oburzyła janczarów sprzyjających sprawie konfederacji, a szczególnie uwielbiających odwagę i poświęcenie Pułaskich *); to też zaraz czterdziestu z pomiędzy nich postanowiło iść z panem Franciszkiem, a potem Abdalach-Aga w 360 koni połączył się z nimi. Tak wzmocnieni wrócili nazad do Żwańca, do którego nie śmieli na razie wejść Moskale; przeszli palące się miasto, i wszyscy z okrzykiem tureckim uderzyli na oblegających. To niespodziane natarcie, widok janczarów, których łatwo rozeznać można było przy blasku płomieni, zdemoralizowały Moskali, z łatwością też przebił się cały oddział przez szeregi nieprzyjacielskie, i w bliskiej Żwańca wsi resztę nocy przepędził.

Nad ranem rozstawione czaty przyprowadziły żyda, który w okolicy za szpiega uchodził; wzięty na indagację wyznał on, że przed miesiącem z polecenia dowódzcy rosyjskiego woził znaczną sumę w złocie dla Baszy Chocimskiego. Żyd takie dał dowody, że niepodobna było wątpić o prawdziwości tego zeznania. Szpiega tego kilku Turków odprowadziło do Chocimia, Agowie janczarów wybadywali go znowu, a potem z dowodami w ręku, poszli z nim do Baszy, a przekonawszy go o przekupstwie, udusili go *).

*) Rulhière.

**) Historyczne.

Na drugi dzień ruszyli ku Skale dla połączenia się z Bierzyńskim, a pan Franciszek wiedząc o patrjotycznem usposobieniu szlachty samborskiej i sanockiej, mając nadto to przekonanie, że bliskie góry przedstawiają najlepsze pole do wojny partyzanckiej, powziął tę samą myśl co i brat jego, a tą było zajęcie Sambora.

— I nie omyliła mnie rachuba moja — mówił — bo i ochotnicy przybywają i akcesa do konfederacji odbieram od szlachty sanockiej; gdyby więc nie smutek losem twoim spowodowany, bośmy cię mieli za straconego, to obrót sprawy naszej radość by we mnie wzbudzać był powinien; ale przeważyło uczucie rodzinne, i ukryć go nie byłem w stanie. Dziś rano rozmawialiśmy z Bierzyńskim o tobie, kiedy mi znać dano, że jakiś oddział zbrojny zbliża się ku Dniestrowi. Nie mogli to być Moskale, wniosłem więc że królewscy; a że mi wstrętnem było uderzać na swoich, żem miał nadzieję, iż przeważy w ich sercach uczucie dla kraju wszelkie inne względy, i że połączą się z nami, dla tego janczarów posłałem przodem, a sam z tyłu z konnicą postępowałem. Idąc tak, myślałem jakby tu wpłynąć na ów oddział com widział przed sobą, kiedy z krzaków do których dojeżdżałem, ktoś zawołał: »Panie starościcu, stój pan!« zdziwiony spojrzałem w zarośla, a z zaspy śniegowej wyskoczył Saga... Stanąłem jak wryty na ten widok, a cygan ściskając mnie za kolana w kilku słowach oznajmił mi, że to ty z oddziałem swoim stoisz przedemną. Jakże ci opiszę radość moją na tę wieść szczęśliwą, to też prawie nieprzytomny pędziłem do Turków, żeby ogień wstrzymać i uściskać cię... A teraz kiedy nas los złączył, bierz nazad do-

wództwo nad całemi siłami, bo ty jeden jesteś w stanie zbawiennie kierować sprawą konfederacji.

Na drugi dzień wystąpiły wszystkie oddziały na przegląd przed marszałkiem Łomżyńskim, który się odbył wśród wielkiego zbiegowiska ludzi wszelkich stanów, co ciekawi byli oglądać tych dzielnych obrońców sprawy narodowej.

Oddział pana Franciszka mało co uszczuplony oblężeniem Żwańca, wynosił 300 koni, Bierzyńskiego powiększony ochotnikami przybyłymi w czasie pobytu pod Kitajgrodem i Skałą 800 przeszło jezdnych i dwieście piechoty liczył, janczarów było czterysta, a zastęp pana Kazimierza, do którego cisnęli się nowozaciężni, już trzysta koni dochodził. Tak więc siły konfederatów w Samborze będące przechodziły dwa tysiące ludzi, a te porządnie uszykowane na rynku i przyległych ulicach oczekiwały przybycia marszałka.

Po solennem nabożeństwie odprawionem w kościele OO. Bernardynów, wyszedł pan Kazimierz ze starszyzną, dosiadł konia, a kiedy ukazał się na rynku, niezmierne witały go okrzyki, i te się powtarzały ilekroć nowy oddział przeciągał przed marszałkiem; poczem żołnierską ucztą ugaszczali Samborzanie i dowódzców i podkomendnych.

Samym wieczorem nadjechał dworzanin starosty Kaniowskiego z wiadomością, że ten ze znacznym oddziałem zbliża się do Sambora. Starosta donosił o tem w liście, a nie wiedząc kto jest na czele konfederatów w tem miejscu, do dowodzącego tylko adresował.

Komuż nie znana postać Mikołaja Potockiego, starosty Kaniowskiego, którego dzikie wybryki dziś jeszcze rozpowiadają? Była to najdziwniejsza mięszanina złego i dobrego. Rubaszny, fantastyk, gwałtu się dopuścić gotów, wielkie miał on poczucie patrjotyczne; namiętny, rozwiązłych obyczajów, a przytem religijny, hojnie wspomagał ubogie klasztory; łacińskiego obrządku, szczególnie sprzyjał unii; wielki pan i z rodu i z mienia, nigdy nie dbał o dwór i magnatów; nawet z liczną a znamienitą rodziną swoją mało miał stosunków, żyjąc tylko w kole dworzan swoich i kozaków.

Zapowiedziane przybycie jego z jednej strony ucieszyło konfederatów, bo było znakomitą pomocą, ale z drugiej nabawiło ich kłopotu; przewidywali bowiem, że Potocki, starszy daleko wiekiem i znaczeniem, nie zechce słuchać rozkazów młodzika, jakim był pan Kazimierz, naradzali się też, jakby zdołali nie pozbawiając konfederacji możnej pomocy starosty, uniknąć zajścia, i w skutek tych narad marszałek napisał list, w którym, w imieniu towarzyszy swoich, dziękował staroście za pomoc, jaką im niesie, sam zaś przypominał się pamięci jego, i polecał względom jako zażyłego przyjaciela ojca.

Od dworzanina z listem wysłanego dowiedzieli się, że starosta prędzej jak o południu nadciągnąć nie może, mieli więc czas przygotować się na jego przyjęcie.

O milę od Sambora była wieś na drodze nadchodzących położona, w której oba Pułascy, pan Bierzyński, Szyc i wielu obecnej szlachty, miało powitać starostę Kaniowskiego, a właściciel tej włości na całą noc pospieszył do domu, dla przysposobienia się na uraczenie zapowiedzianych gości, wiedziano bowiem, że Kaniowski nie był nieprzyjacielem kielicha.

Na drugi dzień wszyscy z Sambora przybyli zebrali się w naznaczonem miejscu, kiedy czaty znać dały, że oczekiwani nadchodzą; dosiedli też koni i ruszyli spiesznie, ciekawi a razem niespokojni, jak się odbędzie to pierwsze spotkanie, bo to miało być wskazówką zamiarów i roszczeń starosty Kaniowskiego.

W małej odległości od wsi ujrzeli zbliżający się zastęp; przodem szli trębacze, za nimi w gronie kilkunastu szlachty widno było olbrzymią postać Mikołaja Potockiego. I on musiał spostrzedz nadchodzący orszak, bo machnął ręką, oddział jego stanął w miejscu, trębacze zagrali powitalny hajnał, a starosta dobył szabli i z otaczającymi go ruszył galopem. Na ten widok wypuścili konie konfederaci, a kiedy przodkujący wszystkim pan Kazimierz zrównał się ze starostą, to ten szablą oddał mu ukłon wojskowy.

— Mości marszałku! — zawołał — oddaję się pod komendę twoją, a potem podnosząc rękę do kołpaka:

— A was mile witam Panowie i druhy! — dodał.

Ta niespodziana powolność ze strony butnego starosty ucieszyła niezmiernie wszystkich, to też okrzykiem odpowiedzieli na jego powitanie, a ten ujął za rękę pana Kazimierza i wskazując na zastęp swój:

— A teraz, panie marszałku, *podywy sia na moju* drużynę, a odwracając się do swoich:

— Rozstąp szeregi! — zawołał — Ci rozsunęli się w mgnieniu oka i zrobili szpaler, w który wjechał starosta z panem Kazimierzem i całym orszakiem.

Z samych kozaków składał się oddział starosty; a było ich sześć sotni, wszyscy siedzieli na tęgich koniach; dobrze

uzbrojeni, ubrani w kolory herbowe Potockich, granatowy z żółtym, długą wysługą na dworze starosty nawykli do obrotów wojennych, mieli na twarzach wyraz pewności siebie; a bystre spojrzenie ich czarnych oczu, sumiaste wąsy na ogorzałych twarzach były w harmoni z żołnierską postawą, to też marszałek i jego towarzysze nie ukrywali podziwienia swego na widok tych dzielnych synów stepu.

Po skończonym przeglądzie zsiadł z konia starosta, za nim obecni, a on zbliżając się do obu Pułaskich:

— To było przyjęcie dowódzcy — rzekł — a teraz chcę uściskać synów nieodżałowanego przyjaciela mego — i w głowę całował obu młodzieńców, potem odstąpił o krok, i patrząc na pana Kazimierza:

— *A to bat'kowa detyna!* — zawołał — i z twarzy, i z czynów podobny do ojca.... No! Mości Marszałku — dodał — kiedyś umiał nie faworem, ale zasługą pozyskać zaufanie tylu panów i braci, to i Kaniowski chociaż Bogiem a prawdą nie zbyt skory do nagięcia karku, słuchać cię będzie; tylko pókiśmy w tych stronach, niegardź moją radą, bo na Rusi, gdzie się obrócisz, to po śladach Potockich stąpać będziesz.

Pan Kazimierz zapewnił starostę, że w każdej potrzebie nic ważniejszego bez zniesienia się z nim i przedniejszymi konfederatami nie przedsięweźmie, a to oświadczenie ucieszyło bardzo pana Potockiego. Po tej rozmowie udali się razem do wsi, której właściciel czekał z ugoszczeniem, ku wieczorowi stanęli w Samborze, a tam mieszkańcy, duchowieństwo i zebrani konfederaci z radością witali Starostę

Kaniowskiego. Zajął on obszerny klasztor Bernadynów, gdzie otwarte stoły obsiadała szlachta, wieczorami zaś naradzano się.

Ułożono jednomyślnie opanować Lwów, stolicę Czerwonej Rusi, zapewniali bowiem ludzie znający dobrze stosunki miejscowe o najlepszem usposobieniu mieszkańców.

Przez czas pobytu w Samborze, równie jak w pochodzie z okopów, zwiększał się oddział konfederatów, bo szlachta przybywała z mniej więcej licznemi pocztami, było ich więc około trzech tysięcy, kiedy się zbliżali do Lwowa.

W drodze odebrali wiadomość, że Moskale zajęli go, a kiedy dochodzili do miasta, ujrzeli uszykowany oddział nieprzyjacielski. Wszczęła się walka, w skutek której Moskale cofnęli się do miasta, a kiedy konfederaci pomimo silnego oporu opanowali przedmieście, zapalili go granatami Moskale. Nie mając dział, któreby odpowiadały strzałom załogi Lwowa, otoczeni palącemi się domami, cofnęli się konfederaci, i uznali niepodobieństwo kuszenia się o Lwów. Szli tedy ku Gródkowi, i o milę od Lwowa stanęli na nocleg, kiedy straże przyprowadziły jakiegoś Węgra z olejkami, który starał się wcisnąć do obozu.

Pan Kazimierz począł go wybadywać, ale ten oświadczył że sam na sam chce mówić z marszałkiem, a kiedy się znalazł w jego kwaterze, wyznał że jest szlachcicem, nazwiskiem Janowski, i dworzaninem Wojewody Podolskiego, a na dowód wręczył list tegoż do Marszałka Łomżyńskiego pisany.

Był w tym czasie Ordynatem Jan Zamojski, Wojewoda Podolski, wielkich uczuć patrjotycznych człowiek, których przeważyć nie mogły najbliższe związki familijne; miał bo-

wiem za sobą Poniatowską, kasztelankę krakowską, rodzoną siostrę króla Stanisława Augusta; a pomimo to pokrewieństwo przeciwnym był elekcji Stanisława, i sprzyjał konfederacji, a to zapatrywanie się podzielał i drugi szwagier królewski, Klemens Branicki, hetman w. k.

Pisał tedy Wojewoda, że w przewidzeniu, iż Marszałek posunie się w głąb kraju i w Lubelskiem zawiąże konfederacją, ofiaruje twierdzę swoją Zamość, zaopatrzoną we wszystko czego obrona wymaga, i kończył, że dowódzca już zawiadomiony o tem, za przybyciem konfederatów pójdzie wraz z garnizonem pod dowództwo jego *).

Odebrawszy to pismo, bez namysłu zgodzili się wszyscy na to, żeby iść ku Zamościowi, forteca ta bowiem silnemi murami otoczona, uzbrojona w działa jeszcze z czasów hetmana Zamojskiego pochodzące, była jedną z najlepiej utrzymanych twierdz w Polsce.

Położona w kraju chlebnym, łatwem czyniła wyżywienie i załogi i licznego nawet wojska, któreby pod zasłoną jej dział obozowało, stanowiła więc nadzwyczaj dogodny punkt oparcia. Wrócili się tedy konfederaci, obeszli Lwów i ku Żółkwi dążyli; tam podzielili się na trzy oddziały **), przodem szedł z pierwszym Marszałek Łomżyński, drugi na Bełz

*) Szczegóły ataku konfederatów na Lwów, jak i wszystkie które nastąpią do wejścia na Litwę, zawdzięczam uczynności X. Wierzchowskiego, proboszcza tartakowskiego, który mi udzielił pamiętnik poprzednika swego Xiędza Kostkiewicza pod tytułem: *Liber Memorabilium*, od roku 1769 poczynający się.

**) Autor pamiętnika zowie je dywizjami.

prowadził Bierzyński, trzeci na Kamionkę idący był pod wodzą starosty Kaniowskiego.

Marszałek ze zwykłą swoją energją o wiele wyprzedzał idące za nim oddziały, a niespotkawszy nigdzie Moskali, doszedł do Sokala, i tam zatrzymał się nieco, chcąc dać wypocząć i koniom i ludziom.

Jednocześnie Bierzyński stanął w Bełzie, a starosta Kaniowski, najmniej liczny oddział mający, doszedł do Krystynopola, własności Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego, i zostawiwszy część swoich za Bugiem, z resztą wszedł do miasta, gdzie go wspaniale przyjmował kamieniecki jeneralny plenipotent Wojewody.

Starosta niemający żadnego doświadczenia, ani wprawy wojennej, nie zachował ostrożności koniecznych, ani patroli nie wysłał, ani czatów nie rozstawił, a tymczasem w krzakach za miastem będących czekał Drewicz ze znacznemi siłami. Kiedy więc jedni z pomiędzy konfederatów zabawiali się w pałacu, a drudzy na nabożeństwie byli w kościele OO. Bernardynów, wpadła na nieostrożnych chmura kozaków z przeraźliwym krzykiem.

Kilkudziesiąt jeźdźców na rynku stojących uderzyło na nich, a kiedy pędząc za nimi dotarli do młyna na rzece Sołokii będącego, ujrzeli znaczny oddział piechoty z działami spieszący do miasta. Na hałas tem natarciem spowodowany, zaczęli się zbierać konfederaci, część jedna dążyła za Bug do stojącego tam oddziału, kawalerja zaś nie mogąc się przeprawić na drugą stronę rzeki, formowała się na rynku.

Dowodził nią pułkownik Zamojski i niejaki Wargacz**); na wysuwającego się z wązkiej ulicy nieprzyjaciela wpadli oni z boku i znaczną im klęskę zadali, ale widząc strasznie przemagającą siłę, cofać się poczęli ku Sokalowi.

Na grobli był most rzucony, który właśnie naprawiano; o tej przeszkodzie nie wiedzieli rejterujący się. Nie mogąc ominąć tej przerwy, pułkownik Zamojski postanowił przebić się; wrócił się też do miasta, natarł na Moskali, i prąc ich doszedł aż do rynku. W tej chwili zabito konia pod nim, zpieszonego obskoczyli Moskale, ale on oparty plecami o kamienicę bronił się dzielnie; czterech zabił, ranił kilku, aż ugodzony trzema kulami poległ chwalebnie***), a oddział jego, z małym wyjątkiem; dostał się do niewoli. Zaraz na początku napadu na Krystynopól, podróżni jacyś dojeżdżający do miasta, zwrócili się nazad do Sokala, i uwiadomili konfederatów o zaszłej bitwie.

Na tę wieść ruszył marszałek na pomoc staroście Kaniowskiemu, kiedy we wsi Dobraczynie, na drodze do Krystynopola leżącej, doszła go wieść o porażce oddziału starosty.

W przewidzeniu że Moskale wyjdą na jego spotkanie, obsadził on piechotą chałupy i zabudowania koło gościńca, a sam z kawalerją wyszedł ze wsi i stanął na drodze do Bełza wiodącej, pewnym będąc, że go wezmą Moskale za oddział Bierzyńskiego.

**) Autor pamiętnika nazywa go Marszałkiem tej dywizji.

***) Tenże tak opisuje śmierć Zamojskiego.

I nie omyliła go rachuba, bo wkrótce ujrzano wychodzących z Krystynopola najprzód kozaków, za nimi piechotę i kawalerję, i wszystko to było już w połowie drogi do wsi, kiedy ukazali się konfederaci. Na ten widok zaczęli ogień armatni Moskale, ale strzały ich do idącej kawalerji wymierzone żadnej prawie szkody nie zrządziły.

Dowodzący całym tym oddziałem Drewicz, doświadczywszy już nieraz dzielnego natarcia konfederatów, dążył do Dobraczyna, żeby się w nim bronić, niechciał bowiem w otwartem polu bitwy staczać, bo miał za sobą rzekę Bug, wśród przesiąkniętych wodą łąk płynącą.

Widząc zbliżających się śmiało konfederatów, zformował on dwa bataliony w czworoboki gotowe do przyjęcia ataku, reszta zaś piechoty, w kolumnie, mając działa wpośród siebie dążyła do wsi.

W tej chwili kłusem ruszył marszałek ze swymi, a kiedy już był na strzał karabinowy od czworoboków rzucił się raptownie na bok i uderzył na tych co szli przodem.

Złamali zaraz konfederaci co było przed nimi, a reszta biegiem spieszyła do wsi, ale tam ukryta piechota powitała ich strzałami, i na zmięszanych tym niespodziewanym ogniem uderzyła na bagnety. Tak dobrze obmyślany plan świetnym rezultatem uwieńczony został, Moskale bowiem parci z dwóch stron na łąki się cofali, a te w tej wiosennej porze w wielkiej części wodą zalane, w wielu miejscach niepodobne były do przebycia; to też utopiło się wielu a wszystkim w ogóle zamokła broń i amunicja, nie mogli też odpowiadać na strzały konfederatów, które ich mocno raziły.

W tem spotkaniu stracili Moskale kilkuset zabitych i tyleż rannych, nie licząc tych co na łąkach poginęli, paręset niewolnika zostało w ręku konfederatów, duży zapas amunicji i broni, a co najzaszczytniejszem było, zdobyto sztandar jeszcze przez cara Piotra Aleksandrowicza jednemu z pułków, co tam walczyły, w nagrodę dany*). W obu tych spotkaniach żadnego udziału nie brał Bierzyński, a choć miał wyraźny rozkaz połączenia się ze starostą Kaniowskim w Krystynopolu, nie ruszył się jednak z Bełza, ale »dla oka ludzkiego«, jak się wyraża ówczesny pamiętnik, wysłał trzystu ludzi, którzy wpadli na zasadzkę moskiewską i poraženi zostali; wielu go też odtąd za niechętnego, a ogół za zdrajcę uważał.

Po odniesionem zwycięztwie pod Sokalem złączyła się z marszałkiem Łomżyńskim reszta oddziału starosty Kaniowskiego, pozostała za Bugiem, nadciągnął i Bierzyński, któremu wszyscy cierpkie wyrzuty robili za nieczynność jego, i wszyscy razem szli ku Zamościowi.

Prawie na pograniczu Lubelskiego i Bełzkiego Województwa leży miasto Zamość, stolica ordynacji tegoż nazwiska, założone dopiero w siedmnastym wieku przez sławnej pamięci Jana Zamojskiego hetmana i kanclerza w. kor.

Świetne czyny jego tak na wojnie, jak i w radzie państwa przez czas panowania Zygmunta Augusta, Henryka Walezjusza, Stefana Batorego i Zygmunta III dokonane, zjednały mu stanowisko i wziętość w kraju, jakiej nikt z prywatnych, ani przed nim, ani po nim nie używał, a to

*) Pamiętnik W. Kostkiewicza.

wyniesienie swoje winien był nie wpływom familijnym, ale istotnej zasłudze.

W skromnym szlacheckim urodzony domu, przodkowie jego zwali się Łaźnińskiemi i dopiero pradziad hetmana, nabywszy od Jędrzeja Piwo, majętność Stary Zamość, od niej Zamojzkim pisać się począł.

Hetman miał wszystkie przymioty wielkiego obywatela; znakomity mąż stanu, autor, wojownik, ubóstwiany przez szlachtę, wielce ceniony przez króla Stefana, prócz mienia miał wszystkiego do sytu, to też zgromadzone Stany zaradzając temu, nadały mu siedm starostw, w których jest tyle wsi co dni w roku, a tyle miasteczek co miesięcy, i z nich utworzono ordynacją z obowiązkiem wystawienia fortecy, założenia akademji i utrzymywania oprócz garnizonu twierdzy, dwóch pułków kawalerji na usługę kraju. Wywiązał się hetman sumiennie z włożonego na siebie obowiązku, założył miasto, które od nazwiska swego Zamościem nazwał, a jako reminiscencją młodości spędzonej w Padwie, nowo erygowanemu grodowi nadał cechę włoską.

W pośrodku miasta jest rynek piętrowemi domami zamurowany, dachy wyskokami zakryte kamienne mają ozdoby, dołem są podsienia sklepione, któremi w około rynku obejść można, w pośrodku ratusz spory, z wysoką wieżą, w bliskości wałów gmach akademji, naprzeciwko niej wspaniały pałac ordynatów, dalej ogromny, pięknej bardzo architektury kościół XX. Franciszkanów, nakoniec fara, gdzie leży założyciel Zamościa i potomkowie jego, a w jednej z bocznych kaplic jest obraz Zwiastowania Panny Maryi, rysunku Perugina, a pędzla Rafaela de Sancio, arcydzieło jakiego prócz

włoskich, mało która galerja posiada. Wysokie bardzo i grube niesłychanie mury okalają miasto, przy nich fosy, które zalewano wodą z przyległego stawu; na wałach sto przeszło armat dawniej ustawionych było.

Trzy bramy wiodły do twierdzy, jedna Lubelska, ozdobiona figurą allegoryczną, przedstawiającą Polskę, na drugiej, Szczebrzeskiej, był wyryty orzeł Jagielloński, w trzeciej, Lwowskiej, umieszczono płaskorzeźbę, wyobrażającą wjazd hetmana do Zamościa, kiedy po bitwie pod Byczyną prowadził wziętego w niewolę arcyksięcia Maksymiljana.

Od strony Szczebrzeskiej bramy był staw, przez niego szła grobla do twierdzy prowadząca, naprzeciw zaś Lwowskiego wjazdu, na strzał armatni od miasta, ciągnęły się przedmieścia daleko większe od samego Zamościa, Nowem Miastem zwane *).

Do tak obwarowanego miejsca ciągnął marszałek Łomżyński z komendą swoją, zbierając po drodze ochotników, a kiedy stanął w Zamościu, rozłożył się na przedmieściu, a administracja ordynacji w skutek rozkazu odebranego od wojewody, który przebywał za granicą, dostarczała furażów i żywności potrzebnych. Wojewoda Podolski nadzwyczaj był dbałym o utrzymanie Zamościa na stopie przyzwoitej obrony, a że w Polsce nie było w owym czasie wykształconych artylerzystów i inżynierów, musiano ich też sprowadzać z za granicy.

*) W czasie oblężenia w r. 1812 spalone, licho potem odbudowane były.

Szkoła Fryderyka W. najwięcej wydała ludzi wojskowo usposobionych, kiedy więc ustała w r. 1763 siedmio-letnia wojna i zmniejszono armię pruską, wtenczas wojewoda sprowadził pułkownika artylerji, i dwóch oficerów inżynierji, pierwszemu oddał dowództwo Zamościa, dwaj drudzy zajęli się robotami fortecznemi, które w ciągu dwóch lat wykończone, postawiły twierdzę w dobrym stanie, i w takim była w chwili przybycia do niej Konfederatów.

Marszałek Łomżyński zajęty rozlokowaniem oddziału swego, posłał do dowódzcy twierdzy Goliana z zawiadomieniem, że ma do niego list od ordynata, a ten z wielką skwapliwością przybył w odwiedziny do pana Kazimierza. List ten zawierał rozkaz znoszenia się we wszystkiem z marszałkiem Łomżyńskim, i udzielania wszelkiej możliwej pomocy Konfederacji, do czego się pułkownik solennie zobowiązał i zaraz zaprosił marszałka do twierdzy, pokazywał mu w najdrobniejszych szczegółach całe jej uzbrojenie, i zapasy, wydał z arsenału broń i amunicję potrzebną, słowem całem swojem znalezieniem się potrafił ująć sobie marszałka Łomżyńskiego i starszyznę, jeden tylko Szyc niedowierzał mu, i nie taił się z tem przed panem Kazimierzem.

Tę niekorzystną opinją o pułkowniku na przeczuciu i wstręcie jakimś opartą, rad był pan Szyc poprzeć dowodem, i dla tego polecił cyganowi, ażeby starał się wywiedzieć, z kim on miewa stosunki.

W skutek tego polecenia, Saga, który codzień bywał w fortecy, zachodził do szynkowni w bliskości zamku będącej, tam napotkał stajennego dowódzcy, i ten rozpowiadał, że ulubiony wierzchowiec jego pana zasłabł, a środki

jakie mu dają, nie przynoszą ulgi; cygan, który (jakem to wyżej powiedział) leczył nieraz konie, i miał jakieś sekreta cyganom tylko znane, wypytał się o szczegóły choroby, a wysłuchawszy ich oświadczył się, że wyleczy konia. Furman uradowany tą obietnicą zaprowadził go do stajni, a kiedy po obejrzeniu konia, z wszelką pewnością zaręczył że zdrów będzie, sługa doniósł o tem pułkownikowi, ten zaś kazał przywołać Sagę i obiecał mu sowitą nagrodę skoro koń zdrów będzie.

Od pierwszego zaraz lekarstwa polepszenie nastąpiło, to też żona pułkownika traktowała cygana, dzieci, którym sztuki różne pokazywał bardzo go polubiły, i codzień w ogrodzie zabawiał je, grał na drumli, wyłaził na najwyższe drzewa, przeskakiwał różne zawady, a wszystko to z wielką uciechą dla malców. Jednego dnia kiedy je tak bawił, ujrzał przy tylnem wyjściu ogrodu stojącą jakąś teleżkę, dwoma silnemi zaprzężoną końmi, i pytał zaraz niańki dzieci, kto tym wózkiem przyjechał, ale ta odrzekła, że nie wie co to za jeden, ale że on tu już kilka razy przybywał w odwiedziny.

Niedługo ukazał się pułkownik w towarzystwie jakiegoś jegomości, po cywilnemu ubranego, rozmawiali oni z zajęciem po niemiecku, a potem u bramy ogrodowej serdecznie się żegnali, a kiedy wsiadał do wózka ów nieznajomy, to furman pytając go gdzie ma jechać, dał mu tytuł: »*Wysoko Błahorodije*« i ruszył ku Szczebrzeskiej bramie.

Usłyszawszy to, pospieszył cygan na Nowe Miasto dla zawiadomienia pana Szyca o swojem odkryciu, a ten doniósł o tem marszałkowi, i obydwa nie mogli już wątpić

o tajemnem jakiemś znoszeniu się dowódzcy Zamościa z Moskalami; przedsięwzięli też zaraz środki zabezpieczające ich od nagłego napadu, wysłali patrole w różnych kierunkach, i te co szły ku Lublinowi i Lwowowi, zawiadomiły o zupełnym spokoju, te zaś co były na drodze do Szczebrzeszyna wiodącej, napotkały gęste patrole kozackie.

Wszystko tedy nakazywało ostrożność; to też pan Kazimierz kazał kulbaczyć konie, rozdano ładunki piechocie, spakowano furgony, a kiedy zupełna już była gotowość do wymarszu, postanowił marszałek pojechać do twierdzy dla zbadania zamiarów dowódzcy, a na tę wyprawę wziął z sobą Goliana i kilku towarzyszy.

Ukazanie się pana Kazimierza z Golianem zmięszało niezmiernie pułkownika; na zarzuty czynione mu że pomimo wieści o bliskości nieprzyjaciela żadnych przygotowań do obrony twierdzy nie robi, składał się niewiadomością, a kiedy przywołany jeden z tych co towarzyszyli panu Kazimierzowi oświadczył, że widział na swoje oczy snujących się kozaków, wtenczas pułkownik zapewnił marszałka, że zajmie się przygotowaniem do obrony, radził przytem, żeby jeżeli Moskale zechcą atakować konfederatów, cofali się pod wały miasta, a on strzałami armatniemi razić będzie nieprzyjaciela.

Wśród tej rozmowy nadbiegł oficer straż przy bramie Szczebrzeskiej trzymający, i oznajmił, że widno ciągnących Moskali, i że konnica ich dochodzi już do grobli; na tę wieść wielkie podziwienie okazał pułkownik, i obracając się do pana Kazimierza:

— Panie marszałku — rzekł — nie ma czasu do stracenia; niech pan spieszy do swoich, a ja się przygotuję na przyjęcie nieprzyjaciela.

Pan Kazimierz nie mając żadnych dowodów potępiających pułkownika nie śmiał mu wyrzucać zdrady, wzdrygało się prawe serce jego na myśl zrobienia tak krzywdzącego zarzutu niewinnemu może człowiekowi, i to w chwili kiedy się oświadczył z gotowością do obrony, dla tych więc powodów zaleciwszy mu jak największy pospiech, pożegnał go, zeszedł na dół, dosiadł konia i ruszył.

Jeszcze nie wyjechał był z dziedzińca zamkowego, kiedy ujrzał Sagę pędzącego na Wijunie.

— Oho! coś nowego! — zawołał do otaczających — a cygan osadził konia.

— Zdrada JWPanie! — wykrzyknął — obie bramy zamknięte! — i wskazał ręką w kierunku lwowskiej i lubelskiej.

— Wywalimy je — ozwał się Golian.

— Niepodobna! — odrzekł cygan — bo sztabami żelaznemi zaparte.

Na tę wieść marszałek spojrzał na zamek, w którym przed chwilą był z pułkownikiem, i podnosząc rękę w górę:

— Ha! nikczemny! — zawołał — jeżeli żyć będę, to mi głową odpowiesz za tę zdradę. Na Szczebrzeską bramę panowie! — dodał i ruszył w całym pędzie konia.

Nie zatrzymując się ani na chwilę minęli ją, przebyli most, i stanąwszy po za blokhauzem patrzali na groblę.

Moskale, zapewne w skutek umów z dowódzcą Zamościa, bezpieczni postępowali, przednia straż ich z kilkunastu koni złożona mijała młyn na grobli będący, a kiedy dochodzili

do Blokhauzu, wypadli z po za niego konfederaci, dali ognia z pistoletów, a potem z szablami uderzyli na nich.

Zmięszana tem niespodziewanem natarciem straż przednia umykać poczęła do reszty szwadronu, a dowódzca takowego, myśląc że to zdrada ze strony komendanta twierdzy, cofał się spiesznie.

Spostrzegł to zamięszanie marszałek i odwracając się do swoich.

— Przebywaliśmy rzeki — rzekł — spróbujmy staw przepłynąć — i skoczył z grobli w wodę, a za nim towarzysze jego *).

Z początku brnęły po wodzie konie, dalej spływać poczęły, i tak na przemian, to brodząc, to płynąc, dostali się do części stawu sitowiem zarośniętego. Najtrudniejsze to było miejsce do przebycia, bo konie zapadając w moczary z ciężkością posuwały się, a jeźdzcy podani naprzód szablami cięli szuwary, torując tym sposobem drogę koniom.

Saga na lekkim koniu swoim jechał o kilkanaście kroków naprzód, za nim pojedyńczo postępowali konfederaci; pod dobrze wyostrzoną szablą cygana padały sitowia, a jadący w ślad za nim zakryci w około zaroślami nie widzieli końca tej przeprawy, ani mogli zmiarkować kierunku w którym idą. Nareszcie ukazała się czysta woda, a kiedy wyjechał na nią Saga:

— Otóż i Nowe-miasto! — zawołał wskazując na lewo, a uradowani towarzysze jego znaleźli się wkrótce na lądzie.

*) Cały ten epizod z pamiętnika X. Kostkiewicza.

Pod miastem uszykowany był cały zastęp konfederatów, i wszyscy z okiem wlepionem na drogę wiodącą do lwowskiej bramy wyglądali powrotu marszałka Łomżyńskiego, łatwo też pojąć ich zdziwienie, kiedy go ujrzeli wychodzącego ze stawu.

Bierzyński, Szyc, pan Franciszek i co było starszyzny, pędzili na jego spotkanie, a kiedy im opowiedział zdradę komendanta Zamościa, oburzenie ich było niezmierne i wszyscy byli tego zdania, że koniecznością jest ukarać go przykładnie, a tym sposobem pokazać podobnym jemu, jaki los czeka zdrajców.

Po tym wypadku Zamość nie przedstawiał już punktu oparcia; postanowił też marszałek iść dalej, i na Izbicę i Tarnogórę ciągnął do Krasnego-stawu.

Było to miasto królewskie, a starostą jego był niegdyś hetman Zamojski. Po nad rzeką Wieprzem stał zamek obszerny *), w owym czasie w części już tylko zamieszkały; w nim to Jan Zamojski, po odniesionem zwycięztwie nad arcyksięciem Maksymiljanem, przebywał czas jakiś z swoim cesarskim jeńcem, którego postanowił wspaniale podejmować.

Przy pierwszej zaraz uczcie, na której wielu było senatorów i dygnitarzy, arcyksiążę oświadczył, że jako brat cesarski nie może jeść przy jednym stole z poddanymi, a to dumne oświadczenie oburzyło mocno obecnych panów polskich, nawykłych do poufałego obchodzenia się królów swoich, nie wyrazili jednak nieukontentowania swego, zostawiając to gospodarzowi, ale ten miasto jakiejś cierpkiej

*) Dziś w tem miejscu są stajnie wojskowe.

odpowiedzi, oświadczył, że stósownie do woli księcia osobno go posadzi. Ta powolność zdziwiła obecnych; ale po chwili przyniesiono srebrny stolik i takież krzesło, a kiedy zaproszony przez Zamojskiego, arcyksiążę usiadł na nim, to ten wziął z rąk dworzanina długi łańcuch złoty, otoczył nim i stół i siedzenie, i na kłódkę zamknął, a tak dumny książę w okowach uczestniczył biesiadzie.

W tym to zamku, a może i w tej samej sali gdzie hetman Zamojski starł dumę brata cesarskiego, podkomorzy Trębiński, starosta Krasnostawski, w licznem gronie szlachty chełmskiej przyjmował marszałka Łomżyńskiego i jego towarzyszy.

Na drugi dzień wniósł pan Kazimierz do sądu grodzkiego skargę na dowódzcę Zamościa, przesłuchano świadków i wypadł wyrok zaoczny skazujący go na gardło, jako zostającego w służbie polskiej, a dopuszczającego się zdrady na osobie jednego z dowódzców; dwie kopje takowego wyroku poniósł Saga do Zamościa, i w nocy jedną przybił na ratuszu, drugą na drzwiach mieszkania pułkownika, a tak na drugi dzień całe miasto wiedziało o postępku dowódzcy twierdzy, i o losie jakiby go spotkał, gdyby wpadł w ręce konfederatów.

Wkrótce po przyjściu marszałka do Krasnegostawu oznajmiono mu przybycie jakiegoś szlachcica, który pragnie z nim pomówić na osobności; chętnie na to przystał pan Kazimierz, a kiedy przyszedł oczekiwany, oświadczył że jest dworzaninem pana Paca starosty Ziółkowskiego i wręczył mu list od niego.

Starosta w nim donosił, że wielkiej wagi interes wymaga koniecznie zniesienia się z nim, a że nie chce się pokazywać wśród licznego zebrania, jakie jest w tej chwili w Krasnymstawie, przeto prosi go, ażeby przybył do Krupego.

W ten moment odpisał pan Kazimierz że stawi się na wezwanie, jakoż na drugi dzień wyruszył w tę niedaleką podróż.

O dwie mile od Krasnegostawu leży Krupe, niegdyś siedziba rodziny tego nazwiska, z której o jednym owe wierszyki przechowały się:

Król Jagiełło bił Krzyżaki,
I pan Krupa chciał być taki.

Staroszlachecka ta familja wygasła jeszcze za Jagiellonów, a dobra jej przeszły w spadku na Zborowskich. W dziale pomiędzy bracią Krupe dostało się smutnej pamięci Samuelowi, skazanemu na banicją za zabicie Wapowskiego, potem ściętemu w Krakowie za wyrokiem sądu grodzkiego. On to wystawił w Krupem zamek obszerny, silnie obwarowany, który, jak podanie mówi, był świadkiem rozpustnych bachanalii i nie jednego gwałtu, jakiego nieraz dopuszczał się burzliwy hetman Zaporożców, którym jak utrzymują, miał przewodzić Zborowski pod imieniem Samuchy.

Po wygaśnięciu tej możnej rodziny, dostało się Krupe Radziwiłłom, a że Pac miał wielką zażyłość z księciem Panie Kochanku, że liczył się do najpoufalszych jego Albańczyków, nic więc dziwnego że tu obrał sobie *locum standi,* bo miejsce to dalekie od traktu, wśród ogromnych lasów położone, najstosowniejszem było do ukrycia tajemnej wyprawy Starosty.

Do tego to zamku banity, jak go lud nazywa, przybył pan Kazimierz w towarzystwie Goliana i jednego kozaka. Pan Starosta Ziołkowski nadzwyczaj rad tym odwiedzinom, poznał marszałka z towarzyszem swojej podróży, a tym był pan Oskierko, Strażnik Polny Litewski.

Zaraz po przywitaniach i ugoszczeniu wszczęła się rozmowa polityczna; pan Pac przechodził wszystkie fazy konfederacyi od chwili jej zawiązania, oddawał sprawiedliwość usiłowaniem pojedyńczych ludzi, i niesłychanej odwadze konfederatów, ale znajdował, że opór nie jest ogólnym, że mało ziem i powiatów powstało, a to ociąganie się przypisywał brakowi kierownictwa: bo jakkolwiek mówił, są ludzie okryci zaufaniem publicznem, to żaden z nich, po śmierci Starosty Wareckiego, i wyjeździe do Stambułu Podkomorzego Różańskiego, nie ma prawa wzięcia władzy w rękę.

Inaczej jest na naszej Litwie — mówił pan Pac — oddalona od stolicy nie ulega wpływowi kamaryli pana Stolnika Litewskiego; cała oddana Xięciu Wojewodzie Wileńskiemu posiada wszelkie kondycje do prowadzenia wojny partyzanckiej konieczne; bo gdzie jest część polski, co by miała takie lasy niezmierne, takie nieprzystępne miejsca, jak naprzykład okolice Możyra i Pińska? Tam z małą pomocą żyźniejszych części kraju, cała armia zwierzyną i rybami wyżyć może. Takie miejsce to asilium, to twierdza niezmierna; nie zdobędzie jej nieprzyjaciel, bo jedyną do niej wiodącą drogę łatwo obronić można, nie ogłodzi jej, bo to kraj szeroki a w nim mieszka szlachta gotowa do poświęceń, i lud nienawidzący najezdników. A co najważniejsza, czego brak w Koronie, to że my Litwini mamy sztandar, bo Hetman nasz Wielki, Ogiński, stanie wkrótce na naszem czele.

Tu przestał, chwilę patrzał na pana Kazimierza, na którego twarzy malowało się wielkie podziwienie.

— Nie gołosłowne to twierdzenie moje — mówił dalej pan Pac — bo pan Strażnik Litewski — tu wskazał na pana Oskierkę — złoży panu marszałkowi i dowód współudziału Hetmana i upoważnienie do traktowania z panem w jego imieniu.

Po tych wyrazach pan Oskierko wręczył panu Kazimierzowi list od Ogińskiego, w którym go zawiadamiał o gotowości swojej zrobienia akcessu do konfederacji, przytem żądał żeby się zniósł ze Strażnikiem co do sposobu rozpowszechnienia tego patryotycznego ruchu na Litwie, i zarazem upewniał, że co w tym względzie oni obadwa łącznie z panem Pacem ułożą, on za obowiązujące go uważać będzie.

Po przeczytaniu tego listu radość pana Kazimierza była nadzwyczajna, bo to przystąpienie Ogińskiego nadawało prawną sankcję kofederacji.

Urok bowiem władzy Hetmańskiej był wielki, przeciwważyła ona nawet powagę majestatu, ilekroć w obronie zagrożonych swobód narodowych w opozycji jej stawała.

Hetmanom bowiem przysługiwało tylko prawo zwołania pospolitego ruszenia uniwersałami ogłoszone, oni dowodzili wojskom Rzeczypospolitej, a że pierwsze, jak drugie, składało się z samej prawie szlachty, to też ich zwano *Szafarzami krwi szlacheckiej*. Było więc do przewidzenia, że

gdyby wszyscy czterej Hetmani byli przystąpili do konfederacji, i w moc atrybucji im służących wezwali naród do broni, nikt by na głos tych Szafarzy nie pożałował krwi swojej, powstanie byłoby doszło ogromnych rozmiarów, a doświadczona odwaga ówczesnego pokolenia zapewniała zwycięztwo.

Ale nieszczęście chciało, żeby ta władza nad wojskiem spoczywała w owym czasie w ręku ludzi, którzy z niej użytku zrobić nie mogli; bo Hetman W. K. Klemens Branicki, jakkolwiek pełen cnót i gorącego patryotycznego poczucia, był to starzec wiekiem i cierpieniami złamany, Polny koronny Rzewuski wywieziony na Sybir wraz z Sołtykiem jeszcze za konfederacji Radomskiej, nie wrócił z wygnania, Polny Litewski, był człowiek ociężały, spokój przedewszystkiem miłujący, żadnego też udziału w sprawach publicznych nie brał, pozostał jeden Ogiński, na którego też oczy wszystkich zwrócone były, bo prócz wpływu jaki wywierał na Litwę mógł on w porozumieniu, i za upoważnieniem Branickiego, i koronnemi dowodzić siłami.

Pomimo wysokiego stanowiska swego zrozumiał on, że trzeba uroku wypróbowanej odwagi i szczęśliwych pomysłów, żeby wzbudzić w ludziach zaufanie i wiarę w skuteczność usiłowań jakie przedsięwezmą; a że od początku konfederacji pan Kazimierz odznaczał się między wszystkimi temi koniecznemi dla dowodzącego przymiotami, to też obaj litewscy wysłańcy nalegali usilnie, ażeby na Litwę przeniósł działanie swoje, pewni będąc, że wpływ marszałka Łomżyńskiego, poparty powagą Hetmańską, zbawiennie działać będzie na usposobienie szlachty Litewskiej.

Przekonany tym argumentem pan Kazimierz, oświadczył obu panom, że podziela ich zdanie, nim zaś coś stanowczego przedsięweźmie, musi się znieść z tymi, którym przewodzi, i dla tego przed wieczorem wrócił do Krasnegostawu.

Stanąwszy tam, zwołał zaraz radę przedniejszych konfederatów i przedłożył im projekt zwrócenia się ku Litwie, a ci widząc wielkie korzyści dla dobrej sprawy chętnie na to przystali.

Ułożono też zaraz plan całej wyprawy, i w skutek takowego, wszystkie bagaże i co słabsi ludzie mieli się udać ku granicy Węgierskiej, a z tym oddziałem miał iść pan Zarzycki, teraz już Rotmistrz; ale ten tak usilnie prosił, żeby mógł dzielić los obu Pułaskich, że pan Kazimierz zgodził się na to, i kogo innego w jego miejsce przeznaczył.

Drugą czynnością było rozpuścić janczarów. Dzielny to był wprawdzie żołnierz, ale takich okrucieństw dopuszczał się nawet na mieszkańcach kraju, że niepodobna było dłużej ich pozostawić w szeregach konfederacji, siedemdziesięciu tylko poddało się karności wojskowej i dowództwo nad nimi wziął Abdalach-aga, reszta zaś wróciła do Chocima *).

Zajęto się potem zformowaniem oddziału, który miał iść na Litwę, i wybrano 800 ludzi; w ich liczbie byli strzelcy pana Szyca, szlachta, kozacy już doświadczeni w boju, i janczary, reszta podzielona na małe kupki od 50 do 60

*) Historyczne.

ludzi miała iść w góry i tam oczekiwać dalszych rozkazów *).

Całym zastępem idącym na ową wyprawę dowodził pan Kazimierz, pan Franciszek prowadził szlachtę, Szyc swoich strzelców, Abdalach-aga jańczarów, a Zarzycki kozaków.

Pare dni zeszło na wyborze ludzi, koni i uzbrojenia, a kiedy wszystko gotowem było, wyruszył Marszałek, po drodze złączył się z nim Pac i Oskierko, w Doruhusku przeszli Bug, i tamtą stroną rzeki dążyli na Litwę, gdzie przodem wysłano wiadomości o ich pochodzie.

*) Szczegóły te są historyczne.

Przejście marszałka Łomżyńskiego na Litwę, pobyt tam jego, i powrót do Korony, należy do najzuchwalszych pomysłów, jakie w tym rodzaju dokonane kiedy były; wzbudzały one podziwienie w samych Moskalach, a w szczególności w Suwarowie, którego późniejsze kampanje a mianowicie włoska, dowiodły, że był sędzią kompetentnym w ocenieniu takich obrotów wojennych.

Oprócz starszyzny, z którą naradzał się marszałek w Krasnym stawie, nikomu z podkomendnych nie był wiadomym istotny cel wyprawy, i dopiero po przejściu Bugu dowiedzieli się oni, gdzie ich prowadził pan Kazimierz; że zaś wielkiem go otaczali zaufaniem, z ochotą też szli za nim.

O parę mil od Bugu leży miasteczko Luboml, na ten czas jeszcze królewskie, bo o wiele później, oddanem ono zostało na własność Xaweremu Branickiemu. W mieście stał pułk ułanów i pare chorągwi Tatarskich, a pierwsi jak drudzy najlepszego byli usposobienia; skoro też doszła ich wieść o zbliżaniu się konfederatów, trzystu ułanów, i

stu przeszło Tatarów, Lipków, połączyło się z marszałkiem, *).

Prócz pomocy, jaką było kilkuset ludzi dobrze uzbrojonych i znających miejscowość, to przejście na stronę konfederacji pierwszego zaraz oddziału wojsk królewskich, z jakim się zetknięto, dobrze kazało tuszyć o skutku wyprawy; to też wszyscy pełni nadziei dążyli ku Brześciowi Litewskiemu. Przez ciąg dwudziestu - milowego pochodu do Brześcia, największe objawy współczucia spotykały marszałka Łomżyńskiego.

Z zapałem przyjmowany przez mieszkańców i duchowieństwo, ugaszczany z towarzyszami swymi w każdym niemal dworze, widział on co raz to powiększający się swój zastęp dziarską i ochoczą młodzieżą. W połowie drogi do Brześcia spotkali go wysłańcy Jana Horaina, Wojewody Brzesko - Litewskiego, blizkiego krewnego Pułaskich, którzy mu donieśli, że szlachta Brzeska z Wojewodą swoim na czele, czekają tylko przybycia jego, żeby zawiązać konfederację i zaraz zbrojno wystąpić.

Wieść ta wielkie zrobiła wrażenie na umysłach konfederatów; bo jakkolwiek najmożniejsze rodziny kraju, jak Radziwiłłowie, Lubomirscy, Sapiehowie, Potoccy, Zamojscy, i wiele innych dusznie sprzyjały konfederacji, nie mniej jednak to urzędowne wystąpienie wysokiego Senatora, jakim był Wojewoda Horain, pierwszym było przykładem jawnego podzielania zasad związku Barskiego przez członka Senatu.

*) Historyczne.

Brześć Litewski, gród starożytny i rozległy, przy ujściu Muchawca do Bugu położony, na samym krańcu Województwa tego nazwiska leży, a rzeka tylko dzieli go od Terezpola, już do Podlasia należącego. W chwili przybycia marszałka Łomżyńskiego spora ta stolica Województwa nie mogła pomieścić natłoku szlachty, co przybyła uczestniczyć aktowi konfederacji i niecierpliwie wyglądała ukazania się zbrojnych jej przedstawicieli.

Wjazd obu Pułaskich do Brześcia, jak się wyrażają ówczesne pamiętniki, był prawdziwym tryumfem; zapał szlachty Litewskiej był niezmierny; hojną ręką sypano ofiary na ołtarz ojczyzny, a te służyły do uzbrajania licznych ochotników, którzy zewsząd zbiegali się na wezwanie swego Wojewody.

Te objawy poświęcenia i radość nie przeszły Bugu, bo tam inny wpływ przeważył — Terespol bowiem, niegdyś dziedzictwo Sieniawskich, z ostatnią córą tego rodu, wdową po Denhoffie, przeszedł w dom Czartoryskich. Można ta rodzina wielkiego znaczenia za obu Sasów używająca, widziała konieczną potrzebę zmian kardynalnych w prawie politycznem polskiem, ale łudziła się nadzieją, że te na drodze legalnej i parlamentarnej przeprowadzić się dadzą, odrzucała też z oburzeniem każde wystąpienie zbrojne a szczególnie pod nazwą konfederacji wywołane, bo ona stała niezależna od władzy królewskiej i była nieraz w ręku wichrzycieli środkiem wielu nadużyć.

Założeniem partyi Czartoryskich było rozszerzenie atrybucji korony, i na wzór państw ościennych, skupienie władzy w jednem ręku; a że konfederacja Barska wygłaszała

wręcz przeciwne zasady, i króla nawet z tronu złożyć zamierzała, nic więc dziwnego, że nietylko poparcia nie znalazła ale owszem opozycją silną napotkała w stronnictwie Czartoryskich a to zapatrywanie odbiło się na Podlasiu, gdzie wiele mieli adherentów.

Nie zmarnowano kilkunasto-dniowego pobytu w Brześciu, ale z największym pospiechem uzbrajano nowo-zaciężnych.

Szlachta wprawna do szabli, wzrosła niejako na koniu, z łatwością wykonywała obroty wojenne; więcej nieco pracy musiano sobie zadawać z formowaniem lekkich Tatarskich chorągwi, których zawiązkiem był oddział, co się połączył z marszałkiem w Lubomlu.

Chorągwie te nie składały się z samych Tatarów, jakby to z nazwy wnosić można, ale starszyzna była pochodzenia Tatarskiego; dziwnym bowiem pojawem te potomki Bata i Dżengiskana, owi wyznawcy Islamizmu, osadzeni na Litwie jeszcze przez Witołda, zachowując wiarę ojców pozbyli się wszystkich wad plemienników swoich; miasto koczującego życia, polubili oni pracę około ziemi, a miasto nienawiści dla imienia chrześciańskiego, dusznie przylgnęli do Polaków i Polski.

Od czasu bitwy pod Grunwaldem widzimy ich ciągle walczących w szeregach obrońców tej ziemi, na której osiedli, i odznaczających się męztwem i nieskalaną wiernością.

To też wdzięczny naród nie szczędził im nagród i bez względu na różność wiary uszlachetniał zasłużonych; i powstały szlacheckie Tatarskie rody, Bielaków, Buczackich, Ułanów, Baranowskich, Januszewskich i tylu innych. Dziś

jeszcze napotkać można niejedną osadę, gdzie wśród gęstych drzew ogrodu wystrzela wysmukła wieżyczka minaretu, a z niej Mołna wzywa dotąd na modlitwę wyznawców proroka, dziedziców tej wsi polskiej. Okolica Brześcia i graniczące z nią Podlasie gęsto osiadły Tatarskie rodziny i w czasie pobytu konfederatów w tamtych stronach z tradycyjnym swoim patryotyzmem młodzież spieszyła w ich szeregi, a co twardsi Muzułmanie ci szli pod dowództwo Abdalach-agi, który z niezmienną swoją przyjaźnią dla obu Pałaskich postanowił dzielić ich losy.

Oddział pana Szyca o wiele się powiększył wprawnymi w strzelaniu ludźmi, bo w lesistej okolicy Brześcia mnóstwo było leśników, gajowych, poberężników, w każdym niemal dworze znalazło się kilku doświadczonych myśliwych, a ci nawykli do trudów nieoddzielnych od życia łowieckiego, przywykli do walk z drapieżnym zwierzem, zahartowani do niewygód, posiadali wszystkie przymioty dzielnego żołnierza.

Zastęp szlachty i nadwornych kozaków, Polesiukami zwanych, wzrósł także potężnie, to też przeszło 3000 ludzi liczył już marszałek Łomżyński pod komendą swoją, a dochodzące go z dalszych okolic wieści kazały wnosić, że im bardziej posuwać się będą w głąb Litwy, tem więcej ochotników przybywać im będzie.

Nie tajnemi były Moskalom te powodzenia konfederacji; wiedzieli oni że tu o czas tylko chodzi, ażeby ta wielkich nabrała rozmiarów, to też postanowili w zarodzie przytłumić powstanie, i w parę tysięcy, jakie były pod ręką, ruszyli ku Brześciowi.

O tym pochodzie, równie jak o sile nieprzyjaciela dowiedział się zaraz marszałek, i nie przerywając dzieła formacji, wziął część swoich i poszedł na spotkanie Moskali. W bliskości Brześcia uderzył on na nich, rozbił zupełnie a potem umiejętnemi ruchami otoczył i zmusił cały oddział, z tysiąca sześćset ludzi składający się, do złożenia broni *).

Powrót jego do Brześcia był istotnym tryumfem, wzrosła wiara w możność wywalczenia niepodległości, a zaufanie i zapał dla młodego wodza, który w ich oczach dał dowód niezaprzeczonego talentu, granic już nie miały.

Korzystając z tego usposobienia podkomendnych postanowił iść na Słonim, do stolicy Litwy, gdzie dopiero jeneralna konfederacja zawiązaną być miała. Na godność marszałka jeneralnego głos publiczny zalecał pana Paca, Starostę Ziołkowskiego, który natenczas znajdował się w Brześciu. Zacny jego charakter, zdolności konieczne dla człowieka politycznego, gorące uczucie patryotyczne a w końcu i urok wielkiego imienia, wszystko to usprawiedliwiało życzenie Litwinów powierzenia Staroście Ziołkowskiemu i zarządu kraju i kierownictwa sprawami politycznemi; ale wojsko, które w tylu potyczkach było świadkiem talentów i odwagi marszałka Łomżyńskiego, młodzież Litewska zelektryzowana opowiadanemi czynami jego, co uczestniczyła w swieżo odniesionem zwycięztwem pod Brześciem, pod jego tylko rozkazy iść chciała, i wodzem go swoim okrzyknęła.

*) Pamiętniki Murraya.

Nie wiem bowiem, czy był kiedy dowódzca, coby błyszczał taką aureolą chwały, i taki urok wywierał na podkomendnych swoich, jak Kazimierz Pułaski. Wśród boju nadzwyczaj trafny w ocenieniu położenia i swego i nieprzyjaciela, umiał on korzystać z każdej miejscowości i z błędów przeciwników, których zamiary z dziwną jakąś intuicją odgadywał najczęściej. Nadzwyczaj wprawny w strzelaniu, robieniu bronią, był on wzorem naśladowania dla towarzyszy swoich, z których żaden jednak dorównać mu niemógł; strasznej odwagi, jeździec dzielny, dorodnej i pełnej wdzięku powierzchowności, samą tą postacią rycerską elektryzował on młodzież ochoczą i dziarską, jakiej przewodził; a kiedy obok tych zalet zewnętrznych widziała ona bezinteresowność jego, czysty patryotyzm żadną dążnością stronniczą nie skalany, kiedy wszyscy byli świadkami jego poświęcenia, abnegacji, i żadnemi przeciwnościami niezłamanej wytrwałości, to już zapał i wiara w niego nie miały granic.

Tak przedstawiony obraz Kazimierza Pułaskiego poprę zdaniem Ruhliera, który kreśląc przedrozbiorowe dzieje nasze nie pojął wprawdzie ducha instytucji polskich, ale ma tę niezaprzeczoną zasługę, że dziwnie trafnie uportretował postacie pojedyńczych aktorów tego krwawego dramatu. Mówiąc o marszałku Łomżyńskim tak się on wyraża:

„Nie było nigdy wojownika, któryby sam z taką biegłością umiał władać każdego rodzaju bronią. Dzięki tym wrodzonym darom, podniesionym jeszcze nieustanną wprawą,

uderzał on na wroga zawsze na czele swoich, z porywającą każdego odwagą.

›Młodzież pełna determinacji, w której on większe niż w starszych a zmiękczałych pokładał zaufanie, wyrobiona pod jego okiem, rzucała się za nim wśrod boju, idąc w zawody zręczności i siły. Nie było tam żadnego, co by się nie odznaczył czynem szczególnej odwagi.

›Jeden znich przeszło stu Moskali własną ręką zabił; inny pędząc wzdłuż ich frontu, wśród gradu kul dopadł dowódzcę i strzałem z pistoletu czaszkę mu roztrzaskał; inny znowu w szalonym biegu dotarł do bram bronionego miasta i sprzątał moskiewskie placówki. Z niesłychaną szybkością, z nieomylnem ocenieniem odległości odcinali oni na płaszczyznach i przy wejściu do lasów drobne oddziały moskiewskie, biorąc je zwykle w niewolę.

›Niebezpieczeństwo było dla nich igraszką, a walka rozrywką wśród trudów. Celujący w tych przymiotach Pułaski, był mistrzem swych towarzyszy. Wszyscy oni szli za nim z zapałem, rzucali się na wszelkie niebezpieczeństwa strzegąc się przytem i broniąc wzajemnie. Najszczęśliwszym w tych razach był jednak Pułaski.

›Każdego niemal z oficerów swoich uratował on z niebezpieczeństwa, niejednego wydarł z rąk nieprzyjaciela, każdy z nich prawie zawdzięczał mu wolność lub życie. Wiele innych marszałków, niepewnych w działaniu zasięgało zdania podwładnych, narażając się niekiedy na zdradzieckie rady. Ale w obozie Pułaskiego sam tylko dowódzca wydawał rozkazy; nikt też planów jego nie znał, ani ich zgłębiać pragnął, bo ogólne zaufanie wywoływało ślepe dla

niego posłuszeństwo. Oddział ten celujący wśród innych odwagą, odznaczał się również ubóstwem.

›Kazimierz Pułaski nie nakładał kontrybucji, bo wrodzona jego szlachetność oburzała się na tak ohydny środek. Każdy grosz, jakim mógł rozporządzać, używał on zwykle na dokładne powzięcie języka. Ztąd też baczność jego była równie przenikliwą, jak i do odgadnienia trudną.‹ *).

Takie było zapatrywanie się na zalety Pułaskiego nie tylko drobnej szlachty, ale i synów możnych domów, bo Sapieha, Zyberg, Kossakowski, i wielu innych z oddziałami swemi szli chętnie pod rozkazy jego. Ale temu wyniesieniu marszałka na najwyższe dowództwo niechętni byli ludzie starsi wiekiem, bo ono stało w przeciwieństwie z prawem politycznem Wielkiego Księstwa, o które bardzo dbałymi byli.

Litwa bowiem, jakkolwiek najściślej połączona z Koroną, uporczywie przestrzegała prerogatyw swoich, a że jedną z takich było wyraźne zastrzeżenie, że żadnego urzędu w Księztwie nierodowity Litwin sprawować nie może, a Kazimierz Pułaski nim nie był, ztąd niezadowolenie wielu na to nieposzanowanie przez młodzież rodzinnego prawa Litwy. Nieprzyznając Pułaskiemu tytułu naczelnie dowodzącego, który tylko jeneralna konfederacja nadać miała prawo, szli jednak wszyscy pod przewództwem jego ku Słonimowi, w nadziei że dotrą do Wilna.

W połowie drogi spotkali oni korpus moskiewski, który bronił drogi do stolicy prowadzącej. Na tę wieść, Pułaski

*) Rulhière. Wydanie Ostrowskiego. Tom III str. 300.

niechcąc się narażać Litwinom, chciał złożyć dowództwo w doświadczeńsze ręce, ale niezmierne okrzyki całego wojska zmusiły go do zachowania przewództwa. Ruszył tedy naprzód, a po drodze napotkał miejsce, które za stosowne do stoczenia bitwy uważał; zatrzymał się też na niem i zrobił szyk bojowy.

Na wzniosłej nieco płaszczyźnie ustawił on piechotę, której jedno skrzydło o niedostępne błota opierało się, poniżej tego wyniesienia stanęła konnica skośnie do piechoty, a zarośla i wzgórze kryły ją przed okiem nieprzyjaciela; małą zaś tylko część jazdy na widoku umyślnie zostawiono. Nadeszli niebawem Moskale i zaraz uderzyli na piechotę; ta odstrzeliwając się i ustępując w porządku odsłaniać poczęła front jazdy, robiąc wolne miejsce do ataku, a kiedy doszła na skrzydło konnicy, plutonami dała ognia, a w tej chwili marszałek z całą jazdą uderzył na skrzydło Moskali.

Ogromne zamięszanie wszczęło się między nimi, konnica ich, która szła za piechotą, wpadła na błota i tonęła w nich, pieszych rąbali, kłuli albo tratowali końmi konfederaci. Parci z dwóch stron Moskale odbiegli dział, amunicji, i z trudnością przerzedzone ich szeregi zdołały połączyć się z rezerwą, która za rzeczką stała.

Marszałek chciał korzystać z tego zwycięztwa, przejść wpław rzekę i uderzyć na resztę, ale starszyzna Litewska uważała to za zbyt ryzykowne, radziła czekać na posiłki, na które z pewnością rachować można było, równie jak na pomoc dwukroć-stotysięcznej armji tureckiej, której pochód od Wołoszczyzny odciągnałby niewątpliwie wszystkie siły

moskiewskie w tamte strony *). Pomimo tedy nalegania marszałka i domagania się upojonego zwycięztwem wojska nie stoczono ponownego boju; za nadejściem nocy cofnął się nieprzyjaciel, a wsparty posiłkami, które się zewsząd ściągały, obsadził silnie drogi do Wilna wiodące, i niepodobnym uczynił pochód do stolicy Litwy.

O dalszych czynnościach marszałka Łomżyńskiego na Litwie bardzo niedokładnie mówią ówczesne pamiętniki; wspominają one o pięciu szczęśliwie stoczonych bitwach; o dwóch mówiłem dopiero, o reszcie zaś żadnej wzmianki nie napotkałem. Zdaje się, że dalsze niepowodzenie konfederacji w tamtych stronach głównie przypisać trzeba wahaniu się Hetmana Ogińskiego, który jakkolwiek najlepszemi ożywiony chęciami, długo ulegał wpływowi Czartoryskich, będąc przez żonę blisko z nimi spokrewniony, i dopiero w kilka miesięcy zbrojnie wystąpił. Odniósł on wprawdzie dwa świetne zwycięztwa, aż pod Stołowiszczami, z nienacka napadnięty przez Suwarowa, czy w skutek nieoględności, czy też zdrady, jak niektórzy twierdzą, do szczętu zniesionym został.

Po kilkomiesięcznych usiłowaniach utrzymania konfederacji na Litwie, widzimy marszałka Łomżyńskiego w lesistej okolicy Augustowskiego, na pograniczu Prus wschodnich, atentującego aktowi Konfederacji jeneralnej i wyborom urzędników.

Wspomniałem wyżej, że głos opinji publicznej wskazywał na przewodnika Paca Starostę Ziółkowskiego, to też przy

*) Historyczne.

wyborach, bez żadnej opozycji obwołanym on został marszałkiem Litwy, a marszałkiem związkowym młody Sapieha, mąż siostrzenicy Hetmana Klemensa Branickiego.

Konieczną potrzebą uznali nowo obrani marszałkowie znieść się z przewodzącymi w Koronie, którzy na ten czas w Cieszynie przebywali, udali się też tam obadwa, a Litwini pozbawieni steru, do domów się rozchodzili, odkładając do powrotu marszałków powtórne zbrojne wystąpienie.

Pozostali tedy przy obu Pułaskich tylko wierni ich towarzysze z Korony, i tych było przeszło sześć set koni, z któremi zamierzyli wracać na powrót. W czasie wyborów, jakie miały miejsce nad Pruską granicą, przybył jakiś nieznajomy, którego z wielką czcią przyjmował pan Pac i cała starszyzna konfederatów, a który gościł z nimi przez cały ciąg trwania obrad.

Unikał on widno wszelkiego publicznego zetknięcia się, a ci którym się udało widzieć go, tyle tylko wiedzieli, że był młody, i po francusku się nosił; wnosili więc naturalnie, że to jakiś cudzoziemiec. Po rozłączeniu się marszałka Łomżyńskiego z Litwinami, dochodzili konfederaci do wsi, w której nocować mieli, kiedy ujrzeli spieszącego z niej ku nim jakiegoś pajuka, a ten wręczył marszałkowi mały bilecik. Skoro go przeczytał, zaraz go na drobne podarł kawałki, a potem zdawszy komendę p. Szycowi, sam z Golianem i jednym kozakiem ruszył ku wsi a po niejakim czasie wrócił Golian, i przywiózł rozkaz, żeby janczary zaciągneli wartę koło dworu.

Na drugi dzień o świcie wyruszył cały zastęp, a jak już był za wsią, zatrzymał go marszałek, i chwilę stali w miejscu, kiedy ukazała się czterokonna bastarda, za nią dwóch masztalerzy prowadziło luźnego okulbaczonenego konia.

Na ten widok marszałek i pan Franciszek pospieszyli ku powozowi, oddział ruszył naprzód, a po chwili ujrzano jadącego konno między powozem a tylną strażą jakiegoś nieznajomego w towarzystwie obu Pułaskich.

Kiedy dochodzili do miejsca, w którem wypocząć i posilić się mieli, nieznajomy siadł do powozu, i wyprzedził oddział a oba Pułascy przy drzwiczkach jechali. W czasie pobiedniego marszu znowu z tyłu oddziału jechał ten obcy, wieczór janczary zaciągneli wartę i nikogo nie puszczali do dworu, gdzie nocował; a że to co dzień się powtarzało, że obadwa Pułascy z nadzwyczajnem byli dla niego uszanowaniem, wszyscy też wnioski najdziwniejsze robili, kto by mógł być ów nieznajomy *). Marszałek chcąc uniknąć spotkania z Moskalami, lasami pod nad granicą Litwy i Korony prowadził swój zastęp. Niedaleko Białegostoku spotkał ich znany nam pan Oskierko, Strażnik Litewski, zapewne z jakiemiś zleceniami przybyły, a jednocześnie oddział dostał rozkaz wystąpienia jak można najporządniej, w gotowości do lustracji.

Wszyscy też wystrojeni, z bronią starannie wyczyszczoną, szli wesoło, kiedy o jaką milę od Białegostoku ujrzeli spieszącą ku nim sześciokonną kolasę; przodem jechali huzary, za

*) O obecności jakiejś znakomitej figury w czasie powrotu Konfederatow do Korony mówi Rulhiere.

nimi buńczuczny wiózł znamię Hetmańskie, koło drzwiczek było czterech pokojowców, a w powozie siedział starzec poważny i bogato ubrany.

Miał on prócz kilku gwiazd orderowych łańcuch na szyi z insygniami złotego runa, tę najznamienitszą oznakę honorową, za którą ubiegali się Monarchowie nawet.

Na widok zbliżającego się powozu, pan Szyc, który zastępował marszałka jadącego w tyle z owym nieznajomym, zatrzymał oddział, kazał rozstąpić się szeregom a kiedy się rozsunęły:

— Baczność — zawołał — bo to Hetman Wielki Koronny jedzie! — i wskazał na zbliżający się orszak.

Ta wieść wielkie zrobiła wrażenie na konfederatach, bo wszystkim znana była nieskalana cnota i gorące patryotyczne uczucia, jakie cechowały Hetmana Wielkiego i Kasztelana Krakowskiego, Klemensa Branickiego.

Największa to była postać w całej Koronie i Litwie, bo i dowództwo sił Rzeczypospolitej, i ster w Senacie w jego były ręku; pojawienie się więc tego najwyższego dygnitarza niezmierne okrzyki radości i oznaki uszanowania wywołało pomiędzy konfederatami, za które z rozczuleniem dziękował sędziwy Hetman.

Kiedy minął tylną straż i zrównał się z jadącymi za nią, wszyscy uważali że witając nieznajomego zdjął kołpak, a potem z czułością ojcowską całował w głowę pochylonych na ręku jego obu Pułaskich.

Ta oznaka poszanowania ze strony poważnego Hetmana wielce podniosła nieznajomego w oczach konfederatów, wnosili oni że to musi być chyba jaki książe krwi panującej,

kiedy pan Krakowski uchylił kołpaka przed nim; wszyscy też ciekawie przypatrywali się nieznajomemu, kiedy po krótkiej rozmowie, w kolasie hetmana przejeżdżał z nim między ich szeregami.

We wsiach o koło Białego-stoku leżących rozłożyli się konfederaci, Pułascy tylko udali się do rezydencji Hetmańskiej, a po parodziennym odpoczynku ruszył cały zastęp w dalszy pochód, tą razą nieznajomego już między nimi nie było.

W tym pochodzie z Litwy wzmocnił się oddział marszałka Łomżyńskiego i dwóch tysięcy dochodził, podzielił go zaś pan Kazimierz w ten sposób, że główną siłę przeszło tysiąc pięćset ludzi wynoszącą prowadził przodem pan Franciszek, tylną zaś strażą z czterystu ludzi złożoną dowodził sam marszałek.

Na wieść o pochodzie konfederatów z Litwy ściągali się Moskale, i dwa oddziały ich, każden z dwóch tysięcy złożony, spieszyły ku nim, ale nie mogły ich doścignąć i przednie ich straże z tylną konfederatów ucierały się często.

Tak doszli do Włodawy, którą zajął pan Franciszek z głównemi siłami, a o milę od niej we wsi Różance stanął marszałek ze swymi.

Włodawa i wsie okoliczne były w on czas własnością Księcia Augusta Czartoryskiego, Wojewody Ruskiego, a ten w Różance miał pałac wspaniały, do którego szczególne wspomnienie przywiązanem było. W początku burzliwego panowania Augusta II. Włodawszczyzna należała, zdaje mi się, do Lipskiego, Kasztelana jakiegoś Małopolskiego, który

w Rożance mieszkał w starym modrzewiowym dworze bez wymysłu, nawet z wielką niedbałością o wygodę urządzonym.

W czasie wojny z Karolem XII, car Piotr W. sprzymierzeniec Augusta, w pochodach swoich po Polsce gościł jakiś czas w Różance, razem z królem, a właściciel Włodawszczyzny, suto podejmował ukoronowanych swoich gości, a nie łatwe to było zadanie, bo obaj Monarchowie znani są światu jako najwięksi pijacy tej hulaszczej epoki.

Przy jednej takiej uczcie, Car pytał Kasztelana, dla czego nie wystawi sobie domu odpowiedniego do mienia i stanowiska swego? a zapytany tłómaczył się niemożnością. Słysząc to Car umyślił temu zaradzić, i kiedy po kilkomiesięcznym pobycie w Warszawie i Dreznie, przybył znowu Kasztelan do Różanki, zastał jakby laską czarodziejską wzniesiony pałac z ciosowego kamienia; był to dar cara Piotra, w odwet za doznaną gościnność.

W tym to pałacu i w obszernych budynkach otaczających go rozłożył się marszałek z komendą swoją, spokojny, bo Moskale jakąś przeszkodą wstrzymani już więcej doby nie pokazywali się.

Zamożny skarb Włodawski obficie dostarczył prowiantu dla koni i ludzi, a ugoszczenia sutego dla starszyzny, to też wśród dostatku wesoło spędzono wieczór w Różance.

Rozstawione czaty obchodził po trzykroć w nocy pan Golian, i za każdym razem widział światło w oknie pokoju, który zajmował marszałek, co go mocno dziwiło, wiedział bowiem, że pan Kazimierz pomimo żelaznej swej wytrwałości na niewygody, żądny był wywczasu. Szedł więc do

niego i pomimo bardzo rannej pory zastał go ubranego, a nietknięte posłanie dowodziło, że bezsennie noc spędził.

Zdziwiło to Goliana, pytał też zaraz czy nie słaby, bo na twarzy marszałka spostrzegł znużenie i jakieś tęskne zadumanie.

Krótko odpowiedział zapytany, że zdrów zupełnie, chodził spiesznie po pokoju zamyślony, widno że walkę wewnętrzną staczał sam z sobą, a w końcu stanął przed Golianem, położył rękę na jego ramieniu:

— Słuchaj Stanisławie — zawołał — czy wierzysz ty w nadprzyrodzone zjawienia?

Zdziwiony tem niespodzianem pytaniem Golian, odrzekł, że słyszał wprawdzie o takich wydarzeniach, ale sam nie doświadczywszy nic podobnego, sądu o tem składać nie może.

— O! zdarza się to, zdarza — mówił pan Kazimierz — i niespokojny wzrok prowadził po pokoju.

— Czy pan marszałek widział co podobnego? — zapytał Golian.

— Widziałem — odrzekł — i to po raz drugi.... Pamiętasz zapewne, że na dni kilka przed śmiercią mego ojca mówiłem ci o nieszczęściu, jakie mnie ma spotkać; tyś to wziął za przeczucie, a ja za pewność, bo mi je zwiastowało złowrogie widmo mego rodu, i dziś, dziś znowu po północy, widziałem tę bladą, wynędzniałą postać, stojącą w tem oto miejscu ... — I wzruszony, drżącą ręką wskazywał na róg pokoju, a Goliana, pomimo znanej nam jego odwagi, mimowolnie dreszcz przejmował.

— Stanisławie! — zawołał marszałek — to zapowiedź śmierci dla któregoś z pozostałych Pułaskich; trzeba zawiadomić Franciszka, niech będzie gotów, jak na żołnierza i katolika przystało.

Tu postąpił do stołu, spiesznie nakreślił kilka wyrazów, i podając papier Golianowi:

— Niech Saga, co koń wypadnie, pędzi do Włodawy i odda tę kartkę memu bratu, a ty każ otworzyć kaplicę zamkową i proś kapelana o mszę św. na moją intencją.

Wybiegł spiesznie Golian, po drodze rozwinął papier, na nim te słowa tylko skreślone były:

»Widziałem bladą postać, smutną i płaczącą; ty wiesz co to zwiastuje. — Kazimierz Pułaski *).

Po chwili Saga jak wiatr pędził drogą ku Włodawie, a w Różance trębacze zagrali pobudkę poranną i ruch się zrobił wielki; siodłano konie, nabijano broń, ładowano wozy, a potem cały zastęp uszykował się w dziedzińcu pałacu.

Zaledwie dnieć poczęło, ukazał się marszałek a Golian podziwienia ukryć nie mógł na widok spokoju, jaki się malował na jego twarzy pomimo tak smutnych wrażeń tej nocy. Ruszyli wreście konfederaci i we wsi jeszcze spotkali wracającego Sagę, który wręczył marszałkowi odpowiedź na jego pismo; przeczytawszy ją, spytał cygana:

— Co porabia mój brat?

*) Jest legenda w rodzinie Pułaskich o tem pojawieniu się bladej postaci i słyszałem ją z ust poważnych ludzi; nie robiąc żadnych nad tem komentarzy opieram się na podaniu.

— Jeszcze spał JW. panie — odrzekł Saga — kiedym stanął we Włodawie; skoro odebrał list, ubrał się i poszedł do kościoła, a panu Szycowi polecił sprawić oddział do wymarszu, i o tej porze muszą już być za Włodawą.

Wysłuchawszy opowieści Sagi podjechał maszałek do Goliana i podał mu odebrane pismo krótkiej bardzo treści:

Korzystam z przestrogi twojej i idę zaraz do spowiedzi, żebym czysty stanął przed Stwórcą, jeśli taka Jego wola. Franciszek.

Golian, jak wszyscy konfederaci, wielce nabożny, z uwielbieniem widział tę obojętność śmierci, obok wysokiego uczucia religijnego, jakie się objawiało u obu Pułaskich.

W połowie drogi do Włodawy wiodącej była wieś na uboczu, a z niej jakieś krzyki dochodziły do uszu konfederatów; potem ujrzeli uciekających chłopów z dobytkiem, za nimi ukazała się kłusem jadąca konnica moskiewska, dalej na furach piechota, w końcu działa i jaszczyki; był to jeden z dwóch oddziałów, co postępowały w ślad za konfederatami.

Przypatrywał się pan Kazimierz przez lunetę ich obrotom, kiedy Golian uchwycił go za rękę:

— Panie marszałku — zawołał — we dwa ognie nas biorą!

I wskazał ręką ku Różance, a Pułaski ujrzał w kolumnie idącą kawalerję, a za nią błyszczały bagnety postępującej piechoty.

Na ten widok obrócił on się do Goliana:

— A co? Stanisławie — zawołał — czy omyliła się blada postać? A Golian głowę spuścił na całą odpowiedź.

— Ale niech się na mnie skończy — dodał — i odwracając się na koniu:

— Saga! — wykrzyknął — a kiedy nadbiegł cygan:

— Dopędź mego brata — mówił — opowiedz co się tu święci, i oddaj mu rozkaz, ażeby jak najspieszniej uchodził a mnie zostawił losowi mojemu.

Saga popędził ku Włodawie, a pan Kazimierz stanął przed frontem, przemówił energicznie do swoich i w końcu dobywając szablę:

— Bracia — zawołał — pokażmy im, jak Barszczanie nie mogąc zwyciężyć, ginąć umieją! Za mną Wiara!

I zaraz wpadł na Moskali, zabił przed frontem jadącego sztaboficera i skoczył we front, a towarzysze jego tuż za nim pędząc, złamali szeregi moskiewskie.

Zaledwie się wysunęli na pole, ujrzeli uformowaną piechotę, która ogniem karabinowym sypnęła do nich; w pędzie lecący koń marszałka padł pod nim, a jeździec o kilka kroków potoczył się na ziemię. Na ten widok okrzyk obawy rozległ się między konfederatami, bo go mieli za zabitego, ale ten zerwał się na nogi: konia! konia! wołał, a kiedy mu go podano, dosiadł go i uderzył na piechotę; ale i ta nie wytrzymała natarcia konfederatów; rąbali oni to co zagarnął ich zastęp i pędzili na działa, które na przedłużnicach uprowadzali artylerzyści. Ale konnica, co szła od Różanki, widząc złamaną linję kawalerji a potem piechoty, zabiegła drogę konfederatom, a rozbici dragoni, zformowani na nowo, spieszyli z tyłu.

Pomiędzy armatami i wozami amunicyjnemi wszczęła się walka krwawa: z odwagą, którą podwajała rozpacz,

porozrywani na kupki bili się Barszczanie, marszałek cudów waleczności dokazywał, rzucał się wszędzie, gdzie najzaciętsza wrzała bitwa, a ta zaciekłość jawnym była dowodem, że zginąć pragnie.

Widząc to Golian, z kilkudziesiąt ludźmi przedarł się do niego, otoczyli go do koła wierni towarzysze, w imię Boga i ojczyzny wzywali, żeby zaniechał walki, i prawie nieprzytomnego, zbryzganego krwią, z odzieniem podartem kulami, gwałtem uprowadzili do przyległego lasu, a kiedy się tam obliczyli, dziesięciu ich wszystkiego było *).

O pół mili za Włodawą dognał Saga pana Franciszka, opowiedział niebezpieczeństwo, w jakiem się znajduje pan Kazimierz, a rozpacz młodego Pułaskiego i żal wszystkich jego towarzyszy nie miały granic, wołali oni natarczywie, żeby ich prowadził w pomoc ukochanemu przez nich wodzowi i towarzyszom broni, których uratować, albo razem z nimi poledz chcieli. Opierał się tym żądaniom pan Franciszek składając się odebranym rozkazem, ale w końcu uległ usilnemu naleganiu, szczęśliwy, że może zadosyć uczynić potrzebie serca.

Zwrócił się więc nazad, przeszedł kłusem przez Włodawę, i w niewielkiej od miasta odległości spotkał połączone oba moskiewskie oddziały, trzy razy prawie silniejsze od zastępu, którym dowodził. Było to już po rozbiciu tylnej straży i uprowadzeniu marszałka do lasu, widziano tylko drobne kupki, z kilkunastu, lub kilkudziesięciu ludzi

*) Historyczne.

najwięcej złożone, co walcząc uchodziły w różnych kierunkach.

Na ten widok z niesłychaną gwałtownością uderzyli konfederaci na nieprzyjaciela, i prawdopodobnie byliby się przebili, kiedy najszczególniejszym trafem, na samym początku bitwy znikł pan Franciszek, Szyc był ranny, a żołnierz pozbawiony dowództwa rozpierzchł się na wszystkie strony.

W kilka godzin potem O. O. Paulini, których klasztor jest we Włodawie, wyszli z miasta w towarzystwie mnóstwa ludzi dla pogrzebania zabitych, upatrywano pilnie między nimi ciała Starościca Wareckiego, którego wielu znało, ale próżne były ich poszukiwania, i śladu nawet żadnego nie odkryto; pomiędzy niewolnikami nie było go także; chodziły tylko głuche wieści, że skrwawione suknie jego sprzedawali Moskale *). Tak więc ciemną tajemnicą pokryty został zgon Franciszka Pułaskiego, jak tajemniczem było zapowiedzenie takowego w Różance.

*) Historyczne — Rulhière i Murray.

Cały pięcioletni dramat konfederacji Barskiej i jej akcja na kraj ściśle są zespolone z imieniem Pułaskich.

Pierwszy pomysł tego oporu roszczeniom obcym, mały początkowo zawiązek w krótkim czasie potężnie rozszerzony, znamienite korzyści, jakie odniesiono pod Barem i w okolicy, wszystko się działo pod wodzą i za inicjatywą Starosty Wareckiego.

Z jego wyjściem na Wołoszczyznę, ludzie przeciwni temu ruchowi mieli go za zupełnie przytłumiony, kiedy pozostali trzej synowie podnoszą na nowo upadły sztandar niepodległości.

Czyny ich na Podolu, cudowne wyjście na Ruś Czerwoną, potem pochód na Litwę wywołujący ruch w Wielkiem Księstwie budzą uspione nadzieje dobrze myślących. Ale zmniejsza się co raz to patryotyczne rodzinne kółko; umiera w Jassach ojciec, zmartwieniem i zawiścią przygnębiony, dostaje się do niewoli Antoni w okolicach Żwańca, ginie pod Włodawą Franciszek, ta ofiara braterskiego poświęcenia, wreszcie straszną liczebną przewagą przygnębiony Kazimierz, a z jego oddalenim się z teatru wojny, konfede-

racja jakby jakąś niemocą dotknięta, żadnym wybitnym czynem nie objawia działalności swojej, chociaż były po kraju silne partje konfederatów z pełnymi energji i poświęcenia przewódzcami, jak Sawa, Mazowiecki, Walewski i wielu innych.

Stronnictwo królewskie musiało uważać jedynych Pułaskich za nieprzejednanych oponentów, bo z wydaleniem się ostatniego z nich, Kazimierza, ustał tak silny nacisk na pozostałe oddziały; miano bowiem nadzieję, że czas, brak steru, i nieoddzielne od każdego gwałtownego wybuchu znużenie, lepszymi będą sprzymierzeńcami w dziele pogodzenia się konfederatów z władzą królewską, jak bagnety moskiewskie. Kilkomiesięczny tedy rozejm, że tak powiem, nastąpił w całym niemal kraju, a to odbiło się i w stosunkach domowych rodzin.

Starostwo Nowomiejscy, w skutek rady danej królewiczowej przez Biskupa Kamienieckiego w Dunajowcach jeszcze, bawili czas jakiś w Suchy, majętności Wielopolskich, na granicy Starostwa Spiskiego położonej, a kiedy obawa rozruchów na chwilę ustała, wrócili do Maleszowej, gdzie i królewiczowa wraz z panią Starościną Radomską zjechała. Ożywiła się tedy ta dawna siedziba Krasińskich, bo obecność dostojnej córki gospodarstwa domu dodała jej blasku.

Długie jesienne wieczory uprzyjemniały zwykłe poufne pogadanki, których przedmiotem były najczęściej świeżo zaszłe wypadki w kraju; a że wiemy, jaki znamienity udział brali w nich Pułascy, a w szczególności pan Kazimierz, nie dziw więc, że nazwisko jego było na każdych niemal ustach,

a to opowiadanie niebezpieczeństw, na jakie bywał narażanym, widoczne wzruszenie budziło w królewiczowej.

Jeszcze wieść o powrocie konfederatów z Litwy, ani o bitwie pod Włodawą nie doszła była do uszu mieszkańców Maleszowej, kiedy królewiczowa z panią Świdzińską wybrały się na Świętokrzyską górę, dla odprawienia nabożeństwa w tamecznym kościele Benedyktynów.

Po odspiewanej wotywie, przeor, w assystencji kilku księży, odprowadzał królowiczowę do powozu, kiedy zbliżył się do niej człowiek nędznie odziany, zarośnięty, z głową obwiązaną chustą i ręką na temblaku; a królewiczowa sięgnęła do kieszeni, i wyjmując parę tymfów podawała je biedakowi; ale ten, zamiast wziąć jałmużnę, patrzał na nią pilnie potrząsając głową, jakby chciał wyrazić, że mu nie o datek idzie. Zmieszało to i dającą i przeora, który postępując do biedaka, radził mu, żeby wziął jałmużnę i nie naprzykrzał się; ale ten odsunął ręką księdza, i postępując do obu pań:

— Także mnie to zmieniły — rzekł — i bieda i rany, że mnie niepoznają te nawet, co mnie kiedyś względami swemi zaszczycały?

Na ten głos znany im zadrżały obie siostry, patrzały z podziwieniem na mówiącego, niepewne jeszcze kto stoi przed nimi; a on widząc to wahanie:

— Hajduk w dworku pana Jelca — zapytał — czy wyszedł z pamięci Waszej królewiczowskiej Mości?

Zdziwiona a razem uradowana królewiczowa:

— Porucznik Zarzycki! — zawołała — czy to być może?

— Rotmistrz — odrzekł dbały o nową rangę dawny rezydent Dunajowiecki, i nisko ukłonił się obu paniom.

Ucieszone tem odkryciem, wróciły obie siostry do klasztoru, a kiedy się znalazły z panem Zarzyckim w gościnnych pokojach: to rotmistrz, na ich żądanie, opowiadał im przygody swoje. Był on w oddziale pana Franciszka, kiedy przez Sagę doszła ich wieść o niebezpieczeństwie marszałka Łomżyńskiego; opisał też stoczoną bitwę pod Włodawą i niepojęte dla wszystkich zniknięcie młodszego Pułaskiego.

— A z panem Kazimierzem cóż się stało? — pytała skwapliwie królewiczowa.

— Przed przybyciem jeszcze naszem na plac boju — mówił rotmistrz — uległ szczupły zastęp marszałka dziesięć razy przeważającej sile nieprzyjaciela, a on niewiadomo gdzie się podział.

Tu obie siostry rzewnie się rozpłakały, a pan Zarzycki, chcąc im zrobić jakąś nadzieję:

— Nie znaleziono go na pobojowisku — ciągnął dalej — bo mi to mówili OO. Paulini, którzy grzebali poległych; nie dostał się Moskalom w ręce, bo ci byliby niewątpliwie chwalili się taką zdobyczą; co się więc z nim stało, dojść nie można było.

Po tych wyrazach, zakrywszy twarz chustką, wyszła spiesznie królewiczowa do przyległego pokoju, a pani starościna z boleścią zawołała:

— Biedny kraju! straciłeś najdzielniejszych obrońców swoich!

Zaraz po tej rozmowie wyjechały obie siostry do Maleszowej, przybył tam wkrótce klasztornemi końmi zaproszony przez nie rotmistrz, a starostwo Nowomiejscy, uwiadomieni przez córki o stosunkach jego z księdzem biskupem Kamienieckim, najuprzejmiej go przyjęli. Doktor nadworny opatrzył niewygojone jeszcze jego rany, za staraniem starosty przyodział się przyzwoicie, i na usilne żądanie obojga gospodarstwa pozostał w Maleszowej.

Wieści, jakie przywiózł pan Zarzycki wielkim smutkiem przejęły całą rodzinę państwa Krasińskich, a pani starościna Radomska, której nie obcemi były najskrytsze tajniki serca ukochanej przez nią siostry, z boleścią widziała głęboki jej smutek, który zgubnie oddziaływał na jej zdrowie.

Tej niemocy nie mogła ukryć biedna przed rodzicami, a ci nie odgadując istotnej przyczyny tego zatrważającego usposobienia, starali się ją rozrywać. Ale ona unikała wszelkich liczniejszych zebrań, najczęściej w mieszkaniu swojem z panią Świdzińską przebywała, i tylko przejażdżka codzienna pożądaną jej była.

Nastała nareszcie zima, śnieżna, mroźna (jak to zimy dawniej u nas bywały), a obie siostry w poobiednich godzinach używały sanny, i w takich przejażdżkach wstępowały nieraz do staruszki, co niańczyła ich matkę, a wydawszy córkę za nadleśnego w kluczu Maleszowskim osiadła przy niej. Każde odwiedziny tych pań były istną uroczystością dla pani Janickiej, która opowiadała odwiedzającym ją rozmaite szczegóły o domu i życiu pańskim macierzystego ich dziada pana Humieckiego, wojewody Podolskiego, o napa-

dach hajdamaków i Tatarów, i o ucieczce swojej z małą wojewodzanką przed najściem Szwedów.

To opowiadanie różnych przygód w kółku ich rodzinnem zaszłych, niezmiernie zajmowało obie siostry, często też bardzo zajeżdżały do staruszki w przejażdżkach swoich. Pod koniec adwentu wyjechały one znowu w odwiedziny do pani Janickiej i ułożyły sobie zaprosić poczciwą piastunkę ich matki na święta do Maleszowej.

Skoro sanie ich stanęły przed gankiem leśniczówki, wybiegły na powitanie pożądanych gości i staruszka i jej synowa, a jak weszły do pokoju, zastały siedzącą pod piecem ową wróżbiarkę z Łysej góry, którą wszyscy dogadzając jej fantazji, Wojewodzanką zwali. Siedziała ona na przymurku, z niedbałością jej właściwą, trzymała w jednem ręku nieodstępną swoją czarną torebkę na kiju zawieszoną, drugą wysnuwała z niej nici, któremi widno napełnioną była.

To spotkanie niezmiernie ucieszyło obie panie, powitały ją też serdecznie, ale ta, nie uchyliwszy nawet głowy, patrzała z zadziwieniem na obydwie, a wytężony wzrok jej dowodził, że nie poznaje witających ją; a że lata minęły jak jej nie widziały, naturalnem im się to zdało.

Na wezwanie pani Janickiej zasiadły na kanapie królewiczowa i pani starościna, a pierwsza uważała, że wróżbiarka nie spuszczała z niej oka, przestała ona snuć nici, czasem ręką pocierała czoło, jakby chciała zebrać bezładnie cisnące się myśli.

Obecność jej wywołała rozmowę, której ona była przedmiotem, i królewiczowa pytała staruszkę, czy często widuje wojewodzankę; a ta jej odrzekła, że nieraz po kilka dni

przebywa u nich, i dodała, że ją dziwi dla czego królewiczowej nie poznaje, bo nieraz o niej wspomina.

— Dwie tylko postacie — mówiła pani Janicka — zdają się być przytomne jej myśli; jedną jesteś Wasza królewiczowska Mość, którą zapewne, w skutek przepowiedni dawno jej zrobionej, swoją królewną zowie, drugą zaś jakiś panicz, któremu wielkie sukcesa wróżyła, i tego sokołem swoim nazywa.

— I dawnoż to było? — pytała zaciekawiona królewiczowa.

— O! już będzie ze trzy, albo cztery lata — odrzekła pani Janicka — jak jej to w głowę wlazło. Nieraz się dopytuje ona o swego sokoła, gada o jakicheś bitwach, ale my, nie wiedząc o kogo jej chodzi, nic jej odpowiedzieć nie umiemy.

Te niezrozumiałe dla staruszki zapytania wojewodzanki jasnemi się stały dla królewiczowej, bo i sam przedmiot zajęcia wróżbiarki i data, jaką zacytowała pani Janicka, zupełnie zgadzały się z czasem bytności starosty Wareckiego i jego synów w Maleszowej. Przemyśliwała też, jakby można wyciągnąć wróżbiarkę na wypowiedzenie czegoś o losie pana Kazimierza, kiedy ta, jakby z marzenia jakiego zbudzona, wyciągnęła z zanadrza złoty krzyżyk, który niegdyś od królewiczowej dostała, i pokazując go jej uśmiechała się, a potem spiesznie podeszła do kanapy i z wybuchem radości rękę jej całowała. Na ten widok pani Janicka, nawykła do objawów przytomności wojewodzanki:

— Spiesz się Wasza Królewiczowska Mość! — zawołała — ze zrobieniem jej zapytań, bo ten stan długo nie potrwa.

Tak ostrzeżona królewiczowa ujęła za rękę wróżbiarkę:

— Dawnożeś nie widziała sokoła? — zapytała.

Miasto odpowiedzi kiwnęła ręką stara, jakby chciała powiedzieć, że nie takiego spodziewała się zapytania.

— A czy żyje?... czy wolny?... czy wróci?... — dodała ze wzruszeniem królewiczowa; a na to jej pytanie odstąpiła Pitonissa o krok od niej, wpatrywała się z uśmiechem w jej oblicze, na którem nadzieja zdała się walczyć z obawą, i wolno, jakby się chciała napaść widokiem tego niepokoju, ozwała się:

Widno sokół nam w pamięci!
A i nie dziw, bo tak bywa,
Że gdy w sercu pamięć żywa,
To i w myśli nam się święci.

Cud to jawny, ten wiek młody!
Gdy w opiekę Bóg go bierze,
Młody sokół porósł w pierze,
Z orłem leci już w zawody.

Chociaż za nim tęsknią dzieci,
Czyż go z gniazda dojrzą okiem,
Gdy on w górze, nad obłokiem
Po promieniach słońca leci? —

Gdzie on dzisiaj? — nikt nie zgadnie —
Ale w bliskiej już godzinie,
Sokół wróci ku dolinie,
Błyskawicą z gór nam spadnie!

Tu zamilkła, a królewiczowa nie będąc panią błogiego uczucia nadziei, jaką obudziła w jej sercu ostatnia zwrotka

wróżbiarki, z pospiechem ściągnęła z palca kosztowny pierścień i podała go wojewodzance.

Pełne otuchy, z wesołem usposobieniem wracały obie siostry do Maleszowej, opowiadały wszystkim widzenie się swoje z wojewodzanką, a niepowtarzając całej treści wróżby, mówiły tylko, że zapowiada powrót marszałka Łomżyńskiego, a taka była wiara między mieszkańcami Maleszowej w ducha proroczego wojewodzanki, że nadzieja wstąpiła w ich serca i starali się przelać ją w umysł niedowierzającego tym wróżbom rotmistrza Zarzyckiego.

Pomimo pozornego pokoju, jaki zdawał się panować w kraju, nie rzadkiem było pojawienie się albo kilkunastu zbrojnych konfederatów, albo drobnych oddziałów moskiewskich, przeciągających z jednego miejsca na drugie. W takich pochodach dwory ich żywić musiały; wyjątek jednak w tym względzie stanowiła Maleszowa, surowy bowiem był rozkaz szanowania miejsca, gdzie się znajduje Królewiczowa. Nie raz też z okien zamku dojrzeć można było maszerujący nieprzyjacielski oddział, który nie wstrzymując się szedł dalej; konfederaci znowu, nie chcąc kompromitować dworu, pewni sutego ugoszczenia, stawali na wsi, a wieczorami zachodził do nich pan Zarzycki, i przy miodku wypytywał o nowiny, a w szczególności o wieści dotyczące pana Kazimierza; ale ci żadnych nie mieli. Powszechne było mniemanie między nimi, że albo zginął, albo popadł w niewolę moskiewską. W takiej to niepewności zeszła cała prawie zima, w czasie której drobne tylko bywały utarczki, rząd bowiem w tej porze traktował z przedniejszymi przewódzcami konfederacji,

ale to szło bardzo tępo, i było do przewidzenia, że z wiosną rozpoczną się ważniejsze kroki wojenne.

Rotmistrz Zarzycki, wygojony z ran, najlepiej widziany przez wszystkich członków rodziny starostwa Nowomiejskich, a szczególnemi względami zaszczycany przez królewiczowę, wyglądał chwili nowego wystąpienia do boju; nie wiedział on jeszcze do jakiej przyłączyć się partji, bo kto walczył pod wodzą marszałka Łomżyńskiego, dla takiego wybór nowego dowódzcy był rzeczą nie łatwą. Wśród wyczekiwań i niepewności zeszło tak do wiosny, która w owym czasie wczesną bardzo była. Już w połowie marca spadły wody, ciepłemi deszczami spłukana ziemia tężeć poczęła, i młoda trawka i radosne świegotanie ptastwa zapowiadało to niecierpliwie oczekiwane przesilenie w przyrodzie. Te oznaki odmładzającej się natury wywierają na nas jakiś wpływ zbawienny, godzą nas z przeciwnościami życia, i dozwalają patrzeć na świat przez pryzmat nadziei.

I królewiczowa doznała na sobie tego zbawiennego wpływu. Swobodniejsza myślą i silniejsza na zdrowiu, w codziennych prawie przejażdżkach w okolicę z rozkoszą poiła się ona ożywnem wiosny powietrzem, a celem tych wycieczek były nieraz odwiedziny bliskich sąsiadów.

O trzy blisko mile od Maleszowej, w okolicy Stopnicy mieszkali państwo Sołtykowie zpokrewnieni z Krasińskimi, matka bowiem biskupa Kamienieckiego i podkomorzego Rożańskiego była Sołtykówna z domu.

Starostwo Nowomiejscy umyślili zaprosić cały dom Sołtyków na święta Wielkanocne, a królewiczowa i pani Świdzińska ofiarowały się same zawieźć te zaprosiny krewnym.

Jakoż na drugi dzień rano wysłano przodem poszóstną karetę i brykę z fraucymerem i służbą, a po rannym objeździe, w lekkim odkrytym powozie, w assystencji rotmistrza Zarzyckiego, dwóch pokojowców i sześciu nadwornych huzarów starosty, wyruszyły obie siostry.

Mile przyjęte przez oboje gospodarstwo, gościły one dwa dni w domu Sołtyków, którzy uwiadomieni wcześnie o ich przybyciu, kilku sprosili sąsiadów.

Jeden z nich przywiózł był wiadomość o ukazaniu się znaczniejszego jakiegoś oddziału konfederatów w tych stronach i o ostrożnościach, jakie z tego powodu zachowują stojący w Jędrzejowie Moskale.

Na wieściach fałszywych nie zbywa nigdy, a cóż dopiero w czasie zamieszek, to też obecni nie wiele przywiązywali wiary do tej relacji, w okolicy bowiem nie było żadnej znaczniejszej partji, (jak je zwano), a gdyby z dalszych stron jaka nadciągnąć miała, toćby wiedzieli o tem ludzie zaufanie konfederacji posiadający, a takich między gośćmi państwa Sołtyków nie brakło. Po dwudniowym pobycie w gościnie, wracały obie panie do Maleszowej, a rotmistrz, dwaj pokojowcy i huzary kłusowali obok ich kolaski.

W połowie drogi był las nie wielki, w pośród niego stawek, na uboczu młyn, brzegiem zaś stawu grobla, przez którą szła droga, a na niej most, i pod nim szluza upustowa, otwarta dla napływu wiosennej wody. Dojeżdżali już do grobli nasi podróżni, kiedy rotmistrzowi coś błysnęło przed oczyma jakby broń jakaś, i zaraz ukazał się człowiek w białej czapce, kartuzą opasany, ze sztućcem na plecach; stanął on w pośrodku drogi i podnosząc rękę do góry:

— Stać! ani kroku dalej! — zawołał rozkazującym tonem.

— Coś Waść za jeden? — zapytał z gniewem rotmistrz — że nam śmiesz wzbraniać przejazdu? — i zaraz wyciągnął szablę i poskoczył naprzód.

— Hola mosanie! hola! — odrzekł spokojnie stojący na drodze — tu nie o bitkę, ale o bezpieczeństwo wasze idzie.

— A to dla czego? — pytał niecierpliwie rotmistrz.

— Dla tego, że ten most podpiłowany — odrzekł wskazując na groblę — rozumiesz Waszmość? — potem dodał z uśmiechem:

— A teraz można jechać, jeżeli wola — i patrzał złośliwie na pana Zarzyckiego.

— A któż to zrobił taką psotę? — pytał rotmistrz.

— Ciekawyś Waszmość widzę! — odrzekł zapytany — ale mniejsza z tem — oto my, konfederaci Sanoccy — dodał z rodzajem dumy.

— Konfederaci! — wykrzyknął Zarzycki — a więc witajcie bracia i towarzysze!

I podniósł czapkę do góry, a widząc niedowierzanie na twarzy Sanoczanina, sięgnął w zanadrze, wyciągnął obrazek Matki Boskiej na blasze malowany, jaki wszyscy nosili Barszczanie, i podnosząc go w górę:

— Czy jasny dowód? — zapytał.

— Nasz!.. nasz!.. — wołał przekonany i postąpił do rotmistrza, a w krzakach ukazały się białe czapki, kilkadziesiąt głosów powtarzało pierwotne okrzyki, i biegli konfederaci na spotkanie towarzysza broni.

Serdeczne było powitanie nowoprzybyłych z rotmistrzem, bo to była po największej części owa niezamożna górska

szlachta, co z dziada, pradziada, siedzi na jednym kawałku ziemi, co orząc skibę ojców szablę zatyka na między, co skora do zwady i skora do boju, chętnie mir robi przy brzęku kielicha; do tego pełna odwagi i poświęcenia, w piekło pójdzie na wieść: że *Republica in periculo;* osiadła w niedostępnych górach, oddzielona skałami od świata, jakby jaki odrębny klan szkocki, z tradycyjnem zaufaniem za broń chwyta na hasło swoich przewódzców.

Takie to zalety cechowały ówczesną szlachtę sanocką, z takich to ludzi składał się oddział, co zastąpił drogę naszym podróżnym. Po przywitaniach i po prezentacji, chciał pan Zarzycki wypytać przewódzcę, którym był pan Truskulaski, co za powód zebrania ich w tem miejscu, ale ten przerwał mu mowę:

— Później — rzekł — rozpowiem wszystko, a teraz o bezpieczeństwie tych, których Wasindziej eskortujesz myśleć trzeba; kto są te panie, mości rotmistrzu? — zapytał.

— Królewiczowa polska, księżna kurlandzka, i jej siostra, pani starościna Radomska — odrzekł pan Zarzycki z niejaką dumą z tak wysokich stosunków swoich.

Nie do opisania podziwienie malowało się na twarzach Sanoczan na tę wieść niespodziewaną, a po chwili pan Truskulaski prosił rotmistrza, żeby go zaprezentował królewiczowej, a kiedy ten na to przystał, zdjął czapkę, wsunął ją pod pachę, a w małym odstępie szli za nim towarzysze jego, wszyscy z gołemi głowami.

Po prezentacji, pan Truskulaski wynurzył radość swoją z oglądania synowej ich króla, a potem oznajmił, że niebawem nadejdą tu Moskale parci przez oddział konfedera-

tów, którego oni są małym odłamkiem; a że most podpiłowany niepodobny do przebycia, jest więc koniecznością, żeby się obie panie ukryły w bezpiecznem miejscu, i tam oczekiwały rezultatu zasadzki.

— Ale gdzie się ukryć w tym lesie? — pytała wylękniona królewiczowa.

— Za temi oto krzakami — rzekł wskazując ręką — jest młynek, w nim Wasza Królewiczowska Mość i jej dostojna siostra schronić się możecie zupełnie spokojne, bo za ich bezpieczeństwo my wszyscy głowami naszemi ręczymy.

Zgodziły się na to obie panie, i zaraz po krótkiej naradzie ruszył rotmistrz ze swymi ku młynkowi, a stanąwszy na miejscu, młynarzowi, rodzinie jego i czeladzi kazał wejść do domku, i tam ich zamknął, przykazując surowo, ażeby nie wyglądali nawet, potem wrócił się nazad, a Sanoczanie otoczyli obie panie, żeby zakryć ich obecność, i szli do młynka.

Na poddaszu usłano im wygodne siedzenie z worków, gdzie je umieszczono, dwaj pokojowcy stanęli przy małem okienku na staw wychodzącem, huzary z nabitą bronią w dolnej części młynka, a rotmistrz z panem Truskulaskim i konfederatami, wrócili na miejsce zasadzki.

Stanąwszy tam, opowiadał Truskulaski, jak zawiadomieni przez szpiegów, że silny oddział moskiewski ma przechodzić tą drogą, dobrze poinformowani o miejscowości przez jakiegoś okolicznego dyspozytora, umyślili zrobić zasadzkę.

Moskale w niedalekiej ztąd wsi stanęli na wypoczynek i popas koni, a część oddziału, ta właśnie której dowodzi, manowcami wyminęła ich, na grobli podpiłowała most, a

większa daleko część, bo z trzystu niemal ludzi złożona, z przewódzcą oddziału ma ich zaatakować we wsi i przeć na groblę.

— A któż wami dowodzi? — pytał rotmistrz.

— O! zuch okrutny! — odrzekł zapytany — takiego nie żal słuchać.

— A jakże się zowie? — zapytał Zarzycki.

— Dziwne ma nazwisko, Derażnia.

— Co u licha! — wykrzyknął rotmistrz — nigdym takiej nazwy szlacheckiej nie słyszał; to chyba jakiś intruz?

— O! szlachcic sprawiedliwy, mój łaskawco! juramentem bym to stwierdził — odrzekł Truskulaski — a potem z oczu mu to patrzy; a jakie zachowanie miał u naszych Balów, Stadnickich, Krasickich, to aż dziw! — Kiedy przebywał u nas w górach, jeździł nieraz na Węgry do generalicji, na granicę znowu przyjeżdżali w odwiedziny do niego to magnaci węgierscy, to sam marszałek jeneralny, starosta Ziółkowski. Musi to być jakieś paniątko, co z nieznanych nam powodów kryje nazwisko swoje. Ale trzeba nam się rozstawić, bo myślę, że niebawem ukażą się Moskale.

We młynku tymczasem, obie panie niespokojne, modliły się o pomyślność oręża konfederatów i o bezpieczeństwo swoje; nie wiedziały one jak długo przyjdzie im siedzieć w owym młynie, i pytały pokojowców przy oknie stojących, czy na grobli nie widno ruchu. Ale cisza zupełna panowała, którą wkrótce przerwało jakieś silne wołanie, a jeden z pokojowców odwrócił się do pań:

— Jakieś wojsko widno zbliża się! — zawołał — bo słychać komendę.

Niedługo tentent kłusem idącej konnicy, szczęk broni, czasem krótkie wołanie do pospiechu zachęcające, odbiły się o uszy słuchaczy, a po chwili wysunął się z krzaków naprzód dowódzca, za nim szóstkami spieszący dragoni.

— To Moskale! — rzekł pokojowiec — wchodzą na groblę — i patrzał pilnie w okno, kiedy krzyki przeraźliwe, a potem huk wystrzałów, rozległy się dokoła.

— Co to takiego? — pytała ze wzruszeniem królewiczowa.

— Most się zawalił pod dragonami — odrzekł zapytany, a Sanoczanie palą do wstrzymanych tą zawadą.

Nie mogły dłużej znieść tej niepewności obie panie, i powstawszy pobiegły do okna, gdzie przykry i nieznany im widok uderzył ich oczy.

Wśród przerwy upustowej przewracały się i konie i ludzie, co szli na przedzie, postępujący w tyle nie widząc zawady co zatrzymała przodkujących, nadbiegli wywartym kłusem, i raptownie osadzone konie zbiły się w bezładną kupę, a kiedy jeszcze Sanoczanie dali ognia, zamięszanie niezmierne wszczęło się między nimi.

Na głos oficerów zaczęli oni z wysileniem odwracać się i formować, żeby się przebić napowrót, kiedy na drodze, którą przybyli, zagrzmiały trąby, złowrogie dla nich okrzyki: »Wiara! i wolność!« rozległy się po lesie; to reszta partji sanockiej w całym biegu koni pędziła na nich!

Przestrach i zwątpienie ogarnęło dragonów: wielu z nich wskakiwało w wodę, żeby opłynąć przerwę, a tych celnemi strzałami zsadzali z koni towarzysze pana Truskulaskiego,

na pozostałych zaś na grobli wpadła konnica Sanocka lasem dążąca.

Wszczęła się rzeź okropna, a na przedzie konfederatów, po białej kicie u kołpaka, rozeznać można było dowódzcę, którego szabla jak błyskawica migała.

Nie mogły znieść tego widoku patrzące i spiesznie wróciły w głąb poddasza, wypytując pokojowca o szczegóły walki.

Chwilę jeszcze słychać było gwar bitwy, nareszcie cisza się zrobiła, a stojący przy oknie odwrócił się raptownie:

— Poddali się! — zawołał wesoło.

Na tę wieść, spokój zapowiadającą, przystąpiły znowu panie do okna, i widziały, jak dragoni zsiadali z koni i oddawali je konfederatom, a potem pałasze i karabiny składali przed dowódzcą.

Łatwo pojąć radość patrzących z młynka na to szczęśliwe zakończenie walki. Obie siostry widziały i tryumf swoich, i wybawienie dla siebie z fałszywego położenia, w jakiem się znajdowały, to też niecierpliwie czekały pojawienia się dowódzcy, za którego sprawą ten szczęśliwy rezultat osiągniętym został.

Patrzały one jeszcze chwilę na tłum zwycięzców i zwyciężonych, kiedy niezmierne wiwaty konfederatów obiły się o ich uszy, a potem migały w powietrzu białe czapki Sanoczan, które wyrzucali do góry na znak radości.

Te oznaki uniesienia objawiające się nie zaraz po szczęśliwie zakończonej bitwie, ale po upływie jakiegoś czasu, nie zdały się być spowodowane radością z odniesionego

zwycięztwa, ale raczej jakimś innym pomyślnym wypadkiem, z którego sobie patrzący sprawy zdać nie umieli.

Pozbywszy się już wszelkiej obawy, zeszły panie na dół, huzary pospieszyli po powóz, który był ukryty w krzakach równie jak ich konie wierzchowe, obie zaś siostry zasiadły na ławeczce przed młynkiem będącej, kiedy jeden z pokojowców oznajmił im, że dowódzca konfederatów ze starszyzną zbliża się.

Jakoż wkrótce głosy kilku rozmawiających osób dały się słyszeć, potem po nad gałęzie łoziny co zakrywała idących pokazała się biała kita u kołpaka przewódzcy, a kiedy ten wyszedł z zarośli i na wolnem ukazał się miejscu, to królewiczowa zerwała się z siedzenia i ręce wyciągnęła ku nadchodzącemu.

— Boże miłosierny! kogoż ja widzę! — wykrzyknęła, bo to Kazimierz Pułaski stał przed nią... a ten, drżący, wzruszony, odpowiadając na wykrzyknik królewiczowej:

— Najwierniejszego sługę swego — odrzekł, nisko kłaniając się — któremu ten objaw zadowolenia Waszej Królewiczowskiej Mości hojnie nagradza doznane trudy i niebezpieczeństwa!

— Jakimże sposobem — pytała znowu — widzimy pana na czele oddziału odnoszącego zwycięztwo, my, cośmy go opłakały jako zabitego, albo w niewoli moskiewskiej?

— Widno Bóg miłosierny — odrzekł półgłosem młodzieniec — użalił się nie mnie grzesznego, ale tych łez, których mi mogą zazdrościć anieli.

Zmięszana tą odpowiedzią królewiczowa zmieniła rozmowę.

— Cóż to za radość sprawi moim rodzicom to niespodziane zjawienie się pana marszałka; boć pan przecież odwiedzisz Maleszowę? — dodała.

— Ach! Pani — odrzekł — najdroższe wspomnienia moje ściśle się łączą z pobytem naszym w domu rodziców Waszej Królewiczowskiej Mości; i miałżebym pominąć ten przybytek szczęścia mego — a przytem mam ja i ważne zlecenia do zakomunikowania Waszej Królewiczowskiej Mości.

Wzruszonej tą mową królewiczowej przyszła w pomoc pani Starościna, zapytując, kto są ci panowie? i ręką wskazała na opodal stojących kilku Sanoczan, którzy uszanowaniem przejęci stali w niejakiem oddaleniu.

— To wierni towarzysze moi — odrzekł marszałek — których, jeżeli panie pozwolą, przedstawić im się ośmielę.

Chętnie obie siostry zgodziły się na to, a pan Kazimierz odwracając się.

— Panowie i Bracia — zawołał — proszę bliżej do mnie! A kiedy się z nim zrównali, prezentował każdego i wymieniał nazwiska, a byli tam Chojnacki, Deregowski, Trzecieski i Wiktor, wszyscy zarówno łaskawie przyjęci.

— Gdzież jest pan Golian? — pytała z troskliwością królewiczowa.

— Został przy oddziale, miłościwa pani — odrzekł marszałek, i upewnić mogę, że ta pamięć o nim Waszej Królewiczowskiej Mości radością napełni jego serce.

Nadszedł nareszcie powóz i nadjechał pan Zarzycki, który doniósł, że most naprawiony, ale go piechotą przejść trzeba, ruszyła też przodem karjolka i pokojowcy, a marszałek podał rękę królewiczowej, Rotmistrz pani Starościnie,

za nimi szli Sanoczanie, a w końcu huzary, prowadząc osiodłane konie.

Kiedy dochodzili do grobli, ujrzeli uszykowany cały zastęp konfederatów, a na czele ich stał Golian. Okrzykiem pełnym zapału powitali oni synowę dawnego ich króla, a Golian podjechał naprzód, oddał ukłon wojskowy, i w kilku wyrazach radość swoją z oglądania obu sióstr wyraził.

Z wielkiem podziwieniem patrzały panie na plac tylko co stoczonej walki, i na twarzach ich malowało się bolesne wzruszenie na ten przykry dla nich widok.

Na uboczu, nieco w tyle prawego skrzydła konfederatów stała kupa jeńców moskiewskich pod strażą kilkunastu szeregowych; na drugiej stronie oddziału, w na prędce urządzonym szałasie, felczer wojskowy opatrywał rannych, których bolesne jęki litość wzbudzały; na małym wzgórku, tuż nad drogą, zrobiono wzniesienie z gałęzi płaszczami okryte, na nich leżało czterech zabitych konfederatów, a zkostniałe i pobożnie złożone ich ręce trzymały obrazki na blasze malowane, które za życia na piersiach nosili, przed tym wojennym katafalkiem stał kapelan w komży i stule, odmawiając modlitwę; z tyłu zaś wzgórza palił się ogień z gałęzi, a ten w braku gromnic, przyświecał tym obrońcom swobód narodowych.

I grobla przedstawiała nie mniej przerażający widok; gęsto ona zasłaną była połamaną bronią, kaszkietami i przyborami wojennemi; po obu jej bokach leżeli zabici, których ciało usunięto z drogi, a po stawie pływały konie bez jeźdźców, i ranni co pomocy wzywali.

Niechcąc te panie robić dłużej świadkami tej boleśnej sceny, spiesznie je prowadził ku mostowi marszałek, a one zażądały, ażeby rannych przywieziono do Maleszowy, powtórzyły zaproszenie odwiedzenia ich, poczem w asystencji rotmistrza, pokojowców i huzarów ruszyły w drogę.

Uszczęśliwiony Zarzycki tak cudownym powrotem pana Kazimierza mówił o tem ciągle, a Królewiczowa wymawiała mu, dla czego jej nie uwiadomił, kto dowodzi oddziałem Sanoczan.

— Bom nic o tem nie wiedział — odrzekł — a co więcej, i sami podkomendni nie znali prawdziwego nazwiska swego dowódcy; nazwał się bowiem Derażnią od jednej z majętności starosty Wareckiego, w której się rodził; a zrobił to dla tego, ażeby rozgłosem swego imienia nie zwracać uwagi Moskali ani na Sanockie, ani na Sandeckie, gdzie Szyc formował osobny oddział. Dopiero za przybyciem mojem wydało się, jaka to znamienitość kryła się pod tą przybraną nazwą, a Sanoczanie, uradowani z tego odkrycia, okrzykami witali dzielnego wodza, którego bohaterskie czyny dobrze im znane były.

— Teraz sobie tłómaczę — odrzekła Królewiczowa — ten zapał dla imienia, które zasługą w kraju stoi dziś najwyżej.

Tak rozmawiając dojechali do Maleszowej, gdzie wieść o pojawieniu się marszałka Łomżyńskiego wielkie sprawiła wrażenie. Oboje starostwo zajęli się i przysposobieniem do przyjęcia licznego oddziału i pomieszczeniem rannych, potem z tą pomyślną wieścią rozesłano posłańców do bliższych

sąsiadów, i kiedy na drugi dzień nadciągnęli Sanoczanie, zastali wielu Krakowian przybyłych na ich powitanie.

Z wylaniem i gościnnością, tą wybitną cechą dawnej szlachty polskiej, podejmował wszystkich pan starosta Nowowiejski; sto przeszło szlachty obsiadło stoły w ogromnej sali Maleszowskiego zamku, a w oficynach i budynkach dworskich ugaszczano szeregowych i luzaków.

Po obiedzie udano się do ogrodu, a pan Kazimierz prosił Królewiczowej, żeby mógł z nią na osobności pomówić. Nie zmięszało jej to wcale, w czasie bowiem pierwszego widzenia się uwiadomił ją już, że ma ważne do niej zlecenie.

Łącznie tedy z panem Kazimierzem udały się obie siostry w głąb ogrodu, i gdy się tam zatrzymały:

— Miłościwa Pani — rzekł marszałek — widziałem się z Królewiczem Karolem.

— Gdzie? — zapytała zdziwiona.

— Nad Pruską granicą — odrzekł — przybył on w czasie wyborów Marszałków Litewskich, jakie się tam odbywały.

— I wiedziałaż szlachta tameczna o jego obecności? — zapytała.

— Oprócz pana Paca, Księcia Sapiehy i kilku bardziej wpływowych, z którymi się znosił, nikt się nie dorozumiał nawet, i brano go powszechnie za ajenta francuzkiego. — Mało on się pokazywał, a chociaż byli tacy w moim oddziale, co go kiedyś widzieli, toć już kilka lat minęło jak książe nie był w kraju, a od tego czasu i zmężniał i odmienił się znacznie, nie było więc obawy, żeby był poznany. Po skończonych wyborach, pod eskortą mego oddziału

doszedł on do Białegostoku i tam pozostał. Mnie zaś zlecił przestrzedz Waszą Królewiczowską Mość, ażebyś w listownem znoszeniu się, czy z nim, czy z ministrem Borchem, zachowała wszelką ostrożność, w szczególności zaś wystrzegała się Bierzyńskiego, bo informacye jakie ma Królewicz, i to co mnie dochodzić zaczyna, wszystko nam wnosić każe, że on, pomimo pozornego swego wylania dla domu Saskiego, znosi się z Moskwą; a łatwo pojmiesz Wasza Królewiczowska Mość, że gdyby Moskalom wiadomy był udział jej w sprawach Konfederacji, bezpieczeństwo jej osoby na szwank byłoby narażonem.

— I cóż mi marszałek radzisz? — odrzekła przelękniona.

— Opuścić Maleszowę, i gdzieś w okolicy Krakowa, gdzie jest kilka silnych oddziałów, szukać pewniejszego schronienia; a na wszelką ewentualność zażądać przytułku od cesarzowej Marji Teresy, która Waszą Królewiczowską Mość tak wysoko ceni *).

Rozmawiając z zajęciem o szczegółach dotyczących wykonania zaprojektowanego przez marszałka wyjazdu, wracali ku zamkowi rozmawiający, kiedy z pomiędzy rozkwitłych bzów, koło których przechodzili, wysunął się raptownie jakiś człowiek, twarzą i ubiorem do cygana podobny, i zastąpił im drogę. Na to niespodziane pojawienie się nieznajomego krzyknęły wylęknione panie, ale ten chwilowy

*) Dowodem tego przyjaźnego usposobienia Marji Teresy było pogodzenie Królewiczowej z mężem, za jej wpływem dokonane, a owocem tego związku była księżniczka Marja, zaślubiona księciu Savoye Carignan, (później księżna Montleard), babka dzisiejszego króla włoskiego.

przestrach zamienił się zaraz w podziwienie, bo ów obcy postąpił do marszałka i z oznakami radości w kolana go całował, a ten objął go obu rękami za głowę:

— Jak się masz mój chłopcze! — zawołał z widocznem ukontentowaniem, a potem odwracając się do pań:

— To najpoczciwszy cygan, jaki jest pod słońcem, bo i żołnierz tęgi, i obrotny, przytomny jak mało ludzi; nie jedną korzyść, odniesioną nad Moskalami, jego zabiegom zawdzięczam, i dlatego łasce i względom obu pań polecam poczciwego Sagę.

Tak przedstawiony dawny nasz znajomy, nie mógł ukryć radości swojej, wiedział bowiem, przed kim stoi, bo w Dunajowcach jeszcze widział Królewiczowę i jej siostrę.

— Co mi przywozisz nowego?... i gdzie twój bat'ko? — zapytał marszałek.

— Pan Szyc, JWPanie, stoi z oddziałem niedaleko Bodzantyna; dowiedział on się, że JWPan ciągnie w te strony, kazał mi też jechać na jego spotkanie, opowiedzieć, gdzie stoimy i przywieźć rozkaz, co mamy dalej robić.

— A wieluż was tam jest? — pytał pan Kazimierz.

— Pięćset będzie ludzi — odrzekł Saga — z tego trzysta dowodnych strzelców, po większej części górali, co to kulami w lot orły biją, a dwieście konnych, sama Sandecka szlachta i ich pocztowi; ta na wieść, że pan Szyc idzie na spotkanie JWPana, połączyła się z nami. Mamy, jeszcze ptaszka, co nam wpadł w ręce jak w potrzask, a złocony to ptaszek, JWPanie! — dodał Saga i uśmiechał się zadowolniony.

— Cóż to za jeden, i czy ja go nieznam? — pytał pan Kazimierz.

— O! zna go JWPan, i dobrze — odrzekł cygan — a jakeśmy go dostali, opowiem.

— Nocowaliśmy we wsi koło Działoszyc leżącej, i o świcie weszliśmy do miasta. Ukazanie się nasze wywołało ruch niezmierny; poczciwi mieszczanie wynosili jedzenie i napitek dla żołnierzy, wystraszone żydy ofiarowały usługi swoje, a ja z rozkazu pana Szyca poszedłem do domu zajezdnego, żeby obstalować śniadanie dla starszyzny.

»Rozmawiałem o tem z właścicielem zajazdu, kiedy przez sień biegła jakaś dziewczyna, a ja rzuciwszy na nią okiem poznałem ową niańkę dzieci komendanta Zamościa, z którą nie raz mówiłem, kiedym w ogrodzie pałacowym bawił synów pułkownika. Zdziwiony jej widokiem, nic nie mówiąc gospodarzowi poszedłem do stajni i zastałem tam dużą brykę brodzką, płótnem z wierzchu, rogóżką wewnątrz wybitą; cztery silne szkapy stały u żłobu, a żyd, widno właściciel koni, siano im zakładał.

»Zbliżyłem się do niego i zacząłem pytać, zkąd jedzie i kogo wiezie; ale on, nie domyślając się widno com za jeden, odburknął hardo i nie odpowiedział mi nawet. Widząc, że dobrocią nic z nim nie wskóram, uchwyciłem żyda za brodę.

»— Słuchaj parchu! ja konfederat, a chcesz ty wisieć na tym belku? — dodałem wskazując ręką w górę, a na to pytanie przelękły żydzisko i czapkę i jarmurkę zerwał z głowy.

›— Gadaj prawdę, o co cię pytać będę, bo jak co zataisz, to za kwadrans będziesz na kwaśnem piwku u twego ojca Abrahamka; a co? — dodałem — powiesz mi teraz, gdzie jedziesz i kogo wieziesz?

›— Powiem! powiem!... odrzekł żyd wystraszony, i zaraz mi prawi, że jest furmanem z Wieniawy, przedmieścia Lublina, i że go najął do Białej, za Krakowem będącej, jakiś pan, co jedzie z żoną, dwojgiem dzieci i sługą.

›— Czy to wojskowy? — zapytałem.

›— Ale gdzie tam! — odrzekł, a po chwili namysłu... może on i wojskowy, dodał, bo jak rzeczy jego pakowali na Wieniawie, tom widział i szablę, jak ją na spód bryki kładli, i duże buty z ostrogami.

›Wszystko com słyszał od żyda upewniało mnie, że to ten łotr jedzie, co to nas chciał wydać w ręce Moskalom.

›— A nie możnaby go zobaczyć? — zapytałem. Pomyślał chwilę, a potem mi powiada, że do stajni dotyka komórka, za nią jest stancja, którą zajmuje ów podróżny; do komórki zaś wychodzą drzwi z pokoju, ale zabite.

›Słysząc to, pospieszyłem wraz z żydem; znalazła się szpara we drzwiach, którąm zajrzał, i zamiast pułkownika, który był brunetem, ujrzałem siedzącego jakiegoś człowieka z gęstą okrutnie rudą czupryną, z okularami na nosie; ubrany on był, ot zwyczajnie jak Niemiec, w krótkich pluderkach, w pończochach i trzewikach, a pod oknem stała jakaś kobieta, tyłem do mnie obrócona; chcąc się przypatrzeć, ruszyłem klamką; stojąca pod oknem odwróciła się, a ja poznałem żonę pułkownika.

›Nie mając już żadnej wątpliwości, że ów mężczyzna to nasz ptaszek, pospieszyłem do pana Szyca i wziąłem z sobą żyda, z obawy żeby nie ostrzegł Niemca.

›Opowiedziałem moje odkrycie, a ten uradowany wziął czterech szeregowych i kazał mi się prowadzić do karczmy.

›Przyszedłszy na miejsce, zastaliśmy drzwi do stancji, gdzie byli podróżni, zamknięte; zapukałem do nich, i po chwili uchyliła je nieco piastunka, a ujrzawszy konfederatów chciała je zatrzasnąć, ale pan Szyc pchnął ją, wszedł do izby i zbliżając się do bladego jak ściana pułkownika:

›— Jak się masz Mości komendancie Zamościa! — zawołał, i zrzucił mu z głowy rudą perukę, co pokrywała ciemne jego włosy.

›Na te słowa zerwał się niemiec i sięgnął w zanadrze jakby tam broni szukał, ale pan Szyc ze znaną J. W. panu siłą swoją uchwycił go za piersi i rzucił na łóżko; a potem obracając się do mnie:

›— Związ mu ręce! — zawołał, a ja odpiąłem rzemieniak, którym opasany byłem i spełniłem dany mi rozkaz.

›Wśród krzyku żony i dzieci pułkownika odprowadzono go do oddziału, a pan Szyc przyzwawszy kilku oficerów, wziął się do przejrzenia bryki. Wszystkie rzeczy i parę tysięcy tynfów, które widno zaoszczędził sobie, oddano żonie, ale zabrano do kasy oddziału tysiąc całkowitych imperjałów i papiery, z których dowiedziano się, że owe moskiewskie złoto, to była zapłata za poddanie Zamościa i pochwycenie Jaśnie pana.

›Dostawszy go, chciał pan Szyc spełnić zaraz na nim wyrok w Krasnym stawie wydany, ale po namyśle po-

stanowił wstrzymać egzekucją do widzenia się z JW. panem. A teraz chciej JW. pan dać rozkaz, co i z sobą i z niemcem robić mamy?

— Dziś wieczór wręczę ci pismo do pana Szyca; będzie tam informacja, gdzie się udać macie i jak sobie postąpić z owym niemcem.

Królewiczowa słysząc, że tu idzie o życie człowieka, z największym niepokojem pytała pana Kazimierza, co myśli zrobić z tym nieszczęśliwym.

— Prawa wojenne są nieubłagane — odrzekł — a poddanie twierdzy nieprzyjacielowi, bez żadnego oporu, owszem za zniesieniem się z nim, wszędzie śmiercią karane bywa; i jabym się nie wahał ani chwili, kazać go natychmiast rozstrzelać, gdyby jednym z powodów zapadłego nań wyroku nie była zdrada, jakiej się dopuścił na mnie, a której omal nie padłem ofiarą; a że wstrętnem mi jest być wykonawcą dekretu w mojej sprawie wydanego, przeto odeszlę go do jenerała Schwarzenberga Czernego,*) a ten jako główno dowodzący w tych stronach zrobi z nim, co będzie uważał za stosowne.

Słysząc to postanowienie z widocznem zadowoleniem ozwała się królewiczowa:

— Szczęśliwa jestem, że ten wymiar sprawiedliwości nie na rozkaz pana marszałka wykonany będzie. Ale biedną żoną i dzieci... — dodała z pożałowaniem.

*) Joachim Schwarzenberg Czerny, jenerał major wojsk koronnych, był w owym czasie regimentarzem Województwa krakowskiego i posłem do Stambułu.

— Tem biedniejsi — przydał pan Kazimierz — że im pozostaje zdradą i przekupstwem splamione nazwisko.

Tego samego dnia przybył do Maleszowej pan Wessel, podskarbi koronny, wielki zwolennik domu saskiego; przywiózł on królewiczowej listy z Drezna; — a wiadomości, jakie zawierały, utwierdziły ją w projekcie opuszczenia domu rodziców i przebywania gdzieś w bliskości granicy; a że marszałek miał dawno ułożony projekt pochodu w głąb Krakowskiego, to oboje Starostwo Nowowiejscy żądali, żeby królewiczowa pod zasłoną oddziału pana Kazimierza podróż tę odbyła, bo pan Wessel przestrzegał, że ambasador rosyjski miał już podejrzenie co do jej stosunków z konfederacją.

W skutek tego projektu polecił marszałek panu Szycowi, żeby oczekiwał go na drodze do Krakowa wiodącej, wymienił etapy gdzie się zatrzymywać będzie i w końcu polecił pojmanego pułkownika odesłać do pana Czernego, łącznie z wyrokiem na niego ferowanym. Wieść o ukazaniu się marszałka Łomżyńskiego lotem błyskawicy rozeszła się po Krakowskiem, a radość i zapał szlachty pojawieniem się tego bohatera konfederacji spowodowany był nie do opisania.

Z Maleszowej tym czasem wyruszono w zamierzoną podróż, powozy królewiczowej szły po między tylną strażą a oddziałem, który się ciągle powiększał, bo ilekroć zbliżano się do wsi jakiej, zajeżdżała im drogę ochocza młodzież, każdy z kilku pocztowymi, oddając się pod rozkazy pana Kazimierza,

Doszli tak do Wodzisławia, gdzie ich oczekiwał pan Szyc. Od bitwy pod Włodawą nie widział on się z marszałkiem, to też powitanie tych dwóch dzielnych wojowników połączonych najściślejszą przyjaźnią, były rozczulające. Niebawem nadeszła wieść, że Moskale postępują. Marszałek przewidując spotkanie, pod silną eskortą wyprawił królewiczowę do Suchy.

W parę dni po jej odjeździe dojrzano z wieży kościelnej w Wodzisławiu zbliżającą się konnicę moskiewską; dowodził nią nieubłagany wróg konfederatów, pułkownik Drewicz, a było jej tysiąc pięćset z okładem.

Na tę wieść marszałek, ufny w nieustraszoność swoich, w sześćset koni ruszył na jego spotkanie, a piechota pod wodzą pana Szyca obsadziła domy w mieście dotykające do drogi, którą wyszedł marszałek, żeby na przypadek porażki mógł pewne w mieście znaleźć schronienie.

Niebawem wszczął się bój zacięty, i konfederaci nad trzy razy niemal liczniejszym nieprzyjacielem zupełne odnieśli zwycięstwo; a marszałek wrócił do Włodzisławia. Niezrażony tem niepowodzeniem Drewicz, zebrał rozbiegłą po bitwie komendę swoją; urosła ona w siłę kilku drobnemi oddziałami, które się znim połączyły, i tak wzmoczniony podstąpił po raz drugi pod Wodzisław. Ale i marszałkowi przybywało ochotników, na których odwagę z pewnością mógł rachować; nie wahał się też ani chwili, ruszył na nieprzyjaciela, na tem samem prawie miejscu stoczył powtórną bitwę, daleko jeszcze krwawszą dla Moskali, zdobył taką ilość koni i rynsztunków wojennych, że te nietylko zastąpiły ubytek w szeregach konfederatów, dwoma stoczonemi bitwami spowodowany, ale posłużyły jeszcze do umontowania licznych a niezamożnych ochotników; *) Derewicz zaś z przerzedzonem okrutnie oddziałem cofał się spiesznie.

Po tych dwóch szczęśliwych stoczonych bitwach, mając zupełną swobodę działania, ułożył marszałek śmiały plan opanowania Krakowa, i nie zwierzając się nikomu (prócz Szyca i Goliana) z projektów swoich, ruszył ku Warszawie, a kiedy dowiedział się z pewnością, że przestraszeni tym jego ruchem Moskale spieszyli zewsząd na obronę zajmowanej przez nich stolicy, zwrwócił się raptownie ku Krakowowi.

W tym pochodzie złączyły się marszałkiem oddziały Miączyńskiego, który był z nim w górach, Walewskiego, niezmiernej odwagi człowieka, w końcu Kossakowskiego, którege znał z Litwy, wielkich nadziei dwudziestoletniego młodzieńca.

Tak połączone, trzy do czterech tysięcy dzielnego przedstawiały żołnierza, z którym spiesznemi nadzwyczaj marszami znalazł się pod Krakowem, a Moskale byli w zupełnej niewiadomości o tym pochodzie.

Na godzinę przede dniem wpadli konfederaci na przedmieścia, po tem za uciekającym nieprzyjacielem do miasta gdzie po krótkim oporze cała załoga poddała się; ocalało tylko sześćdziesiąt ludzi, którzy będąc na Kazimierzu za Wisłę uszli. Oprócz kilkuset jeńców dostały się w ręce zwycięzców znaczne zapasy broni, amunicji, przyborów

*) Pamiętniki Murraya.

wojennych, a co najbardziej pocieszającem było, cały pułk gwardji koronnej, oddany pod dowództwo jakiemuś jenerałowie moskiewskiemu, przeszedł na stronę konfederacji*).

Pozostał tylko w rękuu Moskali zamek silnie działami obsadzony, o którego zdobycie nie kusił się marszałek, nie mając stosownej artylerji, a nie widząc możności utrzymania się w mieście, kiedy zamek nad niem górójący był w ręku nieprzyjaciela, opuścił Kraków i poszedł ku Piotrkowu, zbierając po drodze nagromadzone przez Moskali zasoby wojenne.

Doszedłszy do tego trybunalskiego grodu, doniesiono mu, że Drewicz w kilku tysięcy oblega Częstochowę; postanowił on zaraz pójść na odsiecz temu świętemu miejscu.

W niedalekiej od miasta odległości wychodzili z lasu konfederaci, kiedy oczom ich ukazała się Jasna-góra, uwieńczona jak koroną kościołem, wielkiemi budowlami klasztornemi a wszystko obwiedzione wysokiemi murami. Na ten widok pobożni Barszczanie uklęknąwszy gorące modły zanosili do królowej Korony Polskiej, kiedy w górze jakby w obłokach, ozwały się dźwięczne tony, niby chór archaniołów, bo na samym szczycie wieży ustawiona muzyka klasztorna odgrywała wieczorny hajnał na cześć Matki Boskiej **).

Pomodliwszy się nieco, wsiedli na koń konfederaci i zaledwie z miejsca ruszyli, ujrzeli czarne kłęby dymu,

*) Ferrand, Rulhiere. Murray tak to zajęcie Krakowa opisują.

**) Zwyczaj odwieczny.

wznoszącego się u podnóża góry: to Drewicz kazał zapalić kilka zabudowań gospodarskich, grożąc tym samym losem Jasnej-górze, czem przestraszeni księża złożyli mu okupu 3000 dukatów, a on wyłudziwszy te pieniądze od nich, zawiadomiony o pochodzie Pułaskiego zwinął obóz i odstąpił od oblężenia *).

Częstochowa, a raczej Jasna-góra, cel pobożnych pielgrzymek wszystkich Sławian zachodnich, odwiedzana gromadnie nietylko przez krajowców, ale przez Szlązaków, Morawian, Słowaków, posiada w skarbcu kościelnym ogromne bogactwa, hojną ręką przez królów i panów polskich na ołtarzu Marji składane, które obudzały nie raz pożądliwość heretyków, jak to przed dwoma niemal wiekami miało miejsce, kiedy Diabel Stadnicki i Kuropatwa z Łańcuchowa, Socynianin, uwozili cudowny obraz Matki Boskiej.

Chcąc zasłonić ten przybytek czci i poszanowania całej Polski od profancji i grabieży, dozwolono OO. Paulinom, stróżom tych relikwi, utrzymywać garnizon, którego dowódzca przez prowincjała mianowany, zależnym był od miejscowego przeora. Silne to z położenia swego miejsce, wałami otoczone, w niejednej wojnie ważną odgrywało rolę, a mianowicie w czasie najścia Szwedów za Jana Kazimierza. Garnizon bowiem Jasnej-góry, owiany bohaterskim zapałem przeora Kordeckiego, wytrzymał długie i krwawe oblężenie i przykładem swoim wpłynął na podniesienie ducha narodowego, a w następstwie i na losy Polski.

*) Historyczne.

Ale nie każdy z przeorów Jasnogórskich szedł w ślady wielkiego poprzednika swego, a w tych liczbie był ówczesny. Oddzielając obowiązki kapłana od tak ściśle zespolonych z sobą obowiązków obywatela, chciał on w tej wojnie narodowej zachować neutralność, i Moskali datkiem a swoich prostą odmową usiłował odwrócić od zajęcia Częstochowy; co też zaraz po przybyciu marszałka w czasie wizyty, którą mu oddał, wypowiedział.

Ale przypadkiem znajdował się na tenczas na Jasnej-górze wysoki dostojnik w hierarchii kościelnej, a tym był Monsignor Durini, nuncjusz apostolski, który przybył do Częstochowy przed kilku dniami na święto Matki Boskiej, sollenie tam obchodzone. Pospieszył zaraz do klasztoru marszałek dla złożenia uszanowania nuncjuszowi, znalazł w nim człowieka wysokiego wykształcenia i najlepszemi chęciami dla Polski ożywionego.

W długiej rozmowie, jaką z sobą mieli, żalił się marszałek na postanowienie przeora nie wpuszczania jego oddziału do Częstochowy, a to z wyraźną szkodą dla sprawy kościoła i konfederacji; Moskale bowiem prędzej czy później niewątpliwie zdobędą Jasną-górę, a wtenczas ten przybytek, co dzielną obroną Kordeckiego uniknął profanacji Luteranów, wpadnie teraz w ręce stokroć nieprzyjaźniejszych wierze naszej szyzmatyków. Co zaś do korzyści dla konfederatów, to utrzymywał Pułaski, że twierdza ta jest ważnym punktem strategicznym, gdzie na przypadek niepowodzenia, silny nawet oddział pod zasłoną jej armat może pewne znaleść schronienie.

To zapatrywanie się marszałka zrobiło wielkie wrażenie na umyśle nuncjusza, a kiedy pan Kazimierz korzystając z tego usposobienia, prosił go, ażeby skłonił przeora do poddania twierdzy, to ten mu odrzekł, że szanując stosunki międzynarodowe jawnie się do tej sprawy mięszać nie może; ale gdyby mu się udało nie przemocą, ale fortelem opanować twierdzę, to on go zapewnia, że z tego tytułu nie podpadnie cenzurom duchownym, bo on tego nie dopuści. Skwapliwie pochwycił tę myśl marszałek i zaraz prosił nuncjusza, żeby parę dni pozostał jeszcze na Jasnej-górze, bo obecność jego nie dozwoli niechętnemu przeorowi w fałszywem świetle przedstawić tej sprawy. Po rozmowie z nuncjuszem odwiedził pan Kazmierz przeora, wspomniał znowu o korzyściach, jakieby przyniosło sprawie konfederacji posiadanie Jasnej-góry, ale kiedy ten stanowczo jej oddania odmówił, wtedy nie nalegał dłużej, a ta jego powolność zupełnie zaspokoiła przeora.

Marszałek powróciwszy na Starą Częstochowę, gdzie miał kwaterę, opowiedział panu Szycowi i Golianowi rozmowę swoją z nuncjuszem i upoważnienie niejako do zajęcia twierdzy. Uradowani tą wieścią ułożyli oni plan działania, i w skutek takowego, drugiego zaraz dnia, na wielkiej płaszczyźnie pomiędzy starą Częstochową a Jasną-górą będącej, wystąpiła piechota i nieco jazdy, i ćwiczyła się w obrotach.

To zbrojne zebranie pod samemi murami twierdzy, naprzeciw jedynego mostu, który wiódł do niej, zaniepokoiło przeora, to też na rozkaz jego zwiedziono most, zamknięto bramę, a załoga ukazała się na wałach, gotowa do oporu. Ale po kilkugodzinnej mustrze rozeszli się konfederaci na

kwatery, a tem uspokojony przeor kazał otworzyć bramy. Na drugi dzień ponowiły się te same ćwiczenia wojenne, a w twierdzy mniej ostrożności zachowano; zamknięto tylko bramę, ale mostu nie zwodzono, trzeciego dnia zaś i tej ostatniej oznaki niedowierzania zaniechano i dozwolono konfederatom, po kilku, odwiedzać ten święty przybytek. Pan Kazimierz widząc uspokojoną obawę przeora umyślił czwartego dnia ubiedz twierdzę.

O wschodzie słońca wystąpiła znowu piechota na musztrę, a żołnierze dostali rozkaz uważać pilnie na Goliana, i na skinienie jego biedz bez namysłu za nim, potem z pomiędzy Sanoczan wybrał marszałek trzech szlachty, olbrzymiej siły i dzielnych do korda, i ci poszli na Jasną-górę na nabożeństwo; w godzinę po nich znowu trzech, a w końcu marszałek z panem Szycem i Deręgowskim, sławnym na całe Sanockie rębaczem. Ci ostatni spotkali w bramie przeora, a pan Kazimierz przywitawszy go, mówił że idzie w odwiedziny do nuncjusza.

W przedpokoju zatrzymał się Szyc i Deręgowski i stanęli koło okna, które było na przeciwko bramy, a marszałek poprzedzony przez sekretarza poszedł dalej. Stali już tak z półgodziny, wyglądając często na dziedziniec, kiedy ujrzeli pierwszych trzech konfederatów, co byli na nabożeństwie, wychodzących z kościoła; spostrzegłszy swoich w oknie, wszczęli oni rozmowę z Paulinem, którego napotkali, a jednocześnie drugich trzech zbliżało się w towarzystwie jakiegoś oficera garnizonu, który im dawał szczegóły uzbrojenia i zasobów twierdzy.

Kiedy się już zrównali z rozmawiającymi z Paulinem, pan Szyc wszedł do przyległego pokoju, co dotykał do gabinetu Nuncjusza, krząkaniem oznajmił obecność swoją, a na ten znak wyszedł pan Kazimirz i wszyscy trzej zeszli na dziedziniec. Za ukazaniem się marszałka, konfederaci, oddając mu ukłon wojskowy stanęli w pełnej uszanowania postawie a on rozmawiając z księdzem szedł wolno ku bramie, obok której był odwach, a na nim broń kilkunastu żołnierzy trzymających wartę na kołkach spoczywała; szyldwach jej pilnował, trzech czy czterech żołnierzy siedziało na ławkach, reszta była w kordegardzie.

Naprzeciw bramy zatrzymał się chwilę marszałek, rzucił okiem na most i ujrzał Goliana, który jak w tęczę patrzał na niego, a nieco za nim piechotę wolno postępującą. Na ten widok pan Kazimierz poprawił kołpaka, (był to znak umówiony), a potem zawsze rozmawiając z księdzem wszedł na odwach, oglądał broń, za nim po jednemu wchodzili konfederaci, dwaj Sanoczanie znaleźli się koło żołnierzy na odwachu będących, Szyc i Deręgowski nie daleko drzwi od kordegardy, a pan Kazimierz koło żołnierza na warcie stojącego.

W tej chwili za mostem zabrzmiały strzeleckie trąbki, a na te dźwięki marszałek silnem uderzeniem wytrącił broń szyldwachowi, każdy z Sanoczan uchwycił dwóch żołnierzy za piersi, a Szyc i Deręgowski wpadli do kordegardy. Jednocześnie z tym napadem zadudnił most pod spieszącą za Golianem piechotą, w jednej chwili ukazali się na dziedzińcu piekielni strzelcy Szyca, z prawej i lewej strony bramy wskakiwali oni na parapet i biegli wzdłuż

wałów, a przelękły klasztorny żołnierz, rad w duszy temu wypadkowi, żadnego oporu nie stawił.*)

Na hałas tym napadem spowodowany, wyszedł spiesznie przeor, wysypali się gromadnie Paulini na dziedziniec twierdzy, a pierwszy zbliżywszy się do marszałka cierpkie mu czynił wyrzuty za to pogwałcenie (jak się wyrażał) tego świętego miejsca, i groził klątwą kościoła, co zmięszało pobożnych konfederatów, ale pan Kazimierz głośno i dobitnie, żeby był przez wszystkich słyszanym, odrzekł mu: że te wały, które on zajął nie dla ozdoby, ale na obronę tego świętego miejsca wznieśli pobożni królowie polscy, a pewnie nikt gorliwiej strzedz ich nie będzie jak rycerze Wiary, wolności. Z boleścią widzi on, mówił dalej, że duch dzielnego Kordeckiego nie ożywia następcy jego, i kiedy tamten błogosławił walczącym na tych murach za swobody kraju i cześć Marji, dzisiejszy zwierzchnik tego miejsca karami duchownemi grozi tym, co życie położyć gotowi za nietykalność tego świętego przybytku.

— Ale ja się tego nie obawiam — dodał — mam bowiem to przekonanie, że biskupi nasi będą widzieli w tym moim czynie korzyści, a nie szkodę dla religji.

Ta mowa, nacechowana pewnością w sankcją biskupów, uspokoiła zatrwożone chwilowo sumienia konfederatów i wprowadziła w wielki kłopot przeora; to też stał chwilę

*) Ferrand, Murray, Rulhière; — ten ostatni daje szczegóły opanowania Jasnej-góry, których się wiernie trzymam.

widocznie pomięszany, kiedy go z tego fałszywego położenia wybawiło nadejście sekretarza nuncjusza, który i marszałka i przeora zaprosił imieniem tego prałata.

Za staraniem nuncjusza nastąpiła zgoda między zwaśnionymi, bo marszałek pomiarkowawszy, że głównym powodem oporu przeora była obawa o skarby kościelne, zaręczył ich nietykalność; jakoż w obec nuncjusza przyłożono pieczęcie na skarbcu, a klucze od takowego pozostały w ręku przeora. Uspokoiwszy w ten sposób to chwilowe zajście, oświadczył nuncjusz, że na drugi dzień postanowił opuścić Częstochowę, przed odjazdem zaś chce pobłogosławić wojsko konfederackie.

Ta wieść rozeszła się zaraz pomiędzy towarzyszami marszałka, odjęła wszelki pozór do klątwy, którą zagroził przeor, i wielką radością napełniła wszystkie serca; wzniesiono zaraz na placu przed twierdzą nie duży kopiec, okryto go dywanami, a na drugi dzień otoczyli go konfederaci. Potem, przybyły w asystencji wszystkich zakonników nuncjusz, wstąpił na to wywyższenie i po krótkiej modlitwie wszystkim walczącem pod hasłem wiary i wolności apostolskie udzielił błogosławieństwo.

Skoro wiadomość o tej sankcji papieskiej, nadanej czynnościom konfederacji, doszła do Warszawy, zaraz król, za namową posła moskiewskiego, skarżył się o to w Rzymie, a stolica apostolska, nie znając istotnego położenia kraju, po niejakim czasie odwołała Duriniego.*)

*) Historyczne.

Zaraz po odjeździe nuncjusza zajęto się poprawą wałów i przekopów fortecznych, sprowadzono po dworach będące armatki, a te łącznie z miejscowemi dostateczne były do bronienia każdego punktu twierdzy. Kiedy te roboty były już na ukończeniu, podstąpił pod Częstochowę Łopuchin we trzy do czterech tysięcy ludzi i wezwał twierdzę do poddania się, ale śmiechem przyjął to żądanie marszałek, tej samej jeszcze nocy zrobił wycieczkę i znaczną Moskalom zadał klęskę, a skonfundowany Łopuchin ze wstydem cofać się musiał. I odtąd Częstochowa, pomimo wysileń Moskali, dwa lata prawie była w rękach konfederatów, stanowiła ona punkt środkowy ich działań i zasłonę przy każdym odwrocie.

Od chwili, jak towarzysze marszałka Łomżyńskiego zajęli Jasną-górę i u stóp Marji błagali Ją o opiekę nad Polską, rozpoczęła się epoka pomyślności nietylko w działaniach wojennych, ale i w wewnętrznem zorganizowaniu konfederacji, której właściwie dotąd nie było; prowadziły bowiem trzyletnią już walkę pojedyńcze oddziały po kraju rozrzucone, bez ogólnego jednak planu i wspólnie uznanego kierunku.

Ten brak jednolitego działania sprowadzał niepowodzenia i rozprzęgał karność, a chociaż wzorem porządku i subordynacji były oddziały Pułaskiego i Zaremby, to w innych zato dopuszczano się niekiedy krzywdzących nadużyć, a nawet zgubnych knowań, jak tego dowodem stały się wybryki Dzierżanowskiego i smutne czyny Bierzyńskiego. Czuli wszyscy potrzebę zaradzenia złemu i właśnie zajmowano

się ogólnym w tym względzie planem, kiedy przybył wysłany od Choiseula Dumourieur z projektem organizacji, na który też zgodzono się i na zjeździe w Białej przy końcu 1770 r. stanowczo go ułożono. Odtąd jeneralicja stanęła jako władza naczelna, a przy jej boku zarząd funduszów publicznych, rada wojenna i sąd wojskowy czuwały nad formacją nowych oddziałów, nad wykonaniem projektowanych ruchów i nad ogólną karnością.

Wszystkie te urządzenia większa część marszałków przyjęła zaraz w obozie pod Moszynką, a następnie i reszta ich, z wyjątkiem jednego Bierzyńskiego, któremu też dowództwo w Sieradzkiem natychmiast odjęto. Dla skuteczniejszego prowadzenia wojny utworzono nadto dwa główne dowództwa, z których jedno w Wielkopolsce, powierzono Zarębie, a całą Małopolskę z Zatorem i Oświecimem oraz środkowe województwa po lewym brzegu Wisły oddano pod rozkazy marszałka Łomżyńskiego; tajemnicza nawet konfederacja Zakroczymska i słynny Sawa Caliński, dowodzący w Płockiem, przyjęli zwierzchnictwo Pułaskiego.

Tak zorganizowana konfederacja przedstawiała pewną całość i pewien zasób sił, które przy sprzyjających okolicznościach mogły jej rokować znaczenie wiekopomnej konfederacji Tyszowieckiej. Ale na nieszczęście kraju dzieliły go nieprzejednane dotąd stronnictwa. Związek Barski składała cała niemal średnia szlachta, ten prawdziwy rdzeń narodu, gotowa zawsze do ofiar, stojąca wiernie przy swobodach i religji ojców, przy ich nawet obyczaju i stroju, niewdająca się w żadne nowatorskie teorje, i walce tylko z wrogami kraju wyłącznie oddana, a z nią szła razem

tak zwana partja Potockich i Radziwiłłów, opierająca się na Francji, za której wpływem pewny rodzaj tolerancji ze strony Austrji uzyskano.

Naprzeciw tego stronnictwa narodowego stało drugie, mniej liczne, ale więcej zabiegliwe, pod przewództwem rodziny Czartoryskich, usiłujące wzmocnić władzę królewską i potęgę państwa, a trzymające się w tym celu zgubnego przymierza z Rossją. Nie było więc tu owej jedności, jaka przed stu laty uratowała Polskę, ani też jaśniały teraz na jej tronie cnoty pobożnego Jana Kazimierza; wtedy bowiem stał król przy narodzie i naród przy królu, złączeni jedną myślą wyswobodzenia ojczyzny, a teraz monarcha wiarołomny i zniewieściały, bez odwagi i energji, w orężu obcych szukał dle siebie obrony, poświęcając jej nawet niepodległość własnego kraju.

W obec tego odstępstwa króla od narodu wzmogła się zobopólna nienawiść, i musiała iść dalej ta bohaterska walka, którą prowadziła szczupła garstka Barszczan z całą potęgą Rossji. Położenie konfederatów było zaiste bardzo trudne. Nie mieli oni ani jednego silnego punktu oparcia; bo począwszy od stolicy, wszystkie znaczniejsze miasta zajmowali Moskale lub wojska królewskie, w najbogatszych prowincjach, jak na Wołyniu, Podolu i Ukrainie panowała cisza, na Litwie tlał potajemny ogień, ale ciągłe wahanie hetmana Ogińskiego przeszkadzało wybuchowi powstania, a świeżo przybyłe Moskalom znaczne posiłki, o które od dawna naglił Weimarn, weszły już były pod wodzą Suwarowa.

W Koronie nawet, po prawym brzegu Wisły, uwijał się niemal sam jeden zręczny Sawa; w Województwie Ruskiem, oprócz ziemi Sanockiej, nie było żadnego znaczniejszego ruchu, a tak działanie konfederacji ograniczało się tylko na lewym brzegu Wisły. W chwili, kiedy zaszła nowa organizacja, siły ogólne konfederatów, według obliczenia Dumouriera, zaledwie przewyższały liczbę dziesięciu tysięcy ludzi, rozdzielonych w ten sposób, że Zaręba blisko w cztery tysiące bronił Wielkopolski; w pośrodku, pod Częstochową, stał Pułaski w dwa tysiące ludzi, a reszta sił jego, pod Belair'em i Walewskim, zajmowała całe krakowskie podgórze, strzegąc brzegów Dunajca; na tej zaś tak długiej linji jedynemi punktami oparcia dla Pułaskiego były zamki Lanckorony, Bóbrka i Tyńca, oraz obronny klasztor na Jasnej-górze, a dla Zaremby umocniony zamek w Kościanach. Szczupłe te siły konfederatów miały do walczenia z przeważnym nieprzyjacielem, bo oprócz silnych garnizonów po wszystkich znaczniejszych miastach, Moskale pod Weimarnem, Drewiczem i Łopuchinem wyszli w pole w przeszło 20.000 ludzi, drugie tyle posiłków prowadził Suwarów, Kawkin i Apraksin, a około dziesięć tysięcy wojsk królewskich wspólnie z nimi działało. Straszną jednak dla nich była ta nierówna walka, bo do boju za Wiarę i wolność wiedli tacy dowódzcy jak Sawa, Zaremba, Walewski, Kossakowski, Mazowiecki, Wilkoński, Miączyński i tylu innych, a duszą tych bohaterskich zapasów był wyższy zdolnością i niezrównany w rycerskich cnotach, Pułaski.

Pięcioletnia ta wojna, pełna dramatycznych epizodów, oczekuje dotąd pracy, któraby pamiętne czyny konfedera-

tów w jedną całość zebrać zdołała; znane dotąd materjały są szczupłe, ułamki z pojedyńczych opisów w małej tylko części ogłoszone, a mnóstwo szczegółów, dziś jeszcze nieznanych, spoczywa w rozrzuconych prywatnych zapiskach, które, bogdaj czy kiedy zebranemi być potrafią. W tym nieprzerwanym prawie szeregu bitew, utarczek, oblężeń, szturmów, podjazdu i napadów nocnych, są jednak wypadki główniejsze i śmiałe pochody sięgające w głąb i aż do granic Polski, które w tej właśnie epoce pod kierownictwem Pułaskiego wykonywane, wzbudzały w obcych nawet najgłębsze podziwienie, a więc i przez nas przemilczanemi być nie mogą.

Zaledwie stanowisko w Częstochowie umocnionem zostało, ruszył marszałek Łomżyński do Wielkopolski, dla odciągnienia w te strony głównych sił moskiewskich; wierny temu planowi Zaremba uderzył na nieprzyjaciela w okolicach Poznania, Pułaski zaś na samo miasto. W tem nadbiegł ze znacznemi posiłkami niezmordowany Drewicz. Oględny Zaremba, widząc cel tego ruchu już osiągnięty, cofać się począł, a Pułaski opanowawszy przedmieścia, prowadził w nich kilkudniową walkę zaciętą, poczem osłabiony ale zawsze groźny, usunął się pod Częstochowę.

Rozdzieliwszy tym sposobem siły przeciwników, zwraca Pułaski uwagę swoją na Litwę, wyczekującą jakiegoś stanowczego kroku. Jakoż w Grudniu 1770 roku Sawa z jego polecenia, posuwa się nagle w dwa tysięcy ludzi, zajmuje Brześć, zabiera znaczny transport pieniędzy, idzie dalej w głąb Litwy, ale tam zachodzą mu drogę wojska królewskie i po raz pierwszy, wbrew rozkazom hetmana Ogińskiego,

wszczyna się bratobójcza walka. Po dwóch morderczych bitwach, Sawa widząc, że spodziewany czynny udział Ogińskiego i tym razem zawiódł, cofać się począł ku Wiśle. Tymczasem Drewicz w sześć tysięcy ludzi podstąpił pod Częstochowę, a Pułaski zamknął się w twierdzy z załogą ośmset tylko ludzi wynoszącą, i rozpoczęło się długie i krwawe oblężenie.

Dumourier, który na nieszczęście objął był komendę w Krakowskiem, dobry organizator ale zarozumiały i niebaczny dowódzca, ruszył na odsiecz Częstochowy, ale tylko w pięćset ludzi, rozbił go też Drewicz, a gdy mu Prusacy nadesłali z Wrocławia znaczną ilość ciężkich dział i moździerzy, rozpoczął dnia 3. Stycznia 1771 roku bombardowanie twierdzy.

Przez kilkanaście dni rzucono na Jasną-górę przeszło czterysta bomb i mnóstwo innych pocisków, a na ten straszny ogień odpowiadało tylko dwadzieścia dział z murów klasztoru. Dwa razy wszczął się pożar, ale go ugaszono, trzy mordercze szturmy zwycięzko odparto, i widziano wtedy tę nieustraszoną garstkę konfederatów, zgłodniałą i pozbawioną nawet odzieży, jak w częstych wycieczkach, na ośmnaście stopni zimna, biła się w koszulach tylko, z taką odwagą i zaciętością, że w końcu cała prawie załoga miała na sobie mundury moskiewskie; *) znużony też i znękany Drewicz, z przerzedzonem wojskiem odstąpił od oblężenia. Bohaterska obrona Częstochowy podniosła jeszcze zapał konfederatów i dozwoliła Pułaskiemu działać

*) Rulhière, Ferrand i Murray.

znowu zaczepnie. Jakoż jeszcze przed wiosną Sawa zniósł Moskali pod Kraśnikiem, a młody Kossakowski, znany z nadzwyczajnej odwagi w epoce obrony Mittawy przed Birenem, wysłany został w pięćset koni na Litwę, i szczęśliwy to był wybór, bo zręczny ten i śmiały dowódzca szybkim marszem doszedł do Inflant, połączył się tam z młodym wojewodzicem Zybergiem, wszedł znowu do Litwy, pod murami Wilna rozbił i wziął do niewoli znaczny oddział moskiewski, a potem wtargnął do Kurlandji, gdzie starania deputowanego od szlachty Howena przygotowały ruch powstania; za wejściem też Kossakowskiego i Zyberga, Biren schronił się do Rygi, a oddziały Hekinga i Schutza rozpoczęły podjazdową wojnę na granicach Litwy.

Tymczasem sprawa narodowa poniosła cios bolesny przez zgon nieodżałowanego Sawy. Zuchwały ten partyzant, który z niesłychaną szybkością przerzucał się z miejsca na miejsce, którego w małych odstępach czasu widziano to na Litwie, to pod Częstochową, to znowu w Lubelskiem i aż pod Pilznem nad Wisłoką, wiódł teraz zaciętą walkę z Weimarnem w Płockiem, i dnia 26. Kwietnia, w zwycięzkiej potyczce pod Szreńskiem ciężko ranny, z urwaną nogą od kuli działowej, kazał się w koszu przenieść w puszczę Myszeniecką, i tam zdradzony od opatrującego go cerulika, żyda z pruskiego miasteczka Soldau, dostał się w ręce Moskali, gdzie też wkrótce życie zakończył.

Kiedy się to działo, Dumourier tworzył plany skombinowanych ruchów, właściwych może dla regularnej armji ale trudnych do wykonania z wojskiem, z ochotników złożonem, i dla konfederacji tak widocznie niebezpiecznych, że

nawet Kaunitz, dobrze oceniający położenie, w poufnej rozmowie z Durandem obawy swoje w tej mierze wyraził.*)

Opierał się tym planom marszałek Łomżyński, gdy jednak przyjęła je rada wojenna, wziął się on do ich wykonania z właściwą sobie energią. Dumourier miał zebrać kilka oddziałów nad Dunajcem i być w pogotowiu do uderzenia na główne tam siły moskiewskie pod wodzą Suwarowa, skoro Pułaski skuteczną z tyłu zrobi dywersją. W pierwszej połowie Czerwca ruszył też marszałek Łomżyński z pod Częstochowy i doszedł był już do Kazanowa, kiedy silny oddział kirasjerów i kozaków moskiewskich w nocnym napadzie zabiera mu całą jego artylerję. Niezrażony tą chwilową klęską dościga on ich nazajutrz, odbiera swoje działa, zdobywa trzy nieprzyjacielskie, i cały ten oddział znosi tak dalece, że z tysiąc dwiestu kirysjerów zaledwie czterdzieści koni ratuje się ucieczką. Po tem zwycięztwie Pułaski przechodzi w Sandomierskiem Wisłę, w okolicach Sędziszowa zbiera ochotników, pod Krzeszowem gromi Moskali i przebywa San, a następnie dociera do Zamościa, gdzie stosownie do odebranych kłamliwych doniesień miał znaleźć znaczne zapasy wojenne, dozwalające mu utworzyć z tej małej twierdzy punkt oparcia do zamierzonych działań w Województwie Ruskiem.

Ten pomyślny pochód Pułaskiego zdawał się zapowiadać najlepsze skutki, kiedy nieudolność Dumouriera zniweczyła je zupełnie, bo twórca tego skombinowanego planu wykonał go najfatalniej. Nie czekając na następstwa ruchu mar-

*) List Duranda z dnia 12. Maja 1771 r. — Ferrand.

szałką Łomżyńskiego i niedokonawszy koncentracji sił własnych, uderzył on w tysiąc dwieście ludzi na Suwarowa pod Lanckoroną dnia 22. Czerwca i bolesną poniósł klęskę. Zginął tam kwiat młodzieży, poległ młody Sapieha i Orzeszko, marszałek Piński; Lasocki i Miączyński dostali się do niewoli, a Dumourier umknął i już się więcej nie pokazał. Po tem zwycięztwie Suwarów rozbija nieprzygotowaną milicję Karola Radziwiłła, a następnie z zadziwiającą szybkością ukazuje się pod Zamościem, gdzie Pułaski zajętym był właśnie pierwszemi robotami około umocnienia twierdzy, ogołoconej z zapasów i prawie otwartej. Utrzymać się na tym oddalonym punkcie było niepodobna, rozpoczął on więc odwrót i w dziesięć dni znalazł się w Częstochowie, nie straciwszy ani jeńca ani artylerji, ale owszem uprowadzając dwa działa zdobyte, co też w Suwarowie takie wzbudziło podziwienie, że kiedy odesłał Pułaskiemu zabrane jego bagaże, to w liście własnoręcznym uczucie to swoje wyraził. *)

Klęska pod Lanckoroną, jakkolwiek dotkliwa, nie osłabiła nadziei konfederatów, zaraz bowiem potem Zaremba pod Kaliszem, a Pułaski pod Tyńcem, stoczyli krwawe, ale pomyślne walki; przerzedzone szeregi zapełniali ochotnicy, zapał i uwielbienie dla obrońcy Częstochowy był ogólny i nikt też nie upadał na duchu, kiedy nagle ukazała się deklaracja Salderna, posła rossyjskiego, w której tenże śmiał konfederatów nazywać »rozbójnikami« i jako

*) Ferrand.

takich wyjmował z pod zwykłych praw wojny. Odtąd walka przybrała charakter nieubłaganej nienawiści; Moskale wypuszczeni z niewoli, łamali słowo i znowu za broń chwytali, a ich dowódzcy nie dotrzymywali już żadnej kapitulacji, jeńców zaś polskich mordowali, lub na straszne oddawali męczarnie. *)

To barbarzyństwo moskiewskie podwoiło jeszcze zapał konfederatów, i gdy walka stawała się coraz zaciętszą, wtedy stronnictwo, tak zwane umiarkowane, zaczęło szukać drogi do układów. Stronnictwo to, znane pod imieniem »związku patryotycznego,« zawiązał był prymas Podoski, a należeli do niego pomiędzy innymi: Massalski, biskup Wileński, Poniński i Gurowski, że jednak nazwiska te nie wzbudzały zaufania, a król ulegał woli Salderna tak dalece, iż wojskom koronnym kazał działać łącznie z Moskalami, nie mogły przeto te usiłowania doprowadzić do żadnego skutku, wpływowi więc Czartoryskich przypisać należy skłonienie Stanisława Augusta do niejakich pojednawczych kroków, z których wybrał on najniebezpieczniejszy, bo negocjacją zbrojną.

Na rozkaz króla podsunął się też Ksawery Branicki z dwoma pułkami piechoty i trzema jazdy pod Częstochowę i zaproponował układy. Przyjął je zrazu Pułaski, ale gdy zażądał odniesienia się do jeneralicji, i narady rozdrażniły jeszcze obie strony, przyszło do walki, a po dwakroć pobity Branicki zwrócił się do Zaremby, który mu dał takąż

*) Deklaracja Salderna z dnia 26. Czerwca 1771 roku. Ferrand.

samą jak Pułaski odpowiedź. Porwano się więc znowu do broni; Zaremba chwilowo ciężkie poniósł straty, ale śmiały ruch młodego Mazowieckiego, marszałka Dobrzyńskiego, złamał zupełnie wojska królewskie, które w samych jeńcach utraciły dwóch pułkowników, dwudziestu oficerów i około trzechset żołnierzy, a rannego swego wodza zaledwie z sobą uniosły.

Nowe te niepowodzenia przeraziły do reszty Stanisława Augusta. Korzystała z tego rada królewska, i pomimo opozycji Salderna wydała postanowienie zwołujące sejm pacyfikacyjny na miesiąc Grudzień, a w odpowiedzi na ten krok pojednawczy, jeneralicja ogłosiła uniwersał, zapowiadający zjazd ogólny konfederacji. Gotowały się więc obie strony do układów, ale z uwagą zwróconą na Litwę, gdzie spodziewano się bliskich i stanowczych wypadków.

Hetman Litewski Ogiński był od dawna przedmiotem zabiegów i starań obu stron walczących, silnie przywiązany do sprawy narodowej, wahał się jednak wystąpić stanowczo, bo stronnictwo królewskie łudziło go zwodniczemi obietnicami. Znamienita to była osobistość, a stanowisko jego, jako hetmna, czyniło z niego poważny sztandar, który mógł poruszyć całą Litwę i zapewnić konfederacji niezawodne zwycięztwo. Nalegano też na Ogińskiego wszelkiemi sposobami, ażeby podniósł oręż, a znany i czynny Mokronowski zapewniał go, że w takim razie potrafi skłonić króla do akcesu. Chciał jednak hetman zbadać poprzednio usposobienie Austrji, której nigdy nie dowierzał, i w tym celu wysłał tajnego ajenta do Wiednia, a nieodgadniony

w swojej polityce Kaunitz dał w odpowiedzi hetmanowi radę, ażeby się zaraz połączył z konfederacją.*)

Na to niespodziewane oświadczenie Austrji, Ogiński skłonił się do rady Mokronowskiego i przesłał królowi, przez jednego ze swoich adjutantów, stanowcze propozycje. Król, który we wszystkiem odnosił się do posła rossyjskiego, uległ widno jego wpływowi, bo adjutant hetmana powrócił z odpowiedzią odmowną; dumny Saldern wezwał go do stawienia się w Warszawie, a Albuszew i During dostali rozkaz uderzenia z nienacka na obóz Ogińskiego pod Teleszanami. Uwiadomiony zawczasu, hetman uprzedził ten zdradziecki zamach. W dniu 30. Sierpnia ruszył on z obozu pod Janów, dnia 6. Września zniósł zupełnie Albuszewa, który poległ na placu bitwy, a w grodzie Pińskim zeznał zaraz Ogiński akces do konfederacji. Na tę wieść zaczęli się tłumnie zbiegać ochotnicy, a gdy siły hetmana wzrosły do cyfry sześciu tysięcy ludzi, zwrócił on się w kierunku Mińska. Zabiegł mu wprawdzie drogę jenerał Kawkin z sześciu silnemi pułkami, ale hetman w dwóch bitwach pobił go na głowę, po Rzeczycą zabrał mu działa i sześćset niewolnika, a następnie zajął Mińsk i posłał Kossakowskiemu rozkaz spiesznego połączenia się.

Ważna to była chwila, bo tak złączone siły mogły stawić czoło licznym zastępom moskiewskim, a tymczasem cała Litwa stanęłaby pod bronią, ale los zawistny zrządził inaczej. Kossakowski, który wtargnął był już do Rossji, odebrał rozkaz hetmana w okolicach Smoleńska, i cho-

*) Ferrand.

ciaż natychmiast zwrócił się ku Litwie, nie mógł jednak tak spiesznie połączyć się z hetmanem, który wtenczas znajdował się pomiędzy Nieświeżem a Słonimem, i tam niespodziewaną poniósł klęskę. W dniu bowiem 23. Września, pod Stołowicami, według jednych przez brak ostrożności, według innych przez zdradę,*) podszedł go w nocy Suwarów i rozbił do szczętu, a nieszczęśliwy hetman, zmuszony do ucieczki, wśród niezliczonych niebezpieczeństw uszedł do Prus i pod przybranem nazwiskiem dostał się później do Gdańska. W parę dni po tej klęsce nadbiegł Kossakowski, i nie złamany w nieszczęściu, zebrał rozproszone wojsko hetmańskie, przeszedł całą Litwę, a nad granicą napadnięty zdradziecko przez Prusaków, odparł ich, i po zdumiewającym tym odwrocie połączył się z Walewskim w okolicach Krakowa.

Taki był stan rzeczy w jesieni 1771 roku. Zawiedzione nadzieje na Litwie wpłynęły na ogólne w kraju usposobienie; rozpoczęte kroki pojednawcze spełzły na niczem; w Warszawie wyrzeczono się zamiaru zwołania sejmu, w konfederacji zaniechano na teraz myśli ogólnego zjazdu, i z obu stron uczucie nienawiści doszło do najwyższego stopnia; że zaś konfederacja widziała w osobie króla głównego nieprzyjaciela kraju, a król upatrywał w jeneralicji najzawziętszych władzy swojej przeciwników, zaczęto więc nawzajem tworzyć plany skrytych i gwałtownych zamachów.

*) Rulhière i Ferrand.

Po tylu wytrzymanych szturmach koniecznością było poprawić fortyfikacje Jasnej-góry, i to było przedmiotem szczególnych starań Marszałka Łomżyńskiego. Umacniano szańce, prowidowano się we wszelkiego rodzaju zapasy, dwadzieścia dział, co stały na murach, zaopatrzono w lawety, znaczna bowiem część ich zdemontowaną była, garnizon zaś, który się składał z dwóch tysięcy ludzi, rozłożono w ten sposób, że ośmset piechoty i dwieście konnicy było w twierdzy, resztujące tysiąc kawalerji stało w Starej Częstochowie, i te na każdą wieść o nadciągającym nieprzyjacielu cofały się w głąb kraju i przez czas oblężenia niepokoiły Moskali. Od Częstochowy w różnych kierunkach urządzone były etapy dla znoszenia się z innemi oddziałami, a po dworach szlacheckich, w odstępach trzymilowych, stały dzień i noc posiodłane konie, na które przesiadali się wiozący ekspedycje.

Warszawa była przedmiotem szczególnej uwagi Pułaskiego, a stosunki, jakie tam zawiązał, dawały mu łatwość odbierania codziennych niemal wiadomości ze stolicy. Tę możność znoszenia się z Warszawą zawdzięczał marszałek za-

biegom konfederacji Zakroczymskiej, której organizacja w tem się różniła od wszystkich innych, że kiedy tamtych założeniem była sama tylko walka, w tej istniał jeszcze spisek, z niesłychaną zręcznością i tajemnicą prowadzony, którego akcja na Warszawę wymierzoną była. Marszałkiem Zakroczymskim i głową owego spisku był Zakrzewski, wielkiej energji i odwagi człowiek; umiał on tak zorganizować sprzysiężenie, którego był naczelnikiem, że pomimo tego, iż nieraz wpadali w ręce Moskali albo regalistów wysłańcy jego, żaden nie zdradził tajemnicy, która pokrywała ich czynności. Nie brakło Zakrzewskiemu współpracowników; jednym z nich był Dzierżanowski, szambelan i faworyt Stanisława Augusta, człowiek niesłychanie zuchwały, umysł awanturniczy, ale pełen najlepszych chęci dla kraju; dawał on nieraz energiczne rady królowi, a jedną z takich było porwanie Repnina, które Dzierżanowski miał wykonać, ale małoduszny Stanisław zdradził ulubieńca swego, a ten uszedł z Warszawy, połączył się z Zakrzewskim, i odtąd niesłychaną pogardę i nienawiść żywił dla króla. Drugim był niejaki Trecimber, Warszawianin, między patrjotycznem mieszczaństwem stolicy wielkiego używający miru.

Sprzysiężenie, przez Zakrzewskiego uorganizowane, istniało zaraz po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, bo już w roku 1766, w czasie sejmu, miał być wykonany zamach na króla, ale ten zaniechano. W tym czasie, bardziej jak kiedykolwiek, czynnymi byli spiskowi Zakroczymscy, bo ogłoszona przez konfederacją detronizacja Stanisława Augusta, w wyobrażeniach wielu sankcjonowała niejako wszelkie czyny, na jego porwanie, albo nawet na zgładzenie projektowane;

nie śmieli oni jednak nic stanowczego przedsięwziąść bez poprzedniego zniesienia się z marszałkiem Łomżyńskim.

Pułaski w wolnych godzinach od pracy umysłowej, zajmował się ćwiczeniem żołnierzy w obrotach wojskowych, i właśnie był tem zajęty, kiedy rozstawione w około Częstochowy czaty przyprowadziły mu jakiegoś człowieka, dobrze uzbrojonego i na tęgim koniu, który nie wymieniając nazwiska swego, prosił marszałka o osobne posłuchanie.

Powrócił zaraz do twierdzy Pułaski w towarzystwie Goliana i nowoprzybyłego, a kiedy się znaleźli na osobności, to nieznajomy wręczył marszałkowi list, a raczej kartkę, na której te tylko były skreślone wyrazy:

„Oddawca tego pisma jest człowiek zacny, i najlepszemi ożywiony chęciami; o względy i zaufanie dla niego proszę.“

Podpisu nie było, ale umówiony znak przekonał marszałka, że to pismo Zakrzewskiego; to też odwracając się do oddawcy:

— Któż Waszmość jesteś i czego żądasz odemnie? — zapytał.

— Jestem — odrzekł — Michał Strawiński, szlachcic litewski, i proszę JWgo Marszałka o cierpliwą uwagę.

— Słucham — odparł krótko Pułaski.

W wyrazach pełnych energji skreślił Strawiński obecne położenie konfederacji i wnioskował, że największą dla niej byłoby korzyścią, gdyby król do niej przystąpił; a że do tego rezultatu na drodze perswazji dójść nie ma żadnej nadziei, doradzał więc środek zmuszający, a tym było porwa-

nie króla i dostawienie go do Częstochowy, zamach, który on, Strawiński, wykonać podejmował się.

Z wielkiem podziwieniem słuchał tego zwierzenia marszałek; nieraz wprawdzie myśl takiego zamachu nasuwała mu się, ale trudność wykonania tak zuchwałego przedsięwzięcia i niepewność, jakby go przyjęła jeneralicja, nie dozwoliły nigdy tej myśli zagnieździć się w jego umyśle.

Teraz pomysł ten, powzięty przez tajny związek Zakroczymski, którego rozgałęzione stosunki w Warszawie skutek takowego prawdopodobnym czyniły, zwrócił jego uwagę; ale rozsądek nakazywał ostrożność.

Któż bowiem był zwiastunem tego stanowczego kroku? Oto człowiek, którego po raz pierwszy widział, nieznanej mu przeszłości, a przez to żadnej nie przedstawiający rękojmi i nie mający nawet dowodu, że nazwisko, które nosi, jest jego; zalecony mu wprawdzie przez Zakrzewskiego, ale w ogólnych i niejasnych wyrazach co do tożsamości osoby. Dla tych więc powodów z wielką oględnością odrzekł mu Pułaski, że przyznaje wprawdzie, iż przystąpienie króla do konfederacji nieobliczone by jej korzyści przyniosło; i co do środków, jakie proponuje, jest tego przekonania, że i najgwałtowniejsze usprawiedliwiają zbawienne skutki dla dobra kraju; ale to jest osobiste tylko jego zdanie, bo odpowiedź stanowcza i upoważnienie należą do atrybucji jeneralicji.

Odprawiony w ten sposób Strawiński udał się na spoczynek, a na drugi dzień bardzo rano doniesiono marszałkowi, że poszedł do kościoła. Chcąc się dobrze przypatrzeć człowiekowi, z którym, jak wnosił, na tem jednem widzeniu nie ograniczy się stosunek jego, udał się do loży, w kaplicy Matki Boskiej będącej, i tam niewidziany mógł uważać każdy ruch Strawińskiego.

Spowiadał on się, kiedy wszedł marszałek; potem podczas mszy krzyżem leżał, a kiedy powstał dla przyjęcia komunji, to taki spokój, takie wzniesienie ducha malowało się na twarzy Strawińskiego, że Pułaski nabrał przekonania, iż tylko człowiek z czystem sumieniem i gotowością do poświęcenia, takie odbicie tych dwóch uczuć na twarzy zachować może. Widok pobożnego usposobienia Strawińskiego dobrze uprzedził marszałka dla niego, to też, kiedy go ujrzał, daleko swobodniej z nim rozmawiał, do żadnych jednak zobowiązań nie przyszło.

Odjechał tedy Strawiński bez zapewnień, ale widział już dowodnie, że jeżeli plan jego co do wykonania nabierze pewności, to i Pułaski nie będzie dalekim od udzielenia pomocy; pełen też nadziei, nie ustawał on w zabiegach swoich, a marszałek przez ten czas zniósł się z Zakrzewskim i powziął informacje tak co do samego Strawińskiego, jak i co do postępów, jakie starania jego zrobiły.

We dwa tygodnie potem zjawił się znowu Strawiński w Częstochowie, tą razą nie sam, bo towarzyszył mu konfederat, nazwiskiem Kuźma, także Kosińskim zwany, człowiek prosty, niczem się nie odznaczający, który posiadał taką siłę fizyczną, że dowody jej w zdumienie wprowadzały. Z większą uprzejmością i oznakami zaufania, jak przy pierwszem widzeniu, przyjął Pułaski nowo-przybyłego, a Strawiński, dla którego to przedsięwzięcie stało się żywotną myślą, podawał takie szczegóły dotyczące zwyczajów Stani-

sława Augusta, jego wycieczek często tajemnych, asystencji, z jaką zwykle jeździ, dalej rozkładu wart i w ogóle całej siły zbrojnej, znajdującej się w Warszawie, że Pułaski widział w zabiegach jego ku nagromadzeniu tych szczegółów myśl wytrwałą i niezłomne postanowienie doprowadzenia do skutku projektowanego przez niego atentatu; zwiększało też to zaufanie jego i w skutek zamachu i w twórcę takowego, a to urosło jeszcze, kiedy Strawiński złożył mu dowód, że zuchwały czyn wręczenia królowi pozwu do stawienia się przed sądem jeneralicji, nie długo po ogłoszeniu detronizacji, przez niego był dokonany. W liczbie szczegółów, jakie wyliczał Strawiński, był i ten, że dobrał sobie do pomocy Kuźmę, dawno mu znanego z wypróbowanej, jak utrzymywał, wierności i odwagi, którego zadaniem miało być porwanie króla w chwili napadu, — a niezmierna jego siła dozwalała mu dokonać tego z taką łatwością, jakby o dziecko chodziło.

Wysłuchawszy tej relacji, wysłał marszałek Szyca do jeneralicji, która w Białej, na granicy szląskiej bawiła; dał mu spisany projekt całej wyprawy, a oprócz tego ustne informacje, — i niecierpliwie wyczekiwał decyzji tej najwyższej władzy konfederacji. Niebawem wrócił Szyc i przywiózł wiadomość, że jeneralicja przyjmuje ten projekt w zasadzie; nim zaś stanowczą da odpowiedź, przybędzie do Częstochowy delegowany od niej wraz z kilku marszałkami i odbędzie się narada, po której dopiero nastąpi ostateczna decyzja.

W dniu oznaczonym zjechali zapowiedziani; byli tam, prócz dwóch członków jeneralicji, marszałkowie Wielkopolscy, Zaremba i Mazowiecki, — z małopolskich zaś, Walewski, Wilkoński i Zakrzewski, z którym przybył także Strawiński. Przez dwa dni zdawali sprawą Zakroczymscy spiskowi z zabiegów swoich, a trzeciego było nabożeństwo, w czasie którego wszyscy spowiadali się i komunikowali, a potem, kiedy zasiedli do narady, jednomyślnie zgodzili się na podany przez Strawińskiego projekt, z zastrzeżeniem bezpieczeństwa życia dla króla, a jeden tylko był głos między nimi, który tej restrykcji nie dodawał. Nie naznaczono dnia, w którym zamach miał być wykonany; zostawiono to uznaniu marszałka Łomżyńskiego, a ułożywszy plan cały rozjechano się.

Zaraz potem przywołał Pułaski Strawińskiego, i opowiedział mu, w jaki sposób wspierać go będzie; na kilka dni przed zamachem Radzimiński wykona ruch ku Warszawie od strony Radomia, Zakrzewski zaś od strony Pragi, dla zmuszenia nieprzyjaciela do opuszczenia stolicy; na drodze zaś z Częstochowy po Nadarzyn będą rozstawione drobne poczty i zaprzęgi dla uwiezienia króla, na którego spotkanie wyjdzie sam Pułaski.

— Wykonanie samego zamachu — mówił Pułaski — zostawuję przezorności waćpana, Mości Strawiński, i dodaję do pomocy znanego ci dobrze JPana Łukawskiego, rotmistrza partji Zakroczymskiej. Przedsięwzięcie to może cię okryć nieśmiertelną chwałą, ale powinno być wykonane w sposób godny sprawy, jakiej bronimy; dla tego przykazuję najmocniej, żeby życie króla było szanowane, i żeby w niczem nie uchybiono winnym mu względom.

— Panie marszałku! — odrzekł Strawiński — nie raz ja miałem to życie w ręku, a mianowicie w chwili, kiedym

mu pozew jeneralicji oddawał; ale nigdy żądza królobójstwa niepostała w sercu mojem, bo ono jest bezprzykładne w historji naszej; na przypadek jednak, gdybyśmy byli ścigani co mam począć?

— Wtenczas wyszlesz waszmość trębacza do nich z oświadczeniem, że tem na szwank narażają osobę króla *).

Po tej rozmowie odebrał Strawiński rozkaz do Łukaskiego, ażeby ten we wszystkiem był mu posłusznym, i powrócił do Warszawy. Kiedy zgromadzeni w Częstochowej zamierzali pojmaniem króla przechylić szalę pomyślności na stronę konfederacji, Stanisław August, z porady posła moskiewskiego powziął także myśl zakończenia tego zbrojnego oporu porwaniem jeneralicji, która w Białej rezydowała.

W tym celu posuwały się wojska królewskie ku granicy, a oddział determinowanych ludzi wybrano do napadu na Białę. Łożyskiem rzeczki, która dzieli miasteczko to od Bielska, podsuwali się królewscy, kiedy dojrzał ich ktoś, i zawiadomił o tem konfederatów, a ci dopadli koni i umknęli na szląską stronę, most zaś łączący oba miasteczka zrzucili.

Pozostał tylko w Białej książę Lubomirski, który mając zabroniony pobyt w Austrji, do Bielska schronić się nie mógł; z kilkunastu swoimi bronił on się dzielnie i zmusił atakujących do odwrotu **). Na ten atentat, dopełniony 24go października, postanowiła jeneralicja odwetem odpowiedzieć; posłano też zaraz rozkaz Pułaskiemu przyspieszenia zamachu na króla, a ten wyznaczył dzień 3go listopada

*) Rozmowę tę podaje Ferrand.

**) Ferrand.

na wykonanie takowego, jednocześnie zaś polecił Zakrzewskiemu, podsuwać się pod Warszawę od strony Pragi, a z Częstochowy wysłał tysiąc koni w stronę Radomia pod wodzą Szyca i Radzimińskiego, wielkich nadziei młodzieńca, którego szczególną przyjaźnią i zaufaniem zaszczycał; sam zaś w stopięćdziesiąt wyborowej jazdy miał iść drogą etapów na spotkanie króla.

W tymże samym dniu wyruszyły oba częstochowskie oddziały, i w Piotrkowie rozdzieliły się; Szyc i Radzimiński poszli w prawo, Pułaski zaś dążył do Błonia. Wszędzie po drodze napotykał on czuwające rozstawione placówki i konie do powozu gotowe, a te przygotowania i przybycie Pułaskiego jasnym były dowodem dla wielu, że znakomitą jakąś osobę tym szlakiem uwozić miano. W dniu 1 listopada wieczorem stanął marszałek w lesie nie daleko Błonia będącym, i tam noc przepędził, a nazajutrz rano przybył do niego wysłany przez Strawińskiego konfederat, i zawiadomił, że spiskowi, w liczbie trzydziestu jeden, są już wszyscy w Warszawie, ukryci w zabudowaniach Dominikańskich, i że cała załoga moskiewska, prócz pięciuset ludzi, w wigilję jeszcze wyszła, jedna połowa na Pragę, druga Jerozolimskiemi rogatkami.

Cały dzień 2go i noc następną przepędził marszałek w owym lesie, gdzie co kilka godzin odbierał wiadomości od Strawińskiego; rano 3go ruszył ku Warszawie, a pomiędzy tylną strażą i oddziałem szła kareta, sześciu uprzężona końmi. Dochodząc do Ołtarzewa dał się słyszeć huk dział za Wisłą, co było dowodem że Zakrzewski się bije; niedługo potem w przeciwnej także stronie, ozwały się ar-

maty, to znowu Szyc i Radzimiński staczali walkę. Tak zeszedł dzień cały, a kiedy się noc zrobiła, stanął oddział pod niedużym laskiem, rozpalono ogromny ogień, na który mieli się kierować z wieściami przybywający, a patrole ujeżdżały w różnych kierunkach.

Z niewypowiedzianem wzruszeniem czekali wszyscy pożądanych wieści, kiedy około północy usłyszano tentent zbliżający się koni, a po niejakim czasie ukazał się jeździec i z nim dwóch patrolujących konfederatów; był to wysłaniec Strawińskiego; postąpił też do niego skwapliwie Pułaski.

— Co mi przywozisz? — pytał wzruszony.

— Dobre nowiny — odrzekł zapytany — król w naszym ręku, niebawem go tu przyprowadzą.

— W którąż stronę iść mamy, żeby ich spotkać? — pytał Pułaski.

— Ku Bielanom, JW. marszałku — odrzekł zapytany — ja będę przewodnikiem.

— Zapalać światła — zawołał Pułaski — a potem na koń panowie Bracia!

I poprzedzony dwudziestu gorejącemi pochodniami, które wieźli szeregowi, ruszył zastęp cały, a wysłaniec Strawińskiego opowiadał szczegóły porwania króla.

— Jakeśmy tylko przybyli do Warszawy — mówił — umieszczono nas w zabudowaniach Dominikańskich, a Rotmistrz Strawiński i Łukaski, byli w mieście na zwiadach. Kiedy się słońce zapuściło przyszli oni do nas, kazali nam się ubrać (bośmy za chłopów przebrani byli) potem uzbroić i o samej siódmej, po kilku, przez Podwale, weszliśmy

na wązką i ciemną ulicę kapitulną, i na drugim jej końcu w miejscu, gdzie ona wychodzi na miodową, zebraliśmy się.

»Obaj dowódzcy opowiedzieli nam, że król jest na wieczorze u księcia kanclerza Czartoryskiego, i że ma jechać ztamtąd do błękitnego pałacu, do księcia Jenerała ziem podolskich; skoro tedy wjedzie na miodową ulicę, mamy wykonać napad, i zaraz połowę nas rozstawił pan Strawiński na chodnikach, a z piętnastu czekało na rogu kapitulnej.

»Nie długo potem nadszedł jakiś oficer moskiewski, z początku wziął nas za swoich, a po namyśle — to konfederaty — zawołał, ale zaraz rzucił mu ktoś płaszcz na głowę, pochwycił go i związanego rzuciliśmy do sieni przyległego domu; potem kilku przechodzących ten sam los spotkał, i wszyscy jak barany leżeli w owej sieni.

»Niebawem dano znać, że król jedzie; jakoż przodem, tęgim kłusem jechał paź, *) za nim dwóch hajduków z pochodniami, wyprzedzali oni dobrze powóz królewski a kiedy pominęli kapitulną ulicę, między nimi a nadchodzącą karetą stanęli nasi i pochwycili przodowe konie, foryś przestraszony krzyknął, a my wypadli z naszego ukrycia.

»Nastąpiła bójka, w której zginął jeden z hajduków co byli koło drzwiczek; król i adjutant, co z nim siedział w powozie, powyskakiwali z karety, pierwszy uciekł ku bramie pałacu kanclerza, a drugi się schował pod powóz. Przez chwilę myślano, że to król, ale ktoś usłyszał stukanie do bramy, i zwrócił na to uwagę, a Łukaski i Kuźma pod-

*) Tym paziem był ojciec Joachima Lelewela.

biegli tam; pierwszy porwał za kołnierz stukającego, drugi przyłożył mu pistolet do twarzy, wystrzelił, a kiedy blask ognia oświecił twarz pojmanego, poznał on króla i zaraz z tą siłą niesłychaną, co była podziwem dla wszystkich, porwał go na ręce, i spiesznie uniósł, a myśmy szli w ślad za nim.

»Na rogu kapitulnej i Podwala, w małym dziedzińcu stały konie posiodłane; na jednego z nich wsadzono króla, koło którego był Kuźma i dwóch innych, i wyruszono ku rogatkom, reszta podzielona na małe kupki, szła za nimi, mnie zaś jako najlepiej świadomemu miejscowości, kazał Rotmistrz spieszyć do JW. pana, a kiedym wyszedł z miasta, pomimo gęstej mgły, ogień mi wskazał stanowisko pana marszałka.«

Po wysłuchaniu tej opowieści, na rozkaz Pułaskiego rozjechali się po polu niosący pochodnie, zatrzymywali każdego z przejeżdzających, wypytywali ich, ale żadnej wiadomości o sprawach zamachu nie było.

Kilka godzin zeszło w największej niepewności, a te wiekiem wydały się marszałkowi, niespokojnem okiem śledził on migające po polu światła pochodni, przyspieszonym krokiem chodził przed frontem oddziału. i rozmawiając z Golianem nie taił przed nim wzruszenia swego, kiedy w oddali dało się słyszeć wołanie, potem w jeden punkt zbiegły się światła i dążyły ku miejscu gdzie był Pułaski a jak się zbliżyły, przy blasku pochodni poznano Strawińskiego.

Poskoczył ku niemu pan Kazimierz ale zaraz stanął jak wryty i chwycił się obu rękami za głowę.

— Wielki Boże — zawołał z boleścią — któż to dopuścił się tej zbrodni? — i drżący patrzał z przerażeniem, bo straszny widok uderzył oczy jego.

Na spienionym koniu Strawińskiego leżało skrwawione ciało człowieka, którego głowa i ręce bezwładnie spadały, a twarz zsiniała miała oznaki gwałtownej śmierci. Na ten widok nikt nie wątpił, że to król zabity, i zgroza przejęła wszystkich, a Strawiński zrozumiał wprawdzie to uczucie, ale z tą zawziętością, która go cechowała:

— Dałby Bóg — odrzekł — żeby to był tamten? — I zaraz zsiadł z konia, ostrożnie zdjął skrwawione zwłoki, a kiedy je złożył na ziemi, wszyscy poznali Łukaskiego.

Przywołany lekarz znalazł oznaki życia i zajął się rannym, a Pułaski pytał Strawińskiego, co się z królem stało, ten zaś opowiadał, że bez przeszkody doszli z nim do rowu otaczającego miasto, tam przeskakujący go koń króla złamał nogę, co na chwilę wstrzymało pochód, potem Kuźma i dwóch spiskowych ruszyli z nim do Bielan a reszta, podzielona na małe kupki, miała się tam z nimi połączyć.

— Wśród nocy mglistej nie wszyscy trafili w miejsce przeznaczone, a ja przybywszy z Łukaskim, nie zastałem ani Kuźmy ani króla, od domu do domu chodziliśmy dopytując się, ale na próżno, i kiedyśmy w jednym z nich poszukiwania robili, weszli nagle Kozacy, co z patrolu wracali, rzuciliśmy się na nich z szablami, ja zabiłem dowódzcę, raniłem kilku i przebiwszy się przez całą tę kupę dosiadłem konia, i uszedłem. Chwilę stałem ukryty za budynkami, i widziałem idących ku Warszawie Kozaków; skoro się oddalili, wróciłem do domku, gdzie zostawiłem

Łukaskiego; znalazłem go rannego i odartego, a że dawał znaki życia, wyniosłem go na podwórze, położyłem przed siebie na koniu, a kiedym wyjechał z Bielan, ujrzałem światła pochodni, i kierując się niemi przybyłem tutaj.*)

— Cóż więc stać się mogło z królem? — pytał Pułaski.

— Co się stało — odrzekł zapytany — nie pojmuję.... czyżby nas zdradził Kuźma?.... przecież on na krucyfiks przysięgał w Zakroczymiu, a powinien pamiętać że Bóg karze krzywoprzysiężców! Ale ja miałem już króla w ręku! widziałem osiągnięty cel marzeń i zabiegów moich, tryumf dobrej sprawy..... i wszystkom na raz utracił!.... o! ja nieszczęśliwy!... — wołał z boleścią i załamywał ręce w rozpaczy.

Koniecznością było dla Pułaskiego mieć pewność o całym obrocie tej sprawy, dla tego wysłał do Trecimberg jednego ze swoich (który nie raz takie misje spełniał) dla powzięcia wiadomości, a sam cofnął się z oddziałem o parę mil, i w lesistem ustroniu czekać miał odpowiedzi.

Wszyscy smutni, zwątpieni, postępowali ku kampinowskiej puszczy, a w karecie przeznaczonej dla króla wieziono rannego Łukaskiego. Na drugi dzień o południu przyszła wiadomość, że Kuźma zaprowadził króla do młynka w Marymoncie, który ztamtąd napisał bilecik do jenerała Kokceja, a ten przybył w kilkadziesiąt koni i w tryumfie wprowadził go napowrót do Warszawy.

*) Nadmieniam, że wszystkie szczegóły dotyczące się porwania króla, od chwili pojawienia się Strawińskiego, są historyczne podług podania Ferrand'a.

Po tak niefortunnej wyprawie wysłał Pułaski rozkazy do Radzimińskiego i Zakrzewskiego, ażeby powracali na swoje stanowiska, a sam wolno szedł ku Częstochowie. Zuchwały ten zamach rozgłośnym się stał nie tylko w Polsce ale i wcałej Europie, a ludzie stronni i cudzoziemcy, niepojmujący ani uczuć Polaków, ani ich instytucji, widzieli w tym kroku Jeneralicji nie konieczność patryotyczną, ale raczej dążności rewolucyjne i zamiary królobójcze.

Lekka rana w głowę, jaką odniósł Stanisław August w tem starciu, wznieciła chwilowy zapał dla niego, to też z oznakami radości w czasie powrotu z owego młynka w Marymoncie, przyjmowanym był przez mieszkańców Warszawy. Wszyscy ambasadorowie imieniem dworów swoich składali mu powinszowania z przyczyny szczęśliwie uniknionego niebezpieczeństwa, a wszechwładny Kaunitz, oświadczył Jeneralicji, że jeżeli aktem urzędowym nie wyprze się współudziału swego w tym czynie, pobyt w państwach Austrjackich będzie jej wzbronionym. I wyszedł stosowny do tego żądania manifest, a tak cały zarzut mniemanego królobójstwa spadł na marszałka Łomżyńskiego.

Dotknięty tą niesprawiedliwością do głębi duszy, chciał on wydać protestacją i poprzeć ją dowodami, ale królewiczowa, zapewne na żądanie Jeneralicji, listownie nalegała na niego, żeby tego zaniechał, i nie kompromitował naczelnej władzy konfederacji, chociaż wszelkie miał do tego prawo.*) Poszedł tedy Pułaski za tą radą, i cały ciężar

*) Ferrand. Dowodem tego, że królewiczowa przeważnie wpływała na sprawy konfederacji, jest siedemnaście listów Kaźmierza Pułaskiego z Marsylji i Rodosto pod pseudo-

odpowiedzialności wziął na siebie; ale ten przygniótł go moralnie. On, zwykle żądny towarzystwa, unikał teraz tych, z którymi go łączyły najściślejsze stosunki; zwyczajnie wesół, żartobliwy, stał się teraz małomownym i nieprzystępnym; dnie całe przepędzał w mieszkaniu swojem, a tyle tylko miał styczności z podkomendnymi, ile konieczność służby wymagała; widziano go nieraz w nocy chodzącego po wałach twierdzy, albo z okiem wlepionem w przestrzeń pogrążonego w zadumaniu, religijne jedynie usposobienie jego nie uległo żadnej zmianie, owszem w modlitwie szukał on pociechy, jakby chciał wyżebrać ulgi w cierpieniach, pod których ciężarem uginała się ta hartowna dusza.

---

nimem Harting'a pisanych do siostry jego kanoniczki w Marywilu, gdzie ciągle o królewiczowej mowa; są one w ręku rodzonego siostrzeńca marszałka Łomżyńskiego.

Jakkolwiek zamach dokonany na osobie króla, był w rękach nieprzyjaciół Polski nader szkodliwą dla niej bronią, sprawa jednak konfederacji, pod względem działań wojennych, stała jeszcze korzystnie, opanowanie bowiem Zamku Krakowskiego, będące przedmiotem ciągłych usiłowań Pułaskiego, udało się wtedy nad spodziewanie. Za wspólną naradą Walewskiego z oficerami francuzkimi, którzy natenczas z marszałkiem polnym Viomenilem do Polski przybyli, dokonano ten śmiały zamach w nocy z d. 2. na 3. Lutego 1772 r. Pomimo że Suwarów miał w Krakowie 3.000 wojska, garstka sześciudziesiąt konfederatów z niepojętą odwagą wdarła się do zamku, a Choisy z oddziałem 500 ludzi opanował miasto, i chociaż Suwarów, w parę dni potem z większemi siłami nadciągnął, zamek jednak pozostał w ręku Polaków. Przybywały wprawdzie Moskalom ciągłe posiłki, bo już na Litwie nie potrzebowali oni sił tak znacznych, ale i konfederaci zyskali ważny punkt obrony, a ciągłe szturmy do zamku krakowskiego opłacał nieprzyjaciel wielką w ludziach stratą. Z dawnych przy tem swych stanowisk konfederacja żadnego jeszcze nie utraciła:

Lanckorona, Tyniec i Bobrek były ciągle w jej ręku, Zaremba zasłaniał zawsze Wielkopolskę, a Pułaski z Częstochowy śmiałe i dalekie czynił wycieczki. Położenie więc nie było jeszcze zastraszającem, wojna Turecka trwała bez przerwy, przychylna neutralność Austrji nie uległa żadnej zmianie, była zatem możność długiego oporu a z nią nadzieja lepszej przyszłości, kiedy nagle rozchodzić się poczęły niepokojące pogłoski o zbliżaniu się wojsk Cesarskich do granicy Polski, o jakicheś tajnych umowach Austrji z Prusami i Rossją, i o zamierzonym przez te trzy dwory rozbiorze, a wieści te, niestety! nie były wcale płonnemi.

Od dawna już toczyła się na dworze Wiedeńskim walka dwóch sprzecznych dążności politycznych, młody Cesarz Józef marzył bowiem o upokorzeniu Prus i rozbiorze Turcji i w tym celu pragnął przymierza z Rosją, gotowym będąc poświęcić jej Polskę; Cesarzowa zaś Marja Teresa chciała oprzeć się zaborom Rosji, utrzymując przymierze z Francją.

Była to wielka i rozumna polityka, przynosząca zaszczyt i uczuciom Cesarzowej i jej głębokiemu widzeniu rzeczy, bo odpowiadała ona i zasadom słuszności i najżywotniejszym Austrji interesom. Wykonanie nawet tak szlachetnych zamiarów nie przedstawiało wielkich trudności.

Niepodległość Polski i całość jej granic zawarowane były pokojem Oliwskim i traktatem karłowieckim, w obronie którego walczyła dziś Turcja. Pierwszy z tych traktatów poręczyła Francja, drugi był zawarty pod gwarancją Anglji i Holandji, a oba te układy podpisała Austrja jako strona kontraktująca; miała więc ona i prawo i obowiązek odwołania się do mocarstw poręczających, a będąc już pewną Francji, mogła nawet na pomoc Anglji rachować, bo traktat karłowicki był obroną dla Turcji.

W tem położeniu rzeczy stanowcze działanie Austrji zdawało się być z góry wytkniętem; ale na nieszczęście, interesa jej spoczywały w ręku wszechwładnego Kaunitza, który zarówno przeciwny zamiarom Cesarzowej jak i projektom jej syna, obrał drogę krętej i tajemniczej polityki, jemu tylko właściwej. Kaunitz zawistnem okiem patrzał na Francję, nie nawidził Prus a obawiał się Rosji. Straty, jakie poniosła Austrja w siedmioletniej wojnie, chciał on wynagrodzić przez tak zwane »pokojowe zdobycze« opierające się na pretensjach prawnych nie zawsze uzasadnionych, a rozciągnął je głównie do posiadłości Polski, i jako próbę zajął Spiż, bez żadnego poprzedniego z nią porozumienia.

Niespodziewany ten fakt, który wywołał protestację ze strony króla, *) upoważnił niejako Prusy i Rosją do zawiązania z Kaunitzem sekretnej negocjacji o dalsze zabory prowincji polskich, na co te dwa dwory pomiędzy sobą dawno się już były zgodziły. Wiedział dobrze Kaunitz, że oba te mocarstwa na wszelkie żądania Austrji przystaną, byle jej przyzwolenie na projektowany rozbiór pozyskać, i dla tego też w długiej je utrzymywał niepewności, bo chciał być przygotowanym na każdą ewentualność.

Jakoż do końca 1771 r. polityka jego nieprzestała być dwuznaczną; dopóki bowiem konfederatom szło pomyśl-

*) Protestował Stanisław August przez swego kanclerza w d. 26. Lipca 1771 r. Ferrand.

ne, Kaunitz łudził ich obietnicami, hetmanowi Ogińskiemu doradzał czynne wystąpienie, a z Turcją zawierał nawet sekretną konwencję, w której, i czynną pomoc Austrji przyrzekał, i całość Polski poręczał; *) kiedy zaś następnie upadł Ogiński, a książe d'Aiguillon w imieniu Francji oświadczył: »iż stan rzeczy na Litwie nie obudza już żadnego zajęcia« **), wtedy Kaunitz zaczął się chętniej przysłuchiwać propozycjom Prus i Rosji i uznawał już potrzebę wspólnego działania, dla przywrócenia porządku w Polsce i uzyskania rękojmi na przyszłość; z jego to polecenia policja austrjacka utrudniła Jeneralicji jej pobyt na Szlązku, ścigała jej ajentów, więziła Kossakowskiego, i jeżeli wielu innych konfederatów ten sam los nie spotkał, to tylko dla tego, że Cesarzowa w sekretnych poleceniach do gubernatorów, osłaniała ich swoją protekcją. ***)

Dziwnem zaiste i niepraktykowanem dotąd było to dwuznaczne postępowanie ministra, pozornie zgodne z zamiarami jego Monarchini, a zupełnie im przeciwne w układach prowadzonych bez jej wiedzy; chwytając się tej drogi Kaunitz ryzykował wiele, ale przyszły mu w pomoc intrygi dworskie i zabiegi Prus i Rosji. Już w Styczniu 1771 r. zaczęto naglić na Cesarzowę, oczerniono przed nią konfederację jakoby stronnictwo czysto rewolucyjne, grożono wojną w razie dalszej odmowy, użyto wszelkich pokątnych sprężyn, i w końcu przemogła tak zwana *raison d'etat*,

*) Konwencja z d. 6. Lipca 1771 r. podpisana w Konstantynopolu przez Thuguta. D'Angeberg str. 92.

**) Ferrand.

***) Ferrand.

zasada całkiem nieznana Polsce, na którą nawet nie miała ona w swoim języku właściwego wyrażenia.

Znaną jest opozycja, jaką tym projektom rozbioru Polski stawiła Cesarzowa a głos powszechny kładzie w jej usta smutne ztąd dla Austrji przepowiednie, nic jednak nie maluje tak wyraźnie ciągłych wyrzutów, jakie sobie czyniła Marja Teresa, i jej przekonania o dobrej wierze Kaunitza, jak rozmowa jej, we trzy lata później, z panem de Breteuil ambasadorem francuzkim, którą tenże w depeszy do swego rządu dosłownie powtórzył:

— Przebaczył by mi każdy — mówiła Cesarzowa — ktoby wiedział, jak długi stawiałam opór, i ile połączyło się okoliczności, ażeby gwałt zadać moim zasadom, przeciwnym zawsze niesprawiedliwej ambicji Prus i Rosji. Po długim namyśle, i widząc się odosobnioną, postawiłam żądania tak wygórowane, że mogłam się spodziewać odmowy i zerwania układów Ale jakaż była moja boleść i moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałam o zupełnem przyzwoleniu Carowej i króla pruskiego! Nigdy też w życiu nie doznałam takiego smutku, a podzielał go pan Kaunitz, który wszelkiemi siłami chciał zapobiedz tej nieludzkiej umowie. *)

Przyzwolenie Prus i Rosji na wszystkie pretensje austrjackie, które tak zadziwiło Marją Teresę, było jednak łatwem do wytłómaczenia, Rosja bowiem zawsze niepewna Szwecji i Tatarów krymskich, znużona wojną turecką, a wewnątrz po-

*) List p. de Breteuil do Wicehrabiego de Vergennes, z d. 23 Lutego 1775, Flessan, Histoire de la Diplomatie française. T. VII str: 124.

wstaniem Baszkirów i buntem Pugaczewa, skłonną była do wszelkich ustępstw, byle zakończyć długą walkę w Polsce, i zabrać Białoruś, Prusy zaś tak dalece pragnęły zaboru Pomorza Gdańskiego, że za tę zdobycz gotowe były przyznać Austrji nadspodziewane nawet korzyści, że zaś oba te mocarstwa wiedziały, iż każdą kwestję dotyczącą Polski mogła Austrja rozstrzygać stanowczo, pochwyciły więc one tę sposobność wciągnięcia Marji Teresy do wspólnictwa czynu, który ułatwiał im drogę do dalszych planów zaborczych. Tak więc dojrzewał już owoc wspólnych zabiegów Prus i Rosji, których Polska miała paść ofiarą, i układało się owo potrójne przymierze, arcydziełem rozumu przez Katarzynę nazwane.*)

O wszystkich tych matactwach i intrygach politycznych nikt lepiej jak Pułaski poinformowanym być nie mógł, ciągła bowiem jego korespondencja z królewiczową dostarczała mu wiadomości tem dokładniejszych, że dwór Saski we własnych swoich widokach usilnie się o nie starał. Wiedział więc Pułaski o zbliżającem się niebezpieczeństwie, oceniał nieuchronne jego skutki, ale tłumił w sobie tę głęboką boleść, niechcąc wzbudzać zwątpienia w umysłach swoich towarzyszy, już i tak zaniepokojonych nadchodzącemi zewsząd wieściami. Ale z początkiem wiosny 1772 r. wieści te w smutną zamieniły się pewność.

Prusacy, grasujący od dawna na Pomorzu Gdańskim, zaczęli nieznacznie wchodzić do Wielkopolski, a zdzierstwa

*) List Katarzyny do Marji Teresy z d. 26. Maja 1774 r D' Angeberg str 158.

i gwałty Belling'a i Thaden'a okryły ich wieczną hańbą; z drugiej zaś strony 40.000 Austrjaków pod wodzą jenerała Haddick przekraczało już granicę od Szlązka.

Działo się to w pierwszych dniach Maja; a miesiąc przed tem, pierwszy przykład zwątpienia dał Zaremba. Zwabiony do Warszawy obietnicami i poręczeniem króla, udał on się tam wraz z kilku oficerami dla prowadzenia układów; ale zaledwie przybył do stolicy, król złamał dane słowo i uwięzić go kazał, a Zaremba uległ groźbom i poddał się na łaskę i niełaskę. Część jego oddziału poszła za tym przykładem, ale nad resztą objął dowództwo dzielny Mazowiecki, odrzucił układy i dopiero w końcu Sierpnia złożył broń ostatni.

Wszystkie te wypadki gwałtownie po sobie idące przeraziły najmężniejsze nawet serca Wobec wspólnej akcji trzech dworów dalszy opór był niepodobnym, a konfederacja mająca we własnym królu nieubłaganego przeciwnika, nie mogła bez strasznej odpowiedzialności przeciągać nadaremnej już walki. Pod wpływem tego rozpaczliwego położenia przeważyła się szala losów stanowczo na niekorzyść sprawy narodowej.

Począwszy od Lutego wytężał był Pułaski wszystkie swe usiłowania, ażeby przyjść w pomoc oblężonym w zamku krakowskim towarzyszom; w śmiałych wycieczkach staczał on krwawe utarczki, wdzierając się nieraz w okolicy Krakowa, ale nigdy niemógł przebić tych licznych zastępów, które zasłaniały Suwarowa, i wszelką skuteczną odsiecz niepodobną czyniły. Zmniejszała się też z dniem każdym liczba dzielnych obrońców Zamku, a załoga pozbawiona

pomocy, po trzymiesięcznym, bohaterskim oporze, poddała się w d. 24 Kwietnia, i wbrew kapitulacji zapędzoną została nad Wołgę.

W kilkanaście dni potem upadł Tyniec i Lanckorona po najzaciętszej obronie, uzyskawszy jednak łagodniejsze warunki za pośrednictwem dowódzców austrjackich. Tak więc pozostała sama Częstochowa, a w niej Kazimierz Pułaski i jego wierni towarzysze, odcięci i otoczeni do koła.

Takie to było położenie rzeczy w maju 1772 roku; zgubnie ono wpływało na smutne usposobienie Pułaskiego, i wielce niepokoiło wszystkich, najbardziej zaś ludzi szczególnemi względami jego zaszczyconych, a tych było wielu; bo oprócz Goliana, Szyca i Zarzyckiego, dawniej nam znanych, był Radzimiński, wielkie zaufanie marszałka posiadający, Rudnicki, pełen nadziei młodzieniec, Wielichowski i Rogowski, którzy mu potem dali dowody osobistego poświęcenia, wszyscy fanatycznie do niego przywiązani, boleli nad tem moralnem cierpieniem ukochanego przez nich wodza, a pytań mu uczynić nie śmieli, bo pomimo młodego wieku, pomimo poufałości stosunków koleżeńskich, wzbudzał on mimowolnie poszanowanie, to uczucie naturalne dla każdej wielkiej zasługi.

To zwątpienie Pułaskiego w skuteczność oporu, jaki sam jeden prawie stawił, nie złamało w nim energji żołnierza, to też w czerwcu zrobił on wyprawę w głąb Sieradzkiego, zostawiając dowództwo Jasnej-góry Radzimińskiemu. W kilku spotkaniach pobił on Moskali i uprowidował twierdzę w zasoby i środki obrony, kiedy w dniu 24 Czerwca nadbiegł

goniec z listem od Radzimińskiego, w którym mu ten pisał, że czas wyprawy już minął, i że powrót jego jest koniecznym, zaszły bowiem nadzwyczajne jakieś wypadki polityczne, o których głuche chodzą wieści, a o tych zapewne zawiadamia go nadeszła w tych dniach do niego expedycja z Drezna. Po odebraniu tej wiadomości wrócił on spiesznie do Częstochowej, i zaraz Radzimiński wręczył mu ową Drezdeńską korespondencję.

Był to list od królewiczowej. Ze smutkiem prawej Polki donosiła mu ona, że najściślejsze porozumienie co do spraw Polski istnieje pomiędzy Rosją, Austrją i Prusami, i że rozbiór nieszczęśliwego naszego kraju jest już postanowionym, dalszy tedy opór staje się niemożliwym, wzywa go też do zaniechania takowego.

Nie zwierzył się marszałek nikomu z odebranych wiadomości, ale obecni oddaniu listu spostrzegli po przeczytaniu go taką zmianę na twarzy Pułaskiego, że przypuszczali nawet jakiś wybuch rozpaczy, zgodny z gwałtownem jego usposobieniem i dla tego postanowili pilnować go starannie.

W pokoju poprzedzającym sypialnię jego przepędził noc Golian; przez otwór w zamku śledził on pilnie każdy ruch jego; z początku widział go spiesznie chodzącego, potem usiadł on do pisania, ale co kilka wyrazów nakreślił to się zrywał z siedzenia, jak człowiek walczący z gwałtownem uczuciem, a to bolesne usposobienie do głębi wzruszało przywiązanego do niego Goliana.

Patrzał on ciągle na nieszczęśliwego, widział że ukląkł, modlił się, potem obu rękami twarz zakrył i drżał cały,

a kiedy te oznaki boleści we łzy się zmieniły, kiedy zapłakał ten rycerz niezłomny, wtenczas Golian, świadek tej niemej rozpaczy, rozwarł drzwi raptownie i wszedł do sypialni.

— Panie mój drogi — zawołał rzewnie — ulituj się mojej boleści i zwierz mi cierpienia twoje! bo widoku tej strasznej walki, jaką staczasz sam z sobą, znieść nie jestem w stanie!

Miasto odpowiedzi, uchwycił mówiącego za szyję pan Kazimierz, i chwilę uścisk serdeczny połączył tych dwóch dzielnych młodzieńców, a potem mówił ze smutkiem:

— O mój Stanisławie! myślałem ja żem zahartowany na wszelkie boleści, ale widzę że tak nie jest! Zniosłem zgon ojca, stratę braci, widok tylu poległych towarzyszy, bo mi zostawała jako osłoda walka o niepodległość, albo zgon chlubny w obronie tej sprawy, której żywot mój poświęciłem; dziś wszystko mnie zawiodło; opór jest niepodobny, kraj nasz rozszarpany, a mnie w podziale pada gorzki chleb wygnania! Czytaj przyjacielu! — I podał mu list królewiczowej, a po chwili ozwał się znowu:

— Oceniam ja zdrowo położenie moje... wszelki układ z Poniatowskim jest dla mnie niepodobny, po zamachu na niego dokonanym będę wyjętym z pod prawa, będę parią w tym kraju, którego broniłem lat tyle, a takiemu nikt dotrzymać umowy nie będzie się czuł obowiązanym, sumienie mi tedy niepozwala łączyć losów waszych z moją nieszczęśliwą dolą, opuszczę więc i te mury, i kraj nasz kochany, a układ ze mną nie podobny, dla was będzie możliwym.

— Czy i mnie się ten rozkaz dotyczy? — pytał zdziwiony Golian.

— Ciebie więcej jak kogokolwiek, bo ty masz rodzeństwo, familję, obowiązki dla kraju; trzeba więc żebyś pozostał.

— Nigdy! — zawołał z żywością Golian.

— Słuchaj Stanisławie — mówił pan Kazmierz — ja cię o to proszę!... błagam!... — a widząc że nieodpowiada: — zresztą rozkazuję — dodał.

— Ha! kiedy tak! — odparł z największem uniesieniem Golian — to pamiętaj pan, że zgubę duszy mojej będziesz miał na swojem sumieniu!

— Cofnij coś powiedział! zaklinam cię! — wołał marszałek, przestraszony tem postanowieniem przyjaciela.

— Nie cofnę! — odrzekł stanowczo Golian — i spełnię com powiedział, tak mi Boże dopomóż i niewinna syna jego męko! — I wznosząc ręce w górę palce na krzyż założył.

Rozrzewniony dowodem tego poświęcenia pan Kazimierz rzucił się w objęcia przyjaciela, i łzy zrosiły męzkie jego oblicze, a tą razą były to łzy radości.

— Nie chcę ja — mówił — do brzemienia nieszczęść, co mnie przygniatają, dodawać jeszcze wyrzutów sumienia, pójdziemy więc razem na tę długą wędrówkę, a jeżeli nie dano mi wrócić z niej, to będzie komu przecie zamknąć mi powieki! — A kiedy to skończył, Golian uradowany na całą odpowiedź do ust przyciskał rękę Pułaskiego.

Po tej rozmowie zalecił marszałek, żeby były trzy konie w pogotowiu dla nich dwóch, i dla wiernego sługi jego Bohdanka; dalej oświadczył, że przez dzień następny wychodzić nie będzie, a za nadejściem nocy polecił przywołać do siebie Radzimińskiego, Wielichowskiego, Szyca i Rogowskiego, i potem nieco uspokojony, poszedł na spoczynek.

O godzinie naznaczonej stawili się wszyscy wezwani w mieszkaniu marszałka, smutni, wzruszeni, bo przeczuwali bolesne jakieś rozwiązanie tego długiego dramatu. W wyrazach pełnych rezygnacji skreślił im Pułaski i stan polityczny kraju i osobiste położenie swoje, które go zmusza do opuszczenia ich z bolem serca, a widząc pomięszanie na ich twarzach, wzywał do poddania się wyrokom opatrzności.

— Dowództwo w twierdzy — mówił — i władzę moją zlewam na ciebie pułkowniku Radzimiński, i upoważniam, polecam nawet traktować zaraz o kapitulację, lecz w żadnym razie z Moskalami, ale tylko z królem samym. Nie mam ja serca żegnać wszystkich dzielnych towarzyszy moich, na piśmie tedy zostawiam im pożegnanie moje; odczytaj go pułkowniku! — dodał i wręczył Radzimińskiemu pismo, które zawierało następujące wyrazy:

Towarzysze!

Podniosłem ja oręż w interesie kraju, i dla dobra jego złożyć go teraz zmuszonym się widzę. Związek trzech potężnych mocarstw nie zostawia nam dzisiaj żadnej możności obrony, a sprawa w którą wmięszany jestem, zagradza mi drogę do przyzwoitej kapitulacji, was zaś ona poddała memu nieszczęśliwemu losowi. Znam ja wasz zapał i odwagę, i pewien jestem, że skoro przyjdzie szczęśliwsza pora służenia ojczyźnie,

spełnicie wasz obowiązek z poświęceniem, jakie was zawsze odznaczało *).

Po odczytaniu tego pisma niezmierny smutek malował się na twarzach słuchaczy, nie śmieli oni odwodzić Pułaskiego od tego postanowienia, bo widzieli konieczność kroku, który przedsięwziął; chwila też była milczenia, którą przerwał Radzimiński:

— Któż panu marszałkowi towarzyszyć będzie? — zapytał.

— Przyjaciel — odrzekł wskazując na Goliana — i wierny mój Bohdanek.

A na te wyrazy postąpił Rogowski:

— Panie marszałku! — zawołał — ja sam jeden jestem na świecie, nie mam ani bliskich stosunków, ani rodziny, przyjm pan więc ofiarę z tego życia, które bez ciebie ciężarem by mi było!

Opierał się temu czas jakiś Pułaski, ale na usilne prośby i Rogowskiego i obecnych zgodził się na to nareszcie. Parę godzin rozmawiał on jeszcze z nimi; potem nadszedł przeor, i błogosławił odjeżdżających, a kiedy Bohdanek dał znać że wszystko już gotowe, wtedy do łez wzruszony żegnał Pułaski towarzyszów swoich, potem w cichości rozwarto bramę, spuszczono most zwodzony i czterech jeźdźców pomknęło droga ku Szląskowi.

*) Tłómaczenie z Ferranda.

Na drugi dzień wystąpił cały garnizon; drżącym od wzruszenia głosem odczytał Radzimiński pożegnalne pismo marszałka, a płacz rzewny słuchaczy był najwymowniejszym dowodem uczuć ich dla ukochanego przez nich wodza.

W chwili kiedy Pułaski opuszczał granice Polski i rozpoczynał smutne życie tułacza, wielu z pomiędzy konfederatów, mianowicie z Wielkopolski, schroniło się już było do Drezna, gdzie i on też udać się zamierzył, wiedziony uczuciem, które po miłości ojczyzny najpierwsze w jego sercu zajmowało miejsce; tam bowiem miał on znowu ujrzeć królewiczowę i w jej obecności znaleźć pociechę wśród tak ciężkiej niedoli.

Upragniona zaiste była ta nadzieja szczęścia, a jednak nie przeważyła ona w pierwszej chwili uczucia boleści wygnańca; nie zdołał on z razu oswoić się z myślą opuszczenia kraju, nie mógł się oderwać od granic tej rodzinnej ziemi, którą nad wszystko ukochał, zwolna też oddalał się od niej, jak gdyby przeczuwał, że się z nią żegna na zawsze; jakoż zatrzymał się przez dni kilka w Opolu, następnie w Świdnicy, a w połowie dopiero Sierpnia przybył do Drezna.

Wszyscy Polacy bawiący w Saksonji pospieszyli na spotkanie bohatera sprawy narodowej, otaczając go hołdem należnym tak wysokiej zasłudze. Była to dla Pułaskiego

chwila osłody w ciężkiem jego strapieniu, ale serce jego innej jeszcze wyglądało pociechy, która się też niebawem ziściła, bo mu na wstępie zaraz oświadczno, że królewiczowa bytności jego oczekuje.

Z bijącem sercem stanął przed nią pan Kazimierz, każde bowiem z nią spotkanie obudzało w nim tak głębokie wzruszenie, iż ukryć go nigdy nie był zdolnym. Dziś to uczucie odzywało się tem silniej, bo już nie wódz szczęśliwy i pełen nadziei, ale znękany nieszczęściami wygnaniec, przychodził szukać ulgi w przyjaźni tego zacnego kobiecego serca, odpłacało mu też ono szczerem i najczystszem współczuciem, a tak zabłysły znowu dla tułacza chwile dawno nieznanego szczęścia.

Tymczasem nadchodziły z kraju wiadomości niedające już wątpić o przygotowanym dla niego losie; Prusacy bowiem zajęli całą Wielkopolskę, Austrjacy posunęli się aż do granic Wołynia, deklaracje trzech dworów, we Wrześniu wydane, odsłoniły już jawną myśl zaboru, a dziwnym trafem deklaracja Austrji nosiła datę rocznicy zbawienia Wiednia przez króla Jana III. *).

Wśród tych wypadków przybył do Drezna Wielichowski i od niego to dowiedział się Pułaski, że w kilka dni po jego odjeździe podstąpił pod Częstochowę Suwarów z przeważną siłą, i wezwał załogę do kapitulacji; ale Radzimiński wierny rozkazom swego wodza, odrzucił te propozycje,

*) Deklaracja Austrji z dnia 11. Września 1772 r. D' Angeberg str. 106.

a królowi, w imieniu załogi, przesłał akt poddania się, zaklinając go przytem, ażeby rozbioru kraju nie dopuszczał.

Obrażony tym krokiem Suwarów przypuścił dwa mordercze szturmy, zawsze z wielką dla niego stratą odparte, kiedy własnoręczny rozkaz królewski polecił oddanie twierdzy w ręce nieprzyjaciela; przerzedzona jej załoga opuściła też ją w dniu 15. Sierpnia, a Suwarów uszanował jej męztwo i całą na wolność wypuścił.

To zachowanie się pełne odwagi i godności załogi Częstochowskiej było nie małą dla Pułaskiego pociechą. Spokojny o los dalszy swoich wiernych towarzyszów broni, wyczekując następstwa zaszłych już wypadków, które przy lada sprzyjającej okoliczności mogły jeszcze pomyślny wziąć obrót, przedłużał on chętnie swój pobyt w Dreznie, bo znajdował w nim niewypowiedziany dla siebie urok.

Bywał on codziennym prawie u królewiczowej gościem, przyjmowany od niej z równą zawsze łaskawością i przyjaźnią. Silne uczucie, jakie go owładnęło, zmieniało chwilowo wszystkie jego usposobienia; naoczni bowiem świadkowie opowiadali, że ten ognisty i porywczy młodzieniec, ten wódz surowy i do rozkazywania nawykły, wobec słabej kobiety był nieśmiałym i lękliwym, że widziano go »drżącym« jak dziecko **), a zawsze przejętym dla niej tą czcią głęboką, która jest najpiękniejszym wyrazem czystego i trwałego uczucia.

Tak upłynęło kilka miesięcy, kiedy nagle Jeneralicja, przebywająca naówczas w Bawarji, wezwała Pułaskiego do

**) Pamiętnik Rogowskiego.

udziału w jej naradach, a ten wierny raz przyjętym obowiązkom nie zawahał się ani na chwilę, jakoż pożegnał królewiczowę, marząc o rychłym do Drezna powrocie, a nie wiedział, że to był już ostatni dzień jego szczęścia, ostatni uśmiech losu w tem życiu pełnem poświęcenia, a skazanem na najboleśniejsze zawody!...

W Braunau, na granicy Bawarji, znalazł Pułaski obu marszałków jeneralnych, Krasińskiego i Paca, sekretarza jeneralicji Bohusza i Hetmana Ogińskiego, którzy postanowili na drodze dyplomatycznej szukać jeszcze ratunku dla sprawy narodowej, jakoż wysłano ajentów do Londynu, Paryża i Madrytu, i porozumiewano się z mniejszemi dworami niemieckiemi, do czego życzliwość elektora bawarskiego nie małą była pomocą. Nie usuwał się od tych zabiegów Pułaski, chociaż przeczuwał ich bezowocność, towarzyszył on Jeneralicji w jej naradach w Münich, w Augsburgu, i na koniec w Lindau, zkąd wydano ostatnią protestację przeciw rozbiorowi Polski,*) a po tych całorocznych zajęciach, przeniósł się na czas niejaki do Frankfurtu.

Tam to nadeszły wkrótce wiadomości, że w Warszawie wznowiono proces o zamach porwania króla, że dwóch głównych onego uczestników posłano na rusztowanie, a nie obecnego Pułaskiego obwiniono o zamiar królobójstwa i wydano nań zaoczny wyrok śmierci. Już sama niesprawiedliwość takiego aktu była dla niego nader bolesnym ciosem

*) Protestacja marszałków jeneralnych, z d. 26. Listopada 1773 r. D'Angeberg str. 149

a stał się on o tem dotkliwszym dla jego serca, że mu zamykał wszelką możność powrotu do Drezna; zanadto bowiem ulegał dwór Saski wpływowi trzech mocarstw zaborczych, ażeby mógł tolerować obecność Pułaskiego w stolicy. Nie upadł jednak nasz bohater pod ciężarem tej nowej niedoli; z rezygnacją chrześcijanina zniósł on to niezasłużone nieszczęście, a czynny jego umysł począł szukać drogi do nowych dla kraju poświęceń.

Już od dawna uwaga Pułaskiego zwróconą była na wypadki toczące się w Turcji; od lat trzech bowiem trwała tam zacięta walka z Rosją, nieszczęśliwa dla Porty na Archipelagu, ale nad Dunajem niekiedy pomyślna. Nowa kampania, do jakiej właśnie czyniono przygotowania, słuszne budziła nadzieje, bo plan onej, wyrobiony przez oficerów francuzkich, przyjęto w Stambule, armię zaś wzmocniono i podzielono na pięć korpusów dobrze zorganizowanych.

Jedyne to było pole do boju z odwiecznym wrogiem Polski, bo wszystkie chrześcijańskie mocarstwa opuściły ją w nieszczęściu, a za jej świętą sprawę walczyła sama tylko Turcja; tam też, z początkiem wiosny, postanowił udać się Pułaski, kiedy w pierwszych dniach Lutego 1774 r. doszedł go list od Mazowieckiego, pisany z Sylistrji. Donosił on mu, że z garstką konfederatów oczekuje przybycia ukochanego wodza, a na ten głos dzielnego towarzysza broni ruszył on natychmiast, i dnia 10 Marca był już nad Dunajem.

Armja rosyjska stała w okolicach Sylistrji, turecka zaś pod Szumlą, gdzie była główna kwatera Wezyra Muzum-Oglu. Siły tureckie były ogromne, ale kierunek ich spo-

czywał w niedołężnych rękach; dostrzegł to zaraz Pułaski i kiedy się znalazł w obozie wezyra, chciał on zdrową i energiczną radą skłonić go do stanowczego działania; nie pomogły jednak ani jego przedstawienia, ani przykłady nieustraszonej odwagi, z jaką walczyli konfederaci w licznych z Moskalami utarczkach.

Ośmielony tem wahaniem się Wezyra Rumiańców rzucił Sołtykowa z wielkiemi siłami na tyły armie tureckiej, a gdy ten rozbił znaczny korpus strzegący tam parków rezerwowych i magazynów, i tym sposobem opanował wszystkie zapasy wojenne, wtedy Wezyr bez stoczenia walnej bitwy nakazał odwrót, który w wąwozach Bałkańskich zamienił się w haniebną ucieczkę, a niesforny żołnierz począł rabować kraj i wyrzynał bezbronnych mieszkańców.

Wśród tego strasznego nieładu zamordowali Turcy ośmiu towarzyszy Pułaskiego, a od niechybnej już śmierci uratował go młody aga janczarów, ten sam Abdalach, który pod jego rozkazami walczył dawniej w pamiętnej wyprawie na Litwę *). Razem z rozbitkami armji garstka około trzydziestu Polaków pod wodzą Pułaskiego dostała się do Adrjanopola, brakowało tylko wiernego Bohdanka i wszyscy mieli go już za straconego, kiedy po dziewięciu dniach ukazał się Ukrainiec; przywożąc panu swemu dwie sakwy z pieniędzmi, które z narażeniem życia wydarł z rąk maroderów tureckich w chwili, gdy ci zabrali mu oba konie juczne. **)

*) Ferrand i Rogowski.

**) Pamiętnik Rogowskiego.

Nieszczęśliwy rezultat tej krótkiej kampanji, zakończonej później haniebnym traktatem w Kainargi, w którym już żadnej wzmianki o Polsce nie było, zniszczył wszystkie nadzieje wygnańców naszych, że zaś obszerna amnestja dozwalała oficerom z konfederacji powrócić do kraju, nakłaniał więc ich do tego Pułaski; jakoż wkrótce, naprzód Mazowiecki ze swoimi, a następnie Wielichowski, opuścili Turcję a wódz ich pozostał na tułactwie z Golianem i Rogowskim, wiernymi swymi towarzyszami w złej i dobrej doli.

Pomiędzy Rodosto a Stambułem, zeszło im blisko trzy lata, lata bezczynności i niewypowiedzianej tęsknoty. Obrzydła już była Pułaskiemu samolubna Europa, bo nie widział w niej żadnej na przyszłość nadziei, ale walka, jaką toczyła wówczas młoda Ameryka w obronie wolności, miała dla tej szlachetnej duszy niewymowny urok; pod tym też wpływem opuścił on Turcję w dniu 4 Lutego 1777 roku, i udał się do Francji.

Wojna amerykańska budziła wtenczas w Paryżu żywe bardzo zajęcie. Za przykładem młodego Lafayetta szło tam wielu ochotników, a byli i Polacy w ich liczbie. Ten ogólny prąd opinji utwierdził Pułaskiego w powziętej już myśli, a rady i zachęty czcigodnego Franklina zdecydowały go ostatecznie. Jakoż wkrótce opuścił on Paryż, w Hawrze wsiadł na okręt *La belle Louise*, i w dniu 20 Sierpnia 1777 r. wylądował w Ameryce, wraz z dwoma swymi towarzyszami, ale już bez wiernego Bohdanka, bo poczciwy kozak utonął był przy brzegach San-Domingo. ***)

***) Wszystkie szczegóły pobytu Pułaskiego w Ameryce wyjęte z pamiętnika Rogowskiego.

Zasłużona sława, jaka poprzedzała Pułaskiego, skłoniła rząd amerykański do powierzenia mu zaraz dowództwa nad całą kawalerją, a bliższe ocenienie jego wielkich przymiotów zjednało mu serdeczną życzliwość Washingtona. Pod ego rozkazami odbył on pamiętną kampanję nad brzegami Dellawary, a gdy kapitulacja jenerała angielskiego Bourgoyne zawiesiła na czas jakiś większe działania wojenne, stanął Pułaski kwaterą w Trenton, gdzie wkrótce przybył do niego w odwiedziny młody Tadeusz Kościuszko, walczący już od roku w szeregach amerykańskich. Nie znali się oni dawniej, ale łacno zbliżyły się do siebie te dwie bohaterskie dusze, to też przy rozstaniu wieczną sobie poprzysięgli przyjaźń a tak dziwnem zrządzeniem losu, na odległej ziemi wolności, związek wzajemnej sympatji połączył z sobą tych dwóch nieśmiertelnych obrońców naszej niepodległości narodowej.

Wśród tych wypadków zaufanie Washingtona w Pułaskim wzrastało z dniem każdym, a to przeważne jego znaczenie namnożyło mu zawistnych. Oburzyła go ta niewdzięczność krajowców i dotknęła boleśnie; złożył też zaraz dowództwo kawalerji i zajął się utworzeniem osobnego legjonu, do którego powołał na oficerów samych tylko Polaków i Francuzów. Z tym małym korpusem prowadził on naprzód długą i zaciętą walkę z Indjanami i partyzantami angielskimi, a potem, na rozkaz Washingtona, udał się na południe, do armji jenerała Lincoln.

Wśród tego długiego pochodu, kiedy już się znajdował w południowej Karolinie, doszła go wieść, że miasto Charlestown i mała w niem załoga w największem znajdują się

niebezpieczeństwie; zwrócił się też zaraz Pułaski, szybkim marszem przyszedł na odsiecz, rozbił Anglików i dostał się do miasta, gdzie waleczny jenerał Multrie i uradowani mieszkańcy z najżywszym przyjęli go zapałem. Po kilkogodzinnym tylko odpoczynku, legjon Pułaskiego opuścił Charlestown, odparł zastępującego mu drogę nieprzyjaciela i w kilka dni potem połączył się z Lincolnem w Georgji, gdzie ważne naówczas zbliżały się wypadki.

Opinja we Francji domagała się już od dawna czynnej dla Ameryki pomocy, a rząd w końcu uległ jej wpływowi i w początku 1779 roku wielka flota francuzka stanęła przy brzegach Georgji. Potężna ta pomoc zapewniała Amerykanom niezawodne zwycięztwo; zrozumiała też to Anglja i zaproponowała układy, ale gdy te odrzuconemi zostały, wszczęła się na nowo wielka i zacięta walka. Z pomiędzy punktów obronnych zajmowanych tam przez wojska angielskie, jednym z najważniejszych było nadmorskie miasto Savannah, opatrzone silnemi baterjami i obszerną cytadelą.

Podstąpił pod nie Lincoln, a po kilkodniowem bombardowaniu postanowił wziąć je szturmem. Wszystkie ku temu środki przygotowano w pierwszych dniach Października, główny atak powierzył Lincoln kolumnie francuzkiej prowadzonej przez Hr. d'Estaing, a w pomoc jej działania przeznaczył on legjon Pułaskiego.

Sprawa amerykańska obudzała wszędzie nadzwyczajne zajęcie, dziwny to bowiem był pojaw, te usiłowania nowo tworzącej się narodowości, walczącej o swobodę. Francja jej sprzyjała przez nienawiść dla Anglji, Polacy zaś przez sympatje, jakie w nich wzbudzało uczucie niepodległości, a współudział w tej sprawie niektórych Polaków, jak Pułaskiego, Kościuszki, Niemcewicza zwiększał jeszcze ten interes; upragnionemi też były dla nich wieści z tej drugiej półkuli świata.

Na początku roku 1780, rozeszła się była wieść o śmierci Pułaskiego przy zdobyciu miasta Savannah zaszła, ale szczegółów nie było żadnych, bo w tak niezmiernej odległości, z lichemi środkami komunikacji, jakie wtenczas istniały, o prawdzie przekonać się trudno było.

Po upadku konfederacji Barskiej wielu Polaków nie mogło, albo nie chciało powracać do kraju, wszędzie ich też ku zachodowi napotkać można było, a szczególnie w Dreźnie, gdzie ich nęciły względy panującej rodziny, sympatje królewiczowej, i hojna pomoc możnej familji Moszyńskich, blizkiemi stosunkami z domem Saskim połączonej. Królewi-

czowa zajmowała się szczególnie losem rozbitków Barskich, zaraz po poddaniu się Częstochowy, wezwała ona do siebie Rotmistrza Zarzyckiego, a pomna i własnych z nim stosunków i względów, jakiemi go zaszczycał Biskup Kamieniecki, nakłoniła go do pozostania w jej domu, a było to prawdziwą dla niej pociechą, bo nieraz poczciwy Rotmistrz przypominał jej, i wycieczki ich do pana Jelca, i powrót Pułaskich z Wołoszczyzny, albo boje konfederatów pod wodzą pana Kazimierza staczane.

Te wspomnienia szęśliwszej przeszłości, stały się ulgą dla biednej, bo i ją doszły wieści o śmierci marszałka Łomżyńskiego, a konieczność ukrywania przed ludźmi głębokiej swojej boleści, była prawdziwą dla niej męczarnią.

Nadeszła wiosna, tak piękna i urocza nad brzegami Elby, a królewiczowa w tej ślicznej okolicy, którą zowią Szwajcarją Saską, zamieszkiwała nie duży pałacyk wśród ogrodu, gdzie Zarzycki, który jej towarzyszył, nie nawykły do miasta, z rozkoszą oddychał wiejskiem powietrzem.

Jednego wieczora, już zmrokiem, wracając z długiej przechadzki, nie mało był on zdziwiony, widząc światło w oknach swoich; wszedł więc spiesznie i pytał służącego o przyczynę tego, a ten mu odrzekł, że jakiś jegomość, który się mieni być mu znajomy, czeka, na niego; pospieszył też, ale ujrzał postać zupełnie mu obcą.

Ogorzała twarz tego człowieka, ogromne wąsy, które mu okrywały całą wargę, i głęboka blizna przez czoło i policzek, nadawały całej fizionomji jakiś wyraz zuchwały, a mundur na nim nie znanego kroju, nie dał się domy-

śleć, z jakiego jest wojska. Powstał on za ukazaniem się Zarzyckiego, a widząc że mu się pilnie przypatruje:

— Nie poznajesz mnie widzę — mówił — Mości Rotmistrzu Dobrodzieju!

— Głos mi dobrze znany — zawołał Zarzycki — ale ta twarz?

— Twarz zmienił *thomhawk* indyjski — odrzekł nieznajomy — ale serce zawsze polskie pozostało u towarzysza Pułaskiego.

— Golian!... — wykrzyknął z uniesieniem Rotmistrz, rzucił się w objęcia dawnego kolegi, i długi uścisk połączył ich obu...

Potem Zarzycki patrząc na towarzysza:

— Twoja obecność tutaj — rzekł — przekonywa mnie, że prawdziwemi są smutne wieści, jakieśmy odebrali o zgonie ukochanego naszego marszałka! Byłeś przy nim do końca panie Stanisławie?

— Byłem — odrzekł smutnie Golian — na moim ręku Bogu on ducha oddał... Ach! co to była za chwila dla mnie jaka boleść, rozpacz nawet ogarnęła mnie po zgonie jego, to Bogu jednemu wiadomo!

I wzruszony, obu rękami zakrył twarz, chwilę milczał, a Zarzycki, szanując boleść jego, nieśmiał przerywać tęsknego jego zadumania. Ochłonął wreszcie Golian, a widząc że Rotmistrz żądny jest szczegółów, pytał czy znane mu są wypadki kilkoletniego ich tułactwa.

— O! znane, znane — odrzekł Zarzycki — bo o nich i gazety pisały, i listy donoszące o tem odbierała królewiczowa, wiadomy nam i udział wasz w wojnie Turcji z Moskwą, i pobyt we Francji, potem odpłynięcie do Ameryki

a tam boje wasze z Anglikami i Indjanami, aż do chwili kiedyście poszli oblegać jakieś tam miasto.

— Savannah! Savannah! — rzekł Golian — i to była ostatnia wyprawa naszego marszałka.

— Od chwili przybycia naszego do armji Lincolna — mówił dalej — on zwykle wesół, towarzyski, posmutniał, stronił od ludzi, a kiedym go pytał o powód tej zmiany, to z początku mnie zbywał, aż na silne naleganie moje zwierzył mi się, że ma smutne dla siebie przeczucie bliskiego zgonu, zginął mu bowiem szkaplerz, dar matki, który zawsze na piersiach nosił *).

›I na mnie ta wieść silne zrobiła wrażenie, alem nie okazał tego i pocieszałem go jak mogłem. Miasto Savannah w silnej bardzo pozycji położone, postanowił zdobyć Lincoln, a Anglicy, oceniający ważność tego punktu, umocnili go starannie.

›Na wyniesieniu góruje tam cytadella, a wzdłuż miasta posypane baterje broniły do niego przystępu. Na parę dni przed szturmem marszałek wraz z Lincolnem rekognoskując roboty nieprzyjacielskie, dojrzał lukę między szańcami; wskazał ją jenerałowi, i zaraz oba zgodzili się na to, ażeby w czasie szturmu kawalerja tą przerwą wpadła do miasta i z tyłu uderzyła na Anglików. Ten zuchwały atak podjął się wykonać marszałek, a Lincoln do szczupłego naszego legjonu dołączył kilkaset wybornej jazdy.

›W dniu dziewiątym Października rozpoczął się na całej liniji straszny ogień armatni, a pan Kazimierz z okiem

*) Pamiętnik Rogowskiego.

wlepionem w baterje angielskie upatrywał chwili stosownej do natarcia, a kiedy wiatr, który się właśnie zmienił, pędząc kłęby dymu zasłonił nas na chwilę przed okiem nieprzyjaciela, podniósł on szablę w górę, i z tą fantazją rycerską, co była podziwem Amerykan, ruszył z całym zastępem.

›W kilku minutach dopadliśmy luki, potem wśród gradu kul i kartaczy, w szalonym biegu mijaliśmy już baterje, i czoło nasze już dochodziło pierwszych domów miasta, kiedy padł koń pod marszałkiem, a ten nie zerwał się jak to pamiętasz pod Włodawą, ale leżał bezwładny.

›Ja i Rogowski pospieszyliśmy do niego, w jednej chwili był na rękach naszych i wtenczas ujrzeliśmy, że kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew obficie buchała.

›W tym momencie padł ciężko raniony Rogowski, a ja z pomocą kilku żołnierzy uniosłem ukochanego wodza do obozu naszego. Przywołani lekarze osądzili zaraz, że ratunek był niepodobny, bo kartacz przeszył mu piersi. W skutek trzeźwienia odzyskał on wkrótce przytomność, poznał mnie, skinął żebym się zbliżył, i cichym głosem dawał mi ostatnie dyspozycje, następnie odebrał pomoc religijną i w godzinę potem już nie żył.

›Krótkie zlecenia, jakie mi dał umierający, kończył Golian, w części tutaj mam spełnić, i dla tego prosto do Drezna zwróciłem kroki moje, a ciebie panie Rotmistrzu zapytuję, czy mogę się widzieć z królewiczową, bo jest tego konieczna potrzeba.

— Pewien ja jestem — odrzekł Zarzycki — że z miłą chęcią przyjmie cię, bo choć dzisiaj uznana przez rodzinę

panującą, nie zapomniała ona stosunków Starościanki Nowowiejskiej.

W tej chwili wszedł paź, i oznajmił, że królewiczowa wzywa Rotmistrza do siebie. Zaledwie ukazał się u niej Zarzycki pytała go, ktoby był ów nieznajomy co przyszedł do niego w odwiedziny, a kiedy Rotmistrz wymówił nazwisko Goliana, wzruszenie jej było niezmierne. Na jej żądanie opowiedział Rotmistrz szczegóły zgonu Pułaskiego, i dodał że Golian pragnie jej służyć, bo ma jakieś ważne zlecenie.

— Jeżeli tedy wola będzie Waszej Królewiczowskiej Mości — mówił — jutro go przyprowadzę.

— Zaraz! zaraz! — wołała z żywością — powiedz mu Rotmistrzu, że go niecierpliwie czekam — a Zarzycki powstawszy poszedł spełnić dany sobie rozkaz.

Z bijącem sercem pospieszył wezwany, a kiedy się ukazał w pokoju królewiczowej, to ta powstała spiesznie i wyciągając do niego ręce:

— Jakież to wspomnienia — mówiła — twój widok panie Golianie obudza we mnie! Byłeś nieodstępnym towarzyszem naszego bohatera, opowiedz że mi, proszę, bolesny koniec jego.

Golian wiedząc od Rotmistrza, że wiadome już są królewiczowej szczegóły zgonu pana Kazimierza, mówił o ostatnich jego chwilach.

— Na godzinę przed śmiercią — rzekł on — odzyskał marszałek zupełną przytomność, odebrał z rąk kapelana posługę religijną, a potem dawał mi zlecenia. Ostatnie chwil kilka poświęcił wspomnieniom, mówił o kraju, o zawiedzionych nadziejach, wspominał ojca, matkę, a w końcu...

Tu się zatrzymał Golian, a królewiczowa z największem wzruszeniem:

— Cóż jeszcze? — zapytała drżąca — Golian zaś smutnie patrząc na nią:

— Czyż serce — pytał — Waszej królewiczowskiej Mości nie mówi Jej, z czyjem imieniem na ustach zamknął on na wieczność powieki?

— O mój Boże — zawołała biedna — i zakrywszy twarz rękami rzewnie płakała, a Golian patrzał na nią z boleścią ale razem z rodzajem pociechy, bo zdało mu się, że te łzy gorące rozradują ducha przyjaciela jego. Ale czuł on potrzebę zakończenia tej bolesnej sceny, wydobył też z zanadrza mały zwitek.

— Miłościwa pani! — rzekł — dopełniam ja ostatniej woli umierającego, i składam w twoje ręce najdroższą dla pana Kazimierza pamiątkę, przyjm ją pani łaskawie, bo to dar bohatera wiernego twojej pamięci!

Tu rozwinął papier, i ukazał ów ryngraf z medalionem św. Kazimierza, który Pułaski zawsze na piersiach nosił.

Z gorączkowym pospiechem uchwyciła go królewiczowa, i patrząc na wizerunek:

— Twego wstawienia — zawołała — święty nasz patronie wzywać ja będę, o spokój i zbawienie dla niego, a o miłosierdzie i rezygnacją dla mnie!

Po tych wyrazach przykląkł Golian, ucałował podaną sobie rękę, i wzruszony do głębi serca wyszedł.

We dwa dni potem odbyło się w Dreźnie żałobne nabożeństwo; wszyscy Polacy na niem się znajdowali, w loży

zaś królewskiej widziano klęczącą kobietę, w modlitwie pogrążoną.

Pomimo nalegań Królewiczowej nie chciał Golian pozostać w Dreźnie, ale wrócił w rodzinne strony; testamentem pana Kazimierza mając zapewnioną niezależność, w wyborze miejsca pobytu nie krępowany koniecznością, udał się tedy na Ukrainę, gdzie zastał Szyca.

Po kapitulacji Częstochowy wrócił on był do swego stogu na stepie, gdzie też z niewypowiedzianą radością przyjmował towarzysza broni. Na usilne żądanie jego zamieszkał Golian w Grotowie, i dawnym zwyczajem Szyca wiedli oni znowu to stepowe życie, z tą tylko różnicą, że zimy nie spędzali w Kamieńcu ale w gościnnym domu Antoniego Pułaskiego, który, wróciwszy z niewoli moskiewskiej, osiadł na szerokiej ojczystej fortunie.

Z latami nie ostygł zapał obu rycerzy Barskich; bo kiedy armia polska, pod wodzą młodego księcia Józefa Poniatowskiego, zbliżyła się na Ukrainę, stanęli znowu oba Barszczanie do walki z Moskwą.

W pamiętnej bitwie pod Zieleńcami, na owej Borysowskiej grobli umoszczonej trupami polskiemi, zginął chwalebnie Golian, a Szyc z Semenem i Sagą opuścił Ukrainę i osiadł znowu w górach karpackich, w blizkości swego rodzinnego miejsca, ale już stronił od świata i ludzi.

* * *

Kreśląc ten obrazek żywota Kazimierza Pułaskiego, oddaję winną cześć nieskalanej cnocie, odgrzebuję z zapomnienia pamięć tego rycerza Wiary i Wolności, którego zasług niczem dotąd nie uwiecznił naród.

Historja nasza, tak płodna w wielkich rycerskich mężów, od la dwustu trzy nam szczytne przedstawia postacie, których założeniem była walka o niepodległość, a tymi są: Stefan Czarnecki, Kazimierz Pułaski, i Tadeusz Kościuszko.

Zasługi pierwszego wynagrodził wdzięczny naród wysokiem krzesłem senatorskiem, buławą hetmańską i pomnikiem w dziedzicznym jego Tykocinie; na cześć Kościuszki powstała mogiła obok kurhanów Wandy i Krakusa, a zwłoki jego spoczywają w grobach królów polskich; kości tylko Pułaskiego w nieznanym grobie czekają dotąd wymiaru sprawiedliwości.

Wdzięczna Ameryka nadaje miastu imię jego, granitowym pomnikiem uwiecznia pamięć, ze czcią religijną przechowuje w sali obrad jego wizerunek, a Polakom nieznane są nawet rysy ich bohatera! Miejmy nadzieję, że pokolenie, w którem się obudzi żądza naśladowania go, odda winny hołd jego wielkiej zasłudze!

KONIEC.

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
60212
w Białymstoku
Czytelnia dla Dorosłych

Z DRUKARNI E. WINIARZA.

5000